

**Danielle Steel**

**Echa**

*(Echoes)*

*Przełożyła Danuta Górka*

*Moim ukochanym dzieciom,  
które są dla mnie tak nieskończenie cenne,  
i każde z nich jest tak wyjątkowe:  
Beatrix, Trevor, Todd, Nick, Sam,  
Victoria, Vanessa, Maxx i Zara.  
Niech echa waszej przeszłości, przyszłości i teraźniejszości  
zawsze będą dobre i łagodne.*

*Z miłością*

*Mama*

*To cud, że nie porzuciłam wszystkich moich ideałów.  
Wydają się tak absurdalne i niepraktyczne.  
Jednak trzymam się ich, ponieważ wciąż wierzę,  
na przekór wszystkiemu, że ludzie w głębi serca naprawdę są dobrzy.*  
Anna Frank

*Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat.*  
Talmud

## Rozdział 1

W leniwe letnie popołudnie Beata Wittgenstein wraz ze swoimi rodzicami spacerowała brzegiem Jeziora Genewskiego. Słońce grzało mocno, powietrze było nieruchome, ptaki i owady hałasowały donośnie, kiedy szła zamyślona z tyłu. Beata i jej siostra Brigitte przyjechały z matką do Genewy na lato. Beata właśnie skończyła dwadzieścia lat, siostra była o trzy lata młodsza. Minęło trzynaście miesięcy, odkąd zeszłego lata wybuchła wojna światowa, a w tym roku ojciec chciał, żeby wyjechały z Niemiec na wakacje. Spędził tam z nimi miesiąc – sierpień 1915 roku dobiegał końca. Obaj bracia Beaty służyli w armii, ale zdolali uzyskać przepustki, żeby na tydzień dołączyć do rodziny. Horst miał dwadzieścia trzy lata i był porucznikiem w kwaterze głównej dywizji w Monachium. Ulm był kapitanem w 105. Regimentzie Piechoty, wchodzącym w skład 30. Dywizji, która należała do 4. Armii. Podczas tego tygodnia w Genewie skończył właśnie dwadzieścia siedem lat.

Graniczyło prawie z cudem, że cała rodzina zebrała się razem. Wojna pożerała wszystkich młodych Niemców, więc Beata ciągle bała się o braci, tak jak matka. Ojciec powtarzał jej, że to się niedługo skończy, ale kiedy rozmawiał z jej braćmi, słyszała zupełnie co innego. Mężczyźni lepiej od kobiet zdawali sobie sprawę z nadciągającej ponurej przyszłości. Matka Beaty nigdy nie rozmawiała z nią o wojnie, a Brigitte najbardziej się martwiła, że trudno znaleźć przystojnych młodych ludzi do flirtowania. Już odkąd była małą dziewczynką, nie mówiła o niczym innym, tylko o małżeństwie. Ostatnio zakochała się w jednym z uniwersyteckich kolegów Horsta i Beata podejrzewała, że jej piękna młodsza siostra zaręczy się tej zimy.

Beata nie miała takich zamiarów ani zainteresowań. Zawsze była cicha, pilna i poważna. Bardziej interesowała ją nauka niż młodzi mężczyźni. Ojciec powtarzał, że jest idealną córką. Jedyny rozdźwięk między nimi nastąpił wówczas, kiedy nalegała, że chce pójść na uniwersytet jak jej bracia, a ojciec uznał to za głupie. Chociaż sam był intelektualistą, uważał, że kobieta nie musi być aż tak wykształcona. Powiedział jej, że na pewno wkrótce wyjdzie za mąż i będzie się zajmowała mężem oraz dziećmi. Nie wstąpiła więc na uniwersytet; ojciec na to nie pozwolił.

Bracia Beaty i ich koledzy tworzyli wesołą kompanię, a jej siostra była ładna i zalotna. Beata zawsze czuła się inna, różniła się od nich spokojnym usposobieniem i pasją do nauki. Nade wszystko pragnęła zostać nauczycielką, ale kiedy o tym wspominała, rodzeństwo zawsze ją wyśmiewało. Brigitte mówiła, że tylko biedne dziewczęta zostają nauczycielkami lub guwernantkami, a bracia dodawali, że tylko brzydule o tym marzą. Uwielbiali się z nią drażnić, chociaż Beata nie była ani biedna, ani brzydka. Jej ojciec zarządzał własnym bankiem, jednym z najważniejszych w Kolonii, gdzie mieszkali. Mieli wielki, piękny dom w dzielnicy Fitzengraben, a jej matka Monika słynęła nie tylko z urody, ale też z eleganckich strojów i biżuterii. Podobnie jak Beata, była cichą kobietą. Poślubiła Jacoba Wittgensteina jako siedemnastolatka i od tamtej pory przeżyła z nim szczęśliwie dwadzieścia osiem lat.

Małżeństwo, zaaranżowane przez ich szacowne rodziny, okazało się udane. Związek ten

połączył dwie okazałe fortuny, a od tamtego czasu Jacob znacznie powiększył ich wspólny majątek. Rządził żelazną ręką i w interesach bankowych przejawiał talent jasnowidza. Zabezpieczył nie tylko ich przyszłość, ale też przyszłość ich dziedziców. Wittgensteinowie byli solidni pod każdym względem. Jedynym nieprzewidywalnym elementem ich życia, nad którym nie mogli zapanować, była wojna. Martwiła wszystkich, a zwłaszcza Monikę, której synowie byli w wojsku. Czas spędzony razem w Szwajcarii stanowił pożądane wytchnienie tak dla rodziców, jak dla dzieci.

Zazwyczaj spędzali wakacje w Niemczech nad morzem, lecz w tym roku Jacob chciał wywieźć wszystkich z kraju na lipiec i sierpień. Rozmawiał nawet z jednym z głównodowodzących generałów, którego dobrze znał, i taktownie poprosił o wielką przysługę, żeby obaj synowie dostali przepustki i mogli przyjechać. Generał załatwił to po cichu. Wittgensteinowie byli niezwykle ludźmi: żydowska rodzina, ciesząca się nie tylko ogromnym bogactwem, ale też wielkimi wpływami i władzą. Beata zdawała sobie z tego sprawę, lecz niewiele myślała o znaczeniu swojej rodziny. Bardziej interesowała ją nauka. I chociaż Brigitte czasami irytowały ograniczenia wynikające z ortodoksji, Beata na swój cichy sposób była głęboko religijna, co cieszyło jej ojca. Jako młody człowiek przyprawił o wstrząs swoją rodzinę, oznajmiając, że chce zostać rabinem. Ojciec przemówił mu do rozsądku i w stosownym czasie Jacob zaczął pracować w rodzinnym banku, jak przed nim jego ojciec, wuj, bracia i dziadek. Rodzina przywiązywała dużą wagę do tradycji i chociaż ojciec Jacoba żywił wielki szacunek dla urzędu rabina, nie zamierzał jednak poświęcać własnego potomka. Toteż Jacob jako posłuszny syn podjął pracę w banku i wkrótce potem się ożenił. Miał teraz pięćdziesiąt lat i był o pięć lat starszy od matki swojej żony.

Cała rodzina uznała, że decyzja o spędzeniu tego lata w Szwajcarii była słuszna. Wittgensteinowie mieli tu wielu przyjaciół, toteż rodzice chodzili na liczne przyjęcia, podobnie jak ich dzieci. Jacob znał wszystkich w szwajcarskich kołach bankowych i jeździł do Lozanny oraz Zurychu, żeby odwiedzić przyjaciół. Zawsze, kiedy było to możliwe, rodzice zabierali ze sobą dziewczęta. Podczas pobytu Horsta i Ulma spędzali jak najwięcej czasu we własnym towarzystwie. Ulm po urlopie wyjeżdżał na front, a Horst stacjonował w kwaterze głównej dywizji w Monachium, co chyba traktował jak znakomitą zabawę. Pomimo surowego wychowania Horst miał w sobie coś z playboya. On i Brigitte mieli ze sobą dużo więcej wspólnego niż z Beatą.

Idąc powoli brzegiem jeziora, została w tyle za innymi. Po chwili jej najstarszy brat Ulm zwolnił kroku i przyłączył się do niej. Zawsze odnosił się do niej opiekuńczo, może dlatego, że był o siedem lat starszy. Beata wiedziała, że szanował jej łagodną naturę i czułe usposobienie.

– O czym myślisz, Bea? Wyglądasz okropnie poważnie, kiedy tak idziesz sama. Czemu nie dołączysz do nas?

Matka i siostra znacznie ich wyprzedziły, plotkując o modzie oraz mężczyznach, których Brigitte uznała za przystojnych na przyjęciach w zeszłym tygodniu. Mężczyźni w rodzinie

rozmawiali na tematy, które ich interesowały – o wojnie i bankowości. Po wojnie Ulm zamierzał wrócić do pracy w banku, jak przed czterema laty. Ojciec oświadczył, że Horst będzie musiał skończyć z zabawą, spoważnieć i włączyć się do rodzinnego interesu. Horst obiecał, że zrobi to, jak tylko wojna się skończy. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy w zeszłym roku wypowiedziano wojnę. Jacob powtórzył kilkakrotnie, że już czas, by Ulm się ożenił. Jedyne, czego Jacob oczekiwał od swoich dzieci oraz wszystkich najbliższych, było posłuszeństwo. Oczekiwał tego również od swojej żony, i nigdy go nie zawiodła. Ani dzieci, z wyjątkiem Horsta, który ociągał się z podjęciem pracy, aż wreszcie powołano go do wojska. Obecnie wcale nie miał ochoty na małżeństwo. Właściwie tylko Brigitte poważnie o tym myślała. Beata nie spotkała dotąd mężczyzny, który zrobiłby na niej szczególne wrażenie. Chociaż w jej otoczeniu nie brakowało przystojnych mężczyzn, młodzi ludzie w większości wydawali się jej niemądry, a starsi budzili w niej obawę i często sprawiali wrażenie zbyt poważnych. Nie spieszyło jej się do małżeństwa. Często powtarzała, że jeśli wyjdzie za mąż, ma nadzieję poślubić uczonego, niekoniecznie bankiera. W żadnym razie nie mogła tego powiedzieć ojcu, chociaż często zwierzała się matce i siostrze. Brigitte twierdziła, że to nudne. Przyjaciel Horsta, młody przystojny człowiek, który wpadł jej w oko, był równie frywolny jak ona i pochodził z równie znaczącej bankierskiej rodziny. Jacob zamierzał spotkać się z ojcem chłopca we wrześniu, żeby omówić tę sprawę, chociaż Brigitte o tym nie wiedziała. Beata na razie jednak nie miała żadnego konkurenta i wcale jej na tym nie zależało. Rzadko rozmawiała z kimś na przyjęciach. Posłuszenie chodziła na nie z rodzicami i nosiła suknie wybrane przez matkę. Zawsze zachowywała się uprzejmie wobec gospodarzy i zawsze czuła olbrzymią ulgę, kiedy nadchodziła pora powrotu do domu. W przeciwieństwie do Brigitte, którą trzeba było wyciągać siłą i która narzekała, że jeszcze o wiele za wcześnie i że jej rodzina to tacy nudziarze. Horst zgadzał się z nią, jak zawsze. To Beata i Ulm byli poważni.

– Dobrze się bawisz w Genewie? – spytał ją cicho Ulm.

Tylko on naprawdę z nią rozmawiałby dowiedzieć się, co ona myśli. Horsta i Brigitte nazbyt pochłaniały rozrywki i zabawy.

– Tak, dobrze. – Beata uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Chociaż Ulm był jej bratem, zawsze olśniewały ją jego uroda i dobroć. Ulm miał łagodne usposobienie i wyglądał jak ojciec. Był wysoki, jasnowłosy i potężny, jak Jacob w młodości. Miał błękitne oczy i rysy twarzy, które często budziły zdumienie, ponieważ wcale nie wyglądał na Żyda. Oczywiście wszyscy wiedzieli o jego pochodzeniu i rodzinę Wittgensteinów przyjmowano nawet w najbardziej arystokratycznych sferach Kolonii. Ojciec miał wśród przyjaciół z dzieciństwa kilku Hohenlohów, Thurnów i Thaxisów. Wittgensteinowie byli tak znani i szanowani, że wszystkie drzwi stały przed nimi otworem. Jacob wyraźnie jednak zapowiedział dzieciom, że przyszłych małżonków muszą sobie wybrać spośród Żydów. Nawet młodzi Wittgensteinowie nie dyskutowali; ani nie zamierzali kwestionować zdania ojca. Akceptowano ich takimi, jacy byli, a wśród współwyznawców znajdowało się wiele panien na

wydaniu i wielu młodych mężczyzn do wzięcia. Kiedy nadejdzie pora na małżeństwo, dzieci Wittgensteinów wybiorą spośród swoich.

Ulm i Beata, kiedy szli razem nad brzegiem jeziora, nie wyglądali nawet na dalekich krewnych. Obaj bracia i siostra odziedziczyli wygląd po ojcu: wysocy, jasnowłosi, o błękitnych oczach i delikatnych rysach. Beata, podobna do matki, stanowiła ich przeciwieństwo. Była drobną, kruchą, delikatną brunetką o kruczoczarnych włosach i porcelanowo-białej skórze. Jediną cechą wspólną z rodzeństwem stanowiły ogromne błękitne oczy, chociaż ciemniejsze niż u Brigitte czy braci. Matka miała oczy ciemnobrązowe, lecz poza tą niewielką różnicą Beata wyglądała jak żywy obraz matki, co zresztą cieszyło jej ojca. Po prawie dwudziestu dziewięciu latach małżeństwa nadal był zakochany w żonie; uśmiech córki przypominał uśmiech młodzianki Moniki w pierwszych latach ich małżeństwa, i to podobieństwo zawsze chwyciło go za serce. W rezultacie miał ogromną słabość do Beaty i Brigitte często się skarżyła, że Beata jest jego ulubienicą. Pozwalał jej robić, co chciała. Lecz zachcianki Beaty były nieszkodliwe, w odróżnieniu od pomysłów jej młodszej siostry. Beata wołała spędzać czas w domu, na czytaniu lub nauce – to jej wystarczało. Tylko raz ojciec rozgniewał się na nią naprawdę, kiedy zastał ją przy czytaniu Biblii w wersji Króla Jakuba.

– O czym to jest? – zapytał z surową miną, kiedy zobaczył, co czyta córka. Miała wtedy szesnaście lat i zafascynowała ją ta lektura. Przeczytała już dużą część Starego Testamentu.

– To ciekawe, papo. Historie są cudowne i wiele rzeczy opisano tak jak w naszej wierze.

Wolała Nowy Testament od Starego. Ojciec nie uważał tego za zabawne i odebrał jej książkę. Nie chciał, żeby jego córka czytała chrześcijańską Biblię. Poskarżył się żonie i zasugerował, żeby Monika starannie pilnowała lektur córki. W istocie Beata czytała wszystko, co jej wpadło w ręce, włącznie z Arystotelesem i Platonem. Namiętna czytelniczka, uwielbiała greckich filozofów. Nawet ojciec musiał przyznać, że gdyby była mężczyzną, zostałaby wybitnym uczonym. Teraz jednak pragnął dla niej tego samego, czego dla Ulma, a później dla pozostałej dwójki: małżeństwa. Zaczynał się obawiać, że Beata zostanie w końcu starą panną, jeśli będzie zwlekać. Miał kilka pomysłów co do małżeństwa, ale wojna wszystko zepsuła. Tylu mężczyzn powołano do służby, tylu młodych ludzi, których znał, zginęło w zeszłym roku. Niepewna przyszłość budziła głębokie obawy.

Ojciec uważał, że Beata powinna poślubić mężczyznę starszego od siebie, dojrzałego, który doceni jej intelekt i będzie podzielał jej zainteresowania! Nie miał nic przeciwko takiemu rozwiązaniu również dla Brigitte, której przydałaby się silna ręka. Chociaż kochał wszystkie swoje dzieci, był wyjątkowo dumny z najstarszej córki. Uważał się za człowieka mądrego i wrażliwego. Człowieka, do którego inni zawsze zwracali się bez wahania. Beata kochała go i szanowała głęboko, podobnie jak matkę, chociaż sekretnie przyznawała, że z matką łatwiej się rozmawiało i nie onieśmiała jej tak jak ojciec. Ojciec był równie poważny jak Beata i często potępiał frywolność młodszej córki.

– Żałuję, że musisz wracać na wojnę – powiedziała Beata ze smutkiem, idąc obok Ulma.

Pozostali zawrócili i teraz ona z Ulmem wyprzedzali ich spory kawałek, zamiast wlec się z tyłu.

– Ja też nie chcę wracać, ale myślę, że to niedługo się skończy. – Uśmiechnął się do niej pocieszająco. Nie wierzył w to, ale takie rzeczy mówiło się kobietom. Przynajmniej on mówił. – Powiniennem dostać następną przepustkę na święta.

Kiwnęła głową, myśląc, że to całe wieki, niezdolna znieść okropnej myśli, że mogłoby go spotkać coś złego. Nigdy mu nie wyznała, jak bardzo go uwielbia. Horsta też kochała, ale traktowała go jak głupiutkiego młodszego braciszka. Lubił jej dokuczać i zawsze doprowadzał ją do śmiechu. Z Ulmem łączyło ją coś innego. Gawędzili przyjaźnie przez całą drogę powrotną do hotelu, a wieczorem zjedli pożegnalną kolację, zanim chłopcy odjechali następnego dnia. Jak zwykle Horst bawił ich niez mordowanie naśladowaniem wszystkich napotkanych osób i skandalicznymi historyjkami o swoich kolegach.

Wszyscy trzej mężczyźni wyjechali następnego dnia, a trzy kobiety zostały same na ostatnie trzy tygodnie wakacji w Genewie. Jacob chciał, żeby spędziły jak najwięcej czasu w Szwajcarii, chociaż Brigitte zaczynała się nudzić. Lecz Beata i jej matka były całkowicie zadowolone z pobytu w Genewie.

Pewnego popołudnia Brigitte poszła z matką na zakupy. Beata wymówiła się bólem głowy, chociaż naprawdę nic jej nie dolegało, tylko uważała zakupy z nimi za męczące. Brigitte zawsze przymierzała wszystko w sklepach, zamawiała suknie, buty i kapelusze. Matka, która podziwiała jej doskonały gust i subtelne wyczucie mody, zawsze jej pobłażała. A doprowadziwszy do wyczerpania krawców, szewców, modystki i najwytworniej szych rękawiczników, robiły obchód jubilerów. Beata wiedziała, że nie wrócą przed obiadem, toteż zadowolona siedziała na słońcu, czytając samotnie w ogrodzie.

Po lunchu zeszła nad jezioro i przespacerowała się tą samą ścieżką, którą chodzili codziennie podczas całego pobytu. Dzień był odrobinę chłodniejszy niż poprzedni. Beata miała na sobie białą jedwabną suknię, kapelusz dla ochrony przed słońcem i bladoniebieski szal w kolorze oczu udrapowany na ramionach. Nuciała do siebie, maszerując naprzód. Większość gości hotelowych była na lunchu albo w mieście, więc Beata miała całą ścieżkę dla siebie. Szła ze spuszczoną głową, myśląc o braciach. Nagle usłyszała z tyłu jakiś dźwięk. Zdziwiona podniosła wzrok i zobaczyła wysokiego młodego człowieka, który szybko wyminął ją z uśmiechem. Zmierzał w tym samym kierunku i tak ją zaskoczył, kiedy przecisnął się obok niej, że pospieszenie odstała na bok, potknęła się i wykręciła sobie kostkę. Bolało przez chwilę, ale nie było to nic poważnego. Młodzieniec szybko wyciągnął rękę i złapał ją, zanim upadła.

– Bardzo przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć i z pewnością nie chciałem pani przewrócić.

Miał zatroskany, przepaszający wyraz twarzy. Beata zauważyła, że był uderzająco przystojny. Wysoki, jasnowłosy, z oczami tej samej barwy co jej oczy, miał atletyczne barki i długie, silne ramiona. Mocno trzymał ją za rękę, kiedy do niej mówił. Spozregła, że kapelusz jej się lekko przekrzywił. Wyprostowała go, zerkając ukradkiem na nieznanego. Wydawał się



nieco starszy od Ulma. Nosił białe spodnie i ciemnoniebieski blezer, granatowy krawat oraz bardzo ładny słomkowy kapelusz, w którym wyglądał dość zawadiacko.

– Dziękuję, nic mi nie jest. To było niemądre z mojej strony. Nie usłyszałam pana na czas, żeby zejść panu z drogi.

– I nie zobaczyła mnie pani, dopóki mało pani nie przewróciłem. Obawiam się, że zachowałem się w sposób godny pożałowania. Nic pani nie jest? Jak pani kostka? – Wydawał się miły i współczujący.

– W porządku. Złapał mnie pan, zanim zrobiłam sobie krzywdę. Odezwał się do niej po francusku, a ona odpowiedziała w tym samym języku. Nauczyła się francuskiego w szkole i od tamtej pory starannie go szlifowała. Ojciec nalegał również, żeby dzieci nauczyły się angielskiego, i uważał, że powinny też znać włoski i hiszpański. Beata uczyła się jednego i drugiego języka, ale żadnego dobrze nie opanowała. Po angielsku mówiła znośnie, natomiast po francusku płynnie.

– Zechce pani usiąść na chwilę?

Wskazał ławkę w pobliżu, ze spokojnym widokiem na jezioro. Zdawało się, że nie chce puścić jej ramienia. Zupełnie jakby się obawiał, że ona upadnie, jeśli on rozluźni mocny chwyt. Uśmiechnęła się do niego.

– Naprawdę nic mi nie jest.

Ale spodobał jej się pomysł, żeby usiąść obok niego na chwilę. Zazwyczaj nie robiła takich rzeczy, właściwie nigdy czegoś takiego nie zrobiła, ale on był taki miły i uprzejmy, i wydawał się taki skruszony z powodu niedosłego wypadku, że go pożałowała. Chyba to nic złego, że posiedzą razem i pogawędzą przez chwilę, zanim Beata podejmie swój spacer. Nie musiała się spieszyć z powrotem do hotelu, wiedziała, że matka i siostra nie wrócą jeszcze przez wiele godzin. Pozwoliła się doprowadzić do ławki, a on usiadł obok niej w odległości podyktowanej szacunkiem.

– Naprawdę nic się pani nie stało? – Spojrzał w dół na jej kostkę, ledwie wysuniętą spod obrąbka spódnicy, i z ulgą zobaczył, że nie wydawała się spuchnięta.

– Zapewniam pana. – Beata uśmiechnęła się.

– Chciałem tylko prześliznąć się obok pani. Powinienem być coś powiedzieć, jakoś panią ostrzec. Byłem milion kilometrów stąd, myślałem o tej przekłętej wojnie, to takie okropne.

Ze zmartwioną miną odchylił się na oparcie ławki. Beata przyglądała mu się ukradkiem. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo chociaż trochę podobnego do tego młodzieńca. Wyglądał jak przystojny książe z bajki i zachowywał się wyjątkowo życzliwie. Nie okazywał wyniosłości i nie zadzierał nosa. Przypominał któregoś z kolegów Ulma, tylko był dużo przystojniejszy.

– Więc nie jest pan Szwajcarem? – zapytała z zaciekawieniem.

– Jestem Francuzem – odpowiedział po prostu. Beata zmarszczyła brwi i milczała. – Czy to nie okropne? Właściwie mój dziadek był Szwajcarem, ze strony matki. Dlatego tu jestem. Zmarł przed dwoma tygodniami, więc musiałem przyjechać i pomóc w przejęciu majątku przez brata i

rodziców. Dostałem w tym celu przepustkę.

Mówił zadziwiająco swobodnie i otwarcie, bez cienia arogancji czy niestosownej poufałości. Wydawał się doskonale wychowany i wyjątkowo uprzejmy.

– Nie, to wcale nie jest okropne – zaprzeczyła, spojrzawszy mu prosto w oczy. – Ja jestem Niemką.

Spodziewała, że zeskoczy z ławki i zawoła, że nienawidzi Niemców. W końcu byli wojennymi wrogami.

– Oczekuje pani, że będę ją obwiniał o wojnę? – zapytał łagodnie, uśmiechając się do niej.

Była młodą i wyjątkowo ładną dziewczyną. Uznał ją za prawdziwą piękność i wzruszyło go, że miała taki przepraszający wyraz twarzy. Wydawała się niezwykle osobą i nagle się ucieszył, że na nią wpadł.

– Czy pani to zrobiła? Ta straszna wojna to pani wina, mademoiselle? Mam się gniewać na panią? – Przekomarzał się z nią, aż roześmiała się głośno.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała z uśmiechem. – Służy pan w wojsku? – zagadnęła, bo wspomniał, że jest na przepustce.

– W kawalerii. Skończyłem akademię jeździecką Saumur.

Beata wiedziała, że wszyscy francuscy arystokraci szkolą się tam na oficerów kawalerii.

– To pewnie było interesujące. – Beata lubiła konie i dużo jeździła jako młoda dziewczyna. Uwielbiała, jeździć z braćmi, zwłaszcza z Ulmem. Horst zawsze szalał i doprowadzał konia do białej gorączki, co z kolei płoszyło jej konia. – Moi bracia też są w wojsku.

Patrzył na nią w zamyśleniu przez długą chwilę, zagubiony w jej błękitnych oczach, ciemniejszych od jego oczu. Nigdy nie widział włosów tak ciemnych, kontrastujących ze skórą tak białą. Wyglądała jak obraz, siedząc na ławce.

– Czy nie byłoby przyjemnie, gdyby niesnaski pomiędzy narodami dały się rozwiązać w taki prosty sposób: dwoje ludzi siedzących na ławce w letnie popołudnie i spoglądających na jezioro. Moglibyśmy omówić sporne kwestie i dojść do zgody, żeby młodzi mężczyźni nie musieli umierać na polach walki.

Po tych słowach ponownie zmarszczyła brwi, bo przypomniały jej o braciach narażonych na niebezpieczeństwo.

– Byłoby miło. Mój starszy brat uważa, że wojna wkrótce się skończy.

– Chciałbym się z nim zgodzić – powiedział uprzejmie. – Niestety, jeśli mężczyźni raz dostaną broń do rąk, nie wypuszczą jej tak łatwo. To może się ciągnąć latami.

– Mam nadzieję, że pan się myli – powiedziała cicho.

– Ja też. – Znowu zrobił zakłopotaną minę. – Zachowuję się bardzo niegrzecznie. Jestem Antoine de Vallerand.

Wstał, uklonił się i usiadł z powrotem. A ona uśmiechnęła się do niego.

– Nazywam się Beata Wittgenstein – przedstawiła się.

– Skąd pani tak dobrze zna francuski? – spytał. – Pani francuski jest prawie doskonały, bez

żadnego akcentu. Właściwie mówi pani jak paryżanka.

Nigdy by nie zgadł, że dziewczyna jest Niemką. Zafascynowała go to i nawet kiedy usłyszał jej nazwisko, nie przyszło mu do głowy, że jest Żydówką. W przeciwieństwie do większości osób z jego środowiska, nie robiło to mu różnicy. Nawet o tym nie myślał. Widział tylko piękną, inteligentną młodą kobietę.

– Uczyłam się francuskiego w szkole – wyjaśniła.

– Wcale nie, a jeśli tak, jest pani znacznie zdolniejsza ode mnie. Ja uczyłem się w szkole angielskiego, ale nie potrafię wydukać ani słowa. A mój niemiecki jest absolutnie koszmarny. Nie mam pani zdolności. Jak większość Francuzów. Znamy francuski i niewiele więcej. Zakładamy, że cały świat nauczy się francuskiego, żeby z nami rozmawiać, więc mam szczęście, że pani się nauczyła. Czy zna pani także angielski?

Podejrzewał, że zna. Chociaż nic o niej nie wiedział i wyczuwał w niej pewną nieśmiałość, wywarła na nim wrażenie osoby wyjątkowo bystrej i zdumiewająco łatwej w obejściu. Sama się dziwiła, że tak swobodnie się przy nim czuje. Mimo że obcy, dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

– Znam angielski – przyznała – ale nie tak dobrze jak francuski.

– Chodzi pani do szkoły? – spytał.

Wydawała mu się bardzo młoda. On miał trzydzieści dwa lata, dwanaście lat więcej od niej.

– Nie. Już nie. Skończyłam – odpowiedziała nieśmiało. – Ale dużo czytam. Chciałabym pójść na uniwersytet, ale ojciec mi nie pozwolił.

– Dlaczego? – zdziwił się, a potem zreflektował się i powiedział z uśmiechem: – Uważa, że pani powinna wyjść za mąż i mieć dzieci. Nie potrzebuje pani uniwersyteckiego wykształcenia. Mam rację?

– Tak, całkowitą.

– I nie chce pani wyjść za mąż?

Coraz bardziej przypominał jej Ulma. Miała wrażenie, że Antonie jest jej starym przyjacielem, a on czuł się z nią równie swobodnie. Mogła rozmawiać z nim całkowicie szczerze, co jej się rzadko zdarzało. Zwykle mężczyźni budzili w niej skrupowanie.

– Nie chcę wychodzić za mąż, dopóki się nie zakocham – odpowiedziała z prostotą, a on przytaknął.

– To brzmi rozsądnie. Czy pani rodzice zgadzają się z tą koncepcją?

– Nie jestem pewna. Ich małżeństwo było zaaranżowane i uważają, że to dobrze. Chcą też, żeby moi bracia się pożenili.

– Ile lat mają pani bracia?

– Dwadzieścia trzy i dwadzieścia siedem. Jeden jest bardzo poważny, a drugi tylko chce się bawić i jest trochę dziki. – Uśmiechnęła się niepewnie do Antoine'a.

– Całkiem jak mój brat i ja.

– Ile on ma lat?

– Jest pięć lat młodszy. Ma dwadzieścia siedem lat, jak pani starszy brat, a ja jestem

zgrzybiałym trzydziestodwuletnim starcem. Postawili już na mnie krzyżyk. – On też postawił, aż do tej chwili.

– Którym pan jest?

– Którym? – Przez chwilę miał pusty wyraz twarzy, a potem zrozumiał. – Ach tak, on jest ten dziki. Ja jestem nudziarzem. – Potem się zreflektował. – Przepraszam, nie chciałem sugerować, że pani starszy brat jest nudny. Po prostu poważny, tak sobie wyobrażam. Ja zawsze byłem odpowiedzialny, w przeciwieństwie do brata. On jest zbyt zajęty zabawą, żeby myśleć o odpowiedzialności. Może ma rację. Ja jestem znacznie spokojniejszy.

– Nie jest pan żonaty? – zapytała z zaciekawieniem.

To spotkanie stanowiło przedziwny przypadek. Zadawali sobie pytania, jakich nigdy nie odważyliby się zadać na balu, na przyjęciu czy w salonie. Tutaj jednak, na ławce z widokiem na jezioro, wydawało jej się całkowicie stosowne pytać go o wszystko, co chciała wiedzieć. Zainteresował ją. Chociaż tak uderzająco przystojny, miał w sobie jakąś zachwycającą uczciwość. Wyglądał na bałamuta i mógł ją okłamywać, ale tak nie myślała. Wierzyła w każde jego słowo i czuła, że on również jej wierzy.

– Nie, nie jestem żonaty – odparł z rozbawieniem. – Myślałem o tym raz czy dwa, ale nigdy nie czułem, że to właściwa decyzja pomimo wielkich nacisków mojej rodziny. Najstarszy syn i tak dalej. Nie chcę popełnić błędu i poślubić nieodpowiedniej kobiety. Wolałem już być sam, więc jestem.

– Zgadzam się – przytaknęła z zadziwiającym zdecydowaniem. Chwilami wydawała mu się niemal dziecinna, a kiedy indziej w rozmowie dobitnie dawała wyraz swoim przekonaniom, jak w kwestii małżeństwa czy studiów uniwersyteckich.

– Co by pani studiowała, gdyby ojciec pozwolił pani pójść na uniwersytet? – zagadnął.

Zamyśliła się i jej twarz przybrała rozmarzony wyraz.

– Filozofię. Chyba starożytnych Greków. Może religię albo filozofię religii. Raz przeczytałam Biblię od początku do końca.

Zaimponowała mu. Najwyraźniej była nie tylko piękna, ale również inteligentna, i tak łatwo się z nią rozmawiało.

– I co pani myślała? Ja nie mogę się pochwalić, że ją przeczytałem, tylko wyjątki i urywki, głównie na weselach i pogrzebach. Prawie cały czas spędzam na koniu i pomagam ojcu zarządzać majątkiem. Jestem na całe życie związany z ziemią.

Nie potrafił jej wytłumaczyć, ile dla niego znaczy ziemia. Wychowano go w tym duchu.

– Myślę, że wielu mężczyzn tak czuje – powiedziała Beata cicho. – Gdzie leży pański rodzinny majątek?

Rozmowa z nim sprawiała jej przyjemność i nie chciała jej jeszcze kończyć.

– W Dordogne. Kraina koni. To w okolicach Perigord, niedaleko Bordeaux, jeśli to pani coś mówi.

Oczy mu zabłysły na samą wzmiankę o rodzinnych stronach.

– Nigdy tam nie byłam, ale na pewno jest pięknie, jeśli tak pan to kocha.

– Jest pięknie – zapewnił ją. – A gdzie pani mieszka w Niemczech?

– W Kolonii.

– Byłem tam – stwierdził z zadowoleniem. – Bawaria też mi się bardzo podoba. I spędziłem urocze chwile w Berlinie.

– Tam chce mieszkać mój brat, Horst. Oczywiście nie może. Po wojnie będzie musiał pracować u ojca. Uważa, że to okropne, ale nie ma wyboru. Mój dziadek, ojciec i jego bracia, i mój brat Ulm, wszyscy tam pracują. W banku. Pewnie to niezbyt zabawne, ale oni wszyscy chyba to lubią – ciągnęła.

Antoine słuchał z uśmiechem. Była taka bystra, inteligentna i ciekawa świata. Patrząc na nią, wiedział, że gdyby poszła na uniwersytet albo mogła pracować w banku, poradziłaby sobie znakomicie. Nadal był pełen podziwu, że przeczytała Biblię jako młoda dziewczyna.

– Co pani lubi robić? – zapytał.

– Uwielbiam czytać i dowiadywać się o różnych rzeczach. Bardzo chciałabym zostać pisarką, ale to oczywiście też niemożliwe.

Żaden przyszły mąż nie tolerowałby takich pomysłów u żony; żona miała zajmować się mężem i dziećmi.

– Może kiedyś pani zostanie pisarką. Chyba wszystko zależy od tego, kogo pani poślubi, jeśli pani wyjdzie za mąż. Czy ma pani także siostry, czy tylko braci?

– Mam młodszą siostrę, Brigitte, ona ma siedemnaście lat. Uwielbia przyjęcia, tańce i stroje, nie może się już doczekać małżeństwa. Zawsze mi powtarza, że jestem nudna – wyznała Beata z szelmowskim uśmiechem, na widok którego zapragnął wziąć ją w ramiona, chociaż zaledwie się poznali. Jak to dobrze, że na siebie wpadli! Zaczynał myśleć, że los się do niego uśmiechnął, i przeczuwał, że Beata też tak myśli.

– Mój brat uważa, że jestem bardzo nudny. Ale muszę pani powiedzieć, Beato, że wcale nie uważam pani za nudną. Rozmowa z panią to dla mnie ogromna przyjemność.

– Mnie też przyjemnie z panem rozmawiać. – Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Pomyślała, czy nie powinna już wracać do hotelu. Siedzieli na tej ławce już dość długo. Może dłużej, niż wypadało. Przez chwilę milczeli, podziwiając widok jeziora, a potem Antoine znowu odwrócił się do niej.

– Chciałaby pani, żebym panią odprowadził do hotelu? Rodzina pewnie martwi się o panią.

– Matka zabrała siostrę na zakupy. Wątpię, czy będą przed obiadem, ale chyba powinnam wracać – powiedziała w poczuciu odpowiedzialności, chociaż nade wszystko pragnęła zostać.

Oboje wstali niechętnie i Antoine zapytał, czy kostka ją nie boli. Z zadowoleniem usłyszał, że wszystko w porządku, i ofiarował jej ramię. Powoli mszyli w stronę hotelu. Beata trzymała go pod rękę i gawędzili o różnych sprawach. Oboje przyznali, że nie znoszą przyjęć jako takich, ale uwielbiają tańczyć. Antoine dowiedział się z przyjemnością, że Beata lubi konie i jeździ na polowania. Oboje lubili żeglować i kochali morze. Beata oznajmiła, że nigdy nie cierpiała na

chorobę morską, w co trudno mu było uwierzyć. Wyznała jednak, że boi się psów, odkąd jeden ją ugryzł w dzieciństwie. Oboje zgodzili się, że kochają Włochy, chociaż on oświadczył, że również ogromnie lubi Niemcy, do czego nie mógł się przyznawać w obecnych czasach. Wojna i fakt, że ich ojczyste kraje były teraz wrogami, nic nie znaczyły dla tych dwojga, którzy poznawali się nawzajem. Antoine wydawał się prawdziwie rozczerowany, kiedy wreszcie dotarli do hotelu. Nie chciał opuszczać Beaty, chociaż miał w planach obiad ze swoją rodziną. Wolałby spędzić z nią dużo więcej czasu. Wyraźnie zwlekał, kiedy stali przed hotelem i patrzyli na siebie.

– Napije się pani herbaty? – zaproponował, a jej oczy rozjaśniły się na ten pomysł.

– To bardzo miło, dziękuję.

Zaprowadził ją na taras, gdzie podawano herbatę i gdzie eleganckie kobiety gawędziły nad filiżankami, a zamożne pary zajadały lekkie kanapki i rozmawiały przyciszonymi głosami po francusku, niemiecku, włosku i angielsku.

Wypili bardzo wytworną i stosowną herbatę, a potem Antoine nie mógł już dłużej przeciągać spotkania. Odprowadził ją do westybulu i stał, patrząc na nią z góry. W porównaniu z nim wydawała się drobna i krucha, lecz po kilku godzinach rozmowy wiedział, że jest odważna i potrafi żarliwie bronić swoich przekonań. Miała ugruntowane poglądy na wiele spraw i z większością się zgadzał. A te, z którymi się nie zgadzał, bawiły go. Wcale nie była nudna. Uważał, że jest niezwykle fascynująca i oszałamiająco piękna. Wiedział jedno: musi ją jeszcze zobaczyć.

– Jak pani myśli, czy pani matka pozwoli pani zjeść jutro ze mną lunch? – zapytał z nadzieją.

Marzył, żeby dotknąć jej ręki, ale sienie ośmielił. Jeszcze bardziej pragnął dotknąć jej twarzy. Miała cudowną cerę.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Beata szczerze.

Trudno będzie wytłumaczyć, jak się poznali, i że spędzili tyle czasu razem bez przyzwyczajenia. Lecz nie zaszło nic niestosownego, Antoine był nieskazitelnie uprzejmy i niewątpliwie dobrze urodzony. Nie mogli mieć żadnych zastrzeżeń z wyjątkiem faktu, że był Francuzem, co rzeczywiście niefortunnie się składało. Ostatecznie jednak byli w Szwajcarii. Przecież nie poznała go w ojczyźnie. Tylko dlatego że ich kraje były sobie wrogie, nie musiał być złym człowiekiem. Beata obawiała się jednak, że matka nie podejmie do tego w ten sposób, skoro jej bracia walczyli na wojnie przeciwko Francji i w każdej chwili mogli zginąć. Rodzice byli nieugiętymi patriotami i nie wyróżniali się otwartymi umysłami, jak dobrze wiedziała i co podejrzewał również Antoine. Beata zdawała również sobie sprawę, że gdyby przedstawił się jako konkurent, rodzina uznałaby go za nieodpowiedniego, ponieważ najwyraźniej nie był Żydem. Lecz takie obawy wydawały się przedwczesne.

– Może twoja matka i siostra również przyłączą się do nas? – zaproponował z nadzieją.

Nie zamierzał się poddawać. Wojna w tej chwili wydawała mu się zaledwie drobną przeszkodą. Beata była zbyt cudowna i wyjątkowa, żeby ją stracić z takiego powodu.

– Zapytam – obiecała Beata cicho.

Zamierzała nie tylko zapytać, zamierzała walczyć jak tygrysyca, żeby znowu go zobaczyć, i przeczuwała, że do tego dojdzie. Wiedziała, że w oczach matki przeciwko Antoine'owi przemawiają dwie podstawowe rzeczy: jego narodowość i jego wiara.

– Czy mam odwiedzić twoją matkę i sam ją poprosić? – spytał.

– Nie, ja to zrobię.

Nagle stali się sprzymierzeńcami w pewnego rodzaju konspiracji, w kontynuacji ich przyjaźni czy czegoś, co w chwili obecnej trudno było nazwać. Beata nie przypuszczała, że on z nią flirtuje, i miała tylko nadzieję, że zostaną przyjaciółmi. Nie odważyła się liczyć na więcej.

– Czy mogę panią odwiedzić wieczorem? – zapytał nerwowo.

Podawała mu numer pokoju. Mieszkała razem z Brigitte.

– Dzisiaj jemy obiad w hotelu. – Przynajmniej raz.

– My też – oznajmił zaskoczony. – Może się spotkamy i przedstawię się pani matce i siostrze. – A potem zrobił zmartwioną minę. – Jak wytłumaczymy, skąd się znamy?

Ich przypadkowe spotkanie okazało się szczęśliwe, lecz niekoniecznie zgodne z konwenansami. A długa rozmowa była co najmniej niezwykła. Beata roześmiała się z tego pytania.

– Powiem po prostu, że pan mnie przewrócił, a potem podniósł.

– Na pewno pani matka będzie pod wrażeniem. Czy pani powie, że wepchnąłem panią w błoto, czy tylko że wrzuciłem panią do jeziora, żeby panią opłukać po upadku? – Beata chichotała jak dziecko i Antoine od lat nie czuł się taki szczęśliwy. – Naprawdę jest pani bardzo nierozsądna. Niech jej pani przynajmniej powie, że złapałem panią za ramię i ochroniłem przed upadkiem, chociaż najpierw próbowałem panią przewrócić w pośpiechu. – Ale już tego nie żałował. Drobnny incydent wyszedł mu na dobre. – I chyba zachowa pani tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć matce, że przedstawiłem się jak należy.

– Może powiem. – Przez chwilę Beata patrzyła na niego ze szczerym niepokojem, nieco zawstydzona tym, co zamierzała zaproponować. – Czy pan myśli, że to będzie bardzo źle powiedzieć jej, że pan jest Szwajcarem?

Zawahał się, a potem kiwnął głową. Widział, że jego narodowość stanowi dla niej przeszkodę, a przynajmniej dla jej matki, jak się obawiała. Znacznie większą przeszkodę stanowił fakt, że Antoine był francuskim szlachcicem i nie-Żydem, ale Beata o tym nie wspomniała. Wmawiała sobie, że skoro są tylko przyjaciółmi, matka nie będzie zbyt protestować. Co to szkodzi zaprzyjaźnić się z chrześcijaninem? Rodzice mieli kilku przyjaciół wśród chrześcijan. Beata zamierzała wytoczyć ten argument, jeśli matka nie pozwoli jej na lunch z Antoine'em.

– Ostatecznie jestem w ćwierci Szwajcarem. Muszę tylko pamiętać, żeby nie liczyć przy pani matce, bo jeszcze powiem *soixante-dix* zamiast *septante*. W ten sposób mogę się zdradzić. Ale nie przeszkadza mi, jeśli łatwiej będzie pani powiedzieć, że jestem Szwajcarem. Szkoda, że w tych czasach ludzie robią z tego problem.

Co prawda jego własna rodzina byłaby przerażona, że zaprzyjaźnił się z Niemką i co gorsza,

zadurzył się w niej po uszy. W obecnych czasach Francuzi nie kochali Niemców. Ale nie rozumiał, dlaczego on i Beata muszą za to płacić.

– Proszę się nie martwić, jakoś to rozwiążemy – powiedział do niej łagodnie, kiedy podniosła na niego ogromne błękitne oczy. – W porządku, Beato. Obiecuję. Tak czy owak spotkamy się jutro.

Nie zamierzał pozwolić, żeby cokolwiek stało pomiędzy nimi. Beata czuła się przy nim całkowicie bezpieczna. Prawie się nie znali, a jednak wiedziała, że może mu zaufać. Coś niezwykłego i cudownego wydarzyło się między nimi tego popołudnia.

– Przyjdę do pani dzisiaj wieczorem – powiedział cicho.

Beata weszła do windy i odwróciła się do Antoine'a z uśmiechem, kiedy windziarz zamykał drzwi. Nadal stał i patrzył na nią, kiedy drzwi się zamykały. Pojechała na górę, wiedząc, że całe jej życie zmieniło się jednego popołudnia. A Antoine uśmiechał się do siebie, wychodząc z hotelu.



## Rozdział 2

Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu Beata nie przewidziała reakcji matki, kiedy mimochodem zaproponowała jej lunch z Antoine'em. Beata powiedziała, że poznali się w hotelu przy herbacie, rozmawiali przez chwilę i Antoine zaprosił je na lunch następnego dnia. Nie ośmieliła się prosić matkę, żeby pozwoliła jej na lunch we dwoje z Antoine'em. Matka i tak była zgorziona.

– Z kimś zupełnie obcym? Beato, czyś ty postradała zmysły? Nie znasz tego mężczyzny. Coś ty zrobiła, że zaprosił cię na lunch?

Matka miała bardzo podejrzliwą minę. Zostawiła Beatę tylko na kilka godzin, to do niej niepodobne, żeby nawiązywać rozmowy z nieznajomymi. Widocznie to jakiś kobieciarz, który kręci się wokół hotelu i próbuje bałamucić młode dziewczęta. Monika Wittgenstein nie była tak niedoświadczona jak córka i rozsierdziło ją, że ten mężczyzna zalecał się do Beaty, a nawet gorzej, że Beacie to się spodobało. To tylko dowodziło, że jej córka była jeszcze dzieckiem, beznadziejnie naiwnym. Co do Antoine'a, matka podejrzewała go o najgorsze.

– Po prostu piłam herbatę na tarasie – wyjaśniła Beata z irytacją. Nie poszło dobrze i nie wiedziała, co odpowiedzieć Antoine'owi. – Zaczęliśmy rozmawiać, o niczym w szczególności. Był bardzo uprzejmy.

– Ile on ma lat? I co tu robi, zamiast walczyć na wojnie?

– On jest Szwajcarem – odparła sztywno Beata.

To już było coś. Nigdy dotąd nie okłamała matki, chociaż Brigitte często tak robiła. To był jej pierwszy raz. Lecz z jakiegoś powodu dla spotkania z Antoine'em gotowa była narazić się na wszelkie ryzyko i popełnić każde wykroczenie. Przez jedno popołudnie zdobył nie tylko jej lojalność, ale też serce.

– Dlaczego on nie pracuje? Dlaczego kręci się wokół hotelu? – W opinii jej matki szacowni mężczyźni pracowali. Nie mieli czasu włączyć się po hotelach w porze herbaty i podrywać młode dziewczęta.

– Przyjechał tutaj, tak jak my. Odwiedza rodzinę, bo jego dziadek właśnie umarł.

– Przykro mi to słyszeć – rzuciła zdawkowo matka. – Może to bardzo miły młodzieniec, ale jest zupełnie obcy. Nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni przez kogoś, kto zna jego lub nas, więc nie zjemy z nim lunchu. – A kilka minut później, jakby po zastanowieniu spytała: – Jak on się nazywa?

– Antoine de Vallerand.

Oczy matki napotkały spojrzenie Beaty i przytrzymały przez długą chwilę jak w imadle. Zastanawiała się, czy Beata nie spotkała go już wcześniej, ale dziewczyna nie była dwulicowa. Po prostu młoda, głupia i naiwna.

– On jest arystokratą – powiedziała matka cicho, z wyrzutem.

Jako arystokrata nie stanowił odpowiedniego towarzystwa dla niej ani dla jej córek, bez

względu na okoliczności. Istniały granice, których nie należało przekraczać. Beata wiedziała, o czym myśli matka, nie musiała tego mówić na głos. Oni byli Żydami. On nie.

– Czy być arystokratą to zbrodnia? – zapytała cierpko Beata, ale miała smutek w oczach, co jeszcze bardziej zaniepokoiło matkę.

– Spotkałaś go już przedtem?

Beata pokręciła głową. W tej samej chwili do pokoju wpadła Brigitte z naręczem zakupów. Wspaniale się bawiła w sklepach, chociaż uważała, że w Kolonii są lepsze. Przynajmniej jednak tutaj w Szwajcarii nie obowiązywały wojenne ograniczenia. Miło było się od tego oderwać.

– Jak on wygląda? – zagadnęła Brigitte, podnosząc nową, czarną, zamszową torebkę i piękne, długie, białe rękawiczki z kozłowej skórki. – Jest przystojny?

– Nie o to chodzi – rzuciła Beata. – Po prostu wydał mi się bardzo miłym człowiekiem i zaprosił nas wszystkie trzy na lunch, co jest bardzo uprzejme z jego strony.

– A jak myślisz, dlaczego to zrobił? – zapytała matka potępiającym tonem. – Bo marzy, żeby poznać mnie i Brigitte? Bynajmniej. On wyraźnie pragnie spotkać się z tobą. Ile ma lat? – Jej czujność została obudzona.

– Nie wiem. Jest może w wieku Ulma.

W rzeczywistości miał pięć lat więcej, jak wiedziała. Skłamała po raz trzeci, żeby osłonić ich kielkującą przyjaźń. Spotkanie z Antoine'em wydawało się tego warte. Chciała go znowu zobaczyć, nawet pod okiem matki i siostry, skoro tylko tyle mogła zrobić. Po prostu chciała spędzić z nim jeszcze trochę czasu. Kto wie, kiedy i czy w ogóle znowu się spotkają.

– On jest dla ciebie za stary – oświadczyła twardo matka, chociaż w rzeczywistości miała wobec niego całkiem inne zastrzeżenia. Ale nie chciała ich wyjawiać Beacie.

Nie zamierzała traktować zaproszenia tego mężczyzny na tyle poważnie, żeby ujawnić swoje prawdziwe obiekcje, ale Beata i tak wiedziała. Antoine nie tylko był obcym człowiekiem, ale w dodatku nie był Żydem. Monika nie chciała narażać swojej córki na kontakty z przystojnymi młodymi chrześcijanami.

Jacob skarciłby ją za to, a ona w pełni się z nim zgadzała. Nie należy dopuścić do zacieśnienia tej nowej znajomości Beaty. Nie wolno zachęcać jakiegoś szwajcarskiego chrześcijańskiego arystokraty, żeby zalecał się do jej córki. Taki pomysł to szaleństwo. Owszem, miała kilku przyjaciół wśród chrześcijan, ale nigdy nie przedstawiłaby ich synów swoim córkom. Nie ma sensu narażać dziewcząt czy wystawiać na pokuszenie. I chociaż jej córki były piękne, żaden z chrześcijańskich przyjaciół nigdy nie proponował, żeby przedstawić je swoim synom. W tym przypadku, jak zawsze, dorośli wiedzieli lepiej. Monika pozostała stanowcza i nieprzejednana. Jacob zabiłby ją, i całkiem słusznie, gdyby postępowała inaczej.

– Nie rozumiem, czemu tak się boisz tego lunchu. Przecież on nie jest mordercą – powiedziała Beata żałośnie.

– Skąd wiesz? – odparła surowo matka.

Wcale jej to nie bawiło, zwłaszcza że takie zachowanie nie pasowało do Beaty. Chociaż

Beata zawsze gotowa była walczyć o coś, w co wierzyła i czego rozpaczliwie pragnęła. Zwykły upór z jej strony, skoro nawet nie znała tego mężczyzny. I nigdy nie pozna, dopóki to zależy od Moniki. Takie rzeczy lepiej stłumić w zarodku. Doskonale wiedziała, czego Jacob oczekuje od niej jako matki. Natomiast dzięki temu zrozumiała, że już czas znaleźć Beacie męża. Jeżeli nagle młodzi arystokraci zaczynają krążyć wokół niej jak sępy, to znak, że powinna się ustatkować, zanim dojdzie do czegoś przykrego.

Beata miała stanowczo zbyt liberalne poglądy, chociaż zwykle zachowywała się posłusznie i nie sprawiała żadnych kłopotów rodzicom. Monika postanowiła porozmawiać o tym z Jacobem po jego powrocie. Wiedziała, że brał pod uwagę kilku majątnych, szanowanych mężczyzn, włącznie z pewnym właścicielem konkurencyjnego banku. Człowiek ten prawie mógł być ojcem Beaty, lecz Monika zgadzała się z mężem w tym względzie, jak we wszystkich innych, że odpowiedni dla ich córki będzie starszy mężczyzna, zamożny i wykształcony. Chociaż wciąż młoda, Beata była bardzo poważną dziewczyną i młody człowiek nie pasowałby do niej. Cokolwiek jednak przemawiało na korzyść Antoine'a, w oczach jej rodziców najważniejsza była przynależność do tej samej wiary. Zaś młody arystokrata, który zaprosił je na lunch, wyraźnie należał do zakazanej sfery. Na pewno był chrześcijaninem, prawdopodobnie katolikiem, z takim nazwiskiem, jak Antoine de Vallerand. Przynajmniej był Szwajcarem, nie Francuzem. Przez ostatni rok, odkąd wypowiedziano wojnę, Monika gwałtownie znenawidziła Francuzów. Francuzi czyhali w okopach, żeby zabić jej synów.

Beata dłużej nie kłóciła się z matką. Nie powiedziała już ani słowa, kiedy razem z Brigitte przebierały się do obiadu.

– Więc co się naprawdę dzisiaj zdarzyło z tym mężczyzną? – zagadnęła Brigitte, ubrana tylko w brzoskwiniovą satynową bieliznę wykończoną kremową koronką, którą dzisiaj kupiła jej matka. Monika uważała ten komplet za nieco frywolny, ale nie widziała nic złego w pobłażaniu córce. I tak nikt go nie zobaczy oprócz jej siostry i matki. – Czy on cię pocałował?

– Oszalałaś? – obruszyła się Beata. – Za kogo ty mnie uważasz? Poza tym on jest dżentelmenem. Właściwie złapał mnie za ramię i uratował przed upadkiem, kiedy mnie potrącił.

– Tak się poznaliście? – Brigitte była zachwycona. – Jakie to romantyczne! Czemu nie powiedziałaś mamie? Powinna być wdzięczna, że nie pozwolił ci upaść i zrobić sobie krzywdy.

– Wątpię – powiedziała cicho Beata. Znała matkę lepiej i trafniej ją oceniała niż Brigitte, która wciąż potrafiła urządzać sceny i odgrywać dziecinne wybuchy złości, całkiem nie w stylu Beaty. – Myślałam, że bardziej stosownie będzie wyglądało, że poznaliśmy się przy herbacie.

– Może. Czy upadłaś w błoto? To byłby wstyd.

Brigitte narzuciła białą lnianą suknię i zaczęła czesać długie złociste loki. Beata przyglądała się jej z zazdrością. Brigitte była piękna prawie jak anioł. Beata zawsze czuła się przy niej jak mysz i nienawidziła swoich ciemnych włosów. Nie miała pretensji do Brigitte, po prostu żałowała, że nie jest do niej podobna. Zazdrościła jej również kobiecej figury. Przy młodszej siostrze wyglądała jak niedojrzała dziewczynka. I Brigitte znacznie lepiej umiała postępować z

mężczyznami. Rozmawiała z nimi o wiele częściej niż Beata, uwielbiała ich drażnić i doprowadzać do szaleństwa. Beata czuła się znacznie swobodniej w towarzystwie kobiet. Brigitte flirtowała nieustraszenie i torturowała mężczyzn z bezlitosną wprawą.

– Nie upadłam w błoto – zaprzeczyła Beata. – Mówiłam ci, że on mnie podtrzymał.

– To miło z jego strony. Co jeszcze zrobił?

– Nic. Po prostu rozmawialiśmy.

Beata włożyła czerwoną jedwabną suknię, ostro kontrastującą z jej cerą i włosami. Wyglądała ponuro. Będzie musiała powiedzieć Antoine'owi, że nie mogą się spotkać. Wiedziała z absolutną pewnością, że matka nie zgodzi się na wspólny lunch, a co dopiero we dwoje.

– O czym rozmawialiście?

– O filozofii, Biblii, jego kraju, studiach uniwersyteckich, nic ważnego. On jest bardzo miły.

– O mój Boże, Beato! – zawołała Brigitte z żywiołowym podnieceniem siedemnastolatki. – Ty się zakochałaś?

– Ależ skąd. Nawet go nie znam. Po prostu miło się z nim rozmawia.

– Nie powinnaś rozmawiać z mężczyznami o takich rzeczach. Oni tego nie lubią. Pomyślą, że jesteś dziwna – ostrzegła Brigitte starszą siostrę z najlepszymi intencjami, co tylko jeszcze bardziej przygnębiło Beatę.

– Chyba naprawdę jestem dziwna. Nie interesują mnie... – Usiłowała znaleźć stosowne słowa, żeby nie obrazić Brigitte. – Nie interesują mnie lżejsze rzeczy. Lubię poważne tematy, jak starożytnych Greków.

– Szkoda, że nie mówiłaś o czymś innym. Jak przyjęcia, moda i biżuteria. Mężczyźni lubią słuchać takich rzeczy. Inaczej pomyślą, że jesteś od nich mądrzejsza, i ich odstraszysz. – Brigitte sama wykazywała zadziwiającą mądrość jak na swój wiek, płynącą z instynktu, jeśli nie z doświadczenia.

– Pewnie masz rację. – Nie chciała roztrząsać tego tematu. Większość młodych mężczyzn, których poznawała na przyjęciach, wydawała jej się śmieszna.

Beata uwielbiała swojego brata, lecz wolałaby umrzeć, niż poślubić kogoś takiego jak Horst. Mogła tolerować mężczyznę podobnego do Ulma, lecz perspektywa małżeństwa z kimś z jej świata niezbyt ją pociągała, jeśli nie wręcz odstręczała. Wszyscy wydawali jej się nudni i męczący, często powierzchowni i głupi. Antoine wywarł na niej odmienne wrażenie. Szczery i poważny, nie tak płytki jak większość poznanych mężczyzn, opiekuńczy i uczciwy. Nigdy do nikogo nie czuła tego, co czuła do Antoine'a po kilku godzinach znajomości. Chociaż to prowadziło donikąd. I nie wiedziała, co on czuł do niej. Nie miała instynktu młodszej siostry ani takiej wprawy w postępowaniu z mężczyznami. Brigitte mogła jej od razu powiedzieć, że Antoine za nią szaleje, ale nie widziała ich razem. Chociaż jej zdaniem zapowiadało się całkiem dobrze. Zaś zaproszenie na lunch oznaczało wyraźne zainteresowanie, jednak nie powiedziała tego Beacie. Starsza siostra raczej nie była w nastroju, żeby dalej omawiać tę sprawę.

Beata wciąż milczała, kiedy zjeżdżały razem windą na obiad. Ponieważ wieczór był ciepły,

matka poprosiła o stół na tarasie. Włożyła bardzo elegancką granatową jedwabną suknię, do której dobrała granatowe pantofelki i torebkę. Nosiła szafirowy naszyjnik oraz pasujące do niego kolczyki z brylantami i szafirami. Wszystkie trzy wyglądały pięknie, kiedy kelner prowadził je do stołu. Po złożeniu zamówienia Beata nadal milczała, podczas gdy matka i siostra gawędziły o swoich popołudniowych zakupach. Monika oznajmiła, że widziała kilka sukienek, w których Beata dobrze by wyglądała, ona jednak nie okazała zainteresowania.

– Jaka szkoda, że nie możesz nosić książek – zakpiła Brigitte. – Wtedy chętnie chodziłabyś na zakupy.

– Wolę sama sobie szyć ubrania – odparła Beata z prostotą.

Jej siostra przewróciła oczami.

– Po co się męczysz, skoro można to kupić w sklepie?

– Bo wtedy mam dokładnie to, co chcę.

Rzeczywiście sama uszyła ładną czerwoną jedwabną suknię. Sukienka leżała na niej idealnie i opływała czystymi, prostymi liniami jej smukłe ciało. Beata była utalentowaną krawcową i od dzieciństwa lubiła szyć. Nauczyła ją guwernantka, chociaż Monika zawsze powtarzała, że Beata nie musi tego robić. Ale ona chciała. Uszyła też sobie kilka, sukien wieczorowych, które skopiowała z magazynów i rysunków kolekcji paryskich, obecnie niedostępnych. Любиła je przerabiać i upraszczać według własnego gustu. Pewnego razu uszyła dla matki piękną wieczorową kreację z zielonej satyny i Monika była zaskoczona kunsztownym wykonaniem. Chętnie szłyby dla Brigitte, siostra jednak zawsze powtarzała, że nie cierpi ubrań szytych w domu. Uważała je za żalosne. Zamiast tego Beata czasami szyła dla siostry satynową bieliznę z koronkami we wszystkich kolorach tęczy, którą Brigitte uwielbiała.

Właśnie skończyły zupełnie, kiedy Beata zobaczyła, że matka podnosi wzrok i z zaskoczoną miną spogląda ponad ramieniem starszej córki. Beata nie miała pojęcia, co się stało. Obejrzała się i zobaczyła Antoine'a stojącego tuż za nią, z ciepłym uśmiechem obejmującym całą rodzinę.

– Madame Wittgenstein? – zapytał uprzejmie, ignorując obie córki, również tę, która go usidliła tego popołudnia. Całą uwagę skupił na matce. – Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale chciałem się przedstawić oraz ponownie przeprosić, że zaprosiłem pani córkę na herbatę po południu bez przyzwotki. Potknęła się podczas przechadzki nad jeziorem i obawiałem się, że boli ją kostka. Pomyślałem, że herbata dobrze jej zrobi. Błagam o wybaczenie.

– Nie, ja... ależ skąd... oczywiście... jak to miło z pana strony...

Przeskakiwała wzrokiem z Beaty na niego i z powrotem, kiedy się przedstawił, uklonił uprzejmie i pocałował ją w rękę. Całkiem słusznie nie powtórzył tego gestu wobec Beaty, ponieważ była niezamężna, a dworny zwyczaj całowania w rękę stosowano tylko wobec mężatek. Beacie się tylko uklonił; tak wypadało. W Niemczech młodzi mężczyźni, jak jej bracia, kłaniali się i trzaskali obcasami. Lecz ani Francuzi, ani Szwajcarzy tego nie robili, więc on też tego nie zrobił.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że miała wypadek – powiedziała Monika, chwilowo zbita z

tropu.

Antoine odwrócił się do Beaty i prawie zabrakło mu tchu, kiedy ją ujrzał w czerwonej sukience. Zaświeciła jak gwiazda, kiedy ją zobaczył po drugiej stronie sali, więc przeprosił swoją matkę, żeby do niej podejść.

Nie próbował zapoznać ze sobą obu matek, bo wiedział, że stąpałby po cienkim lodzie, skoro Beata chciała go przedstawić jako Szwajcara. Więc tylko sam zawarł znajomość z Moniką oraz piękną Brigitte, która przyglądała mu się z niedowierzaniem. Prawie na nią nie patrzył i traktował ją jak dziecko, którym była, nie jak kobietę, za którą pragnęła uchodzić, czym zasłużył na aprobatę Moniki. Antoine miał nienaganne maniery i najwyraźniej był człowiekiem dobrze urodzonym, nie żadnym uwodzicielem, jak się obawiała.

– Jak pani kostka, mademoiselle? – zapytał troskliwie.

– W porządku, bardzo dziękuję, monsieur. Był pan bardzo uprzejmy – bąknęła zarumieniona Beata.

– Ależ skąd. *C'était la moindre des choses...* to najmniej, co mogłem zrobić. Potem znowu zwrócił się do matki i ponowił zaproszenie na lunch, co przynajmniej raz zbiło ją z pantafelku. Był taki grzeczny, tak rozbijająco troskliwy, taki miły, pełen ciepła i prostoty, że nawet Monika nie miała serca mu odmówić. Wbrew sobie przyjęła zaproszenie i umówili się następnego dnia o pierwszej po południu na tarasie. Jak tylko to ustalono, Antoine ponownie się skłonił, po raz drugi pocałował w rękę panią Wittgenstein i odszedł do swojej rodziny, nawet nie spojrzawszy na Beatę. Zachował się doskonale. Po jego odejściu Monika popatrzyła na córkę ze zdumieniem i zakłopotaniem.

– Rozumiem, dlaczego on ci się podoba. To bardzo miły młody człowiek. Przypomina mi Ulma. – W jej ustach to był ogromny komplement.

– Mnie też.

Tylko bez porównania przystojniejszy, ale nie powiedziała tego na głos, kiedy kroїła mięso i modliła się, żeby nikt nie usłyszał łomotania jej serca. Rozegrał to perfekcyjnie, chociaż nie miało to większego znaczenia. Cokolwiek do siebie czuli, nie posuną się dalej, ale przynajmniej zobaczy go jeszcze raz. Jeszcze jeden raz. Zabierze ze sobą szczęśliwe wspomnienie. Przystojny młody człowiek, którego poznała w Genewie. Wiedziała, że odtąd przez całe lata każdy nowo poznany mężczyzna nie wytrzyma porównania z Antoine'em. Pogodziła się już z tym i przygotowała na staropanieństwo do końca życia, zanim skończyła obiad. Najbardziej niewybaczalny grzech polegał na tym, że Antoine nie był Żydem. Nie mówiąc o tym, że nie był też Szwajcarem. Beznadziejna sprawa.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że skręciłaś kostkę po południu? – zapytała matka z troską w głosie.

– To nic wielkiego. Potrącił mnie, kiedy wchodziłam na taras w porze herbaty, po spacerze nad jeziorem. Myślę, że mnie pożałował. Tylko trochę wykręciłam nogę.

– W takim razie to bardzo ładnie, że zaprosił cię na herbatę. I nas wszystkie jutro na lunch.

Widziała, że matkę też natychmiast oczarował. Nic dziwnego. Był taki przystojny i taki miły dla wszystkich. Beata w cichości ducha ucieszyła się, że zignorował Brigitte. Wszyscy inni mężczyźni, których знаła, niemal padali plackiem przed jej siostrą. On jednak pozostał obojętny. Zachwyciła go Beata, chociaż tego też nie okazywał. Zachowywał się zwyczajnie i życzliwie, zupełnie jak Ulm, dlatego właśnie Monika przyjęła jego zaproszenie na lunch. Stanowczo nie był żadnym uwodzicielem, jak się obawiała, tylko człowiekiem godnym szacunku i miłym rozmówcą. Beata nie mówiła o nim więcej, kiedy kończyły obiad. Nawet nie spojrzała w jego stronę, kiedy schodziły z tarasu, on zaś nie próbował ponownie z nimi rozmawiać. Wszelkie obawy i podejrzenia Moniki zostały rozwiane. Nawet Jacob by tego nie potępił. Przypadkowe spotkanie okazało się całkiem niewinne.

Tylko Brigitte okazała się sprytniejsza. Udowodniła to, kiedy dziewczęta życzyły matce dobrej nocy i udały się do swojego pokoju.

– O mój Boże, Beato, on jest cudowny! – szepnęła do starszej siostry, szeroko otwierając oczy z zachwyty. – I szaleje za tobą. We dwoje pięknie nabraliście mamę.

Brigitte była zachwycona i już sobie wyobrażała potajemne spotkanie kochanków o północy.

– Nie bądź głupia – skarciła ją Beata. Ściągnęła czerwoną sukienkę i rzuciła na krzesło, żalując, że nie założyła czegoś bardziej efektownego. Kiedy myślała o Antoinie, sukienka wydawała się taka pospolita. I ona sama też. – Wcale za mną nie szaleje. Nawet mnie nie zna. I nie nabieraliśmy mamy. Zaprosił nas na lunch i ona się zgodziła. To tylko lunch, nic więcej, na miłość boską. On po prostu jest przyjacielski.

– Teraz ty jesteś głupia. Mężczyzna taki jak on nie zaprasza cię na lunch, jeśli nie szaleje za tobą. Nawet na ciebie nie spojrzał, kiedy podszedł do stołu, albo prawie, a to wiele znaczy.

– Co to niby znaczy? – zapytała rozśmieszona Beata.

– Och, Beato. – Jej siostra zaśmiała się. – Ty absolutnie nic nie wiesz o mężczyznach. Kiedy zachowują się tak, jakbyś nic dla nich nie znaczyła, to znaczy, że są do szaleństwa w tobie zakochani. A kiedy skaczą koło ciebie i patrzą rozkochanym wzrokiem, to pewnie kłamią.

Beatę rozśmieszyła ta mądra siostrzana analiza sytuacji. Lecz Brigitte znacznie lepiej знаła się na sprawach światowych i męsko-damskich. Miała nieomylny instynkt. Lepszy niż jej nieśmiała, poważna siostra.

– To śmieszne – oświadczyła Beata, ale w sekrecie się ucieszyła. – Więc mówisz, że mężczyźni, którzy mnie ignorują, jak wszyscy dzisiaj w restauracji, tak naprawdę są we mnie szaleńczo zakochani. To wspaniale! I koniecznie muszę uważać na tych, którzy okazują mi miłość, skoro wszyscy kłamią. Dobry Boże, jakie to zagmatwane!

– Owszem – przyznała Brigitte – ale tak to zwykle wygląda. Ci, którzy koło ciebie skaczą, tylko udają. To inni, tacy jak on, naprawdę to czują.

– Co czują? – Beata spojrzała na młodszą siostrę, która leżała wyciągnięta w poprzek łóżka w satynowej bieliźnie i wyglądała jak bardzo atrakcyjna młoda kobieta.

– Mężczyźni jak on. Że cię kochają. Jestem pewna, że się w tobie zakochał.

– No, niewiele mu z tego przyjdzie – stwierdziła rzeczowo Beata. – Za trzy tygodnie wracamy do Kolonii.

Zdjęła szlafrok i narzuciła koszulę nocną, w której wyglądała dziecinnie w porównaniu z siostrą. Zawsze szyła sobie białe bawełniane koszule nocne, takie same, jakie nosiła w dzieciństwie. Były wygodne i lubiła je.

– Wiele może się zdarzyć przez trzy tygodnie – oświadczyła Brigitte tajemniczo.

Beata tylko pokręciła głową; znowu spoważniała. Wiedziała lepiej.

– Nie, nie może. On nie jest Żydem. Najwyżej możemy zostać przyjaciółmi. To otrzeźwiło nawet Brigitte, kiedy obie pomyślały o ojcu.

– To prawda – przyznała młodsza siostra ze smutkiem – ale przynajmniej możesz z nim flirtować. Musisz nabrać wprawy.

– Tak – przyznała Beata w zamyśleniu, idąc do łazienki, żeby umyć twarz i zęby – chyba tak.

Żadna z nich nie wspomniała więcej o Antoinie tej nocy, ale Beata leżała w łóżku przez wiele godzin i myślała o nim, nie mogąc zasnąć, rozpamiętując z żalem, że pierwszy mężczyzna, który ją absolutnie oczarował, był Francuzem. A co gorsza, nie był Żydem. Nic z tego nie będzie, ale przynajmniej Beata może się cieszyć jego towarzystwem przez następne trzy tygodnie. Dochodziła czwarta nad ranem, kiedy wreszcie zasnęła.



### Rozdział 3

Lunch z Antoine'em następnego dnia udał się doskonale i spełnił wszelkie oczekiwania Beaty. Przyjemny, grzeczny, całkowicie stosowny – Antoine odnosił się do matki z najwyższym szacunkiem, Brigitte traktował jak małą niemądrą dziewczynkę i rozśmieszał wszystkich, kiedy się z nią droczył. Był to inteligentny, czarujący, uprzejmy, zabawny, cudowny towarzysz. W dodatku niezwykle przystojny. Opowiadał im zabawne historyjki o swojej rodzinie i opisywał rodzinną posiadłość jako koszmar do prowadzenia i utrzymania, chociaż nie ukrywał, że ją kocha. Ani razu nie wymknęło mu się, że majątek leży we Francji, nie w Szwajcarii. Pod koniec lunchu Monika była oczarowana i nie miała nic przeciwko, żeby wybrał się z Beatą na spacer. Podczas posiłku nie czynił żadnych romantycznych gestów, nie miał w sobie nic podstępnego czy podejrzanego moralnie. W opinii matki Beaty był po prostu bardzo miłym człowiekiem i cieszył się z poznania trzech nowych przyjaciółek. Nie miała w związku z nim absolutnie żadnych obaw czy skrupułów. Antoine i Beata poczuli olbrzymią ulgę, kiedy wreszcie zostali sami i mogli wędrować w nieskończoność wokół jeziora. Tym razem, kiedy wreszcie zatrzymali się na rozmowę, wybrali wąski pasek plaży i usiedli na piasku, z nogami w wodzie. Gadali o tysiącach spraw i prawie we wszystkim mieli podobne gusty i opinie.

– Dziękuję, że pan nas zaprosił na lunch, był pan bardzo miły dla mojej matki i Brigitte.

– Proszę nie żartować. One były bardzo miłe dla mnie. Chociaż pani siostra będzie straszliwą pożeraczką męskich serc. Mam nadzieję, że wkrótce wyjdzie za mąż.

– Owszem – potwierdziła Beata ze spokojnym uśmiechem. Zwłaszcza podobało jej się, jak zareagował na Brigitte. Wskazał jej właściwe miejsce, przekomarzał się z nią jak z dzieckiem i nie okazywał jej żadnych romantycznych względów. Beata czuła się trochę winna z tego powodu, ale zadowolona. Brigitte często dawała jej się we znaki. – Jest chyba zakochana w jednym z przyjaciół Horsta i mój ojciec zamierza wkrótce porozmawiać z jego ojcem. Na pewno zaręczą się do końca roku.

– A co z panią? – zapytał Antoine, ukrywając swój niepokój przed Beatą. – Czy rodzice zamierzają wydać panią za kogoś?

– Mam nadzieję, że nie. Nie zgodzę się. Wątpię, czy w ogóle wyjdę za mąż – powiedziała cicho, ale z przekonaniem.

– Dlaczego?

– Bo nie wyobrażam sobie, żeby mi zechciała tego, kogo mi wybiorą. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Nie chcę męża, którego nie kocham ani nie znam. Wolę już zostać sama, na zawsze.

W jej głosie zabrzmiały gwałtowne tony. Antoine poczuł jednocześnie ulgę i współczucie.

– Zawsze to bardzo długo, Beato. Zapragnię pani mieć dzieci, to normalne. Może pewnego dnia spotka pani kogoś i pokocha. Na pewno tak się stanie. Ma pani dopiero dwadzieścia lat i całe życie przed sobą.

Mówił to ze smutkiem i kiedy ich oczy się spotkały, patrzyli na siebie przez długi czas, zanim odpowiedziała.

– Pan też.

– Ja muszę walczyć na wojnie. Kto wie, ilu z nas przeżyje? Mężczyźni na polach bitwy padają jak muchy. – Potem pomyślał o jej braciach i pożałował swoich słów. – Na pewno w końcu wszyscy z tego wyjdziemy, ale teraz trudno jest planować przyszłość. Ja też zawsze myślałem, że zostanę kawalerem. Chyba nigdy jeszcze się nie zakochałem... – wyznał szczerze, patrząc na nią, a potem zaskoczył ją prawie tak samo, jak samego siebie: – ...dopóki nie spotkałem pani.

Po tych słowach zapadło niekończące się milczenie. Beata nie wiedziała, co odpowiedzieć, wiedziała tylko, że ona też go kocha, chociaż dopiero co się poznali. Szaleństwem było to, co powiedział i co oboje czuli, lecz nic już nie mogli na to poradzić. Oboje wiedzieli, że to niemożliwe, a jednak się stało.

– Jestem Żydówką – wybuchnęła. – Nie mogę pana poślubić.

Łzy napłynęły jej do oczu. On wziął jej rękę w swoje dłonie.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, Beato. Ludzie zawierają małżeństwa z innowiercami.

Przez cały dzień fantazjował, że ją poślubi. Dla obojga to było szaleństwo, lecz nie mógł wyprzeć się tego, co czuł. Szukał jej przez trzydzieści dwa lata i nie chciał jej teraz utracić. Ani nigdy. Lecz na ich drodze piętrzyły się liczne przeszkody. W najlepszym razie to będzie trudne. Jego rodzina wpadnie we wściekłość. Był przecież Comte de Vallerand, hrabią, i jeszcze jej tego nie powiedział, chociaż wierzył, że to dla niej bez znaczenia. To, co ich do siebie przyciągnęło, leżało znacznie głębiej niż religia, pozycja, rodowód czy tytuły. Kochał w niej wszystko, co mówiła i co czuła, jak postrzegała świat, a ona kochała w nim to samo. Zakochali się w sobie z właściwych powodów, lecz ich religie, narodowości, rodziny i więzy lojalności będą przeszkodą nie do pokonania. Problem w tym, żeby nie dać się pokonać.

– Moja rodzina nigdy na to nie pozwoli. Ojciec mnie zabije. Wydiedziczą mnie – oświadczyła w odpowiedzi na jego uwagę o ludziach, którzy zawierają małżeństwa z innowiercami. W jej rodzinie to było nie do pomyślenia.

– Może nie, jeśli do nich się zwrócimy. Moja rodzina też się rozgniewa. Trzeba czasu, żeby się z tym pogodzili. I najpierw musimy stoczyć wojnę. Jeśli się zdecydujemy, mamy przed sobą długą drogę. To dopiero początek, ale chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Nigdy jeszcze nikomu tego nie mówiłem.

Beata miała łzy w oczach, kiedy na niego spojrzała. Siedzieli obok siebie na plaży, trzymając się za ręce, i jej głos był zaledwie szeptem, kiedy odpowiedziała:

– Ja też cię kocham.

Odwrócił się do niej z uśmiechem, bez słowa pochylił się i pocałował ją trzymając ją w objęciach przez długi czas. Nie zrobili niczego niestosownego, po prostu był szczęśliwy, że jest przy niej.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że cię kocham, gdyby coś mi się stało, zanim wrócę. Chcę, żebyś wiedziała, że ten mężczyzna kocha cię i będzie kochał aż do śmierci.

Taka deklaracja, choć złożona zaledwie po dwóch dniach znajomości, brzmiała bardzo poważnie i była prawdziwa. I ona o tym wiedziała.

Siedzieli tam przez godzinę i Antoine pocałował ją jeszcze raz, zanim wrócili. Nie chciał jej skrzywdzić ani narazić jej reputacji. Chciał tylko ją kochać i ochraniać, lecz sam fakt, że wyznali sobie uczucia, postawił ich w odmiennej sytuacji. Czekala ich droga najeżona trudnościami, lecz wydawała się ich przeznaczeniem. Oboje tak czuli, kiedy wracali do hotelu, trzymając się za ręce.

Ułożyli plan, żeby spotkać się później w nocy. Beata zapewniła, że Brigitte śpi jak kamień i nic nie usłyszy. Chcieli spotkać się w ogrodzie o północy, tylko żeby porozmawiać. Ryzykowny zamiar, ale Beata wyjaśniła, że po prostu nie przyjdzie, jeśli Brigitte lub jej matka jeszcze nie zasną. Antoine nalegał, żeby zachowała ostrożność, chociaż nie robili nic złego. Jakimś cudem udało jej się wymknąć tej nocy i każdej następnej. Przez trzy tygodnie chodzili na spacer, razem pili herbatę i spotykali się późno w nocy. Nie doszło do niczego oprócz rozmów i pocałunków. Zanim Antoine wyjechał z Genewy, krótko przed wyjazdem Beaty, pokochali się głęboko i ślubowali spędzić razem resztę życia, kiedyś, jakoś. Zamierzali zawiadomić swoje rodziny po wojnie. Tymczasem on będzie do niej pisał. Miał kuzyna w Genewie, do którego zamierzał wysyłać listy, a kuzyn będzie je przekazywał do Beaty w Kolonii. Wszystko obmyślił. Inaczej nie dało się wysyłać listów do Niemiec z Francji.

Ich ostatnia noc to była tortura. Trzymał ją w ramionach przez wiele godzin. Wróciła prawie o świcie, zalana łzami, wiedziała jednak, że jeśli los im sprzyja, kiedyś się połączą. Antoine miał dostać przepustkę na święta, ale musiał pojechać do rodziny w Dordogne. Dopóki trwała wojna, w żaden sposób nie mógł odwiedzić Beaty w Niemczech. Jej rodzina nie planowała następnych wakacji w Szwajcarii. Musieli czekać. Lecz ani ona, ani on nie wątpili, że się doczekają. Odnaleźli coś, co zdarza się raz w życiu, coś wartego czekania. Oboje byli absolutnie pewni swoich uczuć.

– Nie zapomnij, jak bardzo cię kocham – szepnął, kiedy zostawiła go w ogrodzie. – Będę o tobie myślał w każdej chwili, dopóki cię znowu nie zobaczę.

– Kocham cię – wyszeptała wśród łąk.

Potem wróciła do hotelu i wśliznęła się do łóżka w pokoju, który dzieliła z Brigitte. Dwie godziny później wciąż nie spała i zobaczyła, że ktoś wsuwa list pod drzwi. Wstała, lecz kiedy ostrożnie uchyliła drzwi, on już odszedł. List powtarzał to, co już wiedziała: że bardzo ją kocha i pewnego dnia ona będzie należała do niego. Złożyła starannie kartkę i schowała do szuflady, gdzie trzymała rękawiczki. Nie miała serca zniszczyć listu, chociaż wiedziała, że powinna. Lecz Brigitte, dużo wyższa od starszej siostry, nigdy nie nosiła jej rękawiczek, więc Beata wiedziała, że list jest bezpieczny. Nie miała pojęcia, co będzie dalej. Wiedziała tylko, że go kocha, i mogła tylko modlić się, żeby przeżył. Oddała mu swoje serce.

Jakimś cudem Beata zdołała utrzymać wszystko w sekrecie przed Brigitte i wmówić jej, że są tylko z Antoine'em przyjaciółmi. Brigitte była rozczarowana i początkowo nie dowierzała siostrze, w końcu jednak dała się przekonać. Nie miała wyboru. Beata nie okazywała ani śladu miłości i namiętności, które czuła do Antoine'a, i nie zwierzała się siostrze. Ryzyko było zbyt wielkie. Nie mogła zawierzyć swojej przyszłości nikomu prócz samego Antoine'a, jak on zawierzył jej. Matka była zadowolona, że Beata znalazła przyjaciela, powiedziała nawet, że ma nadzieję spotkać go ponownie w przyszłości. Skoro trwała wojna, Jacob zapewne zechce znowu przyjechać do Szwajcarii w poszukiwaniu spokoju.

Powrót do Kolonii we wrześniu był przygnębiający. Wojna rozpętała się na dobre, wciąż nadchodziły okropne wieści o zabitych mężach, synach i braciach. Zbyt wielu już padło i Monika ustawicznie zamartwiała się o synów, podobnie jak Jacob, który jednak martwił się również o córki. Spełnił obietnicę daną żonie. W październiku porozmawiał w Berlinie z ojcem przyjaciela Horsta, młodego człowieka, którego Brigitte uznała za czarującego. Kiedy jej powiedział, była w siódmym niebie. Młody człowiek wyraził zgodę, a jego rodzina uznała to małżeństwo za doskonały pomysł. Jacob dał młodszej córce ogromny posag i obiecał, że kupi dla młodej pary ładny dom w Berlinie. Tak jak Beata przepowiedziała, Brigitte zaręczyła się pod koniec roku, kiedy skończyła osiemnaście lat.

W czasach pokoju rodzice wyprawiliby huczny bal, żeby uczcić zaręczyny, lecz z powodu wojny to było wykluczone. Ogłoszono zaręczyny i wydano uroczysty obiad dla obu par rodzicielskich oraz ich przyjaciół. Zjawili się kilku generałów, młodzi mężczyźni na przepustkach przyszli w mundurach, dotarł nawet Ulm, chociaż Horstowi się nie udało. Było to ważne wydarzenie: połączenie dwóch szacownych rodzin i dwojga pięknych młodych ludzi.

Brigitte mogła myśleć tylko o swoim weselu i sukni ślubnej. Miała wyjść za mąż w czerwcu, co dla niej oznaczało czekanie bez końca. Beata cieszyła się jej szczęściem. Brigitte otrzymała wszystko, o czym marzyła od dzieciństwa. Pragnęła męża i dzieci, przyjęć, pięknych sukien i biżuterii, i wszystko się spełniło. I na szczęście jej narzeczony stacjonował w Berlinie. Nie groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, a ojciec zdołał go umieścić na stanowisku adiutanta generała. Zapewniono go, że jego syn nie zostanie wysłany na front, więc Brigitte nie miała się czego obawiać. Jej wesele i przyszłość były bezpieczne.

Beata przyjmowała to wszystko z całkowitym spokojem i cieszyła się ze szczęścia siostry. Obiecała uszyć jej całą bieliznę na wyprawę ślubną, więc bez przerwy ślezczała nad kawałkami jasnej satyny i wszędzie zostawiała za sobą strzępki koronek. Wcale sienie martwiła, że młodsza siostra wychodzi za mąż, a ona nie. Znacznie bardziej interesowała się wojną. A raz na tydzień dostawała list od Antoine'a przez jego szwajcarskiego kuzyna, upewniający ją, że Antoine jest żywy i zdrowy. Przebywał w okolicy Verdun i Beata myślała o nim nieustannie, kiedy szła. Czytała jego listy po tysiąc razy. Matka zauważyła jeden czy dwa, kiedy przyszły z pocztą, teraz jednak Beata zwykle pierwsza odbierała pocztę, więc nikt nie wiedział, ile listów już dostała i jak regularnie przychodziły. Miłość nie osłabła i oboje gotowi byli czekać, aż się spotkają po wojnie.

Beata ślubowała już sobie i jemu, że jeśli coś złego go spotka, ona nigdy nie wyjdzie za mąż. Uważała to za całkiem rozsądne. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła pokochać innego tak jak Antoine'a.

Ojciec zauważył, jak cicha stała się Beata przez ostatnie miesiące. Wytłumaczył to sobie wielkim smutkiem w obliczu szczęścia Brigitte. Sądził, że jest nieszczęśliwa, co prawie złamało mu serce. Skłoniło go do rozmów z kilkoma dobrymi znajomymi i w marcu wiedział już, że znalazł odpowiedniego kandydata. Nie wybrałby go w pierwszej kolejności, lecz po dokładnym rozważeniu doszedł do wniosku, że ten mężczyzna najlepiej nadaje się dla jego córki. Był to wdowiec, bezdzietny, z doskonałej rodziny, posiadający własny wielki majątek. Jacob chciał dla Beaty kogoś starszego i bardziej statecznego niż przystojny młodzieniec, którego przeznaczył dla Brigitte, wciąż niedojrzały i rozbrykany, może nawet lekkomyślny i na pewno rozpuszczony, chociaż bardzo miły. Brigitte szalała za nim. Mąż, którego Jacob wybrał dla starszej córki, był człowiekiem myślącym i wybitnie inteligentnym. Niezbyt przystojny, ale nieodpychający, chociaż zaczynał łysieć. Wysoki, nieco korpulentny, miał czterdzieści dwa lata. Jacob wiedział, że ten człowiek będzie szanował swoją żonę. Sam kandydat zapewnił, że to będzie dla niego zaszczyt poślubić tak piękną dziewczynę. Stracił żonę pięć lat wcześniej, po długiej chorobie, i nie myślał o ponownym ożenku. Był cichym człowiekiem, nie lubił życia towarzyskiego podobnie jak Beata i marzył tylko o domowym spokoju.

Jacob i Monika zaprosili go do domu na obiad i nalegali, żeby Beata się zjawiła. Nie chciała, ponieważ Brigitte wyjechała do przyszłych teściów do Berlina. Beata nie lubiła chodzić na przyjęcia bez siostry, wiedziała jednak, że będzie musiała do tego przywyknąć, kiedy Brigitte przeprowadzi się do Berlina po ślubie w czerwcu. Rodzice nalegali na jej obecność, chociaż nie wyjaśnili powodu. Pojawiła się w salonie niemal królewska w granatowej aksamitnej sukni, z pięknym sznurem pereł na szyi i małymi brylantami w uszach. Nie zwróciła uwagi na mężczyznę, którego chcieli jej wyswatać, ponieważ nigdy przedtem go nie spotkała. Kiedy jej go przedstawiono, uprzejmie podała mu rękę i po chwili opuściła salon, sądząc, że to ktoś z banku ojca. Przy obiedzie siedziała cicho obok niego, grzecznie odpowiadała na jego pytania, lecz jej myśli obracały się tylko wokół ostatniego listu Antoine'a, który otrzymała tego popołudnia. Nie mogła myśleć o niczym innym i przez cały wieczór ignorowała swojego partnera. Nie słyszała, co do niej mówił, on jednak uznał to za uroczą nieśmiałość. Był nią całkowicie oczarowany, chociaż ona prawie go nie zauważała i nie miała pojęcia, że zaproszono go ze względu na nią. Myślała, że posadzono ją obok niego przez przypadek, nie z rozmysłu.

Tego wieczoru martwiła się o Antoine'a, bo nie dostała od niego listu przez kilka dni, dopiero dzisiaj. Pisał o siłach niemieckich atakujących Francuzów pod Verdun. Przy obiedzie nie mogła myśleć o niczym innym. Wreszcie wymówiła się bólem głowy i wyszła zaraz po deserze, nie mówiąc dobranoc. Uznała, że lepiej zniknąć dyskretnie i po cichu. Później przyszły narzeczonzy zapytał Jacoba, kiedy zamierzają jej powiedzieć, a Jacob obiecał to zrobić w najbliższych dniach. Chciał, żeby Beata była równie szczęśliwa jak Brigitte, i miał pewność, że

to jest mężczyzna dla niej. Przyszły mąż nawet podzielał pasję Beaty do greckich filozofów i próbował z nią o tym dyskutować przy obiedzie, ona jednak tylko mu przytakiwała, roztargniona i nieobecna duchem. Pomiędzy zupą a deserem nie dotarło do niej ani jedno słowo. Bujała gdzieś w obłokach, niezdolna wrócić na ziemię. Przyszły narzeczonny uznał ją za skromną, czarująco nieśmiałą młodą dziewczynę.

Była już w znacznie lepszym nastroju, kiedy ojciec następnego dnia zobaczył ją w holu. Właśnie dostała następny list od Antoine'a, w którym ponownie ją zapewnił, że jest zdrowy i nadal kocha ją do szaleństwa. Przeżyli piekło pod Verdun, ale poza wyczerpaniem i głodem nic mu nie dolegało. Opisywane przez niego warunki życia były koszmarnie, ale sama świadomość, że żyje, ogromnie podniosła ją na duchu. Ojciec ucieszył się na widok jej rozradowanej miny. Poprosił ją do biblioteki na rozmowę. Zapytał, jak jej się podobał wczorajszy proszony obiad, a ona uprzejmie odpowiedziała, że spędziła cudowne chwile. Zapytał o jej partnera przy stole, a ona z trudem go sobie przypomniała, po czym zapewniła, że był bardzo miłym i interesującym rozmówcą. Wyraźnie jednak nie miała pojęcia, co dla niej przygotowali.

Kiedy ojciec to wyjaśnił, Beata zbladła. Oznajmił, że mężczyzna z wczorajszego przyjęcia, którego ledwie zauważyła i bynajmniej jej nie zachwyił, pragnie ją poślubić. W zasadzie nie widział powodów do zwłoki. Wolałby się ożenić jak najprędzej, a ojciec uważał, że skromny ślub zaraz po weselu Brigitte w czerwcu to rozsądne rozwiązanie. Albo nawet wcześniej, gdyby zechciała, skoro jest starsza, może w maju. Nie ma na co czekać. Trwa wojna i ludzie pobierają się szybko w tych czasach.

Beata siedziała i wpatrywała się w ojca ze zgrozą. Jacob w pierwszej chwili nie rozumiał jej wstępu. Zerwała się na nogi i chodziła po pokoju, przerażona i wstrząśnięta, i mówiła z takim gniewem, tak zawzięcie, że Jacob jej nie poznawał. Nie takiej reakcji się po niej spodziewał i nie takiej pragnął. Właściwie już zapewnił owdowiałego konkurenta, że małżeństwo dojdzie do skutku, nawet omówił z nim warunki posagu. Powstałaby wyjątkowo niezręczna sytuacja, gdyby Beata go odrzuciła. *Zawsze* była dobrą, posłuszną córką i Jacob nie wątpił, że tym razem też okaże posłuszeństwo.

– Nawet go nie znam, papo – mówiła, zalewając się łzami. – Jest dostatecznie stary, żeby być moim ojcem, i nie chcę wyjść za niego – ciągnęła z rozpaczą. – Nie chcę, żebyś mnie oddał obcemu jak jakąś niewolnicę. Jeśli żądasz, żebym dzieliła z nim łożę, wolę już umrzeć jako stara panna.

Ojciec, zażenowany jej drastycznymi sformułowaniami, postanowił poprosić matkę, żeby z nią pomówiła. Podjął jeszcze jeden ostatni wysiłek, żeby przemówić jej do rozsądku. Zakładał, że się ucieszy, a nie wpadnie w złość.

– Musisz mi zaufać w tej kwestii, Beato. On jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie. W twoim wieku żywisz romantyczne złudzenia na temat miłości, które nie mają sensu w rzeczywistym świecie. Potrzebujesz towarzysza życia, który podziela twoje zainteresowania, jest odpowiedzialny i będzie cię szanował. Reszta przyjdzie z czasem, Beato. Obiecuję ci. Jesteś

znacznie bardziej rozsądna od siostry i potrzebujesz mężczyzny równie rozsądnego, równie praktycznego jak ty. Nie potrzebujesz jakiegoś niemądrego młokosa z przystojną twarzą. Potrzebujesz człowieka, który będzie cię chronił, który zapewni utrzymanie tobie i twoim dzieciom, na którego możesz liczyć, z którym możesz rozmawiać. Na tym polega małżeństwo, Beato. To nie romanse i przyjęcia. Nie chcesz tego i nie potrzebujesz. Wybrałem dla ciebie takiego mężczyznę – zakończył niemal surowo.

Przystanęła po drugiej stronie pokoju i spiorunowała ojca gniewnym wzrokiem.

– Więc sam z nim śpij. Nie pozwolę mu się dotknąć. Nie kocham tego mężczyzny i nie wyjdę za niego dlatego, że ty sobie tego życzysz. Nie pozwolę się sprzedać obcemu w niewolę jak krowa, papo. Nie możesz mi tego zrobić.

– Nie wolno ci do mnie mówić w ten sposób – zagrzmiał, trzęsąc się z gniewu. – Czego ty chcesz ode mnie? Chcesz mieszkać tutaj jako stara panna do końca życia? Co się z tobą stanie, kiedy matka i ja umrzemy i zostaniesz bez opieki? Ten mężczyzna zaopiekuje się tobą, Beato. Tego potrzebujesz. Nie możesz tutaj siedzieć i czekać na jakiegoś przystojnego księcia, żeby cię odnalazł i zabrał, księcia równie wykształconego jak ty, równie poważnego, zafascynowanego książkami i nauką. Może wolałabyś profesora uniwersytetu, ale on nie utrzyma cię na poziomie, do jakiego przywykłaś i na jaki zasługujesz. Ten mężczyzna ma środki odpowiednie do twojej pozycji. Jesteś to winna swoim dzieciom, żeby poślubić takiego jak on, Beato, nie jakiego głodującego artystę czy pisarza, który porzuci cię, żebyś umarła na suchoty gdzieś na strychu. Beato, to jest rzeczywistość. Poślubisz człowieka, którego dla ciebie wybrałem. Twoja matka i ja wiemy, co robimy, a ty jesteś młoda, głupia i zbyt idealistyczna. Prawdziwe życie nie przypomina książek, które czytasz. Prawdziwe życie jest tu i teraz, więc zrobisz, co ci każe.

– Prędzej umrę – oświadczyła, nie spuszczać wzroku z ojca. Wyglądało na to, że mówiła poważnie. Jeszcze nigdy nie widział u niej takiej pasji i determinacji. Na ten widok pomyślał o czymś, co jeszcze nigdy nie przyszło mu do głowy, zwłaszcza w związku z nią. Zadał jej jedno pytanie drżącym głosem i po raz pierwszy w życiu lękał się odpowiedzi.

– Czy kochasz kogoś innego?

Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Beata nigdy nie wychodziła z domu. Lecz wyraz jej oczu sprawił, że musiał ją zapytać. Zawahała się, zanim odpowiedziała. Wiedziała, że musi powiedzieć mu prawdę, nie miała innego wyjścia.

– Tak. – Stała przed nim sztywno i nieruchomo, wymawiając to jedno słowo.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Wydawał się jednocześnie załamany i wściekły i nade wszystko zdradzony. Pozwoliła mu brnąć przez tę szaradę po prostu dlatego, że nigdy mu nie powiedziała o swoim uczuciu do innego. Wystarczające zagrożenie dla związku, który zaaranżował, odpowiedniego związku. – Kto to jest? Czy go znam? – Poczuł nagły dreszcz, jakby ktoś przeszedł po jego grobie.

Pokręciła głową i powiedziała cicho:

– Nie, nie znasz go. Poznałam go w Szwajcarii zeszłego lata. Postanowiła, że będzie uczciwa

wobec ojca. Czują, że nie ma wyboru. Ten moment nadszedł prędzej, niż się spodziewała czy chciała, więc mogła tylko się modlić, żeby ojciec okazał się rozsądny i sprawiedliwy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Czy twoja matka o tym wie?

– Nie. Nikt nie wie. Mama i Brigitte poznały go, ale wtedy był tylko znajomym. Chcę go poślubić, kiedy wojna się skończy, papo. On chce przyjechać i cię poznać.

– Więc niech przyjedzie.

Ojciec był na nią wściekły, niemniej jednak pragnął postąpić honorowo w tej sprawie i dojść do porozumienia z córką, chociaż porządnie go zirytowała swoim miłosnym wyznaniem o jedenastej rano.

– On nie może przyjechać, papo. Jest na froncie.

– Czy twoi bracia go znają? – Ponownie pokręciła głową i nic nie odpowiedziała. – Czemu mi o nim nie mówisz, Beato? Wyczuwam, że jest coś więcej.

Miał rację, jak zwykle. Cała się trzęsa ze strachu, kiedy mu odpowiadała.

– On pochodzi z dobrej rodziny, z wielkim majątkiem. Jest wykształcony i inteligentny. Kocha mnie, papo, i ja go kocham.

Łzy strumieniami spływały jej po policzkach.

– Więc czemu to trzymasz w sekrecie? Co przede mną ukrywasz, Beato? Krzyczał teraz tak głośno, że Monika słyszała go na piętrze.

– On jest katolikiem i Francuzem – szepnęła Beata.

Ojciec ryknął jak ranny lew. Beata odruchowo cofnęła się kilka kroków, kiedy natarł na nią z rozpędu. Zatrzymał się dopiero tuż przy niej i chwycił obiema rękami jej wątłe ramiona. Potrząsnął nią tak mocno, że zęby jej zadzwoniły.

– Jak śmiesz! – krzyknął jej prosto w twarz. – Jak śmiesz nam robić coś takiego? Nie wyjdiesz za chrześcijanina, Beato. Nigdy! Wolę, żebyś umarła. Jeśli to zrobisz, umrzesz dla nas. Wpiszę twoje imię do rodzinnej księgi zmarłych. Nigdy więcej nie zobaczysz tego mężczyzny. Jasne? I poślubisz Rolfa Hoffmana wtedy, kiedy ci każe. Powiem mu, że umowa zawarta. A ty powiesz swojemu katolickiemu Francuzowi, że nigdy więcej go nie zobaczysz. Zrozumiano?

– Nie możesz mi tego zrobić, papo – szlochała Beata, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Nie mogła porzucić Antoine'a ani poślubić mężczyzny, którego wybrał dla niej ojciec, bez względu na wszystko.

– Mogę i zrobię. Za miesiąc poślubisz Hoffmana.

– Papo, nie!

Łkając, upadła na kolana, a on wybiegł z biblioteki i popędził na górę. Klęczała przez długi czas i płakała, dopóki matka wreszcie do niej nie przyszła. Uklękła obok córki, również zapłakana, zrozpaczona tym, co usłyszała.

– Beato, jak mogłaś? Musisz o nim zapomnieć... wiem, że to porządny człowiek, ale nie możesz wyjść za Francuza, nie po tej okropnej wojnie między nami, i nie możesz poślubić katolika. Twój ojciec wpisze twoje imię do księgi zmarłych.



Serce jej pękało, kiedy widziała wyraz twarzy córki.

– I tak umrę, mamó, jeśli go nie poślubię. Kocham go. Nie mogę wyjść za tego okropnego człowieka. – Wiedziała, że nie jest okropny, ale w jej oczach był stary i nie był Antoine’em.

– Poproszę papę, żeby zerwał umowę. Ale nigdy nie wyjdiesz za Antoine’a.

– Przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy po wojnie.

– Musisz mu powiedzieć, że nie możesz. Nie możesz odrzucić wszystkiego, czym jesteś.

– On mnie kocha taką, jaka jestem.

– Oboje jesteście niemądrymi dziećmi. Jego rodzina też go wydziedziczy. Z czego będziecie żyli?

– Umiem szyć... mogę zostać krawcową, nauczycielką czymkolwiek. Papa nie ma prawa tego robić.

Obie jednak wiedziały, że ma prawo. Mógł zrobić, co chciał, i ostrzegł Beatę, że jeśli poślubi chrześcijanina, umrze dla nich. Monika mu wierzyła i nie mogła znieść myśli, że już nigdy nie zobaczy Beaty. To była o wiele za wysoka cena do zapłacenia za mężczyznę, którego jej córka kochała.

– Błagam cię – prosiła córkę – nie rób tego. Musisz posłuchać papę.

– Nie posłucham – odparła Beata, szlochając w ramionach matki.

Jacob nie był głupcem. Tego popołudnia powiedział Rolfowi Hoffmanowi, że Beata jest młoda i głupia, i chyba lęka się... fizycznych obowiązków małżeńskich... więc widocznie jego córka nie jest jeszcze gotowa do zamążpójścia. Nie chciał ani okłamywać rozmówcy, ani wyjawić mu całej prawdy. Zasugerował, że może po długich zalotach, kiedy lepiej się poznają, Beata bardziej się oswoi ze wszystkimi konsekwencjami małżeństwa. Hoffman był rozczarowany, ale obiecał zaczekać tak długo, jak trzeba. Nie spieszyło mu się i rozumiał, że ma do czynienia z młodą, niewinną dziewczyną. Zauważył jej nieśmiałość tego wieczoru, kiedy się poznali. I nawet posłusznej córce należało się trochę czasu, żeby mogła poznać mężczyznę, który zamierzał ją poślubić i wziąć do łóżka. Pod koniec rozmowy Jacob podziękował Hoffmanowi za cierpliwość i zapewnił go, że Beata wkrótce się opamięta.

Tego wieczoru nie zeszła na obiad i Jacob nie widział jej przez kilka dni. Według matki nie wstawiała z łóżka. Napisała w liście do Antoine’a, co się stało. Pisała, że jej ojciec nigdy nie zgodzi się na ich małżeństwo, ona jednak i tak pragnie go poślubić, albo po wojnie, albo wcześniej, cokolwiek on zdecyduje. Lecz nie czuła się swobodnie w swoim domu w Kolonii. Wiedziała, że ojciec spróbuje ją zmusić, żeby wyszła za Rolfa. Wiedziała również, że upłyną tygodnie, zanim otrzyma odpowiedź od Antoine’a, lecz gotowa była czekać.

Nie miała od niego wiadomości przez dwa miesiące. List przyszedł dopiero w maju. Przez cały ten czas umierała ze strachu, że Antoine został ranny lub zabity albo dowiedziawszy się o gniewie jej ojca, postanowił się wycofać i więcej do niej nie pisać. Pierwszy domysł okazał się trafny. Antoine przed miesiącem odniósł ranę i przebywał w szpitalu w Yvetot, na wybrzeżu Normandii. O mało nie stracił ramienia, ale twierdził, że wkrótce wydobrzeje. Napisał, że kiedy

ona dostanie ten list, on będzie już w domu w Dordogne i porozmawia z rodziną o ich małżeństwie. Nie wróci więcej na front ani do wojska. Po tych słowach Beata przeraziła się, że jego rana jest cięższa, niż przyznawał. Powtórzył jednak kilkakrotnie, że dochodzi do zdrowia i bardzo, bardzo ją kocha.

Beata szybko odpisała i wysłała list jak zwykle przez jego kuzyna w Szwajcarii. Potem mogła tylko czekać. Antoine pisał, iż ma nadzieję, że jego rodzina ich przygarnie i po ślubie zamieszkają w jego posiadłości w Dordogne. Chociaż niewątpliwie sprowadzenie Niemki do Francji w tych czasach, czy nawet po wojnie, nie będzie łatwe. Nie wspominając o religijnych różnicach między nimi, równie przykrych dla jego rodziny, jak dla jej bliskich. Hrabia poślubiający Żydówkę we Francji wzbudzi zgromadzenie, podobnie jak ślub Beaty z francuskim katolikiem wstrząśnie jej światem w Kolonii. Żadne z nich nie uniknie trudności.

Po odpisaniu na list Beata spędzała ciche dni, pomagając matce w domowych zajęciach i schodziła ojcu z drogi. Kilkakrotnie próbował ją nakłonić do spotkania z Rolfem, ale ona za każdym razem odmawiała. Oświadczyła, że nigdy go nie poślubi i nie chce go więcej widzieć. Była taka blada, że wyglądała jak duch. Serce matki krwawiło na ten widok. Ustawicznie błagała Beatę, żeby spełniła życzenie ojca. Inaczej żadne z nich nie zazna spokoju. Ciężar zmartwienia przygniatał wszystkich i dom zrobił się ponury jak kostnica.

Obaj bracia rozmawiali z Beatą, kiedy przyjechali do domu na przepustki, ale bez skutku. A Brigitte wpadła w taką furję, że przestała się odzywać do siostry. W miarę zbliżania się terminu ślubu coraz bardziej zadzierała nosa.

– Jak mogłaś być taka głupia, Beato, żeby powiedzieć papieżowi?

– Nie chciałam go okłamywać – odparła z prostotą.

Lecz od tamtej pory ojciec wściekał się na wszystkich. Obarczał każdego odpowiedzialnością za głupotę i zdradę Beaty. Najbardziej jednak bolał nad zdradą Beaty, jakby zakochała się we francuskim katoliku wyłącznie jemu na złość. W jego oczach nie mogła popełnić gorszego występku. Musiałyby upłynąć lata, żeby to przeboleć, nawet gdyby Beata wyrzekła się Antoine'a, czego jak dotąd nie zrobiła.

– Nie kochasz go naprawdę – oświadczyła Brigitte z pewnością siebie osiem nastolatki, która wkrótce poślubi swojego wymarzonego księcia. Miała świat u stóp i żałowała swojej głupiej siostry. Cała sprawa wydawała jej się śmieszna. Ten romans był dobry na kilka dni w Genewie, ale dłużej nie miał sensu. Nie wolno kłaść na szalę całego życia i narażać rodziny dla kogoś z innego świata. Mariaż ułożony dla niej przez ojca zadowalał ją w stu procentach.

– Nawet go nie znasz – łajała siostrę.

– Wtedy nie znałam, ale teraz znam. – Przez pół roku korespondencji obnażyli przed sobą dusze, ale oboje byli pewni swoich uczuć już w Genewie, zaledwie po trzech tygodniach znajomości. – Może dla ciebie to nie ma sensu, ale wiem, że dla mnie to słuszne.

Nawet jeśli papa wpisze cię do księgi zmarłych i już nigdy nie pozwoli ci nas zobaczyć?

Na samą myśl o tym, która prześladowała ją od dwóch miesięcy, Beata poczuła się chora.

Mam nadzieję, że mi tego nie zrobi – wykrztusiła. Nie mogła sobie wyobrazić, że już nigdy nie zobaczy matki, braci, papy i nawet Brigitte. Ale nie mogła też wyrzec się mężczyzny, którego kochała. Nawet jeśli ojciec początkowo ją wypędzi, miała nadzieję, że z czasem zmieknie. Gdyby straciła Antoine’a, to na zawsze. Nie wierzyła, że można stracić rodzinę.

A jeśli papa to zrobi i zabroni nam ciebie widywać? – naciskała Brigitte, zmuszając Beatę do zmierzenia się z tą groźbą. – Co wtedy zrobisz?

Zaczekam, aż zmieni zdanie – powiedziała Beata ze smutkiem.

Nie zmieni. Nie, jeśli wyjdiesz za chrześcijanina. Wybacz ci w końcu, że nie poślubisz Rolfa. Ale nie, jeśli poślubisz swojego Francuza. On nie jest tego wart, Beato. Nikt nie jest tego wart. – Brigitte cieszyła się ze zgody rodziców i nigdy nie zdobyłaby się na odwagę czy zuchwałość, żeby pójść w ślady siostry czy nawet rzucić taką groźbę. – Tylko nie zrób żadnego głupstwa przed moim weselem. Na tym jej najbardziej zależało. Beata kiwnęła głową.

– Nie zrobię – obiecała, Jak się okazało, dostała wiadomość od Antoine’a tydzień przed weselem. Jego rodzina zareagowała tak samo jak jej ojciec. Ostrzegli go, że jeśli się ożeni z niemiecką Żydówką, musi odejść. Ojciec dosłownie wyrzucił go z domu i zapowiedział, że nie chce go więcej widzieć. Zgodnie z francuskim prawem nie mógł go wydziedziczyć ani odebrać mu tytułu należnego po śmierci rodzica, ale zagroził, że jeśli poślubi Beatę, rodzina go odtrąci. Antoine był tak rozwścieżony ich reakcją, że wyjechał do Szwajcarii i już tam na nią czekał, kiedy pisał ten list. Proponował, żeby przeczekali wojnę w Szwajcarii – jeśli Beata wciąż chce wyjść za niego ze świadomością, że dla obojga oznacza to rozłąkę z rodzinami. Jego kuzyn zgodził się, żeby zamieszkali na farmie z nim i jego żoną i pomagali w gospodarstwie. Antoine nie ukrywał, że nie będzie im łatwo, skoro żadne z nich po zerwaniu z rodzina nie ma pieniędzy. Kuzynowi nie powodziło się najlepiej i jeśli pozostaną na jego utrzymaniu, muszą pracować na życie. Antoine gotów był zaryzykować, jeśli ona się zgodzi, ale decyzja należała do niej. Pisał, że zrozumie i nie będzie jej miał za złe, jeśli ona nie zdobędzie się na porzucenie dla niego rodziny. Zapewniał, że będzie ją kochał bez względu na jej ostateczną decyzję. Wiedział, że poświęciłaby wszystko, co znała i kochała, gdyby postanowiła wyjść za niego. Nie mógł jej o to prosić. Sama musiała zdecydować.

Najbardziej wzruszyło Beatę, że on już zdecydował się na takie poświęcenie dla niej. Opuścił swoją rodzinę w Dordogne i nie mógł tam wrócić. Był sam, ranny, zdany na łaskę kuzyna w Szwajcarii. I zrobił to dla niej. Ich kraje wciąż toczyły wojnę, nawet jeśli dla niego wojna się skończyła. Beata pragnęła kiedyś powrócić do Niemiec i oczywiście do rodziny, jeśli ojciec się zgodzi. Lecz do zakończenia wojny nie mieli innego wyjścia, tylko czekać w Szwajcarii i liczyć na odmianę losu. Może wtedy jego rodzina również ustąpi. Chociaż w liście Antoine twierdził, że nie ma nadziei na naprawę stosunków z rodziną. Gwałtowna kłótnia i jego wyjazd wzbudziły zbyt wielkie rozgoryczenie. Nawet jego brat Nicolas przestał z nim rozmawiać, chociaż zawsze byli sobie bliscy. Antoine odczuł to jako bolesną stratę.

Przez cały tydzień przed weselem siostry Beata chodziła półprzytomna i przeżywała

mężarnie. Wiedziała, że musi się zdecydować. Ślub i wesele siostry minęły jak we śnie. Jak na ironię, Brigitte z mężem wyjeżdżali do Szwajcarii w podróż poślubną. Jacob doradził im, że to jedyne bezpieczne miejsce w Europie. Zamierali spędzić trzy tygodnie w Alpach powyżej Genewy, niedaleko miejsca, gdzie czekał na nią Antoine. Chciała zaraz jechać, ale obiecała Brigitte, że nie wywoła skandalu przed jej weselem. I dotrzymała słowa.

Ostateczna katastrofa nastąpiła dwa dni później, kiedy ojciec zażądał od Beaty zapewnienia, że na zawsze wyrzuciła Antoine'a ze swojego życia. Obaj bracia wrócili już do swoich kompanii. Brigitte wyjechała w podróż poślubną. A wtedy ojciec gwałtownie zaatakował Beatę. Walka była krótka i brutalna. Beata nie chciała obiecać ojcu, że nigdy więcej nie zobaczy Antoine'a, ponieważ wiedziała, że czekał na nią w Szwajcarii. Matka wpadła w histerię, kiedy daremnie próbowała ich uspokoić. W końcu ojciec oświadczył, że jeśli Beata nie wyrzeknie się swojego katolika, niech jedzie do niego, ale musi pamiętać, że kiedy już opuści ten dom, nigdy tu nie wróci. On i matka odprawią za nią sziwę, czuwanie przy zmarłych. Dla niego córka umrze, jeśli opuści dom. Zapowiedział, że nigdy więcej nie wpuści jej za próg. Wściekał się okropnie, że Beata trwa przy swojej decyzji.

Po wielu godzinach kłótni i błagań, żeby okazał rozsądek i przynajmniej zgodził się spotkać z Antoine'em, pokonana wróciła do swojego pokoju. Spakowała dwie małe walizki z rzeczami, które powinny jej się przydać na farmie w Szwajcarii. Do jednej włożyła oprawione fotografie całej rodziny.

Łkała, kiedy zamykała walizki i stawiała je w holu. Matka poszła za nią zalana łzami.

– Beato, nie rób tego... on nigdy ci nie pozwoli wrócić. – Nigdy przedtem ani potem nie widziała męża w takiej furii. Nie chciała stracić córki, ale nic nie mogła zrobić, żeby zapobiec tej tragedii. – Będiesz tego żałowała przez całe życie.

– Wiem – przyznała rozpaczliwie Beata – ale nigdy nie pokocham żadnego mężczyzny oprócz niego. Nie chcę go stracić.

Nie chciała też stracić rodziny.

– Napiszesz do mnie, mamó? – Chlipnęła jak dziecko.

Matka objęła ją mocno i jej łzy zmieszały się ze łzami córki. Przez całą wieczność nie odpowiadała i Beata rozumiała, co to znaczy. Kiedy ojciec ją wypędzi i ogłosi, że dla nich umarła, matka nie będzie miała wyboru. Nigdy nie przekroczy granic, które jej mąż narzucił im wszystkim; nie zrobi tego nawet dla Beaty. Jego słowo było dla niej prawem. A on zapowiedział, że uzna ją za zmarłą.

– Napiszę do ciebie – szepnęła Beata, przywierając do matki jak dziecko, którym wciąż była pod wieloma względami. Tej wiosny skończyła dopiero dwadzieścia jeden lat.

– On mi nie pozwoli przeczytać twoich listów – odparła matka. Nie chciała wypuścić Beaty z objęć, nie chciała patrzeć, jak córka odchodzi. – Och, moje kochanie... bądź szczęśliwa z tym człowiekiem... mam nadzieję, że będzie dla ciebie dobry. – Zaszlochała gwałtownie. – Mam nadzieję, że jest tego wart... och, moja maleńka, już cię nigdy nie zobaczę.

Beata mocno zacisnęła powieki, obejmując matkę z całej siły. Ojciec patrzył na nie ze szczytu schodów.

– Więc odchodzisz? – zapytał surowo.

Po raz pierwszy w oczach Beaty wyglądał jak starzec. Dotąd zawsze uważała go za młodego człowieka, ale nie był już młody. Tracił dziecko, które najbardziej kochał, z którego był najbardziej dumny, ostatnie, które zostało w domu.

– Tak, odchodzę – odparła cicho Beata. – Kocham cię, papo.

Chciała do niego podejść, żeby go uścisnąć, ale wyraz jego twarzy ostrzegł ją, żeby nie próbowała.

– Twoja matka i ja odprawimy za ciebie sziwę dziś wieczorem. Niech ci Bóg wybaczy.

Chciała mu powiedzieć to samo, ale się nie ośmieliła. Pocałowała matkę po raz ostatni, potem podniosła bagaże i powoli zeszła po schodach. Rodzice odprowadzali ją wzrokiem. Przez cały czas słyszała łkania matki, kiedy przechodziła przez hol i otwierała frontowe drzwi. Ojciec milczał.

– Kocham was! – krzyknęła do nich, ale nie odpowiedzieli. Słyszała tylko płacz matki, kiedy zamykała za sobą drzwi.

Szła, niosąc dwie ciężkie walizki, dopóki nie zobaczyła taksówki. Kazała się zawieźć na dworzec kolejowy. Siedziała z tyłu i płakała. Kierowca nie odezwał się do niej, kiedy płaciła za kurs. W tamtych czasach każdy przeżywał swoje tragedie, więc taksówkarz wołał nie pytać. Niektóre smutki trzeba znosić samotnie.

Czekała trzy godziny na pociąg do Lozanny. Aż nadto czasu, żeby zmienić zdanie. Ale wiedziała, że nie może się cofnąć. Czowała całym swoim jestestwem, że jej życie należy do Antoine'a. On poświęcił dla niej tyle samo. Nie mogli wiedzieć, co przyszłość im przyniesie, ale od samego początku zdawali sobie sprawę, że są sobie przeznaczeni. Beata nie widziała go od września, ale stał się jej częścią. Należeli do siebie, podobnie jak jej rodzice. Brigitte należała do mężczyzny, którego poślubiła. Każde z nich szło za swoim przeznaczeniem. Jeśli los pozwoli, może kiedyś Beata znowu ich zobaczy. Teraz jednak musiała iść swoją drogą. Nie wierzyła, że ojciec będzie do końca trwał w bezrozumnym uporze. Wcześniej czy później musi ustąpić.

Beata, milcząc, wsiadła do pociągu. Łzy płynęły jej z oczu przez większość drogi do Lozanny, aż w końcu zasnęła. Obudziła ją starsza kobieta z tego samego przedziału, bo wiedziała, że Beata jedzie do Lozanny. Beata podziękowała jej uprzejmie, wysiadła z pociągu i rozejrzała się po peronie. Czowała się jak sierota. Z dworca w Kolonii wysłała telegram do Antoine'a. A potem zobaczyła go z daleka, jak spieszył w jej stronę. Miał zabandażowaną rękę na temblaku, ale kiedy do niej dotarł, przygarnął ją jednym ramieniem tak mocno, że zabrakło jej tchu.

– Nie wiedziałem, czy przyjedziesz. Bałem się, że nie... tyle od ciebie żądałem...

Łzy płynęły mu po twarzy, kiedy jej mówił, jak bardzo ją kocha. Patrzyła na niego z podziwem. Był teraz jej rodziną, jej mężem, jej teraźniejszością i przyszłością, ojcem ich

przyszłych dzieci. Był dla niej wszystkim, tak jak ona dla niego. Nie dbała o trudności, jakie przyjdzie im znieść, dopóki będą razem. Chociaż rozstanie z rodziną było bolesne, wiedziała, że postąpiła właściwie.

Przez długi czas stali razem na peronie, ciesząc się tą chwilą, tuląc się do siebie. Potem on podniósł zdrową ręką jedną walizkę, ona wzięła drugą i wyszli na zewnątrz, gdzie czekał na nich kuzyn z żoną. Antoine promieniał, kiedy wychodzili z dworca, a Beata uśmiechała się do niego. Kuzyn włożył walizki do bagażnika samochodu. Antoine mocno objął Beatę. Nie śmiał wierzyć, że przyjedzie do niego, a jednak przyjechała. Porzuciła dla niego wszystko. Usiedli na tylnym siedzeniu samochodu. Antoine objął Beatę zdrową ręką i znowu ją pocałował. Żadne słowa nie mogły wyrazić, ile dla niego znaczyła. Kiedy powoli przejeżdżali przez Lozannę i dalej na wieś, Beata milczała. Nie mogła teraz oglądać się za siebie, mogła tylko patrzeć w przyszłość. A jej ojciec, jak zapowiedział, tego ranka wpisał imię Beaty do rodzinnej księgi zmarłych. Poprzedniej nocy odprawili za nią sziwę. Umarła dla nich.

## Rozdział 4

Farma należąca do kuzyna Antoine'a była mała i skromna. Okolica była piękna, dom ciepły i bezpretensjonalny. Dwie małe sypialnie sąsiadowały ze sobą. Jedną zajmowała kiedyś trójka dzieci, które dawno temu wyjechały do miast. Żadne nie zostało, żeby pracować na farmie. Były tam wielka, wygodna kuchnia i bawialnia od święta, nigdy nieużywana. Wszystko to ogromnie się różniło od domu Beaty w Kolonii.

Właściciele byli krewnymi Antoine'a ze strony matki, dalekimi kuzynami, jak wyjaśnił, ale z radością udzielili pomocy młodej parze i chętnie przyjęli pomocników na farmę. W maleńkiej chatce mieszkało dwóch młodych chłopców, którzy pomagali w orce, żniwach i przy krowach. Tutaj, w górach wysoko nad Lozanną, trudno było sobie wyobrazić, że gdzieś na świecie toczy się wojna. Farma leżała daleko od wszystkich burzliwych wydarzeń.

Kuzynowie Antoine'a, Maria i Walther Zuberowie, byli mili, życzliwi i łatwi w obejściu. Mieli wykształcenie, nie mieli pieniędzy i prowadzili takie życie, jakie im odpowiadało. Reszta rodziny mieszkała w Genewie i Lozannie, chociaż dzieci wyemigrowały do Francji i Włoch. Zuberowie byli mniej więcej w wieku rodziców Beaty, chociaż w rozmowie z nimi zorientowała się, że są starsi. Zdrowy tryb życia, dyscyplina i ciężka praca dobrze im służyły. Ofiarowali Antoine'owi schronienie, idealne dla młodej pary w trudnym położeniu. Antoine starał się im odwdziaczyć za gościnę, ale zraniona ręka ograniczała jego możliwości.

Beata doznała wstrząsu na widok tej strasznej rany, kiedy po południu pomagała mu zmieniać opatrunek i masowała ramię. Szrapnel zniszczył prawie całkowicie mięśnie i nerwy lewej ręki. A rana wciąż bolała. Lekarze powiedzieli Antoine'owi, że w końcu odzyska władzę w ramieniu, ale jeszcze nie wiadomo, do jakiego stopnia. Rzecz jasna, ręka nigdy już nie będzie taka sprawna, jak przedtem. To wcale nie zmieniło uczuć Beaty. Na szczęście Antoine był praworęczny.

Zaofiarował się pomagać Waltherowi przy koniach, do których miał szczególny talent. Z jednym zdrowym ramieniem robił, co mógł. Beata i dwaj chłopcy, którzy tam pracowali, mieli się zająć resztą.

Zjedli na lunch zupę i kiełbaski w przytulnej kuchni. Beata zaproponowała, że będzie gotować i wypełniać wszystkie obowiązki, jakie jej przydzielą. Maria obiecała, że nauczy ją doić krowy. Beata wytrzeszczyła na nią oczy. Jeszcze nigdy nie była na farmie i wiedziała, że musi się wiele nauczyć. Porzuciła dla Antoine'a nie tylko rodzinę i dom, w którym przyszła na świat, ale jedyne miasto i życie, które znała i kochała. Poświęciła dla niego wszystko, jak on dla niej. Oboje zaczęli od początku, a bez Zuberów nie mieliby dokąd pójść. Beata podziękowała im wylewnie, kiedy skończyli lunch, a potem pomogła Marii pozmywać. Właśnie zjadła swój pierwszy w życiu niekoszerny posiłek. Wiedziała, że tu na farmie nie ma wyboru. Całe jej życie zmieniło się w jednej chwili.

– Kiedy się pobieracie? – zapytała Maria z macierzyńską troską. Martwiła się o Beatę od

chwili, kiedy Antoine napisał do nich z prośbą, żeby udzielili schronienia młodej parze. Gościnni i wielkoduszni, od razu się zgodzili. Zresztą w ten sposób zyskali pomoc w zastępstwie własnych nieobecnych dzieci.

– Nie wiem – odparła Beata cicho.

Nie zdążyli porozmawiać o tym z Antoine'em. Wszystko było takie nowe. Tyle mieli do przemyślenia. Beata jeszcze nie doszła do siebie po ostatnich traumatycznych przeżyciach w Kolonii.

Tego wieczoru rozmawiała z Antoine'em o swoich planach. Pościelił sobie na kanapie w bawialni i zostawił dla Beaty małą sypialnię, co Maria pochwałała. Zapewnił kuzynów, że niedługo się pobiorą z Beatą. Maria nie chciała, żeby młodzi żyli w grzechu pod jej dachem, a Walther ją popierał. To było wykluczone. Beata i Antoine też chcieli się pobrać. Antoine zajął się tą sprawą zaraz po przyjeździe i dowiedział się, że jako obcokrajowcy potrzebowali zezwolenia, żeby wziąć ślub w Szwajcarii. Następnego dnia pożyczył ciężarówkę od Walthera i zawiózł Beatę do najbliższego miasteczka, żeby załatwić urzędowe sprawy. Poza paszportami, które mieli, potrzebowali zezwolenia na zawarcie małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego oraz dwóch szwajcarskich obywateli jako poręczycieli i świadków. Fakt, że dziadek Antoine'a ze strony matki był Szwajcarem, nic dla nich nie znaczył. Jego matka miała obywatelstwo francuskie, po swojej matce, tak jak on. Urzędnik, który przyjął ich zgłoszenie, poinformował, że otrzymają wymagane dokumenty za dwa tygodnie.

– Wezmą państwo ślub cywilny czy kościelny? – zapytał rutynowo urzędnik stanu cywilnego.

Antoine spojrział na Beatę pustym wzrokiem. Żadne z nich nie pomyślało, kto ma im udzielić ślubu. Antoine zakładał, że po prostu odbędzie się krótka cywilna ceremonia w *mairie*. Nie mieli tutaj żadnej rodziny oprócz Zuberów, toteż w tej sytuacji musiał im wystarczyć oficjalny akt, dzięki któremu uzyskają stosowne dokumenty i zalegalizują swój związek, żeby mogli żyć razem zgodnie z zasadami przyzwoitości. Nie będzie uroczystej ceremonii, przyjęcia ani hucznego wesela. Tylko krótka chwila, kiedy staną się mężem i żoną. Jak i gdzie to zrobią, i kto ich połączy, nawet się nie zastanawiali. Kiedy urzędnik stanu cywilnego zadał swoje pytanie, Antoine popatrzył niepewnie na przyszłą żonę. Wracając piechotą w letnim słońcu, objął ją zdrowym ramieniem i pocałował ostrożnie. Beata odpowiedziała mu spokojnym uśmiechem.

– Będziemy małżeństwem za dwa tygodnie – powiedziała cicho.

Nie takiego ślubu oczekiwała jako dziewczynka, ale pod każdym innym względem spełniły się jej marzenia. Spotkali się dziesięć miesięcy wcześniej i zakochali się w sobie od pierwszej chwili, i Beata pragnęła spędzić z nim resztę życia. Jeszcze nie wiedzieli, gdzie zamieszkają po wojnie, z czego będą żyli i czy rodziny przyjmą ich z powrotem. Beata miała taką nadzieję, teraz jednak chciała tylko być z nim.

– Kto ma nam dać ślub? – zapytał łagodnie Antoine.

Urzędnik zadał rozsądne pytanie. Antoine nie wiedział, czy Beata życzy sobie rabina,



choć musiał przyznać, że na tę myśl poczuł się trochę nieswojo. Mogli się pobrać w urzędzie stanu cywilnego, jeśli tak zdecydują, ale Antoine doszedł do wniosku, że wolałby ślub z księdzem.

– Właściwie o tym nie myślałam. Nie możemy wziąć ślubu u rabina. Musiałbyś się nawrócić, a to wymaga długiej nauki. Nawet kilku lat – powiedziała Beata rozsądnie.

Zwykle dwa tygodnie wydawały się im wiecznością. Żadne z nich nie chciało czekać przez lata, zwłaszcza teraz, kiedy Beata tu przyjechała i zamieszkali u Zuberów. Antoine nie mógł zasnąć prawie przez całą noc, wiedząc, że ona leży w pokoju obok, w łóżku, które wkrótce będą dzielić. Tyle przeszli, żeby być razem, więc rozpaczliwie pragnął, żeby do niego należała.

– Jak się zapatrujesz na ślub z księdzem? – zapytał uczciwie Antoine. Nie zamierzał jej zmuszać, chociaż nie ukrywał, czego sobie życzył.

– Sama nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Ślub w urzędzie stanu cywilnego wydaje się trochę przygnębiający. To chyba nie ma znaczenia, czy połączy nas ksiądz, czy rabin. Zawsze uważałam, że patrzy na nas i troszczy się o nas jeden Bóg. To bez różnicy, do jakiego kościoła czy synagogi On należy.

Dla Antoine'a była to nowa koncepcja. Beata, w przeciwieństwie do swojej rodziny, miała bardzo liberalne poglądy.

Jadąc z powrotem na farmę, dyskutowali o możliwości nawrócenia Beaty na katolicyzm. Podeszła do tego ze zdumiewająco otwartym umysłem i obiecała, że się nawróci, jeśli to wiele dla niego znaczy. Wierzyła w swoją religię, ale kochała też Antoine'a. Jeśli nawrócenie na katolicyzm oznaczało, że mogli się pobrać szybciej, gotowa była się zgodzić. Po poważnej rozmowie Antoine zatrzymał samochód przed małym kościółkiem. Z tyłu znajdowało się skromne probostwo. Antoine wysiadł z samochodu, wszedł po wiekowych kamiennych schodkach i nacisnął dzwonek. Napis na tabliczce głosił, że kaplica pochodzi z X wieku. Kamienie wyglądały na stare i zniszczone. Drzwi otworzył starszy ksiądz w sutannie i uśmiechnął się do młodzieńca. Zamienili kilka słów, podczas gdy Beata czekała w samochodzie, a potem Antoine skinął na nią. Wysiadła i podeszła, trochę się ociągając. Nigdy dotąd nie rozmawiała z księdzem. Nigdy nawet nie widziała żadnego z bliska, najwyżej na ulicy, ale ten miał miłą, łagodną twarz.

– Pani narzeczony mówił mi, że chcecie się pobrać – powiedział ksiądz.

Stali w porannym słońcu, wdychając świeże górskie powietrze. Obok rozciągała się łąka porośnięta żółtymi polnymi kwiatami, a za kościołem leżał mały, zaniedbany cmentarzyk, gdzie wciąż chowano zmarłych. Za kościołem znajdowały się mała kapliczka i studnia, którą datowano na IV wiek.

– Tak, chcemy się pobrać – potwierdziła Beata, próbując nie myśleć, co by powiedzieli jej rodzice, gdyby ją zobaczyli z księdzem. Miała wrażenie, że zaraz uderzy w nią piorun, a jednocześnie czuła się dziwnie spokojna i bezpieczna.

– Rozumiem, że nie jest pani katoliczką. Będzie pani potrzebowała prywatnych nauk, bo

zakładam, że pragnie się pani nawrócić.

Beata przełknęła ślinę. Dziwnie się poczuła, kiedy wymówił to słowo. Nigdy nie przypuszczała, że porzuci żydowską wiarę. Ale nigdy też nie przypuszczała, że poślubi kogoś takiego jak Antoine. Studia religijne otworzyły jej umysł na inne wyznania. Przypuszczała, że z czasem jej serce pójdzie za rozumem, ze względu na Antoine'a. Z miłości do niego chciała się nawrócić.

– Możemy panią umieścić w klasie katechizmu razem z miejscowymi dziećmi, ale ostatnia grupa właśnie przystąpiła do pierwszej komunii i nauka zacznie się ponownie dopiero na jesieni. Rozumiem, że chcecie się pobrać za dwa tygodnie.

Ksiądz dostrzegł zranioną rękę Antoine'a i niewinność malującą się na twarzy Beaty. Antoine wyjaśnił wcześniej, że jest Francuzem, a Beata Niemką, że odniósł ranę na wojnie i że nie mają żadnej rodziny oprócz dwojga kuzynów, z którymi mieszkają. Zazaczył, że Beata przyjechała z Niemiec dopiero wczoraj, że pragną uregulować swoją sytuację i nie chcą żyć w grzechu. Od księdza zależało, czy im pomoże, a on się zgodził. Pragnął zrobić dla nich jak najwięcej. Wyglądali na porządnych ludzi i wyraźnie mieli czyste intencje, bo inaczej nie przyszłoby do niego.

– Wejdźcie na chwilę, porozmawiamy o tym – zaproponował. Antoine i Beata weszli za nim do małego, mrocznego pokoju, oświetlonego świecami. Na jednej ścianie wisiał ogromny krucyfiks. W rogu stał ołtarz Matki Boskiej. Ksiądz usiadł za małym, odrapanym biurkiem, a Antoine przysunął dla nich dwa krzesła. Pokój sprawiał raczej ponure wrażenie, lecz w obecności starego, pocziwego, uśmiechniętego księdza Antoine i Beata czuli się swobodnie.

– Czy możesz przychodzić do mnie na godzinę każdego popołudnia, Beato?

W odpowiedzi niepewnie kiwnęła głową. Nie знаła jeszcze swoich obowiązków na farmie i nie wiedziała, czy Antoine znajdzie czas, żeby ją wozić do kościoła. Jeśli nie, czekają ją długie wędrówki, ale była gotowa również i na to.

– Tak, mogę – powiedziała, trochę zniechęcona. Nie bardzo rozumiała, czego ksiądz od niej oczekuje.

– W takim razie możemy chyba przerobić cały katechizm; to jest potrzebne, żeby się nawrócić. Wolałbym mieć więcej czasu, kilka miesięcy, żebyś zrozumiała, czego się uczysz, i na pewno była gotowa przyjąć chrzest. Ale w tym przypadku chyba możemy trochę przyspieszyć. Sama możesz się uczyć, a ja ci powiem, co powinnaś wiedzieć. To ważny krok w twoim życiu, nawet ważniejszy od małżeństwa. Cudownie jest przyjąć Chrystusa.

– Tak – szepnęła. – Wiem.

Antoine spojrzał na nią. Jej oczy wydawały się ogromne w mlecznobiałej twarzy. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie jak teraz, w pokoju oświetlonym świecami.

– A jeśli nie poczuję się gotowa? Jeśli nie będę gotowa na... chrzest...? – Ledwie mogła wymówić to słowo.

– Wtedy oczywiście musicie poczekać, aż będziesz gotowa. Zawsze możecie odłożyć

zawarcie małżeństwa – powiedział łagodnie. – Nie możesz? poślubić katolika, jeśli się nie nawrócisz.

Nawet nie wspomniał, że Antoine mógłby przejść na judaizm albo że mogą wziąć ślub cywilny, nie kościelny. W opinii księdza istniało tylko jedno prawomocne małżeństwo dla katolika: zawarte w katolickim kościele. Beata z kilku słów wypowiedzianych podczas porannej rozmowy domyśliła się, że Antoine też tak uważał. Musiała zrobić dla niego kolejny wielki krok, dokonać kolejnego poświęcenia. Oboje zgodzili się rano, że to niepraktyczne rozwiązanie, żeby Antoine przyjął żydowską wiarę. Nauka zabrałaby mu wiele lat. W okolicy nie było żadnego rabina, żeby go uczył, nawet gdyby Antoine rozważał taką ewentualność. Lecz z powodów praktycznych i innych to nie miało sensu. Za duże wymagania. Beata czuła, że nie ma wyboru, musi się nawrócić, jeśli chce wstąpić w związek usankcjonowany i pobłogosławiony przez religię, w rym przypadku jego religię. Słuchając księdza, stwierdziła, że sama tego chce. Biblia zawsze ją intrygowała. Beata uwielbiała opowieści o Jezusie i fascynowały ją postacie świętych. Może tak właśnie miało być, powiedziała sobie. Chociaż nie znała żadnej innej religii, nigdy nie była tak pewna swej głębokiej więzi z judaizmem. Niemniej gotowa była porzucić swoją wiarę dla Antoine'a i przyjąć katolicyzm. Czuła, że to jej powinność jako jego żony. Ich miłość od początku wymagała poświęceń z obu stron. Teraz Beata uczyniła dla niego kolejną ofiarę.

Gawędzili z księdzem przez pół godziny i Beata obiecała, że wróci jutro po południu. Ksiądz zapewnił, że przygotuje ją do nawrócenia i małżeństwa w ciągu dwóch tygodni. Odprowadził ich i pomachał, kiedy młoda para odjeżdżała. Antoine swobodnie prowadził prawą ręką i opierał palce okaleczonej lewej na kierownicy.

– Co o tym myślisz? – zapytał z troską.

Obawiał się, że wymaga od niej zbyt wiele. Gdyby stanowczo nie chciała się przechrzcić, gotów był się zadowolić cywilną ceremonią. Nie chciał jej zmuszać do niczego wbrew jej przekonaniom. Nie miał pojęcia, jak bardzo jest religijna i przywiązana do żydowskich tradycji. Wiedział, że jej rodzina jest ortodoksyjna, dlatego nawet nie dopuszczali możliwości, żeby Beata poślubiła innowiercę. Ale nie wiedział, jak mocno sama wierzyła i czy będzie cierpiała, jeśli wyrzeknie się dla niego swojej wiary.

– Myślę, że to miły człowiek i nauka z nim będzie bardzo interesująca – odpowiedziała uprzejmie.

Antoine poczuł ulgę, widząc, że nie okazywała gniewu. Wydawała się dziwnie spokojna, jak przy każdym kroku, który musiała uczynić na tej drodze.

– Co myślisz o nawróceniu? Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz, Beato. Możemy po prostu pobrać się w *mairie*. Wyrzekłaś się już dla mnie tak wiele.

Odnosił się do niej z głębokim szacunkiem.

– A ty dla mnie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. A po długiej chwili dodała, wyglądając przez okno: – Chyba wołałabym wziąć ślub w kościele. Zwłaszcza jeśli to dla ciebie dużo znaczy.

Odwróciła się do niego z lekkim uśmiechem, który rozświetlił jej oczy.

– To niezwykle wspaniałomyślnie z twojej strony – powiedział, żałując, że nie może zdjąć ręki z kierownicy, żeby ją objąć. – Kocham cię.

Po kilku minutach coś jeszcze przyszło mu do głowy.

– A nasze dzieci? Chcesz, żeby były katolikami czy żydami?

Takie pytania zadawałoby podczas normalnego narzeczeństwa, lecz w dramatycznych okolicznościach, które ich rozdzieliły, nigdy nie mieli czasu ani sposobności, żeby rozstrzygnąć te kwestie. Beata namyślała się przez chwilę, a potem popatrzyła na Antoine'a z poważnym wyrazem twarzy. Wzięła sobie głęboko do serca wszystko, co się wydarzyło od rana. Podejmowała teraz ważne, życiowe decyzje.

– Myślę, że jeśli zostanę katoliczką jak ty i oboje będziemy wyznawać tę religię, nasze dzieci też powinny być katolikami. Nie uważasz?

Takie rozwiązanie wydawało jej się co najmniej praktyczne. Nigdy nie podzielała żarliwej wiary rodziców. Chodziła do świątyni, żeby im sprawić przyjemność i zadośćuczynić tradycji. I zawsze fascynowała się Biblią. Przypuszczała, że jako żona Antoine'a z czasem poczuje więź z katolicyzmem, przynajmniej miała taką nadzieję.

Antoine przytaknął z wdzięcznością. Oczywiście właśnie dlatego jej rodzice tak gwałtownie sprzeciwiali się ich małżeństwu. Katolickie wnuki stanowiły spełnienie ich najgorszych koszmarów. Lecz Beacie ten pomysł wydawał się sensowny.

– Powstałby zamęt, gdyby każde z nas robiło co innego i wierzyło w co innego. Trochę czytałam i nie jestem pewna, czy nasze wierzenia tak bardzo się różnią.

Antoine nie zaprzeczył. Spokojnie, w poczuciu bliskości dojechali na farmę i wysiedli z samochodu. Antoine objął Beatę ramieniem i weszli do domu na lunch z Zuberami.

Opowiedzieli Waltherowi i Marii o spotkaniu z księdzem, wizycie w urzędzie stanu cywilnego i lekcjach katechizmu Beaty przez następne dwa tygodnie. Beata przeprosiła, że będzie musiała wychodzić codziennie po południu, ale Maria uznała to za wspaniałą nowinę. Martwiła się, co poczną młodzi, odkąd się dowiedziała, że Beata jest Żydówką. Ogromnie ją wzruszyło, że Beata nawraca się z miłości, i tak jej powiedziała, kiedy mężczyźni wyszli i dwie kobiety sprzątały kuchnię.

– To wszystko na pewno wydaje ci się bardzo dziwne – powiedziała ze współczuciem.

Maria była dużą, macierzyńską kobietą, niemającą światowego obycia czy zainteresowań. Mieszkała na farmie, odkąd poślubiła Walthera w wieku dziesiętnastu lat. Kupił tę ziemię dwa lata wcześniej i ciężko pracował. Maria urodziła dzieci, wypełniała swoje obowiązki, kochała męża, chodziła do kościoła. Chociaż dużo czytała i była inteligentna, jej życie stanowiło przykład prostoty, odległy o milion kilometrów od wielkiego, eleganckiego domu, w którym wyrosła Beata, klejnotów i strojów noszonych przez jej matkę i Brigitte. Beata nie mogła ich sobie tutaj wyobrazić. Mimowolnie uśmiechnęła się na myśl, jak różne będą małżeństwa jej i siostry. Ona i Antoine nie zamierzali osiąść na zawsze w Szwajcarii, pragnęli kiedyś wrócić do Francji lub

Niemiec, zależy od tego, która rodzina pierwsza ustąpi i gdzie pojawią się najlepsze możliwości. Antoine nie wiedział, co mógłby robić, gdyby nie wrócił do zarządzania własnym majątkiem w Dordogne. Ale po wojnie, niosącej nieuniknione zmiany, wielu innych ludzi znajdzie się w takiej samej sytuacji. Zaczną nowe życie w nowych miejscach. Tak jak Beata i Antoine.

– Nie dziwne – odpowiedziała spokojnie Marii – po prostu inne. Nie jestem przyzwyczajona do rozłąki z rodziną.

Straszliwie tęskniła za matką. I przez całe życie były nierozłączone z siostrą, ale teraz kiedy Brigitte wyszła za mąż i zamieszkała w Berlinie, wszystko i tak musiało się zmienić. Najbardziej cierpiała z powodu dramatycznego zerwania z rodziną. To wspomnienie wciąż bolało jak otwarta rana i miało boleć jeszcze przez wiele lat, jak się domyślała Maria. Miała nadzieję, że rodziny Antoine’a i Beaty w końcu odzyskają rozsądek i wybaczą młodej parze. Zdawała sobie sprawę, że będzie im trudno, jeśli rodzice nigdy nie zaakceptują ich małżeństwa. Tymczasem Walther i Maria z radością zastąpią im rodziców. Obecność młodej pary była błogosławieństwem również dla Zuberów.

– Czy ty i Antoine chcecie szybko mieć dzieci? – zapytała Maria z ciekawością.

Beata splonęła rumieńcem i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, że jest jakiś wybór w tej kwestii. Zawsze myślała, że dzieci zjawiają się, kiedy nadchodzi ich pora. A jeśli istniały sposoby, żeby temu zapobiec czy zmienić naturalny bieg rzeczy, nigdy o nich nie słyszała. I nie знаła Marii dostatecznie dobrze, żeby zapytać.

– Chyba tak – odpowiedziała cicho, z zakłopotaniem, wstawiając ostatnie czyste naczynia do kredensu – jeśli taka będzie wola boska.

Zastanowiła się, czy Brigitte też wkrótce będzie miała dzieci. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Brigitte z dzieckiem, Brigitte, która sama była jeszcze dzieckiem, nawet w wieku osiemnastu lat. Mając dwadzieścia jeden lat, Beata ledwie mogła udźwignąć odpowiedzialność związaną z małżeństwem i macierzyństwem. Trzy lata wcześniej nie zrobiłaby czegoś takiego. Lecz pomimo bolesnych początków czuła, że jest gotowa podjąć wyzwanie. Zaczynał się podniecający okres dla nich obojga.

– Cudownie by było mieć tutaj dziecko – rzuciła pogodnie Maria, nalewając herbaty.

Prawie nie widywała własnych wnuków, bo mieszkały tak daleko, a ona i Walther właściwie nie mogli opuszczać farmy. Obecność Antoine’a i Beaty rozgrzewała jej serce, a może pewnego dnia pojawi się dziecko, jeśli jeszcze tu będą. Oczy Marii zaświeciły na tę myśl. Beata nawet nie brała tego pod uwagę, teraz chciała tylko odbyć lekcje katechizmu w pobliskim kościółku i poślubić Antoine’a za dwa tygodnie. Co dalej, nie wiedziała. Wiedziała tylko, że bardzo go kocha. I nie żałowała niczego, co dla niego zrobiła lub poświęciła. Maria i Walther szanowali ją głęboko za lojalność wobec Antoine’a. Imponowała im i podziwiali jej determinację. I siłę jej miłości. Maria z każdym dniem czuła się jej bliższa. Oboje zawsze lubili Antoine’a, chociaż rzadko go widywali w ostatnich latach, więc łatwo podjęli decyzję, kiedy zapytał, czy mogą u nich zamieszkać z Beatą. Maria żałowała tylko, że z powodu ich narodowości nie mogą tu zostać

na zawsze. Wcześniej czy później, kiedy wojna się skończy, szwajcarski rząd każe im wyjechać. Szwajcaria udzieliła im azylu, lecz kiedy w ich krajach znowu zapanuje pokój, będą musieli tam wrócić. Lecz biorąc pod uwagę sytuację na świecie po dwóch latach wojny, kto wie, kiedy to nastąpi. Tymczasem znaleźli bezpieczne schronienie tu w górach.

Beata stwierdziła, że lekcje z ojcem Andre są fascynujące. Przypominały jej trochę własne studia nad Biblią. Jego nauki były bardziej nastawione na katolicyzm. Uczył ją o stacjach męki krzyżowej, o Matce Boskiej, Świętej Trójcy, uczył ją modlitw i odmawiania różańca. Objasniał jej sakramenty i znaczenie komunii. A podczas nauki Beata zadawała mu pytania świadczące o jej wielkim zaangażowaniu intelektualnym. Chrześcijańskie idee i koncepcje nie budziły w niej sprzeciwu ani odrazy. Często wyjaśniała księdzu intrygujące podobieństwa z religią jej dzieciństwa. Miała błyskotliwy umysł, głębokie poszanowanie dla religii i filozofii oraz dobre, kochające serce. Podczas dwóch tygodni spędzonych na intensywnych studiach religijnych ksiądz ogromnie ją polubił. Codziennie przynosiła mu coś z farmy, razem z pozdrowieniami od Zuberów. Nawet go rozśmieszyła, opowiadając, jak uczyła się doić krowy. Sama śmiała się jeszcze bardziej każdego ranka, kiedy wyobrażała sobie Brigitte na swoim miejscu. Siostra prędzej by zemdląła. Tylko wspomnienie matki pozostało wciąż jednakowo bolesne. I tęskniła też za ojcem pomimo jego nieugiętego stanowiska wobec małżeństwa z Antoine'em. I nieustannie martwiła się o bezpieczeństwo braci. Chociaż opuściła rodzinę i ściągnęła na siebie gniew ojca, nadal ich kochała. Nawet nie czuła do nich żalu, tylko tęskniła za nimi. Zwierzyła się z tego ojcu Andre, który był pod wrażeniem jej zdolności do współczucia i wybaczenia. Nie miała im za złe, że właściwie wyrzucili ją z domu. Najwyższy komplement otrzymała pewnego popołudnia, kiedy jej powiedział, że gdyby nie urodziła się Żydówką i nie przygotowywała się do małżeństwa, mogłaby zostać wspaniałą zakonnica. Antoine'a wcale to nie zachwyciło, kiedy opowiedziała mu o tym wieczorem.

– Dobry Boże, mam nadzieję, że on nie próbuje cię zwerbować! Mam wobec ciebie inne plany.

Nagle zrobił się bardzo zaborczy.

– Ja też. Ale miło, że tak powiedział.

Beata czuła się pochlebiona. To była wielka pochwała w ustach starego księdza, jak przyznała Maria.

– Miło czy niemiło, wszystko jedno – burknął Antoine, wciąż nieco zdenerwowany. – Nie chcę żadnych zakonnice w rodzinie. Zawsze uważałem, że mają smutne życie. Ludzie powinni się pobierać i mieć dzieci.

– Może nie wszyscy. Nie każdy nadaje się do małżeństwa i dzieci – zauważyła Beata zgodnie z prawdą.

– No, ale cieszę się, że ty się nadajesz. – Antoine przechylił się przez stół i pocałował ją, co wywołało uśmiech na twarzy Marii.

Pracował ciężko na farmie z Waltherem i kiedy Beata wieczorami zmieniała mu opatrunki,

zauważyła, że stan ramienia się poprawia. Rana się goiła, chociaż ręka wciąż była sztywna i nie tak sprawna, jak – miał nadzieję – w przyszłości. Lecz radził sobie doskonale, nawet z jedną zdrową ręką. Dla Beaty był równie piękny jak zawsze. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, kiedy ją pocałował. Trochę ją krępowało, kiedy mówił o dzieciach; przypominało jej o nowych odkryciach, które na nią czekały.

Rankiem w dniu chrztu Beaty, po drodze do kościoła, Marią, Antoine i Beata wstąpili do *mairie*. Poważny urzędnik odprawił krótką cywilną ceremonię, legalny wstęp do kościelnego ślubu, wyznaczanego na następnny dzień.

Później, w drodze do kościoła, Beata dziwnie się czuła, wiedząc, że w oczach prawa już jest żoną Antoine'a, a w oczach Boga stanie się nazajutrz. Maria i Antoine uczestniczyli w chrzcie Beaty. Walther nie mógł przyjść z powodu nawału pracy na farmie. Ceremonia była krótka i prosta. Beata wygłosiła wyznanie wiary i przysięgła wierność Kościołowi katolickiemu. Antoine i Maria wystąpili w roli rodziców chrzestnych, ślubowali w jej imieniu wyrzec się diabła, podtrzymywać w niej wiarę i pomagać jej w przyszłości. Po chrzcie Beata po raz pierwszy przyjęła komunię i płakała, kiedy ojciec Andre podał jej opłatek. To wszystko znaczyło dla niej dużo więcej, niż się spodziewała, znacznie więcej niż wcześniejsze doświadczenia z judaizmem. Zawsze uważała nabożeństwa w synagodze za straszliwie nudne. Siedzieli tam godzinami i zawsze ją złościło, że mężczyźni są oddzieleni od kobiet. Przeszkadzało jej również, że nie ma kobiet rabinów, co uważała za ogromnie niesprawiedliwe. Ojciec rozgniewał się na nią, kiedy mu to powiedziała, i oświadczył surowo, że tak ma być. Z rozczarowaniem dowiedziała się, że nie ma również kobiet księży. Ale przynajmniej były zakonnice.

Brigitte również uważała ortodoksję za zbyt restrykcyjną i wyznała przed ślubem, że kiedy przeprowadzi się do Berlina z Heinrichem, nie zamierza więcej przestrzegać ortodoksyjnej diety, skoro jej mąż i jego rodzina nie przestrzegali. Ale nie odważyła się tego powiedzieć rodzicom. Uważała, że sztywne koszerności zasady są głupie. Beata nigdy nie myślała w ten sam sposób, ale również nie zgadzała się z wieloma rzeczami w judaizmie. Ku jej zdumieniu nagle spodobał jej się pomysł nawrócenia na katolicyzm. Dzięki temu jeszcze bardziej zbliżyła się do Antoine'a i osiągnęli jeszcze większą harmonię. Nawet łatwo jej przyszło uwierzyć w koncepcję cudów, jak niepokalane poczęcie i narodziny Jezusa z dziewicy. Czuła się inaczej, lekko, jakby odrodzona, kiedy wyszła z kościoła jako katoliczka. Promieniała i uśmiechała się radośnie do Antoine'a. Cywilny ślub i chrzest sprawiły, że był to wyjątkowy dzień.

– Nadal żałuję, że nie chcesz zostać zakonnica – ojciec Andre droczył się z nią dobrotliwie. – Myślę, że jeszcze trochę nauki i z czasem odkryłabyś swoje powołanie.

Antoine niemal wpadł w panikę.

– W takim razie cieszę się, że mieliście tylko dwa tygodnie – powiedział serio. Śmiertelnie się przestraszył, że mógłby stracić narzeczoną, o którą tak ciężko walczył. Wiedział jednak, że ksiądz chciał dobrze.

Wychodząc z kościoła, obiecali, że wrócą nazajutrz na ślub. Dokumenty mieli w porządku.

Ślub cywilny dał im prawo do zawarcia małżeństwa również w kościele. Tego wieczoru, po uroczystym obiedzie z okazji przejścia na katolicyzm, Beata wcześniej poszła do swojego pokoju. Miała spędzić ostatnią samotną noc w łóżku, które po ślubie będzie dzieliła z Antoine'em. I wciąż czekała ją praca nad sekretnym projektem. Nie przywiozła z Niemiec żadnej sukni odpowiedniej na ślub. Miała tylko praktyczne rzeczy, odpowiednie do pracy na farmie. Ale Maria podarowała jej dwa piękne koronkowe obrusy, które sama dostała od babki. Przez lata wytarły się w paru miejscach, ale Beata oświadczyła, że to bez znaczenia. Jeśli nie uczyła się do chrztu, nie doła krów i nie pomagała Marii w kuchni, szyla gorączkowo w swoim pokoju. Suknia ślubna uszyta z dwóch obrusów była prawie gotowa. Beata zdołała wykroić i udrapować koronki na piersiach i ramionach i zostało jej trochę materiału na nieduży welon. Ponieważ była niewysoka, suknia miała nawet mały tren. Beata zrobiła małe plisy na biuście i wyszyła je w stan. Suknia była dopasowana w talii, ze spódnicą lekko rozszerzaną jak dzwon, ozdobioną aplikacjami z resztek zniszczonej koronki. Wszystkie przetarte i rozdarte miejsca zostały wycięte. Suknia stanowiła dzieło sztuki. Nawet Maria nie widziała jej skończonej, chociaż nie mogła się już doczekać. Spodziewała się czegoś prostego, jakiegoś raczej niezgrabnego fasonu. Ostatecznie niewiele można zrobić z dwóch obrusów, myślała. Nie miała pojęcia o zdolnościach Beaty i subtelnej sztuce krawieckiej.

Antoine zgodził się pójść piechotą do kościoła godzinę przed ślubem, więc nie widział Beaty, kiedy wyszła z pokoju. Chciała mu zrobić niespodziankę, kiedy przejdzie nawą starożytnego kamiennego kościoła do ołtarza. Nie miał pojęcia, co robiła wieczorami, kiedy wcześniej zamykała się w swoim pokoju. Sądził, że jest po prostu wyczerpana surowym życiem na farmie. Nawet Maria nie wiedziała, że Beata niejedną noc spędziła przy igle aż do świtu, a następnego dnia wypełniała swoje obowiązki jakby nigdy nic, żeby skończyć suknię na czas. Suknia ślubna była najpiękniejszą rzeczą, jaką dotąd uszyła, godną paryskiej kolekcji, i gdyby została wykonana z jedwabiu lub satyny zamiast cienkiego lnu i ręcznie robionej koronki, nadawałaby się na najwspanialszy ślub. A taki był ten ślub dla Beaty. Nawet uszyta z cienkiego białego lnu wyglądała przepięknie i w pewnym sensie lepiej pasowała do małego górskiego kościółka. Maria wydała okrzyk na jej widok.

– O mój Boże, dziecko... skąd masz tę suknię? Czy Antoine zabrał cię do Lozanny?

– Ależ skąd. – Beata roześmiała się z podniecenia, widząc, jakie wrażenie zrobiła na swojej matce chrzestnej. Starsza kobieta popatrzyła na nią i wybuchnęła płaczem. – Zrobiłam ją z obrusów, które mi dałaś. Pracowałam nad nią każdej nocy przez dwa tygodnie.

– Niemożliwe. Ja nie zrobiłabym czegoś takiego przez dwa lata! Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego jak ta suknia. Beata wyglądała jak księżniczka z bajki, jak najpiękniejsza panna młoda pod słońcem.

– Gdzie się nauczyłaś tak szyć?

– To zabawa. Szylałam stroje dla matki i siostry i zawsze wołałam sama szyć sobie suknie, niż kupować. – W ten sposób nosiła to, co chciała, zamiast fasonów zaprojektowanych przez kogoś



innego.

– Ale nie taką suknię. – Maria okręciła Beatę dookoła, podziwiając tren i welon. Nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. – Zaczekaj, aż Antoine cię zobaczy... padnie trupem na miejscu z wrażenia.

– Mam nadzieję, że nie – zaprotestowała Beata, ale cieszyła się z efektu. Nawet Walther zdumiał się na jej widok. Pomógł Marii starannie ułożyć suknię i tren na tylnym siedzeniu samochodu. Maria jechała z przodu. Beata miała lekkie wyrzuty sumienia, że kazała Antoine'owi iść piechotą do kościoła, ale nie chciała, żeby wcześniej zobaczył suknię. Rano ukrywała się w pokoju, dopóki nie wyszedł, żeby jej nie zobaczył, bo to przynosi pecha. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to dzień jej ślubu. Kiedy się ubierała, płakała z tęsknoty za matką. Nigdy nie myślała, że wyjdzie za mąż bez matki przy boku ani bez ojca, który odda ją mężowi.

Walther i Maria dostarczyli też obrączki, proste i dosyć wytarte. Walther dał Antoine'owi obrączkę ślubną swojego ojca, którą przechowywał w pudełku. Pasowała idealnie na zranioną lewą dłoń Antoine'a. Walther miał ją w kieszeni razem z obrączką prababki Marii, wąskim złotym kółkiem wysadzonym małymi brylancikami. Obrączka była tak mała, że żadna kobieta w rodzinie nie mogła jej nosić. Pasowała na Beatę jak robiona na zamówienie. Po wewnętrznej stronie wygrawerowano słowa: *Mon coeur à toi*, „moje serce dla ciebie”. Wyglądała na bardzo znoszoną.

W geście wielkoduszności Walther i Maria zostali na noc u przyjaciół w pobliżu, żeby nowożeńcy mieli dom dla siebie. Walther schodził butelkę szampana, którą przechowywał od lat, jeszcze z wesela własnego syna. Maria zostawiła dla nich małą weselną ucztę ze smakołyków, które razem przygotowali. Tylko tyle mogła dla nich zrobić i zrobiła to z miłością. Pragnęła, żeby ten dzień był dla nich jak najpiękniejszy, ponieważ żadne z nich nie miałyby takiego ślubu, gdyby zostali z rodzinami we własnych światach. Oboje wiedzieli, że chociaż tyle stracili, zyskali w zamian coś więcej i mieli siebie. To im wystarczyło, chociaż nie mogli nie myśleć o tych, których porzucili, zwłaszcza dzisiaj.

Miejscowi właśnie wychodzili z kościoła po mszy, kiedy nadjechała Beata z Zuberami. Antoine czekał na probostwie, jak go prosiła Beata. Ludzie wychodzący z kościoła zatrzymywali się i wydawali okrzyki zachwytu na widok wspaniałej sukni i prześlicznej panny młodej. Wyglądała jak księżniczka z bajki, z długimi ciemnymi włosami pod koronkowym czepeczkiem, mlecznobiałą skórą i wielkimi niebieskimi oczami. Nigdy nie widziano takiej panny młodej w tej parafii. Nawet ojciec Andre zaniemówił i musiał przyznać, że ładniejsza z niej oblubienica niż zakonnica. Oświadczył, że nigdy nie widział piękniejszej panny młodej. Oczy mu błyszczały kilka minut później, kiedy wprowadzał Antoine'a do kościoła i zapowiadał, że czeka na niego zachwycająca niespodzianka. Antoine nie potrafił odgadnąć, o co chodzi, dopóki organista nie zagrał muzyki wybranej przez niego i Beatę. Wtedy zobaczył, jak Beata powoli wchodzi do kościoła, wsparta na ramieniu Walthera. Stapała z gracją młodej królowej, ledwie dotykając stopami podłogi. Nosila jedyne wieczorowe pantofelki, jakie ze sobą zabrała, odpowiednie w

kolorze kremowe satynowe czółenka ze sprzączkami ozdobionymi kryształem górskim. Lecz nie przygotowało Antoine'a na suknię. Zastanawiał się, co włoży narzeczona, i kiedy ją teraz zobaczył, pomyślał, że przywiozła ze sobą ślubną suknię z Kolonii. Suknia wyglądała jak uszyta w Paryżu przed wojną. Zaraz jednak skupił swoją uwagę na Beacie. Popatrzył jej głęboko w oczy. Obojgu łzy spływały po policzkach. Maria uniosła welon z cienkiej koronki i zobaczyła, że na twarzy Beaty widnieją łzy radości i szczęścia. Nigdy nie widziała piękniejszej młodej kobiety.

Beata rozplakała się ponownie, kiedy składali przysięgę małżeńską. Ręce jej się trzęsły, kiedy Antoine wsunął jej obrączkę na palec. Potem sama nałożyła mu ostrożnie obrączkę, żeby go nie urazić. Nigdy w życiu nie była równie szczęśliwa, kiedy wziął ją w ramiona i pocałował, a ksiądz ogłosił ich mężem i żoną. Antoine niechętnie wypuścił ją z objęć i wyszli z kościoła na letnie słońce. Kilku ludzi z pobliskich farm zaczęło po mszy przed kościołem, żeby jeszcze raz zobaczyć piękną pannę młodą. Nikt, kto ją widział, nie zapomniał tego do końca życia, zwłaszcza Antoine.

Zuberowie i ksiądz zjedli z nimi lunch, a potem odwieźli księdza z powrotem do kościoła, w drodze do przyjaciół. Beata i Antoine stali w drzwiach domu, kiedy tamci odjeżdżali. Potem odwrócili się do siebie, nareszcie sami. To nieczęsto się zdarzało, odkąd mieszkali z Waltherem i Marią ale teraz przynajmniej będą sami w nocy. A dzisiaj mieli cały dom dla siebie, wspaniały prezent od starszej pary. Ta noc we dwoje w małym domku wśród Alp miała być ich całym miesiącem miodowym, ale nie chcieli nic więcej. Oboje potrzebowali tylko siebie nawzajem. I wiedzieli, że nigdy nie zapomną tego magicznego dnia.

Antoine z zachwytem spoglądał na Beatę w popołudniowym słońcu. Wciąż miała na sobie ślubną suknię i żałował tylko, że nie mogła jej zawsze nosić. Włożyła mnóstwo pracy w strój, którym mogła się chwalić tylko przez parę godzin. Taki już los weselnych strojów. Lecz żadna inna oblubienica nie uszyłaby lepszego. Wciąż podziwiając suknię, leżącą idealnie na smukłej figurze żony, Antoine wszedł za nią do domu.

Siedzieli i rozmawiali cicho przez chwilę w bawialni, a potem Antoine nalał im po kieliszku szampana. Upłynęło tak wiele czasu, odkąd Beata piła szampana – ostatnio na weselu siostry – że kiedy wzniesli toast, zakręciło jej się w głowie. Trudno im było uwierzyć, jak bardzo zmieniło się ich życie w ciągu zaledwie paru tygodni. Przed miesiącem Beata nawet sobie nie wyobrażała, że zamieszka na farmie w Szwajcarii i zostanie żoną Antoine'a. Oboje doczekali się spełnienia marzeń, chociaż najpierw musieli przejść przez koszmar. Ale przebyte cierpienia już się zacierały w ich wspomnieniach. Pozostała tylko wspólna przyszłość.

Słońce zaczęło się zniżać, więc Beata zaproponowała, że poda obiad, który zostawiła dla nich Maria. Przez całe popołudnie rozmawiali i trzymali się za ręce. Żadnemu nie spieszyło się do skonsumowania związku. Antoine nie chciał przestraszyć Beaty. Wiedział, że to dla niej duże przeżycie, i chciał jej to ułatwić. Nie musieli się spieszyć. Ale żadne z nich nie miało apetytu na obiad. O zachodzie słońca siedzieli w bawialni i całowali się, a szampan zaczynał na nich działać. Nagle ogarnęła ich namiętność i nie mogli się dłużej powstrzymać. Czekali na tę

chwile przez jedenaście miesięcy. Był pierwszy lipca, a oni spotkali się zeszłego roku w sierpniu. Wydawało się, że minęły wieki, odkąd Antoine wpadł na Beatę nad jeziorem. A teraz byli małżeństwem. Spełniło się wszystko, o czym marzyli i czego pragnęli od pierwszej chwili.

Pomimo zranionego ramienia Antoine zdołał wziąć Beatę na ręce w ślubnej sukni i zaniósł ją ostrożnie do ich sypialni, obok pokoju Walthera i Marii. Położył ją delikatnie na łóżku i zaczął powoli rozbierać. Nie wiedział, czy pozwoli mu na siebie patrzeć, ona jednak nie okazywała strachu ani wstydu. Po kilku chwilach suknia leżała starannie złożona na jedynym krześle w pokoju, a on powoli zdejmował delikatną satynową bieliznę z koronkami, którą uszyła wiele miesięcy wcześniej i przywiozła ze sobą. Zaparło mu dech, kiedy na nią spojrział. Wyglądała jak idealna porcelanowa laleczka. Zaczął ją całować, a wtedy ona drżącymi palcami zaczęła go rozbierać. Nie wiedziała, co ma robić ani czego od niej oczekiwał. Miała niejaki pojęcie o fizycznej miłości wyniesione z rozmów z Brigitte, ale nie dorównywała pod tym względem młodszej siostrze, którą zawsze bardziej interesowały sprawy męsko-damskie. Zamiast wyrafinowania Beata wniosła do tego związku niewinność i miłość, a kiedy Antoine wziął ją w ramiona i zaczął się z nią kochać, odnalazła namiętność i spełnienie, o jakich nigdy nawet nie marzyła. On był łagodny i czuły, a potem leżał obok niej w łóżku i obejmował ją, przesuwając palcami po jej doskonałych kształtach. Tamtej nocy rozmawiali przez wiele godzin i znowu się kochali, i tym razem było nawet lepiej.

Wreszcie o północy, wygłodzeni jak wilki, pochłonęli ucztę, którą zostawiła dla nich Maria. Antoine twierdził, że nigdy w życiu nie był taki głodny. Beata chichotała, ubrana w szlafrok, który Maria podarowała jej w prezencie ślubnym. Siedzieli nago pod szlafrokami w kuchni Zuberów. Antoine pocałował żonę pożądliwie, zsunął szlafrok z jej ramion i podziwiał jej urodę. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, podobnie jak Beata. W noc poślubną nie doznali żadnego rozczarowania. Beata, obgryzając radośnie kości z kurczaka, popatrzyła na niego pytająco.

– Myślisz, że dzisiaj poczęliśmy dziecko? Zakładam, że tak to się robi, chyba że jeszcze czegoś mi nie pokazałeś.

Nagle poczuła się bardzo dorosła, odkąd poznała tyle tajemnic. Antoine uśmiechnął się do niej.

– Możliwe. Czy tego chcesz, Beato? Nie za szybko?

– A jeśli tak? – zapytała z ciekawością.

– Jeśli wolisz zaczekać, po dzisiejszej nocy możemy zrobić pewne rzeczy, żeby do tego nie dopuścić.

Wolał tego nie robić, ale nie chciał jej denerwować. Jeśli nie chciała od razu zająć w ciąży, gotów był zaczekać. Nade wszystko pragnął ją zadowolić i uszczęśliwić przez resztę życia.

– Nie chcę czekać – odparła łagodnie i nachyliła się, żeby go pocałować. – Teraz chcę tylko naszego dziecka.

– Więc zobaczmy, co się da zrobić.

Zrobili już dobry początek. Posprząтали, pozmywali naczynia i odstawili do kredensu. Antoine nalał po ostatnim kieliszku szampana – prawie już skończyli butelkę. A potem zabrał Beatę z powrotem do łóżka i kochał się z nią jeszcze raz. Dla obojga to była idealna noc poślubna. Kiedy słońce weszło nad Alpami, Beata westchnęła jak dziecko i zasnęła w jego ramionach, kochając go bardziej, niż kiedykolwiek marzyła.

## Rozdział 5

Ślub Beaty i Antoine'ego pozostał czarodziejskim wspomnieniem nie tylko dla nich, ale także dla wszystkich obecnych. O sukni ślubnej opowiadano na wsi miesiącami. Maria pomogła Beacie starannie zapakować suknię do pudła wyłożonego bibułą. Beata zasuszyła kilka kwiatów ze swojego ślubnego bukietu. Po namyśle postanowiła napisać do matki i siostry. Wiedziała, że Brigitte jest teraz w Berlinie; pragnęła jej opowiedzieć o swoim cudownym ślubie i zapewnić, że wciąż ją kocha. Chciała zawiadomić matkę, że czuje się dobrze i żałuje, że rozstały się w tak okropny sposób, że myśli o niej codziennie i że tęskniła za nią w dniu ślubu.

Dwa tygodnie po wysłaniu listy wróciły do niej nieotwarte. Ten do Brigitte nie miał żadnego osobistego dopisku, tylko pieczętkę ADRESAT NIEZNANY. Widocznie nawet mieszkając w Berlinie, Brigitte nie chciała się sprzeciwiać ojcu. A list do matki zwrócono z adnotacją starannym pismem ojca, nakazującą odesłanie listu do nadawcy. Nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Płakała po cichu przez dwa dni, zanim przyznała się Antoine'owi.

– To jeszcze świeże – powiedział cicho. – Daj im trochę czasu. Możesz napisać znowu za kilka miesięcy. Wtedy wszystko się uspokoi – zapewnił.

Sam nie napisał do rodziców, bo wciąż złościła go ich postawa. I nie tęsknił również za bratem. Ale był starszy od Beaty i znacznie bardziej rozgniewany.

– Nie znasz mojego ojca – powiedziała Beata żałośnie. – On mi nigdy nie przebaczy. Powiedział, że on i mama odprawią za mnie sziwę.

Wyjaśniła mężowi, że to oznacza czuwanie przy zmarłych, co głęboko nim wstrząsnęło.

– Chciałam tylko zawiadomić mamę i Brigitte o ślubie i przesłać ucałowania.

Nie ośmieliłaby się napisać do ojca. Lecz nawet kobiety z rodziny nie odpowiedziały na jej listy. Za bardzo bały się go i szanowały, żeby mu się sprzeciwić. Tylko ona zdobyła się na tyle odwagi. I wiedziała, że ojciec nigdy jej tego nie wybaczy. Miała nadzieję, że inni kiedyś przebaczą.

Antoine starał się ją pocieszyć i kochali się każdej nocy, jak przystało na nowożeńców. Zachowywali się jak najciszej, żeby nie przeszkadzać Zuberom, ale nie dało się ukryć, że mieszkali bardzo blisko, tak blisko, że w sześć tygodni po ślubie Maria usłyszała, jak Beata wymiotuje wcześniej rano w łazience.

– Nic ci nie jest?! – zawołała zaniepokojona przez drzwi.

Mężczyźni wyszli z domu o świcie i kobiety były same. Beata właśnie chciała pójść wydoić krowy, kiedy ogarnęła ją fala mdłości. Dziesięć minut później weszła do kuchni i usiadła, zielona na twarzy.

– Przepraszam. Widocznie coś mi zaszkodziło. Antoine nazbierał wczoraj dla mnie mnóstwo jeżyn. Już w nocy było mi niedobrze – wyjaśniała Beata. Najwyraźniej czuła się okropnie. – Nic nie mówiłam, żeby mu nie robić przykrości.

– Jesteś pewna, że to przez jeżyny? – zapytała łagodnie Maria.

Wcale jej nie dziwiła niedyspozycja Beaty. Więcej, napełniła ją nadzieją.

– Chyba tak.

Maria zadała młodej kobiecie jeszcze kilka istotnych pytań i śmiała się z niewinnych odpowiedzi.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, moja droga, jesteś w ciąży.

– Naprawdę? – zdumiała się Beata, co jeszcze bardziej rozbawiło Marię.

– Tak myślę. Może zaczekasz, aż się upewnisz, zanim powiesz mężowi. Nie miało sensu niepokoić go bez potrzeby czy budzić w nim nadzieję.

Mężczyźni dziwnie reagowali na takie rzeczy, jak wiedziała Maria z doświadczenia. Lepiej im powiedzieć, jak już się miało pewność.

– A kiedy to będzie? Kiedy zdobędę wystarczającą pewność, żeby mu powiedzieć?

– Za tydzień czy dwa, jeśli nic więcej się nie stanie i dalej będziesz się marnie czuła.

Wkrótce sama się przekonasz.

Beata uśmiechała się do siebie, idąc wydoić krowy. Po południu czuła się tak wyczerpana, że wypełniwszy swoje obowiązki, wróciła do domu i spała dwie godziny przed obiadem.

– Czy Beata dobrze się czuje? – zapytał Marię zatroskany Antoine, kiedy wrócił do domu.

Jego żona zwykle tryskała energią, a teraz tylko spała. Zastanawiał się, czy to dlatego, że kochał się z nią po nocach i nie pozwalał jej zasnąć, ale leżąc obok niej, nie potrafił utrzymać rąk przy sobie.

– Nic jej nie jest. Przez cały dzień była na słońcu. Kazałam jej nazrywać owoców – odparła Maria dyskretnie.

Chociaż ostatnio Beata cierpiała na mdłości i napady senności, pracowała jednak ciężko i była prawdziwą wyręką dla starszej kobiety.

Po dwóch tygodniach Beata sama nabrała pewności, że jest w ciąży, ponieważ nic nie wskazywało inaczej. Zresztą nawet na tak wczesnym etapie nie mogła dopiąć sukienki w talii. I ciągle ją mdlilo. Pewnego niedzielnego popołudnia wracała piechotą z kościoła z Antoine'em. Uśmiechnęła się do niego tajemniczo, a on odpowiedział promiennym uśmiechem, zastanawiając się, o czym ona myśli. Życie obok Beaty stanowiło dla niego nieustanną, rozkoszną tajemnicę.

– Wyglądasz jak kobieta, która coś ukrywa – powiedział, uśmiechając się do niej z dumą. Małżeństwo z nią i snucie wspólnych planów na przyszłość sprawiało mu ogromną radość.

– Wyznam ci mój sekret – powiedziała cicho, wsuwając mu dłoń pod ramię. Postanowili wracać spacerem z kościoła, zamiast jechać samochodem, ponieważ pod koniec sierpnia wciąż panowała piękna pogoda. O ile prawidłowo wyliczyły razem z Marią, Beata była w drugim miesiącu ciąży. Miała pewność, że zaszła w ciążę podczas nocy poślubnej, ale Antoine nic nie podejrzewał.

– Mamy dziecko – oznajmiła, podnosząc na niego oczy pełne zachwyty.

Antoine przystanął.

– Mówisz poważnie? Jak to się stało? – zapytał zdumiony.

Zaśmiała się do niego.

– No, wytłumaczę ci, kiedy wrócimy do domu, a najlepiej ci pokażę, żebyś sobie przypomniał – droczyła się z nim wesoło.

On też się roześmiał, bo zrobiło mu się trochę głupio.

– Nie o to pytałem, chociaż w każdej chwili chętnie sobie przypomnę, madame de Vallerand – zapewnił. Uwielbiał wymawiać jej nowe nazwisko, podobnie jak ona. Doskonale do niej pasowało. – Chodziło mi o to, kiedy i skąd wiesz, i czy jesteś pewna, i kiedy się urodzi? – A potem nagle się zaniepokoił. – Czy powinnaś chodzić?

– Wolisz mnie zanieść do domu? – zapytała słodko i zachichotała. – Czuję się dobrze, chociaż ostatnio mam trochę mdłości, ale Maria mówi, że to normalne. Pamiętam historie o dziewczynach, które strasznie chorowały przez kilka miesięcy. Nie mogły nawet wychodzić z sypialni.

Lecz w zdrowym górskim powietrzu i przy spokojnym trybie życia mdłości powinny wkrótce minąć. Beata już czuła się trochę lepiej. Pierwsze tygodnie rzeczywiście dały jej się we znaki. Teraz jednak była tak przejęta i rozradowana, że niczym się nie przejmowała.

– Myślę, że to się stało w naszą noc poślubną, co znaczy, że będziemy mieli uroczego dzidziusia na początku kwietnia. Może na Wielkanoc.

Z przyzwyczajenia o mało nie powiedziała Paschę, ale zdążyła się poprawić. W religii katolickiej to był czas odrodzenia i zmartwychwstania, co jej idealnie odpowiadało. Przyjemnie będzie wprowadzić dziecko prosto w lato, zamiast je otulać i chować w domu przez zimę. Doskonale wybrała sobie termin.

Antoine szalał z radości. Kazał jej zwolnić i nie stąpać tak mocno. Gdyby mu pozwoliła, zaniósłby ją do domu na barana. Widział, że trochę się martwił. Nie wiedział, czy wciąż może się z nią kochać i czy nie zrobi jej krzywdy. Zapewniła go, że wszystko jest w porządku i mogą dalej normalnie współżyć.

Lecz przez następne miesiące Antoine nie spuszczał oka z żony. Wracał do domu jak najczęściej, żeby sprawdzić, jak ona się czuje, i wyręczał ją w większości obowiązków, chociaż zapewniała, że nie ma takiej potrzeby.

– Antoine, nie musisz tego robić, nic mi nie jest. Dobrze mi zrobi trochę ruchu i wysiłku.

– Kto tak powiedział?

W końcu zabrał ją do lekarza w Lozannie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Lekarz zapewnił oboje, że wszystko przebiega tak, jak powinno. Beata żałowała tylko, że nie może podzielić się nowiną ze swoją matką. Spróbowała wysłać jeszcze jeden list, który wrócił do niej tym razem jeszcze szybciej. Została całkowicie odcięta od rodziny. Teraz miała tylko Antoine'a i Zuberów, i za kilka miesięcy swoje dziecko.

W okolicach Gwiazdki, prawie po sześciu miesiącach, Beata bardzo się zmieniła. Była tak drobnej budowy, że brzuch z rosnącym dzieckiem doczepiony do jej smukłej figury sprawiał wrażenie znacznie bardziej zaawansowanej ciąży. Pod koniec stycznia wyglądała tak, jakby

miała urodzić lada chwila, i Antoine prawie nie wypuszczał jej z domu. Bał się, żeby się nie pośliznęła na lodzie i nie poroniła. W nocy uwielbiał leżeć obok niej i czuć, jak dziecko kopie. Spodziewał się chłopca i Beata też miała taką nadzieję, ale Antoine twierdził, że to dla niego bez znaczenia. Po prostu przypuszczał, że to chłopiec, bo był taki ogromny. Beata była zdrowa i pogodna, ale ledwie mogła się ruszać. Uszyła sobie ubrania pasujące na zdeformowaną figurę i jak zawsze zadziwiła Marię swoim krawieckim talentem. Uszyła kilka bluzek, spódnic i sukienek ze starych kawałków materiału i nawet bardzo stylowy płaszcz z czerwonej końskiej derki w szkocką kratę, którą dał jej Walther. Wyglądała młodo, zdrowo i pięknie. A kiedy w niedzielę chodziła do kościoła, ojciec Andre patrzył na nią z przyjemnością.

Antoine najbardziej się martwił, kto odbierze dziecko. Myślał, żeby zawieźć Beatę do Genewy lub Lozanny, żeby poród odbył się w szpitalu, ale po prawdzie nie mógł sobie na to pozwolić. W odległości pięćdziesięciu kilometrów mieszkał lekarz, ale nie miał telefonu, podobnie jak Zuberowie, więc kiedy nadejdzie czas, nie będą mogli go zawiadomić. Jazda tam i powrotem trwałaby pewnie dłużej niż sam poród. Beata twierdziła, że wcale się nie martwi. Maria urodziła swoje dzieci w domu, a kiedy jej córka miała rodzić, pojechała do niej do Francji. Przez wiele lat pomagała przyjaciółkom i nawet bez urzędowego szkolenia była doświadczoną akuszerką. Obie kobiety wierzyły, że poradzą sobie z każdym problemem. Przynajmniej tak mówiła Beata. Nie chciała martwić Antoine'a, ale kilka razy przyznała się Marii, że trochę się boi. Nie wiedziała dosłownie nic o rodzeniu, więc im większe robiło się dziecko, tym bardziej się lękała.

– To się nie stanie, zanim nie będziesz gotowa – uspokajała ją Maria. – Dzieci wiedzą, kiedy przyjść na świat. Nie przychodzą, kiedy jesteś zmęczona, chora albo zdenerwowana. Czekają, aż poczujesz się gotowa, żeby je powitać.

Dla Beaty zakrawało to na przesadny optymizm, lecz spokój i rozsądek Marii sprawiał, że chciała jej wierzyć.

Ku własnemu zdumieniu w ostatnich dniach marca Beata poczuła świeży przypływ energii. Któregoś dnia poszła nawet wydoić krowy, a kiedy Antonie dowiedział się o tym, dał jej porządną burę.

– Jak mogłaś zrobić takie głupstwo? A gdyby któraś cię kopnęła i skrzywdziła dziecko? Masz zostać w domu i się nie przemęczać.

Wciąż się zadreślał, że nie może jej zapewnić należytej wygody i bezpieczeństwa. Nie mógł jej niczego ułatwić. A chociaż Beata dzielnie sobie radziła, nie była wiejską dziewczyną. Wychowała się w luksusie i była delikatną panienką z miasta. Jak się domyślał, przy każdym przeziębieniu wzywano do niej lekarza. A teraz miała urodzić dziecko w wiejskiej chacie w Alpach, nawet bez pomocy lekarza czy pielęgniarki.

Napisał do przyjaciela w Genewie i poprosił o przysłanie podręcznika położnictwa. Czytał go ukradkiem po nocach, kiedy Beata zasnęła, żeby nauczyć się czegoś, co jej pomoże. W ostatnich dniach ciąży coraz bardziej się denerwował. Przerażała go nawet drobna budowa żony. Czy



dziecko nie jest za duże, żeby się urodzić? Znalazł w książce rozdział o cesarskim cięciu, które może wykonać tylko lekarz. Nawet wtedy życiu matki i dziecka groziło niebezpieczeństwo i w podręczniku przyznawano, że często takie porody kończą się dramatycznie. Antoine nie wyobrażał sobie niczego gorszego niż utrata Beaty. I nie chciał też stracić ich dziecka. Nie mógł uwierzyć, że dziecko tej wielkości może wyłonić się bezpiecznie z tak małej matki. Z godziny na godzinę Beata wydawała mu się coraz mniejsza, a dziecko coraz większe.

Spał niespokojnie w nocy trzydziestego pierwszego marca, kiedy usłyszał, że Beata wstaje i idzie do łazienki. Nosila obszerną nocną koszulę Marii, dostatecznie szeroką dla niej i dla dziecka. Po kilku minutach z ziewnięciem wróciła do łóżka.

– Dobrze się czujesz? – szepnął z niepokojem. Nie chciał obudzić Zuberów.

– Dobrze. Uśmiechnęła się sennie do niego i ułożyła się na boku, plecami do niego.

Nie mogła już leżeć na plecach, bo ciężar dziecka tak ją przygniatał, że się dusiła. Objął ją ramieniem, kładąc lekko rękę na ogromnym brzuchu, i jak zawsze poczuł, że dziecko go kopnęło.

Antoine nie mógł już zasnąć i tym razem Beata też nie mogła. Przekręcała się niezręcznie z bolcu na bok, wreszcie położyła się twarzą do niego, a on ją pocałował.

– Kocham cię – szepnął znowu.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała.

Wyglądała pięknie, szczęśliwa i zadowolona, z długimi ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Potem odwróciła się do niego plecami, skarżąc się, że ją bołą, i poprosiła, żeby je pomasaował, co zrobił z radością i jak zawsze zachwycił się jej drobnym ciałem. Jedyne, co miała wielkiego, to rozdęty brzuch. Masując jej plecy, usłyszał, że jęknęła, co jej się i nie zdarzało.

– Zabolalo cię? – zapytał cicho.

– Nie... to nic.

Nie przyznała mu się, że miała bóle od poprzedniej nocy. Nie bardzo jej dokuczaly i myślała, że to niestrawność, a teraz rozboleły ją plecy. Godzinę później znowu zapadała w sen, Antoine wstał przed świtem. On i Walther mieli dużo roboty tego dnia i chcieli wcześniej zacząć. Beata wciąż drzemała kiedy wyszedł z domu z Waltherem, a Maria cicho krzątała się w kuchni. Beata wyszła ze swojej sypialni dopiero dwie godziny później. Miała prze straszoną minę, kiedy znalazła Marię w kuchni.

– Chyba coś się dzieje – szepnęła.

Maria uśmiechnęła się do niej z zadowoleniem.

– Dokładnie o czasie. Dzisiaj minęło twoje dziewięć miesięcy. Coś mi się zdaje, że będziemy miały dziecko.

– Okropnie się czuję – wyznała Beata. Rwało ją w krzyżu i mdliło na potęgę, a brzuch wyraźnie ciążył do dołu. Miała te same ostre bóle w krzyżu i w dole brzucha co poprzedniej nocy, ale już nie przypominały niestrawności. – Co się stanie?

Przerażona, z dzikimi oczami, sama wyglądała jak dziecko. Starsza kobieta objęła ją łagodnie

i zaprowadziła z powrotem do sypialni.

– Będiesz miała piękne dziecko, Beato. Tylko to się stanie. Teraz połóż się i myśl o tym.

Wrócę za minutę.

Przygotowała już wcześniej na poród ręczniki i stare prześcieradła, a także balię i miednice. Poszła po te rzeczy, kiedy już ułożyła niespokojną Beatę łóżku.

– Nic zostawiaj mnie.

– Idę tylko do spiżarni. Zaraz wracam.

– Gdzie jest Antoine?

Beata wpadła w panikę, kiedy rozdarł ją pierwszy ostry ból. Całkowicie ją zaskoczył – nikt jej nie uprzedził, co ją czeka. Zupełnie jakby rzeźnicki nóż przebijał ją od lędźwi poprzez brzuch. Brzuch miała twardy jak kamień i nie mogła złapać tchu, kiedy Maria ją trzymała.

– W porządku, w porządku. Wrócę za sekundę.

Maria pobiegła do kuchni, napełniła jedną balię i zaczęła grzać wodę. Potem chwyciła przygotowane ręczniki i prześcieradła i wróciła biegiem do sypialni.

Beata leżała na łóżku półprzytomna. Drugi ból uderzył akurat wtedy, kiedy Maria weszła w drzwi. Tym razem Beata wrzasnęła ze strachu i wyciągnęła rękę do starszej kobiety. Maria ścisnęła jej dłonie i poradziła, żeby nie przeć za szybko. Miała przed sobą długą drogę, zanim pojawi się dziecko. Gdyby parła za wcześnie, zbyt szybko wyczerpałaby siły. Potem Beata pozwoliła Marii spojrzeć, ale Maria nie zobaczyła główki dziecka. Bóle z poprzedniej nocy zapoczątkowały cały proces, ale prawdziwa praca dopiero się zaczynała. Maria przypuszczała, że upłynie wiele godzin, zanim Beata weźmie dziecko w ramiona. Miała tylko nadzieję, że pójdzie łatwo. Czasami szybki poród był trudniejszy, ale przynajmniej prędko się kończył. Ponieważ jednak to było pierwsze dziecko, i to duże, Maria podejrzewała, że wszystko odbędzie się powoli.

Przy następnym bólu Beacie odeszły wody i załazy ręczniki, które Maria jej podłożyła. Wyniosła je do kuchni i podścieliła więcej ręczników. Lecz jak przewidziała, po odejściu wód bóle rozpoczęły się na dobre. Po godzinie Beata cierpiała męczarnie, bóle przetaczały się przez nią falami, pozostawiając tylko sekundy na złapanie oddechu. Antoine wrócił na lunch i zanim jeszcze otworzył drzwi, usłyszał krzyki żony, więc przybiegł na górę. – Nic jej nie jest? – zapytał Marię przerażonym głosem. – Wszystko w porządku – odpowiedziała Maria spokojnie.

Nie uważała, że powinien towarzyszyć przy porodzie, ale on wszedł i natychmiast objął delikatnie żonę.

– Moje biedactwo... jak mogę ci pomóc?

Nu jego widok zaczęła płakać. Umierała ze strachu, ale Maria uparcie nie zamierzała okazywać niepokoju. Wiedziała tylko, że dziecko jest duże, ale silne bóle były dobrym znakiem. Beata cierpiała już tak bardzo, jak większość kobiet tuż przed porodem, ale za każdym razem, kiedy Maria sprawdzała, nie widziała jeszcze główki dziecka.

– Antoine... nie mogę... nie mogę... o Boże... to takie okropne... Chwytała powietrze pomiędzy atakami bólu, a Antoine cierpiał, patrząc na nią.

– Idź i zjedz lunch z Waltherem – powiedziała spokojnie Maria, lecz Antoine został na miejscu.

– Nie odejdę – oświadczył stanowczo.

On jej to zrobił, więc nie zamierzał zostawiać żony, żeby przez to przechodziła bez niego. Takie podejście wydawało się Marii niezwykle. Lecz jego obecność nieco uspokoiła Beatę. Starła się nie krzyczeć, kiedy przychodził następny ból. Antoine patrzył, jak napina się jej brzuch. Był twardy jak skała, kiedy go pomacał. Maria zostawiła ich na chwilę, żeby zająć się Waltherem w kuchni. Antoine poprosił ją, żeby mu przekazała, że zostanie z Beatą, dopóki dziecko nie przyjdzie bezpiecznie na świat. Wróciła z zimnym okładem, ale to nic nie pomogło i bóle dalej rozrywały ciało Beaty.

To trwało przez wiele godzin i Beata krzyczała bez końca. Słońce prawie zachodziło, kiedy Maria wydała zwycięski okrzyk. Wreszcie zobaczyła główkę dziecka. Widziała ją teraz za każdym razem, kiedy przychodził ból, fragment czaszki z włosami powiększał się przy każdym skurczu. Maria i Antoine dodawali jej otuchy, ale Beata już się poddała. Czuła, że umiera. Ciągłe krzyczała, robiąc tylko krótkie przerwy, żeby zaczerpnąć tchu. Nie doznała żadnej ulgi, bo Maria kazała jej przeć z całej siły. Beata z wykrzywioną, purpurową twarzą parła, ale bez skutku. Antoine nie mógł wytrzymać tego okropnego widoku i po cichu przysięgł sobie i jej, że nigdy nie będą mieli następnego dziecka. Nigdy nie naraziłby jej na coś takiego, gdyby wiedział. Poród trwał przez cały dzień. O siódmej wieczorem Antoine wpadł w rozpacz. Beata nie chciała więcej przeć, tylko leżała i płakała, i mówiła, że już nie może.

– Musisz! – krzyknęła na nią zwykle tak łagodna Maria. Widziała główkę przy każdym skurczu i zdawała sobie sprawę, że jeśli to potrwa zbyt długo, stracą dziecko. – Przyj! – rozkazała tak ostro, że Beata posłuchała. – Dobrze! Przyj! Jeszcze raz!

Kazała Antoine'owi podnieść Beatę za ramiona, a jej kazała zaprzeć stopy o poręcz łóżka. Odgłosy w pokoju brzmiały przerażająco, jakby kogoś mordowano. Lecz kiedy Antoine trzymał Beatę, główka dziecka wreszcie wyszła do połowy. Maria znowu kazała jej przeć i tym razem usłyszeli w pokoju kwilenie, które wszystkich zaskoczyło. Beata wciąż krzyczała, ale spojrzała na Antoine'a ze zdumieniem, kiedy usłyszała głos swojego dziecka. Maria kazała znowu przeć i tym razem uwolniły się ramiona, a po jeszcze dwóch pchnięciach dziecko leżało na łóżku, umazane krwią, i płakało głośno. To była dziewczynka.

Prześcieradła pod Beatą nasiąkły krwią. Maria oceniała, że rodząca straciła dużo krwi, ale nie aż tyle, żeby wpadać w panikę. Dziecko okazało się tak wielkie, jak się spodziewała. Antoine i Beata patrzyli, jak Maria wprawnie zawiązuje pępowinę w dwóch miejscach i przecina. Szybko obmyła dziecko, zawinęła w prześcieradło i podała matce. Antoine pochylił się nad nimi, łzy spływały mu po policzkach. Nigdy w życiu nie widział czegoś równie pięknego jak jego żona w tej chwili i nowo narodzona córka.

– Przepraszam – powiedział do Beaty z rozpaczą. – Tak mi przykro, że to było takie okropne.

Beata przygarnęła dziecko do piersi i uśmiechnęła się do męża.

– Warto było – odparła, wciąż wyczerpana i obolała, ale szczęśliwa. Trudno było uwierzyć, że ta sama kobieta od świtu krzyczała w męczarniach. Wydawała się zmęczona, ale spokojna i zadowolona. – Ona jest taka śliczna.

– Tak jak ty – powiedział i delikatnie dotknął jej policzka, a potem dotknął dziecka.

Mała patrzyła na oboje rodziców z zainteresowaniem. Beata trzymała ją przy piersi i opierała się na poduszkach. Nikt jej nie uprzedził, czego powinna się spodziewać. Zupełnie nie była przygotowana na trudy porodu. Nie rozumiała, dlaczego nikt jej nie ostrzegł. Kobiety zawsze rozmawiały o tych sprawach stłumionym szeptem i teraz rozumiała przyczynę. Gdyby uczciwie ją ostrzegły, chyba zabrakłoby jej odwagi. Antoine wciąż wydawał się wstrząśnięty.

Leżeli obok siebie na łóżku, gruchając i przemawiając do dziecka. Potem Maria kazała Antoine'owi zejść na dół, zjeść obiad i napić się brandy. Wyglądał, jakby tego potrzebował. Minęła już dziewiąta. Maria chciała umyć Beatę i dziecko, zmienić pościel i sprzątnąć w pokoju. Po godzinie zaprosiła go z powrotem. Nigdy nie widział takiego spokoju. Beata leżała na czystych prześcieradłach, uczesana, z umytą twarzą, a dziecko spało w jej ramionach. Krwawa sceneria grozy, na którą patrzył przez całe popołudnie, znikła bez śladu. Antoine uśmiechnął się z wdzięcznością do Marii.

– Jesteś wspaniała – powiedział i uściskał ją serdecznie.

– Nie, to wy byliście wspaniali. Oboje. Jestem z was bardzo dumna. Wasza córka waży prawie pięć kilo – oznajmiła Maria.

Promieniała, jakby sama ją urodziła, co na szczęście zostało jej oszczędzone. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wielkiego noworodka. A biorąc pod uwagę rozmiary Beaty, to było jeszcze bardziej zadziwiające. Przez jedną czy dwie okropne chwile Maria bała się, że je straci, ale niczego nie dała po sobie poznać. Nawet leżąc w ramionach matki, wydawała się za duża jak na noworodka. Maria nigdy nie widziała bardziej dumnych rodziców.

– Jak ją nazwiecie? – zapytała.

Walther zajrzał przez drzwi i uśmiechnął się do pięknej pary tulącej nowo narodzone dziecko. Beata i Antoine wymienili spojrzenia. Rozmawiali o imionach całymi miesiącami i ciągle nie mogli się zdecydować na imię dla dziewczynki. Lecz kiedy Beata ujrzała córkę, wiedziała, że wśród wcześniejszych propozycji odnalazła jedyną właściwą.

– Co powiesz na Amadeę? – zapytała Antoine'a.

Zastanawiał się przez chwilę. Początkowo chciał nazwać córkę Françoise, po swojej matce, lecz tak zajadle sprzeciwiała się jego małżeństwu z Beatą, że nie miał prawa tego zrobić. Oboje wiedzieli, że Amadea znaczy „kochana przez Boga”, i rzeczywiście kochał ją Bóg i kochali rodzice.

– Podoba mi się. Pasuje do niej. Taka duża, piękna dziewczynka powinna mieć wyjątkowe imię. Amadea de Vallerand – wypróbował, jak brzmi. Mała poruszyła się i wydała cichy dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a gulgotem. Wszyscy jej wielbicieli parsknęli śmiechem. – Jej też się podoba.

– Więc ustalone – zakończyła Beata.

Znowu wyglądała jak dawniej. Zadziwiająco szybko doszła do siebie po porodzie. Zdawało się, że mogłaby wstać i zatańczyć walca, chociaż Antoine wołał, żeby tego nie robiła.

– Amadea – powiedziała i uśmiechnęła się do swojej pierworodnej córki.

Spojrzała na męża promiennym wzrokiem. Oboje wyglądali jak dumni rodzice. Tej nocy Antoine tulił do siebie Beatę i wspominał wszystko, przez co dzisiaj przeszli. A kiedy Beata zasnęła z dzieckiem leżącym obok w koszyku, Antoine wyszeptał cichą modlitwę dziękczynną za cud, który ich spotkał. Amadea. Zaprawdę kochana przez Boga, i modlił się, żeby zawsze tak było.

## Rozdział 6

Amadea de Vallerand miała dziewiętnaście miesięcy i dziesięć dni, kiedy wojna wreszcie się skończyła w 1918 roku. Była wysoka jak na swój wiek, jasnowłosa i niebieskooka, największa radość rodziców i Zuberów. Maria wiedziała, że jak tylko wojna się skończy, młoda rodzina mieszkająca z nimi od dwóch lat będzie musiała się wyprowadzić. Żałowała, że wyjeżdżają, ale nie mogli zostać w Szwajcarii na zawsze. Kiedy ich kraje staną z powrotem na nogi, Szwajcaria przestanie udzielać im azylu.

Przed Bożym Narodzeniem 1918 roku Antoine i Beata prowadzili niekończące się dyskusje, czy lepiej wracać do Niemiec, czy do Francji. Rodzina Antoine'a nadal twardo zapowiadała, że nie przyjmie w Dordogne jego żydowskiej żony i półżydowskiej córki. Postawili sprawę z brutalną szczerością. Nie miało dla nich znaczenia, że Beata nawróciła się i teraz była katoliczką. Dla nich pozostała Żydówką, bez względu na chrzest. Zamknęli drzwi przed Antoine'em. Nie lepiej poszło Beacie. Listy wysyłane oddzielnie do obojga rodziców wracały nieotwarte. To samo ją spotkało, kiedy napisała do Brigitte. Zastanawiała się, czy siostra też ma już dziecko. Sama gotowa była urodzić następne. Nie robili nic, żeby temu zapobiec. Nawet się dziwiła, że do tej pory nie zaszła w ciążę, skoro Amadea została poczęta tak szybko. Na razie jednak wystarczała im Amadea. Biegała wszędzie i paplała jak najęta we własnym języku. Zuberowie cieszyli się nią jak własną wnuczką i już za nią tęsknili, zanim jeszcze wyjechała.

Wreszcie w lutym Antoine otrzymał list, który miał wpływ na ich decyzję. Dawny przyjaciel z Saumur, akademii jeździeckiej, gdzie Antoine przeszedł szkolenie wojskowe, napisał do niego, że kupił za grosze wspaniałą *Schloss* w Niemczech, z olbrzymimi, chociaż zrujnowanymi stajniami. Przyjaciel nazywał się Gerard Daubigny i chciał je odbudować. Zamierzał odrestaurować *Schloss* dla siebie i swojej rodziny i chciał, żeby Antoine zarządzał stajniami, odnowił je, zappełnił najlepszymi końmi, zatrudnił trenerów i stajennych i poprowadził hodowlę. Wiedział, że Antoine jest niezrównanym jeźdźcem i równie wybitnym znawcą koni. Słyszał o kontuzjowanym ramieniu, Antoine jednak zapewnił go, że rana mu nie przeszkadza. Posługiwał się wystarczająco sprawnie lewą ręką, chociaż nigdy całkiem nie wydobrzała. W rezultacie lepiej wyćwiczył prawą rękę, żeby zrekompensować okaleczoną lewą.

Tak się złożyło, że *Schloss* nabyty przez Gerarda leżał niedaleko Kolonii. Wprawdzie rodzina Beaty nadal nie chciała ich znać, lecz gdyby zamieszkali w pobliżu, zawsze mogli liczyć, że Wittgensteinowie w końcu ustąpią. Z czasem może dojdzie do pojednania. Lecz nie bliskość rodziny Beaty wpłynęła na decyzję Antoine'a. Oferowana pensja przekraczała jego oczekiwania, a praca idealnie mu odpowiadała. Na terenie posiadłości znajdował się podobno piękny dom, który Gerard mu ofiarował, dostatecznie duży, żeby pomieścić ich troje i jeszcze kilkoro dzieci. Antoine przyjął ofertę pod koniec lutego i zgodził się przyjechać do *Schloss* na początku kwietnia. Zostawił sobie czas, żeby się spakować i pomóc jeszcze na farmie Waltherowi. Dom, który Zuberowie im zapewnili na ponad dwa lata, dosłownie ich uratował. Bez nich Antoine i

Beata nie przeżyliby wojny, a na pewno nie razem, nie mogliby się pobrać ani utrzymać Amadei. Oboje zostali bez grosza, kiedy rodziny ich wyгнаły. A teraz praca, którą Antoine znalazł w Niemczech, miała ich postawić na nogi.

Przed wyjazdem Beata spędziła wiele wieczorów, ucząc Antoine'a niemieckiego, chociaż jego pracodawca był Francuzem. Lecz trenerzy i stajenni, i robotnicy zatrudnieni do odbudowy wszyscy będą Niemcami. Antoine musiał więc znać język. Nie władał zbyt dobrze niemieckim, ale zanim wyjechali, mówił już niemal płynnie. Dawno się umówili, że Antoine będzie rozmawiał z Amadeą po francusku, a Beata po niemiecku. Chcieli, żeby ich córka była całkowicie dwujęzyczna. Z czasem Beata zamierzała dodać angielski. Jeśli będzie ich stać, chciała wynająć w Niemczech młodą Angielkę do pomocy, żeby Amadea nabrała biegłości w angielskim. Zgadziali się z Antoine'em, że języki zawsze się przydają.

Ich sytuacja finansowa nie przedstawiała się najlepiej, chociaż Antoine miał otrzymywać wysokie wynagrodzenie. W dodatku miał robić coś, co kochał i na czym się znał. Oferta stanowiła dla nich istne błogosławieństwo. Beata postanowiła, że spróbuje zaproponować kilku znajomym elegantkom swoje usługi jako krawcowa. Miała nadzieję, że w ten okrzęny sposób dotrze do swojej matki.

Antoine wspomniał też, że madame Daubigny ma mnóstwo pieniędzy. Niewątpliwie Gerard korzystał z jej majątku przy restaurowaniu *Schloss*, jako że sam miał bardzo niewiele. Pochodził z arystokratycznej rodziny, zubożałej jeszcze przed wojną. Rodzina Veronique posiadała znaczną fortunę. A Gerard obiecał, że Antoine będzie mógł kupić wszystkie konie, jakich zapragnie. Rozpoczynali nowe życie.

Beata nigdy nie spotkała Daubignych, więc nie wiedzieli, kim była, zanim poślubiła Antoine'a. Omówili to z Antoine'em i postanowili dla uniknięcia komplikacji nie mówić im, że była Żydówką. Tę część jej historii postanowili zachować tylko dla siebie. Rodzinne kłopoty przed ślubem uważali za sprawę osobistą. Ponieważ nie utrzymywali stosunków z Wittgensteinami, nie musieli wyjaśniać, że Beata urodziła się jako Żydówka. Z pewnością nie wyglądała na Żydówkę, podobnie jak Amadea, jasnowłosa, o oczach błękitnych i idealnych szlachetnych rysach twarzy, odziedziczonych po matce. Beata wciąż przeżywała wielki smutek i wstyd z powodu odrzucenia przez rodzinę i nie chciała, żeby ktoś o tym wiedział.

Wszyscy pięcioro płakali tego dnia, kiedy Vallerandowie wyprowadzali się od Zuberów. Nawet Amadea kwiliła żałośnie, wyciągając rączki do Marii. Zuberowie odwieźli ich do pociągu do Lozanny. Beata szlochała, obejmując ich oboje. Przypominał jej się tamten dzień prawie trzy lata wcześniej, kiedy opuściła rodziców.

Przyjechali do Kolonii w dniu drugich urodzin Amadei. A kiedy dotarli do *Schloss*, Antoine ucieszył się ze spotkania z dawnym przyjacielem, wieczorem jednak wyznał Beacie, że uważa projekt za trudny do zrealizowania.

*Schloss* był w okropnym stanie, zaniedbany i zrujnowany. Arystokratyczna rodzina, do której należał od stuleci, już dawno straciła pieniądze. Zamek stał niezamieszany i coraz bardziej

podupadał. Podczas wojny, a nawet wcześniej, został zapuszczony w przerażającym stopniu. A stajnie wyglądały jeszcze gorzej. Potrzeba było miesięcy, a nawet lat, żeby doprowadzić to miejsce do porządku. Lecz po kilku tygodniach Antoine musiał przyznać, że praca go wciągnęła. Nie mógł się doczekać kupna koni. Beata uwielbiała słuchać o jego planach, kiedy rozmawiali wieczorami.

W końcu okazało się, że prace postępują szybciej, niż zakładano. Przed Gwiazdką zaprzęgnięto do roboty armię cieśli, malarzy, architektów, budowniczych, kamieniarzy, ogrodników, szklarzy i majstrów rzemieślniczych. Veronique i Gerard popędzali robotników. Zdaniem Antoine'a, Veronique budowała pałac. I ku jego radości nie oszczędzali na stajniach. Nowoczesne, ogrzewane, czyste, pięknie zaprojektowane, mogły pomieścić do sześćdziesięciu koni. Następnej wiosny Antoine kupował do nich konie w całej Europie za bajeczne ceny. Odbył kilka podróży do Anglii, Szkocji i Irlandii, zabierając ze sobą Beatę. Bardzo jej się podobało. Kilka razy jeździł też do Francji i kupił trzy piękne huntery w Dordogne, w promieniu piętnastu kilometrów od *chateau*, gdzie się urodził i gdzie rodzina wciąż nie chciała go przyjąć. Milczał, kiedy przejeżdżali obok tego domu w drodze na aukcję w Perigord. Beata zauważyła jego przygnębienie, widziała, z jakim smutkiem spojrział na bramę mijanej posiadłości. Oboje na dobre stracili rodziny.

Przeżyła podobne doświadczenie, kiedy wrócili do Kolonii. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przejechać taksówką obok dawnego domu. Płakała, stojąc na ulicy i wiedząc, że wszyscy, których dawniej kochała, są w środku i nie chcą jej widzieć. Napisała do nich jeszcze raz, kiedy przyjechali do Kolonii, i znowu listy wróciły do niej nieotwarte. Ojciec nie ustąpił. Beata i Antoine nauczyli się z tym żyć, ale to wciąż bolało niczym blizna, która czasami rwie, albo amputowana kończyna. Beata była wdzięczna, że ma Antoine'a i Amadeę, i trochę rozczarowana, że nie mają drugiego dziecka. Amadea skończyła już trzy latka, a Beata wciąż nie zachodziła w ciążę, chociaż próbowali. Prowadzili teraz życie bardziej ruchliwe i stresujące niż w Szwajcarii i czasami zastanawiała się, czy to nie jest powód. W każdym razie nabrała przekonania, że nigdy nie doczeka się drugiego dziecka. Była jednak szczęśliwa z Antoine'em i Amadeą w nowym domu. Gerard okazał się nie tylko rozsądnym pracodawcą, ale też oboje małżonkowie serdecznie zaprzyjaźnili się z młodą parą.

Minał następny rok, zanim Antoine napełnił stajnie. Kupił dla Daubigny pięćdziesiąt osiem koni czystej krwi, w tym kilka arabów. Kiedy Amadea skończyła pięć lat, kupił jej kucyka. Nauczyła się świetnie jeździć. Często odbywali z Beatą długie przejażdżki po okolicy i zabierali ze sobą Amadeę. Antoine chciał z niej zrobić mistrzynię jazdy konnej. Oboje przelali na nią całą miłość i uwagę. Nabrała też biegłości w językach, zgodnie z oczekiwaniami Beaty. Dziecko mówiło płynnie po francusku, niemiecku i angielsku. W następnym roku Amadea poszła do miejscowej szkoły z dziećmi małżeństwa Daubigny. Veronique i Beata nie spędzały wiele czasu razem, ponieważ obie były zajęte, ale darzyły się przyjaźnią. Beata szła dla niej i jej przyjaciółek wieczorowe suknie po rozsądnych cenach. Nie zbili z Antoine'em fortuny, ale



niczego im nie brakowało. Mieszkali bardzo wygodnie w ładnym, eleganckim domu, który oddali im gospodarze w ramach wynagrodzenia dla Antoine'a. Prowadzili przyjemne życie w pięknym otoczeniu, a Antoine kochał swoją pracę, co cieszyło Beatę. Czuła się szczęśliwa i spokojna.

Tylko czasami powracały do niej echa utraconego świata, co ją nieodmiennie przygnębiało. Pewnego dnia w Kolonii zobaczyła na ulicy siostrę. Brigitte była z mężem i dwojgiem małych dzieci, z których jedno było w tym samym wieku co Amadea i ogromnie do niej podobne. Beata przyjechała do miasta sama pociągiem, żeby kupić trochę materiałów. Na widok siostry stanęła jak wryta i bez namysłu zawołała ją po imieniu. Brigitte przystanęła tylko na chwilę, spojrzała na Beatę w oczy, po czym odwróciła się, mówiąc coś do męża. Wsiadła pospiesznie do czekającej limuzyny, a mąż posadził dzieci obok niej. Po chwili szybko odjechali, udając, że nie znają Beaty. Zdruzgotana, nawet nie poszła do sklepu z materiałami, tylko zapłakana wróciła do domu pociągiem. Wieczorem opowiedziała o tym Antoine'owi, który starał się ją pocieszyć. Przez siedem lat ich małżeństwa ani jedna, ani druga rodzina nie ustąpiła. Byli bez serca.

Potem nastąpił kolejny incydent, kiedy Beata zobaczyła swoich braci wychodzących z restauracji z dwiema kobietami, które wzięła za ich żony. Ulm popatrzył prosto na nią i widziała, że ją rozpoznał. Ich oczy się spotkały, on jednak spojrzał przez nią na wylot i minął ją ze zboląłą miną. Horst odwrócił się i wsiadł z rodziną do taksówki. Tamtej nocy też płakała, ale tym razem z gniewu. Jakie mieli prawo tak ją potraktować? Jak śmieli? Bardziej jednak od gniewu doskwierał jej smutek i to samo poczucie straty, które dręczyło ją od dnia, kiedy opuściła dom ojca, żeby poślubić Antoine'a. Wiedziała, że nic nie uleczy tej rany.

Najgorszy jednak był dzień, kiedy zobaczyła matkę, dwa lata przed spotkaniem z Brigitte. Przed dwoma laty wrócili do Kolonii. Beata zabrała ze sobą Amadeę do miasta, żeby załatwić sprawunki. Nie mogła się opanować, przystanęła na chwilę na ulicy przed swoim dawnym domem. Amadea zapytała ją, co robią.

– Nic, kochanie. Chciałam tylko coś zobaczyć.

– Znasz ludzi, którzy mieszkają w tym domu?

Było zimno i Amadea była głodna. Beata popatrzyła smutno na okna swojego dawnego pokoju, a potem na okna matki i tam ją zobaczyła. Odruchowo podniosła rękę i pomachała, a matka przystanęła i ją zobaczyła. Beata zaczęła gorączkowo machać, obserwowana przez córkę. Matka Beaty zatrzymała się tylko na chwilę, pochyliła głowę jakby z bólu i powoli zaciągnęła zasłonę. Beata zrozumiała wtedy, że nie ma dla niej nadziei. Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy matki. Nawet widok Amadei stojącej obok nie wystarczył, żeby zmiękczyć serce matki czy dać jej odwagę do sprzeciwienia się mężowi. Beata naprawdę dla nich umarła. Czuła się pusta i samotna i serce ją bolało, kiedy prowadziła Amadeę na lunch, a potem do pociągu. Córeczka ciągle ją wypytywała.

– Kim była ta pani, do której machałaś?

Zauważyła zmienioną twarz matki i chociaż nie wiedziała, co to znaczy, wyczuwała jej smutek. Beata wyglądała na zrozpaczoną. Chciała wyznać prawdę, ale powiedziała tylko:

– Dawna przyjaciółka. Chyba mnie nie poznała. Długo jej nie widziałam.

– Może ona cię nie zobaczyła, mamó – podsunęła Amadea uprzejmie. Beata smutno kiwnęła głową. Dużo czasu minęło, zanim powiedziała o tym Antoine’owi. Nie lepiej mu się powiodło z rodzicami i bratem, chociaż według prawa pewnego dnia miał odziedziczyć ojcowski tytuł, ziemię i większość majątku. Lecz nawet ten fakt nie nakłonił rodziny do ustępstwa. Krótko mówiąc, oboje utracili swoją przeszłość. Teraz mieli tylko teraźniejszość i wspólną przyszłość. Ich historia przepadła.

Lecz poza bolesną utratą rodzin ich życie toczyło się pogodnie. Antoine i Gerard dobrze się dogadywali. Stajnie prosperowały. Od czasu do czasu Antoine kupował nowe konie, organizował polowania, trenował pięć najlepszych koni na wyścigi i rozmnażał najlepsze ogiery. W krótkim czasie stajnie Gerarda Daubigny’ego zasłynęły w całej Europie, głównie dzięki Antoine’owi, który znał się na koniach znacznie lepiej od swego pryncypała.

Wszystko układało się jak najlepiej, kiedy pewnego popołudnia Beata poszła do Veronique przymierzyć suknię wieczorową, którą dla niej szyła. Zupełnie bez powodu w połowie przymiarki, kiedy gawędziły przyjaźnie, Beata nagle zemdląła. Veronique bardzo się przestraszyła, kazała jej odpocząć na szezlongu w garderobie, a potem odprowadziła ją do domu. Antoine przypadkiem podniósł wzrok i zobaczył ją, kiedy przechodziła obok stajni. Beata wciąż była bardzo blada i szła niepewnym krokiem. Antoine właśnie dawał Amadei lekcję konnej jazdy. Poprosił jednego ze stajennych, żeby go na chwilę zastąpił, i pobiegł sprawdzić, co z żoną i dlaczego odprowadzają zaniepokojona Veronique. Beata poprosiła Veronique o zachowanie tajemnicy. Nie chciała martwić Antoine’a. Wyjaśniła, że chyba złapała grypę albo dostała migreny, chociaż rzadko jej się to zdarzało.

– Nic ci nie jest? – zapytał przejęty Antoine. – Źle wyglądasz. Spojrzał z troską na Veronique. Dotrzymała słowa i nic nie powiedziała, ale też wyglądała na zmartwioną.

– Chyba coś złapałam – powtórzyła Beata. Nie wyjawiała, że przed chwilą zemdląła w buduarze Veronique podczas przymiarki. Zapomniała nawet zabrać ze sobą sukni do domu. – Jak ci idzie z Amadeą? – zagadnęła, żeby odwrócić uwagę męża. – Powinieneś ją przekonać, żeby nie jeździła tak brawurowo.

Amadea miała siedem lat i na koniu była absolutnie nieustraszona. Szczególnie lubiła przeskakiwać przez strumienie i żywopłoty, ku przerażeniu matki.

– Wątpię, czy potrafię ją do czegoś zmusić – odpowiedział Antoine ze smętnym uśmiechem. – Ona ma własne poglądy na mnóstwo spraw.

Amadea odziedziczyła po matce bystry umysł i różnorodne zainteresowania, ale wykazywała też szaleńczą odwagę, która martwiła oboje rodziców. Sprawiała wrażenie, że nie boi się niemal niczego. Pod pewnymi względami wychodziło to jej na dobre, ale z drugiej strony było niebezpieczne. Beata nieustannie się zamartwiała, że coś złego spotka córkę. Rodzice obdarzali swoją jedynaczkę miłością i troską niekiedy niemal przesadną. Lecz po siedmiu latach stało się jasne, że Amadea nie będzie miała więcej braci ani siostr, czego oboje żalowali.

– Chcesz, żebym cię odprowadził do domu? – zaproponował Antoine, wciąż zaniepokojony.

Beacie nie udało się skutecznie odwrócić jego uwagi. Zwykle miała bardzo jasną cerę, ale kiedy źle się czuła, robiła się niemal przezroczysta. W trakcie rozmowy wyraźnie pozieleniała na twarzy i zdaniem Veronique wyglądała tak, jakby znowu miała zemdleć!

– Nic mi nie jest. Położę się na chwilę. Wracaj do naszego małego potwora. Pocałowali się przelotnie i Beata przeszła krótką drogę do domu w towarzystwie Veronique, która pomogła jej się położyć do łóżka i po chwili wyszła.

Wróciwszy wieczorem do domu, Antoine z ulgą spostrzegł, że żona wygląda lepiej. A potem znowu się przestraszył, kiedy następnego ranka wyglądała znacznie gorzej. Była bladozielona, kiedy wyprawiała Amadeę do szkoły, a wcześniej ledwie zdołała wstać z łóżka, kiedy wychodził do stajen. Wrócił w porze lunchu, żeby sprawdzić, co z nią.

– Jak się czujesz? – zapytał, chmurząc czoło.

Nienawidził, kiedy chorowała. Żona i córka były wszystkim, co miał na świecie, i tylko one liczyły się dla niego. A poprzedniej zimy szalała śmiertelna odmiana grypy.

– Właściwie już mi lepiej – odpowiedziała, siląc się na pogodny ton. Wiedział, że nie mówiła mu całej prawdy. Za dobrze ją znał.

– Chcę, żebyś poszła do lekarza – zażądał stanowczo.

– Lekarz nic nie poradzi. Zdrzemnę się po południu, zanim Amadea wróci ze szkoły. Do wieczoru wydobrzeję.

Nalegała, że przygotuje dla niego lunch, postawiła przed nim jedzenie i usiadła obok, żeby dotrzymać mu towarzystwa, ale zauważył, że nic nie zjadła. Nie mogła się doczekać, żeby wrócić do łóżka, jak tylko wyszedł do stajen.

Tydzień później Antoine wciąż się o nią martwił. Chociaż upierała się, że jest zdrowa, widział, że jej się nie poprawiło, i ogarniała go panika.

– Jeśli nie pójdziesz, sam cię zaprowadzą. Na litość boską, Beato, zadzwonisz do niego? Nie rozumiem, czego ty się boisz.

Tak naprawdę bała się rozczarowania. Zaczynała podejrzewać, co jej dolega, i chciała zaczekać trochę dłużej, żeby się upewnić, zanim powie Antoine'owi. Wreszcie jednak ustąpiła i zgodziła się pójść do lekarza. Potwierdził jej podejrzenia, więc wieczorem czekała uśmiechnięta na powrót Antoine'a, chociaż wciąż czuła się okropnie.

– Co powiedział lekarz? – zapytał niespokojnie Antoine, kiedy Amadea poszła na górę, żeby się przebrać w koszulę nocną.

– Powiedział, że jestem zdrowa jak koń... i kocham cię... – Była taka szczęśliwa, że z trudem ukrywała podniecenie.

– Powiedział, że mnie kochasz? – Antoine roześmiał się. – No, to miło z jego strony, ale tyle sam wiem. Mówił, co ci dolega i dlaczego tak źle się czujesz?

Beata jednak miała zdecydowanie lepsze samopoczucie i wesoły nastrój. Wydawała się nienaturalnie ożywiona.

– Nic, czego czas nie uleczy – odparła tajemniczo.

– Czy on uważa, że to łagodna forma grypy? Jeśli tak, kochanie, naprawdę musisz uważać.

Oboje znali kilka osób, które zmarły na grypą poprzedniej zimy. Z tą chorobą nie było żartów.

– Nie, wcale nie – uspokoiła go. – Tak naprawdę to bardzo wyraźny i dobrze widoczny przypadek ciąży. – Obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Mamy dziecko.

Nareszcie. Po jej wszystkich modlitwach. Kiedy dziecko się urodzi, różnica wieku między rodzeństwem będzie wynosiła osiem lat.

– Dziecko? – Antoine, tak jak ona, już dawno stracił nadzieję na drugie dziecko. Po pierwszym łatwym poczęciu, na próżno starali się o drugie dziecko. – Jak cudownie, kochanie! Jak wspaniale!

Wydawał się równie uszczęśliwiony jak ona.

– Co cudownie? – zapytała Amadea, pojawiając się ponownie w koszuli nocnej. – Co się stało?

Zawsze lubiła uczestniczyć we wszystkich ciekawych wydarzeniach. Miała silną wolę, ale naturę pozbawioną egoizmu, wysoką inteligencję i uwielbiła białą swoich rodziców, którzy to odwzajemniali. Przez chwilę Antoine bał się, że będzie zazdrosna. Podniósł brew, spoglądając na Beatę, a ona kiwnęła głową. Dała mu zielone światło, żeby jej powiedział.

– Twoja matka właśnie przekazała mi bardzo dobrą nowinę – oznajmił dumnie. – Będziesz miała brata albo siostrę.

– Naprawdę? – Popatrzyła na niego pustym wzrokiem, a potem spojrzała na matkę. Oboje się przestraszyli, że Amadea będzie zazdrosna. Tak długo zajmowała centralne miejsce, że mogła jej nie zachwycić nowa osoba, ale sama często powtarzała, że właśnie tego chce. – Kiedy?

– Dwa tygodnie po twoich urodzinach w przyszłym roku. Będziesz wtedy miała osiem lat – powiedziała matka.

– Czemu musimy tak długo czekać? – Amadea zrobiła rozczarowaną minę. – Nie możemy go dostać prędzej? Zapytaj doktora.

– Niestety, tych rzeczy nie można przyspieszyć. – Beata uśmiechnęła się. Amadea widocznie myślała, że dzieci zamawia się u lekarza. Beata nie przejmowała się terminem, po prostu bardzo się cieszyła, że będą mieli dziecko. Sama skończy trzydzieści lat, kiedy dziecko się pojawi. Antoine zaś w lecie skończył czterdzieści dwa. Co najważniejsze, Beata zobaczyła z ulgą, że Amadea jest równie przejęta jak oni.

– Prosiłaś o chłopca czy dziewczynkę? – zapytała z powagą.

– Nie można wybierać. Musimy wziąć to, co Bóg da. Chociaż ze względu na papą mam nadzieję, że to będzie chłopiec – powiedziała ciepło Beata.

– Po co papie chłopiec? Dziewczynki są dużo lepsze. Chcą siostrą.

– No, zobaczymy, co dostaniemy.

Antoine i Beata wymienili czułe spojrzenia nad głową córki, a potem uśmiechnęli się do niej.

Antoine nie dbał, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka, byle było zdrowe.

– To będzie dziewczynka – oświadczyła Amadea zdecydowanie – i będzie moim dzidziusiem. Będą się nią zajmowała. Mogą?

– Będzie cudownie, jeśli pomożesz mamie – zapewnił ją łagodnie Antoine.

– Jak ją nazwiemy? – Amadea podchodziła do tego bardzo praktycznie.

– Musimy się nad tym zastanowić – odparła Beata, zmęczona, lecz podniecona. Tak długo o tym marzyła, a teraz wreszcie się stało, kiedy już straciła nadzieję. – Musimy wybrać imiona dla chłopca i dziewczynki.

– Nie. Tylko dla dziewczynki. I naprawdę uważam, że to głupie, że musimy czekać tak długo.

Beata była w ciąży prawie od trzech miesięcy i dziecko miało się urodzić w połowie kwietnia. Rzeczywiście termin wydawał się odległy, zwłaszcza dla siedmioletniej dziewczynki.

Ciąża nie przebiegała równie gładko jak poprzednia, lecz jak zauważył lekarz, Beata była starsza o osiem lat. Często źle się czuła, a przez ostatnie dwa miesiące kilka razy bała się, że urodzi przedwcześnie. Lekarz kazał jej się nie przejmować. Oczywiście Antoine cudownie się nią opiekował i kiedy nie pracował, spędzał jak najwięcej czasu z Amadea, żeby odciążać matkę. Beata głównie robiła na drutach, a Amadea jej pomagała. Robiły buciczki i kapelusiki, sweterki i kocyki, a Beata uszyła małe sukieneczki i koszulki, odpowiednie i dla chłopca, i dla dziewczynki, chociaż Amadea wciąż się upierała, że chce siostrę. Zafascynowało ją odkrycie, że dziecko rośnie w brzuchu mamy, czego nigdy przedtem nie wiedziała, ponieważ żadna ich znajoma nigdy nie była w ciąży. Amadea widywała takie kobiety, ale myślała, że po prostu są grube. Teraz na odwrót, myślała, że każda gruba kobieta napotkana na ulicy jest w ciąży, i Beata często ją napominała, że nie wolno je pytać.

Beata spędziła ostatnie miesiące ciąży w domu i znowu żałowała, że nie ma przy sobie Marii. Tym razem poród mieli odbierać lekarz i akuszerka. Antoine odetchnął, ale Beata wyznała mu, że czuje się rozczarowana. Lekarz już jej zapowiedział, że obecność Antoine'a jest wykluczona. Tylko by przeszkadzał i to nie przystoi. Beata wolałaby mieć przy sobie Marię i Antoine'a w prostej chacie na farmie.

– Posłuchaj, najdroższa, wolę wiedzieć, że jesteś w dobrych rękach. Nie chcę, żebyś znosiła takie tortury jak ostatnim razem. – Beata zapomniała już o najgorszym, ale Antoine pamiętał. Ciągle wzdrygał się na wspomnienie jej niekończących się krzyków. – Może on zna jakieś sztuczki, żeby to trochę przyspieszyć.

Lecz jak się okazało, matka natura załatwiła to za nią. Lekarz ją ostrzegwał, że poród może trwać długo, prawie jak pierwszy. Przez osiem lat jej ciało: zapomniało o pierwszym razie. Wiedział z doświadczenia, że kobiety, które miały długie przerwy pomiędzy dziećmi, często przechodziły porody równie długie jak za pierwszym razem lub nawet dłuższe. Beaty wcale to nie ucieszyło. I niezbyt polubiła swoją akuszerkę. Żałowała, że nie mogą z Antoine'em wskoczyć do pociągu i pojechać do Marii. Przez lata nie stracili kontaktu i Maria odpisała Beacie, jak

bardzo się cieszy z nowego dziecka. Zamierzali odwiedzić starszą parę, ale Antoine nigdy nie mógł się wyrwać ze stajen. Ciągłe tyle się działo.

Pewnego późnego popołudnia Beata wróciła do domu po spacerze z Amadeą. Od wielu tygodni nie czuła się tak dobrze, rześka i pełna energii. Razem z Amadeą upiekły ciastka, a potem Beata przygotowała wytworny obiad. Pomyślała, że zrobi Antoine'owi przyjemną niespodziankę. Właśnie szła się przebrać do obiadu, kiedy poczuła znajomy ból w dole brzucha. Miewała te bóle od tygodni, chociaż nie tak silne, więc postanowiła je zignorować. Przebrała się, uczesała, umalowała i wróciła na dół sprawdzić, czy nic się nie przypala w kuchni. Zostawiła niedużego indyka w piekarniku. Antoine wrócił do domu i zastał żonę w wyjątkowo dobrym nastroju, chociaż przy obiedzie nie mogła usiedzieć spokojnie. Przez cały wieczór miała niewielkie bóle, ale nie tak poważne, żeby wzywać lekarza, więc nie chciała denerwować Antoine'a. Amadea narzekała przy obiedzie, że dziecko strasznie się spóźnia, a rodzice roześmieli się i doradzili jej cierpliwość. Dopiero kiedy Beata utuliła ją na dobranoc i zeszła na dół do Antoine'a, bóle nabrały ostrości.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, patrząc na nią. Właśnie raczył się wykwintną brandy. Podziękował jej za znakomity obiad. – Prawie nie usiadłaś przez cały wieczór.

– Przez cały czas siedzę. Chyba za dużo odpoczywam. Od wczoraj mam mnóstwo energii. Czuję się dużo lepiej.

– Doskonale. Więc korzystaj z tego. Ale uważaj, żeby się nie przemęczać. Dziecko zjawi się, zanim się obejrzysz.

– Biedna Amadea nie może się już doczekać – powiedziała Beata współczująco.

Nagle poczuła ostry ból, ale nie chciała nic mówić Antoine'owi. Tak przyjemnie spędzał czas, odprężony przy brandy, po szczególnie pracowitym dniu w stajniach. Niedawno kupili cztery nowe ogiery.

Antoine siedział więc, podziwiając żonę i rozkoszując się brandy. W jego oczach wyglądała pięknie, nawet w zaawansowanej ciąży. A kiedy dopił resztę trunku, ku jego zdumieniu Beata zgięła się wpół. Przeszył ją ból tak morderczy, że nie mogła wydobyć z siebie głosu, a potem zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Mój Boże, co się stało? Nic ci nie jest? Lepiej wezwijmy lekarza. Oboje jednak przekonali się ostatnim razem, że poród mógł trwać przez całe wieki. Dopiero się zaczął. Beata przypomniała sobie teraz, że zaczęła rodzić o świcie, a Amadea pojawiła się w końcu po piętnastu godzinach. Lekarz ostrzegał ją, że tym razem może potrwać jeszcze dłużej. Chciała spędzić spokojnie trochę czasu z Antoine'em, zanim pojawią się lekarz i akuszerka. Wolą na początku mieć męża przy sobie, bo później nie pozwolą mu z nią zostać. Chciała, żeby jej towarzyszył.

– Położę się na chwilę. Nawet jeśli już się zaczęło, dziecko pewnie nie pojawi się do jutra.

Była dziesiąta wieczorem. Beata powoli weszła po schodach, prowadzona przez Antoine'a. zaproponował, że ją zaniesie, ale go wyśmiała. Lecz przestała się śmiać, jak tylko weszła do

swojej sypialni. Następny ból uderzył w nią jak bomba i natychmiast poczuła parcie w krzyżu i w dole brzucha. Antoine delikatnie położył ją na łóżku. Beata rozpaczliwie chwytiała powietrze i nie rozumiała, jak mogła zapomnieć. Teraz wszystko do niej wracało. Dopiero kiedy poczuła pierwsze bóle, przypomniała sobie, jak to jest. Przedtem wspomnienie męczarni się zatarło. Nie mogła uwierzyć, że zapomniała, a jednak tak było.

Położyła się na łóżku i poprosiła, żeby Antoine zaczekał chwilę, chociaż kilka minut, zanim wezwie lekarza.

– Nie pozwolą ci ze mną zostać – powiedziała z lękiem.

– Nie odejdę daleko, będę w pokoju obok. Obiecuję.

Tak jak Maria osiem lat wcześniej, Beata zgromadziła zawczasu stos starych ręczników i prześcieradeł. Martwiła się, że podczas porodu Amadea usłyszy przerażające odgłosy z sąsiedniego pokoju. Przy odrobinie szczęścia powinna być w szkole, kiedy dziecko przyjdzie na świat, więc najgorsze ją ominie. Beata wiedziała, że czeka ją długa mordęga. Teraz pamiętała ostatni raz aż za dobrze. Potem poczuła dwa ostre bóle i straszliwy ucisk, jakiego dotąd nie знаła. Zdawało jej się, że przejeżdża po niej ciężarówka. Przy następnym bólu nagle wpadła w panikę i spojrziała dzikim wzrokiem na Antoine'a.

– O mój Boże... dziecko wychodzi...

– Wiem – odpowiedział spokojnie. Brandy pomogła. Rozpoznał wszystkie oznaki zaawansowanego porodu, ale tym razem wiedział, czego się spodziewać, i nie czuł strachu. – Zadzwoń po lekarza. Gdzie jest numer?

– Nie, nie rozumiesz – wydyszała, chwytając powietrze i czepiając się jego ręki. – Nie mogę... nie odchodź... dziecko...

Bez ostrzeżenia wydała przeraźliwy jęk i twarz jej najpierw zblęła, a potem powlokła się purpurą. Zaczęła przeć. Nie mogła się powstrzymać. Coś rozsadzało ją od środka.

– Przestań przeć... wyczerpiesz siły.

Antoine pamiętał, jak Maria ją ostrzegała za pierwszym razem. Czekaly ją jeszcze całe godziny męczarni, on jednak stanowczo chciał wezwać lekarza. Ale ona mu nie pozwoliła. Ścisnęła go za rękę i widział, że bóle przechodzą przez nią jeden za drugim.

– Antoine... pomóż mi... zdejmij ze mnie ubranie...

Z jego pomocą zdołała ściągnąć z siebie większość odzieży i wtedy dotarło do niego, co się dzieje. Ona nie miała bólów porodowych, właśnie rodziła dziecko. Wcale nie tego się spodziewał. Trochę odurzony od brandy, spojrzął pomiędzy jej nogi i zobaczył czubek główki dziecka. O ile się orientował, poród trwał już od pięciu minut. Właściwie rozpoczął się wczesnym popołudniem, tylko ona nic nie zauważyła.

– Połóż się – nakazał stanowczo, chociaż nie miał bladego pojęcia, co robić. Pamiętał tylko, co robiła Maria podczas niekończących się godzin wyczekiwania na Amadeę. – Nie możesz mi tego zrobić... Beato... nie możesz poczekać na lekarza?

Nie odważył się jej opuścić, żeby poszukać numeru. Nie mieli nikogo do pomocy. Pomyślał,

żeby zadzwonić do Veronique, ale podejrzewał, że ona wie jeszcze mniej o przyjmowaniu porodów. Zrobił ruch, żeby sięgnąć po notes z adresami, ale Beata go nie puściła.

– Potrzebuję cię... nie odchodź... o mój Boże... Antoine... proszę... o nie... niech mi ktoś pomoże...

– W porządku, kochanie, w porządku.... jestem tu... nie zostawię cię... powinnaś teraz przeć? Nie miał pojęcia, jak jej pomóc poza samą obecnością, ale tylko tego potrzebowała.

– Przynies ręczniki! – krzyknęła.

Pobiegł do łazienki, przyniósł naręcze ręczników i rozłożył je pod nią i dookoła. Widział, że skręca się z bólu, więc przytrzymał ją za ramiona jak poprzednim razem. Teraz jednak nie musiała się męczyć, dziecko zrobiło za nią całą robotę. Beata wydała jeden krzyk i po sekundach pojawiła się mała twarzyczka, kwiląca z otwartymi ustami. Oboje doznali wstrząsu na ten dźwięk. Antoine nigdy jeszcze nie widział czegoś równie zdumiewającego. Mówił do Beaty podczas następnych ataków bólu, kiedy wypchnęła z siebie ramionka dziecka, a potem resztę ciała. Dziecko leżało przed nimi, doskonale i głośno płaczące. To była jeszcze jedna dziewczynka. Antoine podniósł ją, ostrożnie zawinął w ręcznik i podał matce. Nachylił się i ucałował je obie, a Beata roześmiała się przez łzy. Cały proces zajął mniej niż pół godziny. Antoine, nadal wstrząśnięty, zapytał żonę o numer i zadzwonił do lekarza. Ten kazał nie przecinać pępowiny i obiecał, że przyjedzie za pięć minut. Mieszkał blisko *Schloss* i wiedział, gdzie jest ich dom. Potem Antoine usiadł obok łóżka i delikatnie pocałował matkę oraz dziecko.

– Kocham cię, Beato, ale jeśli jeszcze raz mi to zrobisz, zabiję cię... nie miałem pojęcia, jak ci pomóc... dlaczego nie pozwoliłaś mi wezwać lekarza?

– Myślałam, że dziecko nie urodzi się jeszcze przez wiele godzin, i chciałam być z tobą... przepraszam... nie chciałam cię przestraszyć.

Ona też się przestraszyła. Wszystko stało się tak szybko, nigdy się nie spodziewała, że dziecko przyjdzie na świat prawie bez ostrzeżenia. I oprócz kilku ostrych bólów poród okazał się zadziwiająco łatwy.

Lekarz zjawił się po chwili, przeciął pępowinę, zbadał matkę i córkę i ogłosił, że obie są w doskonałym zdrowiu.

– Nie potrzebowałaś mnie do tego, moja droga. Następne powinno przyjść jeszcze łatwiej.

– Następnym razem zabieram ją do szpitala – oświadczył Antoine, wciąż wstrząśnięty, i podziękował lekarzowi.

Lekarz zadzwonił po akuszerkę, żeby umyła matkę i dziecko. Przed północą obie leżały w łóżku, nieskazitelnie czyste i spokojne. Ta dziewczynka wyglądała zupełnie inaczej niż Amadea. Była znacznie mniejsza, dlatego poród odbył się dużo łatwiej i szybciej. Drobniutka, miała delikatną budowę matki, podczas gdy Amadea była wysoka i chuda jak ojciec. Niemowlę miało ciemne włosy Beaty, ale koloru oczu nie dało się określić tak wcześnie. Bardzo spokojnie leżało w ramionach Beaty.

Rano, kiedy weszła Amadea, wydała okrzyk radości. Nic nie słyszała w nocy i Beata cieszyła



się, że córka ma taki twardy sen.

– Mam siostrę! Mam siostrę! – wołała Amadea, tańcząc po pokoju, a potem uważnie obejrzała niemowlę. – Jak ją nazwiemy? Czy mogę ją potrzymać?

Beata i Antoine rozmawiali o imionach, zanim nie zasnęli, ale chcieli zaczekać, dopóki nie naradzą się z Amadeą.

– Co powiesz na Daphne? – zaproponowała Beata.

Amadea z powagą przyjrzała się dziecku, przez długą chwilę rozważała propozycję, po czym kiwnęła głową.

– Podoba mi się. – Rodzice odetchnęli z ulgą. – Daphne. Bardzo ładnie. Amadea wskoczyła do łóżka obok matki i Beata ostrożnie włożyła dziecko w ramiona starszej siostry. Łzy stanęły jej w oczach. Nie dała Antoine'owi syna, jak miała nadzieję, ale serce jej wezbrało radością, kiedy patrzyła na swoje dwie córki, jedną piękną i jasnowłosą, drugą tak ciemną i maleńką, podobną do matki. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Antoine uśmiecha się do nich, stojąc pod drzwiami. Wymienili długie uśmiechy. Na tę chwilę oboje czekali od ośmiu lat.

– Kocham cię – powiedziała bezgłośnie do Antoine'a, zakochana w nim bardziej niż kiedykolwiek. On skinął głową i łzy napłynęły mu do oczu. Nieważne, co utracili w przeszłości, teraz oboje mieli wszystko, czego pragnęli.

## Rozdział 7

Zanim Daphne skończyła dwa latka, Amadea miała dziesięć lat i nikt nie wątpił, że mała jest jej dzidziusiem, tak jak Amadea zapowiadała. Ciągłe koło niej skakała, rozpieszczała ją, zabierała wszędzie. Nigdy nie miała dosyć zabawy z tą żywą lalką. Okazała się wyjątkowo sprawną opiekunką. Beata nie miała nic do roboty, kiedy Amadea była w domu. Zostawiała swoją małą siostrzyczkę tylko wtedy, kiedy szła do szkoły albo odwiedzić ojca w stajniach. Jako dziesięciolatka znakomicie jeździła konno. Wygrała kilka zawodów w skokach i wiedziała mnóstwo o koniach. Antoine pękał ze słusznej dumy i uwielbiał obie córki tak jak Beatę. Był wspaniałym mężem i ojcem. Beata wiedziała, że naprawdę poszczęściło jej się w życiu.

Był czerwiec, akurat po drugich i dziesiątych urodzinach dziewczynek, kiedy Antoine otrzymał telegram, a potem list. Nie odzywając się więcej do syna, nie wybaczywszy mu strasznego – w jego mniemaniu – grzechu, ojciec Antoine’a nagle zmarł. I bez względu na ojcowski gniew Antoine jako najstarszy syn otrzymał ziemię, majątek i tytuł. Pewnego popołudnia wszedł do domu z telegramem w rękę i oszołomioną miną.

– Coś się stało? – Beata dobrze go znała i natychmiast się zaniepokoiła.

– Właśnie zostałam hrabiną.

Chwilę trwało, zanim zrozumiała. Wiedziała, co dla niego znaczyło odtrącenie przez ojca. A teraz już nic tego nie zmieni. Antoine odczuł to jako ogromną stratę.

– Przykro mi – powiedziała cicho i podeszła, żeby go objąć.

Tulił ją przez długi czas, potem westchnął i usiadł. Telegram zawiadamiał, że pogrzeb odbył się tydzień wcześniej. Nie mieli nawet tyle przyzwoitości, żeby go zaprosić. Telegram nadał adwokat ojca.

– Chcę się zobaczyć z bratem – powiedział Antoine w zamyśleniu. – To już za długo trwało. Muszę pojechać do Dordogne, żeby się spotkać z prawnikami.

Musiał podejmować decyzje, zarządzać majątkiem. Nie mógł pozostać nieobecny właścicielem. Odziedziczył *château* i całą resztę. O ile wiedział, stanowiło to pokaźny majątek, którego niewielka część przechodziła na jego brata Nicolasa. Właściwie w ciągu kilku chwil po otrzymaniu telegramu Antoine zdecydował, że chce się z nim podzielić spadkiem. Tytuł i ziemia należały się Antoine’owi. Lecz niezgodnie z tradycją uważał, że pieniądze należy dzielić po połowie. Posiadał teraz więcej niż dosyć i mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność wobec brata.

– Jutro muszę porozmawiać z Gerardem. Za kilka tygodni chcę pojechać do Francji. Nie mam pojęcia, jak długo tam zostanę.

Oboje jednak wiedzieli, że ich dni w zamku Daubignych dobiegły końca. Spędzili tutaj cudownych osiem lat, lecz Antoine jako hrabia de Vallerand miał własne zobowiązania. Po jedenastu latach wygnania nadszedł czas, żeby syn marnotrawny powrócił do domu. A Beata z dnia na dzień została hrabiną. Zaszły ogromne zmiany i Antoine wiedział, że musi to

wytłumaczyć Amadei.

Najpierw porozmawiał z Gerardem. Następnego ranka odbyli długą rozmowę przy śniadaniu. Antoine zgodził się zostać jeszcze kilka tygodni i obiecał, że po rozmowie z prawnikami we Francji wróci do Niemiec co najmniej na miesiąc, żeby znaleźć i przeszkolić zastępcę. Miał kilku kandydatów, którzy odpowiadali Gerardowi. Pryncypał nie mógł jednak przeboleć utraty przyjaciela. Żyli się przez lata i Antoine okazał się geniuszem w hodowli koni. Jego stajnie liczyły się najbardziej w Europie i słynęły z czempionów.

Dwa dni później, wiedząc, że ich współpraca wkrótce dobiegnie końca, Antoine zaproponował Gerardowi, żeby pojechali wypróbować dwa nowe ogiery. Antoine właśnie zakupił je na aukcji. Były wyjątkowo piękne i pełne temperamentu. Amadea przyglądała się, jak wyjeżdżają ze stajni, i narzekała, że ojciec nie pozwolił jej pojechać. Zamiast tego wróciła do domu, żeby się pobawić z małą siostrzyczką. Po południu bawiła się z nią w sypialni, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi i matka kogoś wpuściła. Amadea bawiła się lalkami z Daphne i nie zwróciła na to uwagi. Później zeszła na dół, żeby przynieść Daphne ciasteczko. Zobaczyła Gerarda i jednego z głównych trenerów ojca rozmawiających z matką w salonie. Beata miała nieprzytomny wyraz twarzy. Odwróciła się i spojrzała na córkę szklanym wzrokiem.

– Wracaj na górę – nakazała szorstko, co nie było w jej stylu. Amadea, zaskoczona tonem matki, odwróciła się i spełniła polecenie. Lecz siedząc w pokoju z Daphne, poczuła strach. Wiedziała, zanim jeszcze ktoś jej powiedział, że zdarzyło się coś okropnego.

Wydawało jej się, że upłynęło wiele godzin, zanim matka weszła na górę. Płakała i ledwie mogła mówić. Objęła Amadeę i powiedziała, że nowy ogier zrzucił ojca.

– Czy jest ranny? – zapytała przerażona Amadea.

Nawet z jednym niesprawnym ramieniem ojciec doskonale jeździł konno. Beata tylko załkała i pokręciła głową. Minęła wieczność, zanim zdobyła się na wypowiedzenie tych słów. Obie nie mogły w to uwierzyć.

– Papa nie żyje, Amadeo... papa...

Beata zakrzuszyła się własnymi słowami. Amadea płakała w jej objęciach. Po jakimś czasie przyszła Veronique, żeby posiedzieć z dziewczynkami, a Beata poszła do stajen zobaczyć ciało. Złamał sobie kark i zginął na miejscu. Mężczyzna, za którego oddałaby życie, nie żył. Nie mogła tego znieść.

Pogrzeb stanowił niekończącą się torturę. Kościół pękał w szwach. Antoine'a kochał każdy, kto go znał i z nim pracował. Gerard wygłaszał pożegnalną mowę, a Veronique siedziała obok Beaty i obejmowała ją ramieniem. Później odbyła się stypa w *Schloss* i główny hol wypełnili koniarze w żałobie. Beata wyglądała jak duch, kiedy płynęła przez pokój we wdowich kirach, obejmując obie córki.

A potem tyle miała do przemyślenia. Mężczyzna, którego tak bardzo kochała, dla którego porzuciła rodzinę, który nigdy jej nie zdradził ani nie rozczarował, nagle odszedł. Nie wiedziała, dokąd pójść, co robić, do kogo się zwrócić. Gerard pomagał jej, na ile mógł, a Veronique nie

odstępowała jej na krok. Musieli pokonać mnóstwo biurokratycznych przeszkód. Gerard zaproponował pomoc swoich adwokatów we Francji. Fortuna, którą zaledwie kilka tygodni wcześniej zostawił Antoine'owi ojciec, teraz należała do Beaty. Antoine wyraził przed śmiercią, żeby podzielić się pieniędzmi ze swoim bratem Nicolasem. Lecz połowa spadku Antoine'a wystarczyła aż nadto dla Beaty i dziewczynek. Nie zapewni im wyszukanych luksusów, ale zabezpieczy przyszłość. Beata mogła kupić dom i utrzymać siebie i córki do końca życia. Nie musiała już tak bardzo oszczędzać, ale też nie mogła sobie pozwolić na wyszukane zachcianki. Jednym słowem nie musiała się martwić o finanse. Mogła zadrećcać się wyłącznie tym, że Antoine odszedł i w wieku trzydziestu dwóch lat została wdową.

Amadea wiedziała, że nigdy nie zapomni dnia śmierci ojca. Teraz musiały w rozsądnym terminie opuścić dom, gdzie dorastała. W ich życiu nastąpią radykalne zmiany. Tylko Daphne była za mała, żeby zrozumieć sytuację. Amadea i matka rozumiały aż za dobrze. Beata wyglądała i czuła się tak, jakby jej własne życie dobiegło końca.

Tytuł przeszedł na Nicolasa razem z ziemią. *Château* należał teraz do niego. Hrabia Nicolas de Vallerand był bogatym człowiekiem, jakim zostałby w końcu Antoine, gdyby pożył dostatecznie długo. Przeżył ojca o niecałe dwa tygodnie. Niczego takiego Beata się nie spodziewała. Nie przejmowała się stratą tego, czego nigdy nie posiadała. Nic ją nie obchodziło prócz tego, że straciła Antoine'a.

Z czasem człowiek, którego Antoine znał i lubił, objął jego stanowisko w stajniach. Gerard i Veronique pomogli Beacie znaleźć dom w Kolonii. Beata i dziewczynki przeprowadziły się tam w lecie. Szwagier przysłał jej uprzejmy list z kondolencjami, lecz ani słowem nie wspomniał, że chciałby ją zobaczyć czy poznać dzieci Antoine'a. List był sztywny, grzeczny i formalny. Beata znenawidziła Nicolasa za to, że skrzywdził Antoine'a. Podobnie jak jej bliscy, jego rodzina również potraktowała ich okrutnie. Beata i Antoine pozostali wyrzutkami przez cały czas trwania swojego małżeństwa. Nie mieli żadnych bliskich przyjaciół poza małżeństwem Daubigny i sobą nawzajem. Beata wiedziała, że za późno już na spotkanie ze szwagrem, którego zresztą nie proponował. Wolał zostawić wszystko, jak jest, zwłaszcza teraz, po śmierci Antoine'a. Poza tym odniosła wyraźne wrażenie, że brat Antoine'a nadal winił ją za ich separację, chociaż miał tyle przyzwoitości i dobrych manier, żeby tytułować ją *Madame la Comtesse*, jako że teraz była hrabiną. Jednak tytuł stanowił dla niej lichą namiastkę męża. Nigdy nie odpowiedziała na list szwagra ani nie wyjaśniła Amadei, dlaczego nie chce go znać. Nie widziała powodu.

Przez następny rok Beata krążyła po swoim nowym domu jak duch. Na szczęście Amadea całkowicie przejęła opiekę nad młodszą siostrzyczką. Kapała ją, ubierała, bawiła się z nią, spędzała z Daphne każdą wolną chwilę, kiedy nie była w szkole. Zastąpiła jej matkę. Wydawało się, że kiedy Antoine umarł, zabrał Beatę ze sobą. Nie chciała bez niego żyć. Amadea czasami się martwiła, że jej matka stała się głęboko religijna. Spędzała większość czasu w kościele. Często po powrocie ze szkoły Amadea nie zastawała matki w domu. Małej pilnowała gospodyni, która tylko kręciła głową, kiedy Amadea pytała o matkę. Miała dopiero jedenaście lat, ale z dnia na

dzień została jedynym odpowiedzialnym członkiem rodziny. Nie wiedząc, co robić, spędzała czasami całe godziny w kościele, siedząc w milczeniu obok matki, byle tylko z nią być. Tylko w tym miejscu Beata czuła się spokojna i pogodzona z losem. I zamiast znienawidzić to miejsce, Amadea je pokochała. Uwielbiała chodzić z matką do kościoła. Najlepsza przyjaciółka Amadei pochodziła z licznej katolickiej rodziny i kiedy Amadea skończyła trzynaście lat, starsza siostra tej dziewczynki została zakonnicą, co Amadea uznała za tajemnicze i intrygujące. Dużo rozmawiały o powołaniu siostry przyjaciółki. Amadeę ciekawiło, jak to się objawia. Wydawało się godne pochwały.

Lecz wkrótce matka zaczęła się dziwnie zachowywać. Nie tylko chodziła do kościoła codziennie, niekiedy więcej niż jeden raz, ale czasami wstępowała też do synagogi. Była to wielka, imponująca świątynia pełna zamożnie wyglądających ludzi. Matka zabrała tam Amadeę pewnego dnia, który nazwała Jom Kipur. Amadea była zafascynowana, ale nieco wystraszona. Matka siedziała jak przykuta do miejsca i wpatrywała się w pewną starszą kobietę. Kobieta jakby jej nie widziała. A tego wieczoru w bawialni Amadea zastała matkę oglądającą stare, wyblakłe, oprawione fotografie, które trzymała na kolanach.

– Kim są ci ludzie, mamó? – zapytała cicho Amadea.

Tak bardzo kochała matkę, a teraz od trzech lat czuła, że ją straciła. W pewnym sensie matka, którą znała i kochała, odeszła wraz z ojcem. Od jego śmierci nikt się nie śmiał w domu, chyba że Amadea bawiła się z Daphne.

– To moi rodzice, siostra i bracia – powiedziała po prostu Beata.

Do tego dnia Amadea nie słyszała o nich ani słowa. Ojciec raz jej powiedział, że on i matka byli sierotami, kiedy się poznali. Uwielbiała słuchać, jak się spotkali i zakochali w sobie, i jak pięknie wyglądała matka w dniu ich ślubu. Wiedziała, że poznali się w Szwajcarii i mieszkali tam z kuzynami ojca, dopóki nie skończyła dwóch lat, a potem przenieśli się do domu, który znała i gdzie dorastała. Wciąż chodziła czasami do stajni pojeździć konno, teraz jednak to miejsce budziło w niej smutek i tęsknotę za ojcem. Matka już dawno sprzedała jej kucyka. Gerard i Veronique zawsze zapraszali ją do siebie, wiedziała jednak, że matka nie chciała jej tam puszczać. Bała się, że coś jej się stanie, tak jak ojcu. Amadea przestała tam jeździć, żeby nie niepokoić matki, chociaż jej tego brakowało.

– Czy oni wszyscy umarli? – zapytała, widząc, jak matka wpatruje się w wyblakłe zdjęcia.

Beata popatrzyła na nią dziwnie.

– Nie, ja umarłam.

Nie powiedziała wtedy nic więcej. Po chwili Amadea wróciła do Daphne. Daphne była wtedy szczęśliwą pięciolatką i nie widziała świata poza swoją starszą siostrą. Amadea zastępowała jej matkę.

Po tym pierwszym razie, kiedy Beata zabrała ze sobą córkę, chodziła do synagogi co roku na Jom Kipur. To był dzień pojednania, czas na kontemplację minionych grzechów i poddania się pod osąd Boga. Beata wychowała dzieci w katolickiej wierze i głęboko wierzyła w to, czego je

uczyła. Sama jednak wciąż raz w roku chodziła do synagogi i za każdym razem ich widziała. Całą swoją rodzinę. Zawsze tam siedzieli, mężczyźni oddzieleni od kobiet. I co roku zabierała ze sobą Amadeę. Nigdy nie wyjaśniła jej powodów. Czuła, że to zbyt skomplikowane. Ona i Antoine zawsze jej mówili, że ich bliscy umarli. Nie chciała się przyznać do kłamstwa. I dlatego też nigdy nie powiedziała swoim córkom, że przed laty była Żydówką.

– Dlaczego chcesz tam pójść? – wypytywała zaintrygowana Amadea.

– Myślę, że to interesujące, a ty nie?

Beata nigdy nie udzieliła obszerniejszej odpowiedzi. Amadea zwierzyła się najlepszej przyjaciółce, kiedy miała piętnaście lat, że tamto miejsce przyprawia ją o dreszcze. Lecz od śmierci ojca przed pięcioma laty nigdy nie podejrzewała, że matka jest nienormalna. Wstrząs okazał się zbyt silny i Amadea słusznie wyczuwała, że matka chce odejść. Miała dopiero trzydzieści osiem lat i wciąż była piękna, lecz teraz już tylko czekała na śmierć.

Amadea skończyła szesnaście lat, Daphne miała osiem i w tym roku Amadea jej obiecała, że zabierze ją do swojej klasy baletowej tego dnia, kiedy matka wybierała się do synagogi na Jom Kipur. Z ulgą znalazła wymówkę, żeby nie towarzyszyć Beacie. Nie wiedziała, dlaczego, ale zawsze to ją przygnębiało. O wiele bardziej wolała chodzić z matką do kościoła. Ostatnio modliła się, żeby poczuć powołanie jak siostra przyjaciółki. Nikomu się nie zwierzała, ale zaczynała poważnie o tym myśleć.

Beata zajęła swoje miejsce w synagodze, jak zawsze szczerze zawołowana. I jak co roku zobaczyła ich. Wiedziała, że mogła przyjść jakiegos innego dnia, ale zawsze Jom Kipur wydawał się właściwy, żeby błagać ich o przebaczenie. Tym razem pomyślała, że jej matka wygląda krucho. Jakimś cudem siedziała tuż za nią. Gdyby odważyła się wyciągnąć rękę, mogłaby jej dotknąć. A potem, znowu jakimś cudem, wyczuwając uporczywe spojrzenie Beaty, matka odwróciła się i spojrzała na kobietę siedzącą z tyłu. Zobaczyła tylko kapelusz i woalkę, ale wyczuła w niej coś znajomego. Zanim się odwróciła z powrotem, Beata podniosła woalkę i matka ją ujrzała. Ich spojrzenia spotkały się i połączyły w bezkresnej chwili, a potem matka kiwnęła głową i odwróciła się sztywno. Siedziała jak sparaliżowana, samotna pomiędzy kobietami. Po wyjściu z synagogi Beata podeszła do niej. Tym razem nie miała wrażenia, że matka chce ją odepchnąć. Najbardziej uderzył Monikę bezbrzeżny smutek w oczach córki. Dwie kobiety wyszły razem z synagogi, ich dłonie musnęły się i zetknęły. Beata ostrożnie ujęła dłoń matki, która nie stawiała oporu. Potem bez słowa odeszła do ojca. Beata zobaczyła, że wciąż był wysoki i dumny, chociaż znacznie starszy. Wiedziała, że miał sześćdziesiąt osiem lat, a matka sześćdziesiąt trzy. Patrzyła, jak odchodzą, a potem wróciła taksówką do córek.

– Jak tam było? – zagadnęła Amadea wieczorem przy obiedzie.

– Gdzie? – rzuciła Beata z roztargnieniem.

Rzadko odzywała się przy obiedzie, a tego wieczoru wydawała się szczególnie rozkojarzona. Wciąż myślała o swojej matce. Nie rozmawiały ze sobą od siedemnastu lat i tyle się wydarzyło. Urodziły się jej córki, zmarł jej mąż, wszystko się zmieniło w jej życiu i została hrabiną, chociaż

to nic dla niej nie znaczyło, ale podejrzewała, że mogło zaimponować jej siostrze.

– Czy dzisiaj jest ten dzień, kiedy co roku chodzisz do synagogi? Czemu to robisz, mamó?

Amadea wiedziała, że matka była dawniej wielką intelektualistką i zawsze głęboko interesowała się religią. Może sprowadziła ją tam religijna ciekawość albo szacunek dla innych. Wiedziała, że matka jest żarliwą katoliczką.

– Lubię to.

Nie powiedziała najstarszej córce, że poszła tam zobaczyć matkę i dzisiaj jej dotknęła. Nie zamieniły ani jednego słowa, ale sam dotyk matczynej ręki ożywił Beatę. Od śmierci Antoine'a czuła w głębi serca, że musi zobaczyć swoją matkę. Potrzebowała jakiegoś poczucia ciągłości pomiędzy przeszłością a przyszłością. Monika stanowiła dla niej takie ogniwo, podobnie jak sama Beata była ogniwem pomiędzy matką a swoimi córkami.

– Myślę, że to wstrętne, że Żydzi nie mogą już wydawać gazet ani posiadać ziemi. I że niektórych wysyłają do obozów pracy – oświadczyła przy obiedzie Amadea z oburzoną miną.

Hitler został wybrany kanclerzem w styczniu i od tamtej pory wydano ustawy przeciwko Żydom. Beata wiedziała o tym, jak większość ludzi, i uważała to za haniebne, lecz nikt nie mógł temu zapobiec. Jak większość ludzi, miała własne kłopoty i zmartwienia. Lecz obecny antysemityzm bardzo ją niepokoił z wielu powodów.

– Co o tym wiesz? – zapytała z zaskoczeniem.

– Wiem całkiem sporo. Poszłam na kilka wykładów kobiety nazwiskiem Edith Stein. Powiedziała, że kobiety powinny się angażować w politykę, życie społeczeństwa i narodu. Napisała do papieża, potępiając antysemityzm. I czytałam jej książkę *Życie w żydowskiej rodzinie*. Urodziła się jako Żydówka i niedawno została zakonnicą. Przeszła na katolicyzm jedenaście lat temu, ale naziści wciąż ją uważają za Żydówkę. Zabronili jej wykładać i uczyć. Teraz jest w zakonie karmelitanek w Kolonii. Jest dosyć sławna.

– Wiem. Czytałam o niej. Uważam, że jest interesująca.

Po raz pierwszy od lat Beata nawiązała z córką kontakt, po raz pierwszy rozmawiała z nią jak równy z równym. Amadea nabrała odwagi i postanowiła otworzyć przed matką serce. Zaimponowało jej, że matka również słyszała o Edith Stein.

– Czasami myślę, że chciałabym zostać zakonnicą. Raz rozmawiałam o tym z księdzem. Uważał, że to dobry zamiar.

Beata ze zdumieniem spojrzała na córkę. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo oddaliła się od dzieci i jaka samotna czuła się Amadea. Oprócz szkolnych przyjaciół miała do towarzystwa tylko dziecko o połowę od niej młodsze. To był sygnał ostrzegawczy dla Beaty, że powinna się zająć córką. Antoine nie żył od sześciu lat i Beata czuła się tak, jakby umarła razem z nim.

– Twój ojciec nie chciałby, żebyś została zakonnicą.

Przypomniała sobie, jak ksiądz udzielający im ślubu powiedział, że powinna zostać zakonnicą. Antoine ostro potępił ten pomysł, nie tylko w jej przypadku, ale uważał, że to

zmarnowane życie dla kobiety. Jego zdaniem kobiety powinny wychodzić za mąż i rodzić dzieci.

– Powinnaś wyjść za mąż, kiedy dorosniesz, i mieć dzieci. – Próbowała wiernie powtórzyć słowa Antoine’a, jakby mówiła w jego imieniu, skoro sam nie mógł zabrać głosu.

– Może nie wszyscy muszą mieć dzieci. Siostra Gretchen została zakonnica trzy lata temu. Jest bardzo szczęśliwa. W zeszłym roku złożyła pierwsze śluby.

Im dłużej Beata słuchała, tym wyraźniej widziała, że zupełnie straciła kontakt z córką. Amadea wyglądała tak, jakby już się wybierała do najbliższego klasztoru. Beata zrozumiała, że jest odpowiedzialna za córkę, że powinna z nią rozmawiać nie tylko o zabranii Daphne na balet czy odprowadzeniu jej do szkoły, ale o ważnych sprawach. Miała nadzieję, że jeszcze nie jest za późno na odbudowanie utraconych więzi.

– Nie chcę, żebyś chodziła na wykłady takich ludzi jak Edith Stein ani na wiece organizowane przez radykałów, jeśli to ostatnio robisz. I uważaj z krytyką polityki Hitlera, chyba że w domu.

– Ty się z nim zgadzasz, mam? – zapytała zaszokowana Amadea.

– Nie, wcale. – Beata czuła, że wreszcie przejaśniło jej się w głowie. Rozmowa z Amadea okazała się interesująca. Córka była wyjątkowo bystrą dziewczynką. Przypominała jej samą siebie w tym wieku, własną ciekawość świata, namiętne zainteresowanie filozofią i polityką. Prowadziła wielogodzinne dyskusje z braćmi i ich kolegami. Amadea nie miała z kim porozmawiać oprócz niej. – Ale krytyka jest niebezpieczna. Hitlerowska polityka jest pełna antysemityzmu. Nawet w twoim wieku możesz przyciągnąć uwagę, jeśli będziesz mówić zbyt głośno. To zbyt ryzykowne.

Amadea widziała, że matka mówi poważnie. Wygłosiła opinię, jakie wstrętne było palenie książek w maju. Nie podobały jej się rzeczy, które widziała i słyszała publicznie, a teraz okazało się, że matka również ich nie pochwała.

– Dlaczego spalili książki? – wtrąciła się wreszcie do rozmowy Daphne, która nic nie rozumiała.

– Bo próbują zastraszyć i upokorzyć ludzi – pospieszyła z wyjaśnieniem Amadea. – I wysyłają ludzi do obozów pracy, bo to Żydzi. W tym roku na moje urodziny naziści zabronili ludziom kupować w żydowskich sklepach.

– Przez ciebie? – zdumiała się Daphne.

Starsza siostra uśmiechnęła się do niej.

– Nie, to był tylko zbieg okoliczności, ale to podłe.

– Czy Żydzi wyglądają inaczej niż zwykli ludzie? – zapytała Daphne z zaciekawieniem, co rozgniewało Amadeę.

– Oczywiście, że nie. Jak możesz wygadywać takie bzdury?

– Moja nauczycielka mówi, że Żydzi mają ogony – odparła niewinnie Daphne.

Matka i siostra spojrzały na nią ze zgrozą.

– To nieprawda – oświadczyła Beata.



Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć córkom, że urodziła się jako Żydówka. Ale czułaby się niezręcznie. Od tylu lat była katoliczką. Zresztą mówiono, że naziści prześladowają tylko biednych Żydów, bezdomnych i kryminalistów, nie takich jak jej rodzina. Naziści chcieli oczyścić Niemcy i wyplenić przestępczość. Nigdy nie tkną szanowanych Żydów. Beata była tego pewna. Ale nie dość pewna, żeby powiedzieć dzieciom o swoim żydowskim pochodzeniu.

Tego wieczoru interesująca rozmowa przy obiadowym stole przeciągnęła się dłużej niż zwykle. Beata dotąd nie zdawała sobie sprawy, że Amadea interesuje się polityką, ma głęboką świadomość społeczną i niezależne poglądy. Nie wiedziała też, że córka próbuje odnaleźć w sobie religijne powołanie, co przerażało Beatę znacznie bardziej niż radykalne skłonności. Mimo woli wciąż się zastanawiała, jaki wpływ wywarły na Amadeę wykłady i pisma Edith Stein. Czy jeszcze gorzej – fakt, że Stein została zakonnica. Takie rzeczy mogły wycisnąć niezatarte piętno na młodej dziewczynie. Nie wspominając o starszej siostrze najlepszej przyjaciółki. Wszystko razem składało się na obraz życia, jakiego Beata nie chciała dla córki. Sama jednak przez ostatnie lata ofiarowała zbyt mało, żeby przeważyć szalę na drugą stronę. Nie miała żadnego życia towarzyskiego, żadnych przyjaciół, nie widywała nikogo z wyjątkiem Daubignych, i nawet ich rzadko. Przez jedenaście lat, dopóki żył Antoine, poświęcała cały czas jemu i dzieciom. A po jego śmierci zmieniała się w odludka. Teraz już nie chciała i nie potrafiła tego naprawić. Przynajmniej jednak mogła zwracać większą uwagę na wydarzenia w zewnętrznym świecie. Amadea wydawała się znacznie lepiej poinformowana. Beatę martwiły jednak jej opinie o nazizmie i antysemityzmie. Miała nadzieję, że córka nie wygłasza ich w szkole. Nazajutrz rano ponownie przypomniała jej, żeby była ostrożna. Krytykowanie nazistów nie było bezpieczne dla nikogo.

W następnym tygodniu Beata znowu poszła do synagogi. Nie chciała czekać do następnego roku, zanim ponownie zobaczy matkę. Tym razem umyślnie usiadła za nią i nie musiała podnosić woalki. Matka rozpoznała ją od pierwszego spojrzenia. Wychodząc po nabożeństwie, Beata wsunęła w urękawiczoną dłoń matki karteczkę ze swoim adresem i numerem telefonu. Jak tylko zobaczyła, że palce matki zacisnęły się na świstku papieru, wmieszała się w tłum i odeszła. Tym razem nie chciała widzieć ojca. Teraz modliła się tylko, by matce wystarczyło odwagi, żeby zadzwonić. Rozpaczliwie chciała ją zobaczyć, przytulić i chociaż raz z nią porozmawiać. Najbardziej pragnęła, żeby matka poznała dziewczynki.

Dwa dni wlokły się bez końca. Przez czysty przypadek Amadea odebrała telefon, kiedy wreszcie zadzwonił. Właśnie wstawiała od stołu po obiedzie i Beata zapytała Daphne, czy chce się pobawić. Amadea zauważyła, że matka ostatnio wygląda znacznie lepiej i stara się bardziej nimi zajmować, jakby usiłowała wydobyć się z długiej depresji po śmierci Antoine'a.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać przez telefon – oznajmiła Amadea.

– Kto? – zapytała Beata, chwilowo zapomniawszy, czyjego telefonu oczekiwała.

Przypuszczała, że dzwoni Veronique, która od miesiący ją błagała o uszycie sukni na przyjęcie gwiazdkowe. Uważała, że to będzie dobra terapia. Ale Beata się wykręcała. Nie szła

od lat, od śmierci Antoine'a, najwyżej czasami coś prostego dla dziewczynek. Przestało ją bawić projektowanie sukien balowych czy wizytowych. I nie musiała już tego robić ze względów finansowych.

– Nie przedstawiła się – odparła Amadea.

Zabrała Daphne na górę, a Beata podeszła do telefonu.

– Halo? – odezwała się i zaparło jej dech, kiedy usłyszała znajomy głos.

– Beata? – szepnęła matka w obawie, żeby ktoś nie podsłuchał. Jacob wyszedł, ale wszyscy wiedzieli, że nie wolno jej rozmawiać z córką. Córka umarła.

– O mój Boże. Dziękuję, że zadzwoniłaś. Wyglądałaś tak pięknie w synagodze. Nic się nie zmieniłaś.

Obie wiedziały, że to niemożliwe po siedemnastu latach, lecz dla Beaty matka wyglądała tak samo.

– Wyglądałaś tak smutno. Jak się czujesz? Jesteś chora?

– Antoine nie żyje.

– Tak mi przykro. – W jej głosie brzmiała szczerłość. Córka wydawała się załamana. Dlatego Monika do niej zadzwoniła. Nie mogła dłużej odwracać się do niej plecami, bez względu na Jacoba. – Kiedy?

– Sześć lat temu. Mam dwie śliczne córeczki. Amadeę i Daphne.

– Czy są podobne do ciebie? – zapytała matka z uśmiechem.

– Mała tak. Starsza jest podobna do ojca. Mamo, czy chciałabyś je zobaczyć?

Milczenie trwało bez końca, aż wreszcie matka westchnęła ze znużeniem. Ostatnimi czasy życie stało się trudne.

– Tak, chciałabym.

– Byłoby cudownie – ucieszyła się Beata, przejęta jak mała dziewczynka. – Kiedy chciałabyś przyjść?

– Może jutro po południu na herbatę? Dziewczynki pewnie już wrócą ze szkoły.

– Będziemy czekać.

Łzy płynęły po twarzy Beaty. Modliła się o to przez lata. Przebaczenie. Rozgrzeszenie. Jeszcze raz dotknąć matki. Chociaż raz. Przez chwilę znaleźć się w jej ramionach. Chociaż raz.

– Co im powiesz?

– Nie wiem. Dzisiaj się zastanowię.

– Znienawidzą mnie, jeśli im powiesz prawdę – ostrzegła smutno Monika Wittgenstein.

Lecz podobnie jak Beata chciała ją zobaczyć, ona tak samo chciała zobaczyć swoje dziecko. W tych czasach działy się złe rzeczy. Jacob obawiał się, żeby również ich to nie spotkało, chociaż Horst i Ulm zapewniali, że nic im się nie stanie. Przecież byli Niemcami, nie byle Żydami włóczącymi się po ulicach. Tłumaczyli, że naziści ścigają przestępców, nieszanowanych ludzi jak oni. Jacob nie przyznawał im racji. Zresztą wszyscy byli teraz starsi. Monika chciała jeszcze raz zobaczyć córkę. Potrzebowała tego wręcz fizycznie. Jakby odebrano jej część serca, którą

musiała odzyskać.

– Nie muszą znać prawdy. Możemy to zwalić na papę.

Uśmiechnęła się. Obie wiedziały, że ojciec nigdy nie ustąpi. Z całą pewnością Amadea i Daphne nigdy go nie spotkają. Lecz Monika nie mogła już dłużej poddawać się jego tyranii, ze względu na siebie i na Beatę.

– Nie martw się. Coś wymyślę. Będą zachwycone, kiedy cię poznają. I mamę... – prawie się zadławiła tymi słowami – ...nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Ja też. – Matka wydawała się równie przejęta.

Beata rozmyślała o tym przez całą noc i rano przy śniadaniu oznajmiła, że pewna pani chciałaby je poznać i przyjdzie dzisiaj po południu.

– Kto to jest? – zapytała Amadea z nikłym zainteresowaniem.

Tego dnia miała w szkole klasówkę. Poprzedniego wieczoru uczyła się do późna i była zmęczona. Była celującą uczennicą. Beata zawahała się na jedno uderzenie serca.

– Wasza babcia – powiedziała.

Obie dziewczynki szeroko otworzyły oczy.

– Myślałam, że nie żyje – podejrzliwie rzuciła Amadea, nie wiedząc już, w co powinna wierzyć.

– Skłamałam – wyznała Beata. – Kiedy poślubiłam waszego ojca, Francja i Niemcy prowadziły wojnę i ludzie bardzo mocno to odczuwali. Obie nasze rodziny tak czuły. Papa i ja poznaliśmy się w Szwajcarii, gdzie byliśmy na wakacjach z rodzicami. Mój ojciec chciał, żebym poślubiła kogoś innego. Mężczyznę, którego nawet nie znałam.

Niełatwo było teraz im wszystko wyjaśnić; ich życie tak bardzo się różniło od jej życia. Obie jednak słuchały jak urzeczone. Beata z trudem znajdowała słowa na opisanie tego, co wydarzyło się tak dawno.

– Nasze rodziny nie chciały, żebyśmy się pobrali, bo papa był Francuzem, a ja Niemką. Wiedzieliśmy, że musimy poczekać, dopóki wojna się nie skończy, a nawet wtedy mogli się nie zgodzić. Byliśmy młodzi i szaleni. Powiedziałam ojcu, że chcę poślubić papę bez względu na wszystko. Oświadczył, że jeśli za niego wyjdę, nie chce mnie znać. Papa był ranny i czekał na mnie w Szwajcarii, a jego kuzyni zgodzili się, żebyśmy z nimi zamieszkali i wzięli ślub. Więc wyjechałam, co było bardzo samowolne, ale wiedziałam, że postępuję słusznie. Wiedziałam, że wasz ojciec jest dobrym człowiekiem, i nigdy ani przez chwilę nie żałowałam tego, co zrobiłam. Ale mój ojciec nie chciał mnie więcej widzieć i nie pozwolił mi widywać rodziny. Ani matki, ani siostry, ani braci. Wszystkie moje listy do nich wracały nieotwarte. Nigdy nie pozwolił matce spotkać się ze mną ani porozmawiać. Przedwczoraj zobaczyłam ją przypadkiem.

Nie powiedziała, że spotkały się w synagodze, ponieważ nie chciała dodatkowo mącić im w głowach informacją, że są półkrwi Żydówkami. Tylko by skomplikowała sprawy. A może nawet naraziła córki na niebezpieczeństwo, zważywszy na stosunek Hitlera do Żydów.

– Dałam mojej matce nasz adres i numer telefonu. Zadzwoiła wczoraj wieczorem i chciała

was zobaczyć. Przyjdzie tu dzisiaj po szkole.

Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Obie córki patrzyły na nią z niedowierzaniem.

– Jak on mógł postąpić tak podle?! – zawołała Amadea z oburzeniem. – Rodzina papy też tak zrobiła?

– Owszem. Nienawidzili Niemców tak samo, jak moja rodzina nienawidziła Francuzów.

– Jakie to głupie. I jakie podle. – Serce Amadei wyrywało się do matki. – Czy ty postąpiłabyś tak z nami? – zapytała, chociaż już знаła odpowiedź.

– Nie, nigdy. Ale to było dawno temu i trwała okropna wojna.

– Więc dlaczego potem nie chciał cię znać? – zapytała rozsądnie Daphne. Podobnie jak siostra, była bystrym dzieckiem.

– Bo to uparty staruch – oświadczyła Amadea z urazą.

Beata przebaczyła mu już dawno i pogodziła się z jego decyzją, chociaż to ją dręczyło przez lata.

– A twoja siostra i bracia? – zapytała Amadea, wciąż zaszokowana tymi wiadomościami. – Oni też nie umarli?

Beata pokręciła głową.

– Dlaczego nie chcą cię widzieć?

– Nie chcą się sprzeciwiać ojcu – wyjaśniła Beata z prostotą. Nie powiedziała córkom, że ojciec uznał ją za zmarłą.

– Pewnie on jest okropny, skoro wszyscy tak się go boją – zauważyła rozsądnie Amadea. Nie mogła pojąć takiego traktowania ludzi. Jej własny ojciec był bardzo łagodnym człowiekiem. – I rodzina papy też.

– Twoja mama jest bardzo dzielna, skoro chce nas teraz zobaczyć. Czy twój ojciec ją zbije, kiedy wróci do domu? – spytała zaniepokojona Daphne.

– Ależ skąd. – Beata uśmiechnęła się. – Ale ona mu nie powie, że tu przyszła. Nie chce go denerwować. On jest już stary. Ona też. Tak się cieszę, że do nas przyjdzie – wyznała Beata ze łzami w oczach, co wzruszyło obie córki. – Strasznie za nią tęskniłam. Zwłaszcza po śmierci papy.

Amadei nagle przyszło coś na myśl, czy coroczne wizyty matki w synagodze miały z tym coś wspólnego, ale nie chciała pytać. Matka dosyć już przeszła.

– Chciałam tylko, żebyście wiedziały, że ona dzisiaj przyjdzie.

Dziewczynki poszły do szkoły, wciąż oszołomione tym niezwykłym odkryciem wewnętrznego świata matki. Dziwnie się czuły, wiedząc, że mają babcię, która żyła przez te wszystkie lata i której nigdy nie widziały. Nie tylko babcię, ale także dziadka, ciotkę i dwóch wujków.

– Cieszę się ze względu na mamę, że ona przyjdzie – powiedziała cicho Amadea. – Ale myślę, że to straszne. Wyobraź sobie, że mama zrobiłaby nam coś takiego.

Przepełniało ją współczucie i litość dla matki. Co za okropna tragedia, stracić wszystkich

najbliższych dla mężczyzny. Choć gdyby tego nie zrobiła, uświadomiła sobie Amadea, ona i Daphne nigdy nie przysłyby na świat.

– Ja bym bardzo płakała – wyznała Daphne z przejęciem.

– Ja też. – Amadea uśmiechnęła się i wzięła siostrę za rękę, żeby ją przeprowadzić przez ulicę. – Lepiej niech ci nie strzeli do głowy, żeby się do mnie nie odzywać, bo przyjdę i cię zbiję – zagroziła.

– Okay, przyrzekam. – Daphne roześmiała się.

Myśląc o matce i babce, którą miały poznać, dziewczynki szły do szkoły, trzymając się za ręce. Amadea zapomniała już o podejrzeniach, że jej dziadkowie są Żydami. Zresztą to nie miało znaczenia. Wiedziała, że matka jest katoliczką, więc widocznie się myliła. Rodzice matki na pewno też byli katolikami.

## Rozdział 8

Kiedy o czwartej zabrzączał dzwonek, Beata stała przez chwilę bez ruchu. Obciągnęła suknię i przyglądała włosy. Nosiła prostą czarną suknię i sznur pereł, który podarował jej Antoine na ich dziesiątą rocznicę. Twarz miała niezwykle poważną i bladą. Niemal bez tchu otworzyła drzwi i zobaczyła matkę stojącą na progu w eleganckim czarnym płaszczu na purpurowej sukni. Jak zwykle matka była pięknie ubrana; miała czarne zamszowe pantofle, dopasowaną do nich torebkę i czarne zamszowe rękawiczki szyte na miarę. I sznur ogromnych pereł na szyi. Spojrzała w oczy córki i bez słowa obie padły sobie w ramiona. Beata nagle poczuła się jak dziecko, które zgubiło matkę i wreszcie ją odnalazło. Chciała tylko tulić się do niej, dotykać jej twarzy i jedwabistych włosów. Matka wciąż używała tych samych perfum co dawniej, kiedy Beata była małą dziewczynką. Tak wyraźnie, jakby to się zdarzyło wczoraj, przypomniała sobie okropny dzień rozstania. Ale teraz wszystko minęło. Znowu się odnalazły. Znikły lata, które upłynęły od tamtej pory. Beata zaprowadziła matkę do bawialni i usiadły obok siebie na kanapie. Obie płakały. Beata długo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Dziękuję, że przysłaś, mamo, tak bardzo za tobą tęskniłam. Bardziej niż przyznawała sama przed sobą. Wszystko wróciło nagle z całą wyrazistością. Chwile, kiedy pragnęła obecności matki: kiedy brała ślub... kiedy urodziła się Amadea, a potem Daphne... na urodziny i święta, przy każdej ważnej okazji w małżeńskim życiu... i kiedy umarł Antoine. I wszystkie zwyczajne chwile pomiędzy tymi wyjątkowymi. A teraz matka była przy niej. Beata nie czuła gniewu z powodu utraconych lat, tylko żal. I wreszcie ulgę.

– Nigdy nie zrozumiesz, ile wycierpiałam – oświadczyła Monika przez łzy, które strumieniami płynęły jej po twarzy. – Obiecałam mu, że się z tobą nie spotkam. Bałam się mu sprzeciwić. Ale tak bardzo za tobą tęskniłam, co dzień.

Nigdy nie przeboleła tego rozstania. W końcu to było jak śmierć.

– Wszystkie moje listy wróciły nieotwarte – powiedziała Beata, kiedy wytarła nos.

– Nie wiedziałam, że pisałaś. Widocznie papa je odesłał i wcale mi nie pokazał.

– Domyśliłam się – przyznała ze smutkiem Beata, przypominając sobie odręczne pismo ojca na kopercie. – Listy, które napisałam do Brigitte, też wróciły. Widziałam ją raz na ulicy, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Ulm i Horst też.

– Odprawiliśmy za ciebie sziwę – powiedziała smutno matka. To był najgorszy dzień jej życia. – On nam nie pozwalał nawet rozmawiać o tobie. A Brigitte chyba boi się mnie denerwować, dlatego nic nie mówi.

– Czy ona jest szczęśliwa?

Matka pokręciła głową.

– Rozwiodła się. Chce wyjść za kogoś innego. Ojciec tego nie pochwała. Czy twoje dzieci są żydami? – zapytała z nadzieją.

Beata pokręciła głową. Nie powiedziała matce, że przyjęła chrzest, kiedy poślubiła

Antoine'a. Obawiała się, że to będzie za wiele. A potem matka ją zaskoczyła. Słusznie odgadła, że Beata przyjęła chrzest, żeby wyjść za Antoine'a.

– Może tak jest lepiej, w tych czasach. Naziści robią straszne rzeczy. Papa mówi, że nas nie ruszą. Ale nigdy nie wiadomo. Nie mów nikomu, że byłaś żydówką. Dużo czasu im zabierze, zanim znajdą rejestry. Jeśli teraz jesteś chrześcijanką, niech tak zostanie, Beato., W ten sposób będziesz bezpieczniejsza. – Dużo ją kosztowało, żeby to powiedzieć. A potem spojrzała z niepokojem na córkę. – Co mówiłaś o mnie dzieciom?

– Że cię kocham. Papa nie chciał, żebym wyszła za Antoine'a, bo był Francuzem i trwała wojna. Powiedziałam, że jego rodzina tak samo myślała o mnie. Dziewczynki były wstrząśnięte, ale chyba zrozumiały.

Przynajmniej się starały. Dostały twardy orzech do zgryzienia, ale jakoś sobie poradziły.

– Czy jego rodzina spotkała się z tobą? – Beata pokręciła głową. – Jak on umarł?

– Wypadek na koniu. Jego ojciec zmarł dwa tygodnie wcześniej. – Beata uśmiechnęła się. – Jestem teraz hrabiną.

Matka też się uśmiechnęła.

– Zaimponowałaś mi – zażartowała z błyskiem w oku.

Wtedy wróciły dziewczynki i weszły ostrożnie do pokoju. Spojrzały na kobietę, która była ich babką, i zobaczyły uśmiech rozświetlający twarz matki. Przedstawiła najpierw Amadeę, potem Daphne, a jej matka patrzyła na nie i płakała, i wyciągała do nich ręce.

– Proszę, wybaczcie mi, że byłam taka głupia. Taka jestem szczęśliwa, że was poznałam. Jestem z was obu taka dumna. Jesteście takie śliczne.

Osuszyła oczy koronkową chusteczką. Dziewczynki podeszły do niej powoli. Daphne pomyślała, że babcia wygląda miło. Amadea chciała ją zapytać, dlaczego pozwoliła mężowi tak podle potraktować ich matkę, ale zabrakło jej odwagi. Pomyślała, że babcia wygląda na dobrą kobietę. Ciągłe płakała, tak jak ich matka. Potem, kiedy piły herbatę i rozmawiały, dziewczynki stwierdziły, że babcia jest bardzo podobna do ich matki. Obie nawet mówiły podobnie. Spędziły razem cudowne chwile. Wreszcie Monika wstała, a Daphne spojrzała na nią z ciekawością.

– Jak mamy do ciebie mówić?

Zadała rozsądne pytanie jak na ośmiolatkę. Amadea też się nad tym zastanawiała.

– Czy może być „babcia”? – zapytała z wahaniem Monika, zerkając na Beatę. – Będę zaszczycona, jeśli zechcecie tak mnie nazywać.

Obie dziewczynki kiwnęły głowami. Monika uściskała je, a potem objęła Beatę, zanim wyszła. Nie mogły się sobą nacieszyć.

– Przyjdiesz jeszcze? – zapytała cicho Beata, kiedy stały w drzwiach.

– Oczywiście – zapewniła matka. – Kiedy tylko zechcesz. Zadzwoń za parę dni – obiecała.

Beata wiedziała, że matka zadzwoni. Zawsze dotrzymywała słowa.

– Dziękuję ci, mamó – powiedziała i uścisnęła ją ostatni raz.

– Kocham cię, Beato – szepnęła matka.

Pocałowała ją w policzek i wreszcie odeszła. To było dla nich wszystkich niezwykle popołudnie.

Po wyjściu babki Amadea poszła poszukać matki. Beata siedziała samotnie w bawialni, zatopiona w myślach.

– Mamo?

Beata z uśmiechem podniosła wzrok.

– Tak, kochanie? Co sobie pomyślałaś?

– Pomyślałam, że to smutne, że jej nie było tak długo. Widać, że ona bardzo cię kocha.

– Ja też ją kocham. Cieszę się, że wróciła i że mogła was poznać.

– Nienawidzę twojego ojca za to, co ci zrobił – oświadczyła Amadea lodowatym tonem.

Matka kiwnęła głową. Nie protestowała, ale sama nie czuła nienawiści do ojca. Nigdy go nie potępiała, chociaż przysporzył jej i matce niewysłowionych cierpień. Decyzja, żeby ją wygnąć, dużo kosztowała ich wszystkich, pewnie jego też, chociaż nigdy tego nie przyznał. Lecz zawsze byli blisko z Beatą. Odczuł to jako straszliwy cios, kiedy odeszła. W jego oczach popełniła ostateczną zdradę. Nigdy się nie spodziewała, że jej wygnanie potrwa do końca życia. Lecz nawet gdyby mogła to przewidzieć i tak wyszłaby za Antoine'a.

– Nie powinnaś nikogo nienawidzić – powiedziała cicho do córki. – To za duży wysiłek. I tylko cię zatruwa. Nauczyłam się tego dawno temu.

Amadea kiwnęła głową. Przypuszczała, że matka mówi prawdę. Nadal jednak uważała, że jest wyjątkową osobą, skoro nie znienawidziła swojego ojca. Amadea na jej miejscu z pewnością by tego nie potrafiła.

Usiadła na kanapie, tam gdzie przedtem siedziała babka, i mocno objęła matkę, tak jak przedtem Beata obejmowała swoją matkę, przepelniona wdzięcznością.

– Kocham cię, mamo – szepnęła, tak jak przedtem szeptała Beata.

Echa ich głosów i uczuć tworzyły łańcuch, który ciągnął się bez końca. I pomimo niewyobrażalnych przeciwności losu, pomimo tylu minionych lat, więź nie uległa zerwaniu. Matka udowodniła to dzisiejszego dnia.



## Rozdział 9

Przez następne dwa lata matka Beaty odwiedzała ją co tydzień. Te wizyty stały się tradycją i rytuałem, stanowiły bezcenny dar dla nich wszystkich. Beata i Monika poznały się nawzajem w takim stopniu, jaki dawniej nie był możliwy. Beata była teraz dorosłą kobietą i matką, obie wiele przecierpiały i z czasem nabrały mądrości. Monika nawet raz zwróciła się do Jacoba i próbowała nakłonić go do ustępstwa w sprawie córki. Powiedziała, że widziała ją na ulicy z dwiema małymi dziewczynkami – lecz spojrzenie ojca natychmiast stwardniało.

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Moniko. Nasza córka umarła w 1916 roku.

Temat został zamknięty. Jacob miał serce z kamienia. Monika nigdy więcej nie odważyła się poruszyć tego tematu, lecz zadowalała się wizytami u córki, podobnie jak Beata. Straciła już nadzieję, że pojedna się z resztą rodziny. Odzyskanie matki jej wystarczyło. Za to była wdzięczna.

Matka przynosiła jej fotografie. Brigitte wciąż była piękna i znowu mieszkała z dziećmi w domu rodziców. Matka martwiła się o nią, ponieważ Brigitte za często chodziła na przyjęcia, za dużo piła, całymi dniami leżała w łóżku i nie interesowała się własnymi dziećmi. Chciała tylko następnego męża, ale większość znanych jej mężczyzn miała już żony. Horstowi i Ulmowi dobrze się powodziło, chociaż jedna z córek Ulma miała słabe serce i często chorowała, i Monika martwiła się o nią. Przez lata odwiedzin głęboko przywiązała się do córek Beaty. Amadea uważała babkę za interesującą i inteligentną kobietę, ale nigdy do końca jej nie wybaczyła, że pozwoliła Jacobowi wygnać ich matkę. Uznała to za okrucieństwo i w rezultacie nieco stroniła od babki. Lecz Daphne była dostatecznie młoda, żeby pokochać ją całym sercem. Była szczęśliwa, że oprócz matki i siostry ma także babcinę. Nie pamiętała ojca i żyła w całkowicie kobiecym świecie. Podobnie jak Beata, która od śmierci Antoine'a nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę, chociaż wciąż była piękna. Mówiła, że wspomnienia spędzonych z nim lat wystarczą jej do końca życia i nie chce nikogo innego. W 1935 roku, dwa lata po pierwszej wizycie matki, skończyła czterdzieści lat, a matka sześćdziesiąt pięć. Stanowiły dla siebie nawzajem wielką pociechę. Świat stał się przerażającym miejscem, chociaż na razie ich nie skrzywdził. Jak dotąd.

Amadea często mówiła z gniewem o narastającym w Niemczech antysemityzmie. Żydów usunięto z Niemieckiego Frontu Pracy i odebrano im ubezpieczenia zdrowotne. Nie mogli już sprawować funkcji urzędowych ani służyć w wojsku. To była zapowiedź nadchodzących zmian. Beata bała się, że sytuacja jeszcze się pogorszy, zanim nastąpi poprawa. Nawet aktorzy i artyści żydowskiego pochodzenia musieli wstępować do specjalnych związków i rzadko otrzymywali angaż. Przyszłość budziła coraz większy lęk.

Monika rozmawiała o tym po cichu z Beatą pewnego popołudnia, zanim dziewczynki wróciły ze szkoły. Martwiła się o dokumenty Beaty i nawet jej dzieci. Wprawdzie Beata była katoliczką już od dziewiętnastu lat, urodziła się jednak jako Żydówka, a dziewczynki były w połowie Żydówkami. Monika obawiała się, że wpadną w kłopoty, jeśli sytuacja się pogorszy.

Biedniejsi Żydzi oraz ci pozbawieni władzy i znajomości byli wysyłani do obozów pracy przez ostatnie dwa lata. Wprawdzie Jacob twierdził z uporem, że to im nigdy nie grozi. Zamykano tylko „margines”, jak utrzymywali naziści. Skazańców, przestępców, włóczęgów, Cyganów, bezrobotnych, wichrzycieli, komunistów, radykałów i ludzi bez środków do życia. Od czasu do czasu jednak trafiali tam ludzie z bezpośredniego otoczenia Wittgensteinów. Monika miała sprzątaczkę, której brat został wysłany do obozu w Dachau, a potem stopniowo wysłano całą rodzinę. Co prawda brat był politycznym aktywistą i drukował ulotki przeciwko nazistom, więc sam sprowadził nieszczęście na siebie i bliskich. Monika jednak bardzo się martwiła. Po trochu Żydów wypychano ze społeczeństwa, izolowano i prześladowano na każdym kroku. Gdyby sytuacja jeszcze się pogorszyła, nie chciała, żeby coś się stało Beacie i dziewczynkom. Beata sama o tym myślała. Nie miały żadnego obrońcy, nie miały dokąd się zwrócić w razie kłopotów.

– Wątpię, czy będą się czepiać takich jak my, mamó – powiedziała Beata cicho.

Monikę martwiła też widoczna szczupłość córki. Beata zawsze była smukła, lecz w ostatnich latach wyglądała jak zjawa, z twarzą upiornie bladą bez makijażu. Od śmierci Antoine’a ubierała się wyłącznie na czarno. Z dnia na dzień jakby się postarzała. Zamknęła drzwi przed światem i żyła tylko dla dzieci. A teraz także dla matki.

– Co z dokumentami dzieci? – zapytała zatroskana Monika.

– Właściwie nie mają dokumentów. Tylko uczniowskie legitymacje na nazwisko Vallerand. Urodziły się jako katoliczki. Ja jestem katoliczką. W parafii dobrze nas znają. Ponieważ przyjechałyśmy tu ze Szwajcarii, niektórzy chyba biorą nas za Szwajcarki. Nawet moje świadectwo ślubu z Antoine’em dowodzi, że pobraliśmy się jako katolicy. Mój paszport stracił ważność przed wielu laty, a dziewczynki nigdy nie miały paszportów. Amadea była mała, kiedy wróciłyśmy, i wjechała na mój paszport. Nikt nie zwróci uwagi na wdowę z dwiema córkami i arystokratycznym francuskim nazwiskiem. Wszędzie jestem zapisana jako hrabina de Vallerand. Chyba jesteśmy bezpieczne, dopóki nie zwracamy na siebie uwagi. Bardziej się martwię o was.

Wszyscy w Kolonii wiedzieli, że Wittgensteinowie to Żydzi. Beatę w pewnym sensie chronił fakt, że dwie dekady wcześniej wygnali ją i zapisali jako zmarłą, za co matka teraz dziękowała Bogu. Reszta rodziny znajdowała się bardziej na widoku, co miało swoje dobre i złe strony. Zakładali, że naziści nie zamierzają prześladować rodziny tak znanej i szanowanej. Jak wiele osób wierzyli, że tamci ścigają szarych ludzi, odpadki społeczeństwa, jak ich nazywał Jacob. Lecz antysemityzm był teraz na porządku dziennym i obaj synowie przyznawali, że się martwią. Horst i Ulm pracowali w banku z Jacobem, który zamierzał odejść na emeryturę. Miał siedemdziesiąt lat. Na fotografiach, które Beata teraz widziała, wyglądał dystygowanie, lecz staro. Martwiła się, że przez nią przedwcześnie się postarzał. W przeciwieństwie do matki wyglądał starzej niż na swoje lata. Amadea nie chciała nawet spojrzeć na jego zdjęcia. A Daphne oświadczyła, że wyglądał strasznie. Nie jak babcia.

Monika zawsze przynosiła im drobne prezenty, co wnuczki uwielbiały. Z czasem podarowała Beacie kilka mniejszych sztuk własnej biżuterii. Nie mogła jej dać niczego większego z obawy,

żeby Jacob nie zauważył. Okłamywała go, że zgubiła te drobiazgi, a on łajał ją za niedbalstwo. Lecz ostatnio sam zrobił się zapominalski, więc nie beształ jej zbyt ostro. Oboje się starzeli.

Beata martwiła się ich żydowskim pochodzeniem głównie dlatego, że Amadea chciała pójść na uniwersytet. Pragnęła studiować filozofię i psychologię, i literaturę, tak jak przedtem jej matka. Beacie nie pozwolił na to ojciec, a teraz uniemożliwiali to naziści. Beata wiedziała, że gdyby Amadea próbowała się zapisać na uniwersytet, odkryliby, że jest w połowie Żydówką.

Za bardzo ryzykowała. Musiałaby pokazać nie tylko metrykę urodzenia, świadczącą na jej korzyść, że jej rodzice byli katolikami, kiedy przysłała na świat w Szwajcarii, ale także dokumenty potwierdzające pochodzenie rasowe obojga rodziców. Antoine nie stanowił problemu, lecz przy tej okazji mogło wyjść na jaw żydowskie pochodzenie Beaty, do czego nie mogła dopuścić. Nigdy nie wyjaśniła tego Amadei, lecz kategorycznie zabroniła jej pójść na studia. Nie mogła narażać ich wszystkich na niebezpieczeństwo. Nawet pół-Żydówce groziły poważne kłopoty, o czym Beata rozmawiała z matką. Toteż nie dała się ubłagać w tej kwestii. Powiedziała Amadei, że w tych niespokojnych czasach uniwersytet nie jest bezpiecznym miejscem, zwłaszcza dla kobiet. Pełno tam było radykałów, komunistów i wszelkiego rodzaju opozycjonistów, których naziści wysyłali do obozów pracy. Amadea mogła nawet uczestniczyć w zamieszkach, czego matka sobie nie życzyła.

– To śmieszne, mamó. Nie jesteśmy komunistami. Chcę tylko studiować. Nikt mnie nie wyśle do obozu pracy.

Nie mogła uwierzyć, że matka jest taka głupia. Beata sama słyszała we własnym głosie echo słów ojca.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła – ale nie chcę, żebyś się zadawała z takimi ludźmi. Możesz poczekać kilka lat, jeśli rzeczywiście tego chcesz, dopóki sytuacja się nie unormuje. Na razie w całych Niemczech jest zbyt niespokojnie. Nie chcę cię narażać, nawet pośrednio.

Niewątpliwie każda próba wstąpienia na uniwersytet naraziłaby Amadeę na wielkie niebezpieczeństwo z powodów, których nawet nie podejrzewała. Matka nie zamierzała jej powiedzieć, że jest z pochodzenia Żydówką, zaś Amadea i jej siostra są pół-Żydówkami. To nie była ich sprawa. Niczyja sprawa. Uznała, że dziewczynki nie muszą wiedzieć. Im mniej osób wiedziało, tym bezpieczniej dla nich. W ich środowisku nikt nie wiedział, że Beata urodziła się jako Żydówka. Całkowita izolacja od rodziny przez dziewiętnaście lat zrobiła swoje. Zresztą żadna z nich nie wyglądała na Żydówkę, najmniej Amadea ze swoją jasnowłosą, błękitnooką aryjską urodą. Również Beata i Daphne, chociaż ciemnowłose, miały niebieskie oczy i delikatne rysy twarzy, które nie kojarzyły się ludziom z żydowskim stereotypem.

Amadea wyklócała się o studia przez wiele miesięcy, lecz Beata pozostała nieugięta, ku wielkiej uldze babki. Dosyć już się martwiła o resztę dzieci, nieukrywających swojego żydowskiego pochodzenia, żeby jeszcze zadrećcać się Beatą i jej córkami. Nie dało się ukryć, że po śmierci Antoine'a nie miał się nimi kto opiekować. Beata i dziewczynki były same na świecie, częściowo z powodu żałoby Beaty po śmierci męża. Oboje stracili swoje rodziny przed dwiema

dekadami. W rezultacie Beata stroniła od ludzi. Nie miała żadnych znajomych oprócz Daubignych, których rzadko widywała. Wiodła samotne życie.

Spór o uniwersytet pomiędzy Amadeą a matką przybrał poważne rozmiary. Amadea walczyła zawzięcie, ale matka nie ustępowała. Amadea musiała jej posłuchać, ponieważ to matka trzymała kasę. Zaproponowała, żeby córka studiowała samodzielnie, dopóki nie ustaną niepokoje na uczelniach. Miała skończyć szkołę w czerwcu, dwa miesiące po swoich osiemnastych urodzinach. Niespełna dziesięcioletnią Daphne obie wciąż traktowały jak małe dziecko. Daphne nie cierpiała kłótni pomiędzy matką a siostrą i skarżyła się babci, którą uwielbiała. Uważała, że babcia jest śliczna, zachwycała się jej biżuterią i wytwornymi strojami. Monika pozwalała wnuczce szperać w swojej torebce i bawić się znalezionymi tam skarbami, jak puder i szminka. Pozwalała jej nosić swoją biżuterię i przymierzać kapelusze. Babcia pozostała elegancka jak zawsze. Beata przestała dbać o stroje, toteż Daphne nie znosiła ponurych, wiecznie czarnych sukien matki.

Zbliżały się osiemnaste urodziny Amadei, kiedy babka nie zjawiała się z wizytą dwa tygodnie pod rząd. Za pierwszym razem zdołała zadzwonić i uprzedziła Beatę, że źle się czuje. Następnym razem po prostu nie przyszła. Beata odchodziła od zmysłów i w końcu ośmieliła się zatelefonować. Słuchawkę podniosła nieznajoma pokojówka, która po chwili wróciła i oznajmiła, że pani Wittgenstein jest chora i nie może podejść do telefonu. Przez następny tydzień Beata umierała z niepokoju i doznała ogromnej ulgi, kiedy matka się zjawiała. Wyglądała jednak bardzo źle. Twarz miała trupioblada z odcieniem szarości, chodziła z trudem i wciąż brakowało jej tchu. Beata wsparła matkę silnym ramieniem, zaprowadziła do salonu i pomogła jej usiąść. Przez chwilę Monika nie mogła złapać tchu i dopiero po wypiciu filiżanki herbaty doszła do siebie.

– Mamo, co ci jest? Co powiedział lekarz? – zapytała Beata z głęboką troską.

– To nic. – Monika uśmiechnęła się dzielnie, ale niezbyt przekonująco. – Zaczęło się kilka lat temu, a potem przeszło na jakiś czas. Coś z sercem. Pewnie po prostu starość. Maszyneria się zużywa.

Lecz sześćdziesiąt pięć lat to jeszcze nie był wiek podeszły. Beata pomyślała, że matka wygląda jak widmo. W innych okolicznościach porozmawialaby z ojcem. Monika przyznała, że też się martwił. Następnego dnia wybierała się do lekarza na kolejne badania. Twierdziła, że wcale się nie przejmuje, najwyżej irytuje. Nie wyglądała jednak na zirytowaną, tylko dużo gorzej. Tym razem Beata odprowadziła ją aż na ulicę i wezwała dla niej taksówkę. Matka zawsze przyjeżdżała taksówką, żeby ich kierowca nie powiedział Jacobowi, dokąd ją zawoził. Nikomu nie powierzyła swojego sekretu z obawy, że mąż przerwie te wizyty, jeśli się dowie. Byłby na nią wściekły. Zabronił jej widywać się z Beatą i oczekiwał bezwzględного posłuszeństwa od żony i dzieci.

– Mamo, obiecaj mi, że jutro pójdziesz do lekarza – nalegała Beata, zanim wsadziła matkę do taksówki. – Nie rób głupstw i nie odwołuj wizyty.

Dobrze znała swoją matkę.

– Ależ skąd. – Monika uśmiechnęła się.

Beata poczuła ulgę, widząc, że matka oddycha już swobodniej. Daphne ucałowała ją gorąco na pożegnanie, Amadea zaś obdarzyła zdawkowym uściskiem. Monika przez długą chwilę patrzyła na córkę, zanim wsiadła do czekającej taksówki.

– Kocham cię, Beato. Bądź ostrożna i uważaj na siebie. Martwię się o ciebie przez cały czas.

Mówiła to ze łzami w oczach. Nie mogła przeboleć, że córka została wygnana na dziewiętnaście lat, niczym przestępczyni skazana za straszliwe zbrodnie. W oczach Moniki dwoje kochających się ludzi nie popełnia nic złego. A Beata zawsze wyglądała tak smutno. Wraz ze śmiercią Antoine'a straciła zbyt wiele.

– Nie martw się o nas, mamó. Poradzimy sobie. – Wiedziała, że obie zanadto się przejmują jej pochodzeniem i dokumentami dziewczynek. – Uważaj na siebie.. – Ponownie uściśnęła matkę. – I pamiętaj, że bardzo cię kocham. Dziękuję, że przysłaś.

Zawsze była wdzięczna matce za wizyty, szczególnie teraz, kiedy matka ją odwiedziła pomimo choroby.

– Kocham cię – szepnęła Monika jeszcze raz i wsunęła coś córce do ręki.

Potem wsiadła do taksówki. Beata zatrzasnęła drzwi i pomachała odjeżdżającej matce. Przez długą chwilę odprowadzała wzrokiem taksówkę znikającą w ulicznym ruchu. Potem rozwarła dłoni i zobaczyła, co dostała od matki. Był to niewielki brylantowy pierścionek, który matka nosiła przez całe życie, prezent od jej matki, która go dostała od swojej matki. Przechodził z pokolenia na pokolenie i myśląc o matczynych rękach, Beata zawsze widziała ten pierścionek. Głęboko wzruszona, wsunęła go na palec obok obrączki. Potem zadrżała. Dlaczego matka dała jej teraz pierścionek? Może była bardziej chora, niż się przyznawała, a może po prostu się martwiła. Mówiła, że miała już dawniej takie same kłopoty ze zdrowiem, ale jej przeszło. Beata jednak myślała o tym przez całą noc.

Następnego ranka pod wpływem impulsu postanowiła zadzwonić do matki, żeby sprawdzić, jak się czuje i czy nadal wybiera się do lekarza. Podejrzewała, że matka odwoła wizytę. Wiedziała, jak bardzo Monika nienawidzi lekarzy i jaka jest niezależna. Telefon zawsze stanowił ryzyko i w ciągu tych dwóch lat Beata dzwoniła tylko parę razy. Wiedziała jednak, że ojciec jest teraz w biurze. A po dziewiętnastu latach żadna służąca w domu nie mogła rozpoznać jej głosu.

Nerwowo wybrała numer i spostrzegła, że ręce jej się trzęsą. Zawsze się denerwowała, kiedy tam dzwoniła. Tym razem odebrał mężczyzna. Beata założyła, że to kamerdyner, i oficjalnym tonem poprosiła matkę do telefonu. Po drugiej stronie zapadła długa cisza, a potem mężczyzna zapytał, kto mówi. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, podała imię i nazwisko Amadei, jak zawsze.

– Z zalem muszę panią poinformować, że pani Wittgenstein jest w szpitalu. Wczoraj w nocy miała zapaść.

– O mój Boże, to straszne... jak ona się czuje? Dokąd ją zabrali? Oficjalny ton znikł bez śladu, zastąpiło go przerażenie. Kamerdyner podał jej nazwę szpitala, ponieważ bardzo nalegała, więc zakładał, że nieznajoma zamierza posłać kwiaty jego chlebodawczyni.

– Pani przyjmuje tylko wizyty rodziny – dodał na wypadek, gdyby nieznajoma chciała ją odwiedzić.

– Oczywiście – przytaknęła Beata.

Odłożyła słuchawkę i siedziała obok telefonu w holu, wpatrując się w przestrzeń. Nie wiedziała, jak, ale musiała zobaczyć matkę. A jeśli matka umarła? Ojciec nie mógł jej zabronić spotkania z umierającą matką. Po prostu nie mógł. Nawet się nie zatrzymała, żeby się odpowiednio ubrać. Narzuciła tylko czarny płaszcz na czarną suknię, wcisnęła kapelusz na głowę, chwyciła torebkę i pobiegła do drzwi. Po kilku minutach pędziła taksówką do szpitala, żeby zobaczyć matkę. Po drodze odruchowo dotykała pierścionka, który matka jej dała poprzedniego dnia. Dzięki Bogu, że ją widziałam, powtarzała sobie i modliła się, żeby matka wyzdrowiała.

Weszła do szpitala i pielęgniarka w recepcji powiedziała jej, na którym piętrze i w którym pokoju leży pani Wittgenstein. Był to najlepszy szpital w Kolonii, wszędzie kręcili się lekarze, pielęgniarki i dobrze ubrani ludzie. Beata uświadomiła sobie, że wygląda niezbyt elegancko w przypadkowo dobranym stroju, ale nie dbała o to. Chciała tylko zobaczyć matkę i być przy niej.

Jak tylko wysiadła z windy i skręciła w pierwszy korytarz, zobaczyła ich. Obaj bracia, ojciec i siostra stali w holu. Towarzyszyły im dwie kobiety, których nie знаła, pewnie jej szwagierki. Z bijącym sercem podeszła do grupy. Zbliżyła się na pół metra, zanim Brigitte się odwróciła. Zobaczyła ją i szeroko otworzyła oczy. Nic nie powiedziała, ale pozostali spostrzegli jej minę i powoli odwrócili się do Beaty. Wreszcie ojciec się obejrzał. Popatrzył prosto na Beatę i nic nie powiedział. Absolutnie nic. Nawet nie drgnął.

– Przyszłam zobaczyć mamę – powiedziała Beata przerażonym głosem dziecka. Chciała podbiec do niego, uścisnąć go, nawet błagać o przebaczenie. On jednak wyglądał jak wykuty z kamienia. Reszta rodziny stała w milczeniu pełnym grozy.

– Ty nie żyjesz, Beato. A twoja matka umiera.

W oczach miał łzy, ale płakał nad żoną, nie nad córką. Patrzył lodowato na Beatę.

– Chcę ją zobaczyć.

– Martwi nie odwiedzają umierających. Odprawiliśmy za ciebie sziwę.

– Przepraszam. Naprawdę żałuję. Nie możesz mi zabronić odwiedzin u matki – wykrztusiła.

– Mogę i zabronię. Wstrząs na twój widok może ją zabić.

Beata uświadomiła sobie, jak żałośnie wygląda w starej sukni i płaszczu, z przekrzywionym kapeluszem na głowie. Chciała tylko jak najszybciej dotrzeć do szpitala i nie myślała o strojach. Widziała w twarzach siostry i braci, i nawet nieznajomych kobiet, że litowali się nad nią. Wyglądała jak wygnaniec, wyrzutek społeczeństwa. Ojciec nie zapytał, skąd wiedziała, że matka jest w szpitalu. Nie chciał wiedzieć. Wiedział tylko, że jego córka dawno umarła. Kobieta, która przed nim stała, była obca i nie chciał jej znać.

– Nie możesz tego zrobić, papo. Muszę ją zobaczyć.

Beata płakała, ale jego twarz pozostała niewzruszona, jak wtedy, kiedy wyrzucił ją z domu.

Wyglądał nawet bardziej surowo.

– Szkoda, że o tym nie pomyślałaś dziewiętnaście lat temu. Jeśli nie wyjdiesz, każę personelowi cię usunąć. – Beata wyglądała jak wariatka i łatwo mogła sobie wyobrazić, że ojciec każe ją wyrzucić. – Nie chcemy cię. Ani twoja matka. Nie należysz do nas.

– To moja matka – zaprotestowała Beata głosem zdławionym przez łzy.

– To była twoja matka. Teraz jesteś dla niej niczym.

Beata przynajmniej wiedziała, że to nieprawda. Świadczyły o tym cotygodniowe wizyty przez ostatnie dwa lata. Taka była wdzięczna, że matka do niej wróciła, że poznała i pokochała jej dzieci, a one ją też pokochały.

– Bardzo źle robisz, papo. Ona nigdy ci tego nie wybaczy. Ani ja. Tym razem wiedziała, że nie wybaczy. Postępował zbyt okrutnie.

– To ty źle zrobiłaś. I nigdy ci nie wybaczyłem – oświadczył bez cienia skruchy.

– Kocham cię – powiedziała cicho Beata.

Potem spojrziała na pozostałych. Nie poruszyli się i nie odezwali ani słowem. Zobaczyła, że Ulm się odwrócił, a Brigitte płakała cicho, ale nie wyciągnęła do niej ręki. Żadne z nich nie próbowało przekonać ojca, żeby pozwolił Beacie zobaczyć matkę. Za bardzo się bali.

– Kocham mamę. Zawsze was kochałam. Was wszystkich. Nigdy nie przestałam was kochać. A mama też mnie kocha – oświadczyła żarliwie Beata.

– Odejdź! – parsknął ojciec z nienawiścią, jakby miał jej za złe, że próbowała go wzruszyć. – Idź! – krzyknął, wskazując korytarz, z którego wyszła. – Dla nas umarłaś i zawsze tak będzie.

Beata stała i patrzyła na niego przez długą chwilę, drżąc od stóp do głów, stawiając mu czoło jak przedtem. Ona jedna potrafiła się na to zdobyć. Zrobiła to po raz pierwszy dla Antoine'a, a teraz dla matki. Wiedziała jednak, że on nigdy jej nie wpuści do pokoju matki. Nie miała wyboru, musiała odejść, zanim wyrzucą ją przemocą. Spojrzała na niego po raz ostatni, potem okręciła się na pięcie i odeszła powoli, ze spuszczoną głową. Obejrzała się na nich po raz ostatni, zanim skręciła za róg, a wtedy już ich nie było. Weszli do pokoju matki, bez niej.

Płakała, zjeżdżając windą, i szlochała przez całą drogę do domu. Dzwoniła do szpitala co godzinę przez całe popołudnie i pytała o stan matki. O czwartej powiedzieli jej, że matka nie żyje. Beata odłożyła słuchawkę i siedziała, wpatrując się w pustkę. Skończone. Ostatnia więź z rodziną została zerwana. Ukochana matka odeszła na zawsze. Beata słyszała jeszcze echo matczynego głosu z poprzedniego dnia. „Kocham cię, Beato”, szepnęła matka, a potem objęła ją mocno.

– Ja też cię kocham, mamó – wyszeptwała Beata. Wiedziała, że nigdy nie przestanie jej kochać.

## Rozdział 10

Następnego dnia Beata poszła na pogrzeb matki i oglądała go z daleka. Włożyła futro, porządną czarną suknię i piękny czarny kapelusz, który Antoine kupił jej przed śmiercią. Wiedziała, że matka byłaby dumna z jej wyglądu. Na palcu nosiła matczyzny pierścionek. Nigdy go nie zdejmie. Przenigdy.

Siedziała, słuchała modłów i modliła się razem z żałobnikami. Zgodnie z żydowską tradycją Monika musiała zostać pochowana w ciągu jednego dnia i tak się stało. Beata poszła za konduktem na cmentarz i stanęła z daleka. Nawet nie wiedzieli o jej obecności. Patrzyła, jak każdy wrzucał garść ziemi na trumnę, kiedy ją opuszczono do grobu. Po odejściu żałobników podeszła i uklękła przy grobie, i położyła na nim mały kamyk w geście szacunku, zgodnie z tradycją. Nie wiedziała, co mówi, dopóki nie usłyszała, że odmawia *Ojcze Nasz*. Matka nie miałaby jej tego za złe. Długo klęczała przy grobie, a potem wróciła do domu, martwa w środku. Tak martwa, jak twierdził jej ojciec.

Amadea popatrzyła na nią ze smutkiem i objęła ją.

– Przykro mi, mammo.

Beata powiedziała dziewczynkom poprzedniego wieczoru i obie się popłakały. Na swój sposób kochały babkę, chociaż w głębi duszy wciąż żywiły urazę do dziadków, zwłaszcza Amadea, ponieważ tak okrutnie ukarali matkę za to, że poślubiła ich ojca. Uważały to za złe i Beata zgadzała się z nimi. Ale kochała matkę. I nawet ojca. To byli jej rodzice.

Tego wieczoru Beata wcześniej poszła do siebie i położyła się na łóżku. Wspominała wszystko, co się wydarzyło, począwszy od pierwszych dni znajomości z Antoine'em. Wiele miała do przemyślenia, całe życie, trudne, lecz warte zachodu. Zapłaciła wysoką cenę za miłość. Śmierć matki oznaczała, że nie został jej już nikt oprócz córek. Ojciec wyraźnie to powiedział. Całe jej życie do nich należało. Nie miała własnego.

Miesiąc później, w czerwcu, Amadea ponownie ją zaskoczyła. Beata otrzymała następny śmiertelny cios prosto w serce. W pewnym sensie czuła się jak po stracie matki, tyle że Amadea nie umierała.

– Wstępuję do zakonu, mammo – powiedziała cicho po swoim ostatnim dniu w szkole.

Nic nie przygotowało Beaty na taką deklarację starszej córki. Spojrzała na nią jak ugodzona, lecz Amadea patrzyła spokojnie i stanowczo. Czekala wiele miesięcy z ogłoszeniem swojej decyzji i każdy dzień dodawał jej pewności. Dokonała całkowicie przemyślanego wyboru.

– Wykluczone – oświadczyła Beata, jakby nie dopuszczała żadnej dyskusji. Sama czuła, że upodabnia się do swojego ojca, ale nie mogła na to pozwolić. Nawet Antoine nie chciałby tego, chociaż był gorliwym katolikiem. – Zabraniam ci.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

Po raz pierwszy Amadea mówiła jak dorosła osoba. Głos miała twardy jak kamień. Za wiele wycierpiała z powodu tej decyzji, żeby teraz się wahać. Była absolutnie pewna swojego



powołania i nikt nie mógł zachwiać jej wiary, nawet ukochana matka. To nie była zaciekle batalia o studia na uniwersytecie. Stała teraz jako dorosła kobieta, która wie, czego chce, i potrafi postawić na swoim. Ton jej głosu i wyraz oczu przeraził Beatę.

– Twój ojciec nie chciałby tego – próbowała perswadować w nadziei, że Amadea zmieni zdanie pod wpływem wspomnienia o ojcu. Nie podziałało.

– Tego nie wiesz. Poświęciłaś wszystko, żeby za niego wyjść, ponieważ wierzyłaś w to, co robisz. Ja też wierzę. Mam powołanie.

Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o Świętym Graalu. W istocie znalazła wszystko, czego szukała i pragnęła. Po wielu miesiącach rozmów z księdzem pozbyła się wszelkich wątpliwości i miała to wypisane na twarzy.

– O mój Boże. – Beata usiadła ciężko i wlepiła oczy w córkę. – Jesteś za młoda, żeby wiedzieć. Nudzisz się i myślisz, że to takie romantyczne.

Beata wiedziała też, że Edith Stein, która przebywała w zakonie od dwóch lat, stanowiła wzór dla córki.

– Nie wiesz, co mówisz – odparła spokojnie Amadea. – Wstępuję do karmelitanek. Już z nimi rozmawiałam. Nie możesz mnie powstrzymać, mamo.

Powtórzyła to, co powiedziała na początku. Nie mówiła jak uparte dziecko, lecz jak kobieta dążąca do świętego celu.

– To zakon klasztorny. Spędzisz resztę życia zamknięta jak więzień, odcięta od świata. Jesteś piękną młodą dziewczyną, powinnaś mieć męża i dzieci.

– Chcę zostać zakonnica – oświadczyła wyraźnie Amadea.

Beata zadrżała. Na szczęście Daphne była u przyjaciółki, więc nie słyszała tej rozmowy.

– Robisz to z powodu Edith Stein. Ona miała czterdzieści dwa lata, kiedy wstąpiła do zakonu. Przeżyła swoje życie. Wiedziała, co robi. Ty nie wiesz. Jesteś za młoda na taką decyzję.

– Będę miała mnóstwo czasu, żeby się przekonać – odparła rozsądnie Amadea. – Potrzeba ośmiu lat, żeby złożyć ostateczne śluby. – Wszystkiego się dowiedziała. – Mamo, takiego życia chcę dla siebie.

Nie odrywała od matki oczu wypełnionych cichą determinacją, która przerażała Beatę.

– Dlaczego? Dlaczego? – jęknęła Beata i lzy pociekły jej po twarzy. – Jesteś piękna i młoda, masz całe życie przed sobą. Dlaczego to robisz?

– Chcę służyć Bogu i nie znam lepszego sposobu. Myślę, że On tego chce. Chcę zostać oblubienicą Chrystusa, tak jak ty kochałaś papę. Tego pragnę. Jesteś pobożna, mamo. Chodzisz do kościoła. Jak możesz nie rozumieć?

Amadea wydawała się urażona, że matka tak rozpacza z tego powodu. Coś w jej oczach przypomniało Beacie własną matkę, kiedy jej powiedziała o Antoinie. Matka poczuła się zdradzona. A teraz tak się czuła Beata. Zachowywała się jak ojciec, twarda i nieustępliwa, a przecież tego nie chciała. Ale nie chciała też, żeby córka wstąpiła do zakonu. To wydawało się jej nienormalne.

– Podziwiam twoją religijność – powiedziała cicho – ale to twarde życie. Chcę dla ciebie czegoś lepszego. Mężczyzny, który się tobą zaopiekuje, dzieci, które cię pokochają. – A potem pomyślała o Daphne i poczuła się zdruzgotana. – Co my bez ciebie zrobimy, twoja siostra i ja?

– Będę się za was modliła. To najlepsze, co mogę tutaj zrobić. Znacznie bardziej się przydam, modląc się za świat, niż patrząc na okropne rzeczy, które ludzie wyrządzają bliźnim, na przemoc i zniszczenie.

Amadea od początku głęboko przeżywała niesprawiedliwe prześladowania Żydów. To stało w sprzeczności ze wszystkim, w co głęboko wierzyła. Beata kochała ją za to. Ale nie chciała, żeby córka została zakonnicą i spędziła resztę życia zamknięta w klasztorze jak w więzieniu.

– Pomyślisz o tym, mamó? Proszę. Tylko tego chcę... Nie możesz mnie powstrzymać, ale chciałabym twój błogosławieństwo.

Dokładnie o to samo Beata prosiła rodziców, kiedy wyszła za Antoine'a. Teraz Amadea prosiła o błogosławieństwo, żeby poślubić Chrystusa. Beata musiała podjąć straszliwie trudną decyzję.

– Kocham cię – powiedziała cicho Amadea i objęła matkę, która westchnęła przez łzy.

– Jak to się stało? Kiedy się zdecydowałaś?

– Rozmawiałam z siostrą Elli, zanim to zrobiłam. Zawsze myślałam, że mam powołanie, ale nie byłam pewna. Przez wiele miesięcy rozmawiałam o tym z naszym księdzem. Teraz wiem, że to słuszne, mamó. Jestem pewna.

Wyglądała tak pięknie, kiedy to mówiła, że Beacie ścisnęło się serce.

– Dlaczego? Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem. Tak czuję.

Patrzyła na matkę oczami pełnymi spokoju, niczym młoda święta. Beata jednak nie mogła się z tego cieszyć. Uważała to za tragedię, zmarnowanie życia. Amadea uważała to za dar. Niczego więcej nie chciała oprócz błogosławieństwa matki.

– Kiedy chcesz to zrobić? – Beata miała jeszcze nadzieję, że zdąży odwieść córkę od tego zamiaru. Może za rok?

– Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu. Nie mam po co dłużej czekać. Skończyłam szkołę.

Czekała aż do tej chwili, żeby powiedzieć matce, ale teraz wszystko działo się bardzo szybko.

– Czy Daphne wie? – zapytała Beata.

Amadea pokręciła głową. Daphne miała dopiero osiem lat, ale dziewczynki były sobie bliskie.

– Chciałam najpierw tobie powiedzieć. Miałam nadzieję, że się ucieszysz, kiedy już przywykniesz do tej myśli.

Dokładnie przez to samo przechodziła Beata, kiedy powiedziała rodzicom o Antoinie. Nawet używały tych samych słów, tyle że Beata nie groziła córce. Błagała ją, żeby to przemyślała, podobnie jak przedtem jej matka. Uważała, że córka wybrała zbyt trudną drogę, i dokładnie to

samo myślała teraz Beata. Znowu powróciło echo przeszłości. Historia się powtarzała w nieprzerwanym łańcuchu pokoleń.

Przez całą noc Beata leżała bezsennie w łóżku i nasłuchiwała echa własnej przeszłości. Przeżywała od początku wszystkie okropne awantury z rodzicami, straszliwy dzień odejścia z domu i wyjazd do Szwajcarii. Wiedziała, że miała rację. Wspominała, jakie to było cudowne. Dla niej. No właśnie. Jedyne słuszny argument. Każdy musi pójść za własnym przeznaczeniem. Dla niej to był Antoine. Może przeznaczeniem Amadei jest Kościół. Dlaczego dali jej takie imię, jakby kierowani jakimś tragicznym przecuciem? „Kochana przez Boga”. Beata wolała, żeby nie kochał jej tak bardzo, żeby ją powołać do siebie. Kimże była, żeby to wiedzieć? Kimże była, żeby wydawać sądy? Jakie miała prawo zmieniać przeznaczenie córki i decydować za nią? Nie większe niż jej własny ojciec. Może miłość oznacza poświęcenie własnych wyobrażeń, żeby ukochana osoba mogła spełnić swoje marzenia. O poranku Beata wiedziała, że nie ma prawa powstrzymać córki. Jeśli Amadea nie miała racji, sama musiała się o tym przekonać. Ma na to osiem lat. Zawsze mogła zmienić zdanie, chociaż Beata obawiała się, że to nie nastąpi. Jej rodzice też pewnie liczyli, że ona odejdzie od Antoine’a. Ale była z nim taka szczęśliwa. Był jej przeznaczeniem. Tak jak klasztor stał się przeznaczeniem Amadei. Beata nigdy się nie spodziewała, że jej córka zostanie zakonnica. Antoine też się nie spodziewał, ale przeczuwała, że pozwoliliby jej to zrobić. Jakie mieli prawo jej zabraniać?

Wyglądała na załamana, kiedy przed śniadaniem weszła do pokoju córki. Amadea zobaczyła w twarzy matki, że wygrała, i wstrzymała oddech, czekając na jej słowa.

– Nie powstrzymam cię. Chcę, żebyś była szczęśliwa – powiedziała Beata z twarzą przyćmioną smutkiem, ale z oczami wypełnionymi miłością. – Nie potraktuję cię tak, jak mnie potraktowali rodzice. Daję ci błogosławieństwo, ponieważ cię kocham i chcę twojego szczęścia, cokolwiek to dla ciebie znaczy.

Zdobyła się na najwyższe poświęcenie, co uważała za rodzicielską powinność. Dokonała najtrudniejszego czynu. Ważne rzeczy nigdy nie przychodziły łatwo. Dlatego były ważne.

– Dziękuję, mam... dziękuję... dziękuję!

Amadea z rozjaśnionymi oczami uściskała matkę. Wydawała się uszczęśliwiona i nigdy nie czuły się tak bliskie sobie. Nie musiały pytać, jak bardzo i jak głęboko się kochają.

Trudniej przyszło powiadomić Daphne, która strasznie płakała. Nie chciała, żeby Amadea odeszła.

– Już nigdy cię nie zobaczymy – szlochała żałośnie. – Ella nigdy nie widuje siostry, nie pozwalają jej. Nie może jej dotknąć ani przytulić.

Serce Beaty zamarło na te słowa.

– Właśnie że możesz. Możesz przyjeżdżać dwa razy w roku i dotknę cię przez małe okienko. Poza tym teraz możemy się ściskać do woli, żeby nam wystarczyło na długo.

Amadea żałowała siostry, ale pozostała nieugięta. Daphne była niepoczyszona przez następny tydzień. Amadea smuciła się z powodu wyjazdu, ale z dnia na dzień wydawała się coraz bardziej

szczęśliwa, kiedy zbliżał się termin wstąpienia do zakonu.

Beata poprosiła, żeby Amadea zaczekała jeszcze parę tygodni ze względu na Daphne, ale córka pokręciła głową.

– To tylko pogorszy sprawę, mamó. Daphne się przyzwyczai. Ma ciebie. Ale to nie to samo, pomyślała Beata. Amadea była światłem i radością dla młodszej siostry, podobnie jak dla Beaty, która od śmierci męża pogrążyła się w depresji i odosobnieniu.

– Tobie również to dobrze zrobi – ciągnęła Amadea. – Możesz z nią chodzić do kina, do parku czy muzeum. Powinnaś więcej wychodzić.

Amadea od lat chodziła wszędzie z siostrą. Beata robiła niewiele. Czuła się zbyt przygnębiona i spędzała większość czasu w swoim pokoju. Nie wiedziała, czy sobie teraz poradzi. Ale ktoś musiał to robić. Antoine odszedł.

Matka odeszła. A teraz Amadea też odejdzie. Beata pomyślała, że Amadea będzie dla nich jak umarła, skoro nie będą jej widzieć codziennie i już nigdy jej nie przytulą. Straszne.

– Możesz do nas pisać? – zapytała ogarnięta paniką.

– Oczywiście. Chociaż będę zajęta. Ale będę pisała jak najczęściej. Zachowywała się tak, jakby wybierała się w podróż na resztę życia. Jakby szła do nieba. Albo na pierwszą stację przesiadkową przed niebem. Beata nie wyobrażała sobie czegoś takiego. Nawet jako gorliwa katoliczka nigdy nie chciałaby wstąpić do zakonu. Takie życie wydawało się straszliwie ograniczone, lecz Amadea nie mogła się już doczekać.

Beata i Daphne zawiozły ją tam w wyznaczonym dniu. Amadea włożyła prostą granatową sukienkę i kapelusz, który nosiła do kościoła. Był piękny, słoneczny dzień. Beata dawno nie czuła się tak przygnębiona. Daphne płakała przez całą drogę i Amadea trzymała ją za rękę. Kiedy wysiadły z samochodu, Beata długo stała i patrzyła na córkę, jakby wchłaniała jej obraz po raz ostatni, żeby wyryć go sobie w pamięci. Następnym razem, kiedy ją zobaczy, Amadea będzie wyglądała inaczej. Będzie kimś innym.

– Zawsze pamiętaj, jak bardzo cię kocham. Ile dla mnie znaczysz, jaka jestem z ciebie dumna. Jesteś moim darem od Boga, Amadeo. Bądź szczęśliwa i bezpieczna. A jeśli to ci przestanie odpowiadać, zawsze możesz zmienić zdanie. Nikt cię za to nie potępi. – Przynajmniej miała taką nadzieję.

– Dziękuję ci, mamó – powiedziała Amadea cicho.

Wiedziała, że nie zmieni zamiaru. Całą duszą czuła, że postępuje słusznie, i nie zwątpiła ani na sekundę. Wzięła matkę w ramiona i przytuliła. Uścisnęła ją jak dorosła kobieta, która wie, co robi, i nie żałuje niczego. Tak jak Beata tamtego dnia, kiedy zostawiła matkę dla Antoine'a.

– Idź z Bogiem – szepnęła Amadea.

Beata kiwnęła głową i łzy popłynęły jej po policzkach. Teraz to Amadea wydawała się dorosła.

– Ty też – odszepnęła Beata. Amadea ucałowała małą siostrzyczkę i uśmiechnęła się do niej. Na jej twarzy malował się smutek rozstania, lecz przebijały spod niego ogromna radość i spokój.

Nie zabrała ze sobą walizki. Nie zabrała niczego oprócz ubrania, którego się pozbędą, jak tylko je zdejmie i założy habit. Oddadzą je biednym. Nie mogła posiadać niczego na własność. W stosownym czasie złoży śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, co jej całkowicie odpowiadało. Nie bała się tego, co robi. Nigdy w życiu nie czuła się równie szczęśliwa i miała to wypisane na twarzy. Tak samo wyglądała Beata, kiedy spotkała Antonie'a na stacji kolejowej w Lozannie i zaczęło się ich wspólne życie. Tak samo wyglądała tej nocy, kiedy urodziła się Amadea. To był początek dla Amadei, nie koniec, jak obawiała się matka.

Jeszcze raz uścisnęła matkę i siostrę, po czym odwróciła się, żeby pociągnąć za dzwonek. Była gotowa. Nie czekała długo. Młoda zakonnica otworzyła najpierw małą klapkę, a potem drzwi, nie pokazując się im. W jednej chwili Amadea znikła. Przeszła przez próg, nie oglądając się za siebie. Drzwi się zamknęły. Beata i Daphne stały same na ulicy i patrzyły na siebie, a potem się objęły. Tylko tyle im teraz zostało, tylko siebie miały. Wdowa i mała dziewczynka. Amadea miała przed sobą całe życie, daleko, daleko od nich.

## Rozdział 11

Młoda zakonnica, która wpuściła Amadeę, zaprowadziła ją prosto do szatni. Nie odezwała się ani słowem, lecz jej spokojny uśmiech i ciepłe spojrzenie wystarczyły za powitanie. Amadea zrozumiała. To było głęboko kojące, że nie musiała nic mówić. Natychmiast poczuła się bezpiecznie i wiedziała, że to jest dla niej odpowiednie miejsce.

Zakonnica zmierzyła wzrokiem jej szczupłą, wysoką sylwetkę, kiwnęła głową i wyłożyła prosty czarny habit, który sięgał jej do kostek, oraz krótki biały bawełniany welon, który miał zakryć włosy. Nie był to strój zakonny, lecz Amadea wiedziała, że dopiero po sześciu miesiącach pozwolą jej go nosić pod warunkiem, że na niego zasłuży. To mogło potrwać znacznie dłużej, jak wyjaśniała jej wcześniej matka przełożona, i starsze zakonnice muszą głosować w tej sprawie. Do tej pory miała nosić strój postulanki. Nie otrzyma czarnego zakonnego welonu, dopóki nie złoży ostatecznych ślubów po ośmiu latach.

Zakonnica zostawiła ją na chwilę samą, żeby Amadea mogła się całkowicie przebrać, włącznie z bielizną. Wręczyła jej parę twardych sandałów, jedyne obuwia, jakie odtąd Amadea miała nosić na gołych stopach. Zakon był bosy, co znaczyło, że w ramach umartwień nie noszono zwyczajnych butów.

Amadea przebrała się ogarnięta podnieceniem. Nie byłaby bardziej szczęśliwa, gdyby wkładała swoją suknię ślubną. To samo przeżywała jej matka tamtego dnia, kiedy włożyła białą lnianą suknię, którą uszyła na ślub z koronkowych obrusów. To był początek nowego życia dla Amadei, w pewnym sensie jej zaręczyny z Chrystusem. Przygotowania do ślubu potrwały osiem lat. Już teraz nie mogła się doczekać.

Zakonnica wróciła po kilku minutach i wszystko, w czym przyszła Amadea, znikło w koszyku dla biednych, włącznie z porządnymi butami. Matka zapowiedziała, że przechowa dla niej resztę rzeczy na wypadek, gdyby się rozmyśliła. Więcej, zachowała je jak pamiątki po zmarłym dziecku, z sentymentu, bo nie mogła się z nimi rozstać. Teraz nic nie znaczyły dla Amadei. Tutaj było jej życie.

Przebraną Amadeę zaprowadzono do kaplicy na modlitwy z innymi zakonnice. Potem zapadła długa cisza, kiedy zgromadzone jak co dzień badały własne sumienia, wspominały popełnione grzechy, niegodne myśli, drobne zawiści, tęsknotę za jedzeniem, ludźmi czy wygodami, które dawniej sobie ceniły i bez których nauczyły się obywać. To był dobry początek dla Amadei, która wyrzucała sobie nadmierne przywiązanie do matki i siostry, większe nawet niż do Chrystusa. Nikt jej nie wyjaśnił, co oznacza cisza, słyszała o tym wcześniej i dobrze wykorzystwała ten czas.

Kiedy pozostałe zakonnice jadły, zaprowadzono ją do gabinetu matki przełożonej. Tego dnia miała nic nie jeść aż do wieczoru; była to pierwsza ofiara. Matka przełożona też pościła, żeby z nią porozmawiać.

– Wszystko w porządku, moje dziecko? – zapytała życzliwie, pozdrowiwszy ją słowami:

„Pokój w Chrystusie”, które Amadea powtórzyła.

– Tak, dziękuję, matko.

– Cieszymy się, że jesteś z nami.

Zgromadzenie było liczne w tym czasie. Nie brakowało nowych powołań. Dwa lata wcześniej do karmelitanek wstąpiła Edith Stein, co przysporzyło im rozgłosu. Niezbyt to się podobało matce przełożonej, ale obudziło powołanie w innych, nawet w tej młodej dziewczynie. Edith Stein przed rokiem stała się Teresą Benedykta od Krzyża i Amadea wcześniej czy później miała ją poznać, chociaż osobiste fascynacje i związki były surowo zabronione. Karmelitanki stanowiły zgromadzenie siostr, nie zbiorowisko indywidualności o odmiennych charakterach i własnych poglądach. Przebywały tu, żeby służyć Chrystusowi i modlić się za świat, nie mniej i nie więcej, jak matka przełożona przypomniawszy Amadei.

– Zamieszkaż w celi z trzema innymi siostrami. Zachowujemy milczenie prócz posiłków i rekreacji, kiedy można mówić o sprawach zgromadzenia i niczym innym. Nie będziesz tu miała własnych przyjaciółek. Wszystkie jesteśmy przyjaciółkami Chrystusa.

Amadea ponownie przytaknęła z lękiem.

Matka przełożona była wysoką, szczupłą kobietą o przenikliwym spojrzeniu i łagodnej twarzy, Nie dało się odgadnąć jej wieku, co zresztą byłoby impertynencją. Matka była przewodniczką i opiekunką, której należało się posłuszeństwo tak jak Ojcu, przebywającemu w niebie. Karmelitanki stały się nową rodziną dla Amadei. Nikt inny teraz dla niej nie istniał. Na osiemnaście lat została wypożyczona Beacie, ojcu i Daphne. Czas spędzony z nimi dobiegł końca, więzy osłabły, ograniczone do modlitwy i czasami listu, przez uprzejmość. Zapowiedziano jej, że może pisać do domu raz na tydzień, jak obiecała matce. Lecz na pierwszym miejscu była praca i obowiązki.

Przydzielono ją do pralni, a w wolnym czasie miała wyszorować kuchnię. Gdyby zostało jej jeszcze trochę czasu, mogła pracować w ogrodzie, co uważano za zaszczyt i przywilej. Matka przełożona przypomniawszy jej słowa świętej Teresy z Avila, że Bóg objawia się samotnemu sercu. Miała jak najczęściej pracować sama i modlić się bez przerwy. Rozmawiać mogła tylko przy posiłkach. Głównym punktem jej dnia i ośrodkiem jej życia stanie się ofiara mszy.

– Pamiętaj, że święta Teresa uczyła nas, że najważniejsze w modlitwie to nie dużo myśleć, tylko dużo kochać. Jesteś tutaj, żeby kochać swoje siostry i świat. W odpowiednim czasie, jeśli spłynie na ciebie łaska powołania, zostaniesz oblubienicą Chrystusa.

To była ogromna odpowiedzialność i zaszczyt ponad wszelkie wyobrażenie. Dlatego właśnie wstąpiła do zakonu. Wymyśliła już imię dla siebie. Chciała przybrać miano świętej Teresy z Karmelu. Do tej pory, jako postulanka niższego stanu, pozostanie siostrą Amadeą. Dowiedziała się, że zobaczy swoją celę wieczorem po obiedzie. Wiedziała już, że jedną z reguł zakonu jest stały zakaz spożywania mięsa, chyba że lekarz zaleci inaczej ze względu na stan zdrowia. Lecz nawet wtedy wolała się zdobyć na tę ofiarę. Co roku zakonnice pościły od czternastego września aż do Wielkanocy. Lecz jedzenie nigdy nie znaczyło wiele dla Amadei.

Lunch i rekreacja minęły, zanim matka Teresa Maria, Mater Domini, skończyła rozmawiać z Amadeą. Amadea przyłączyła się do pozostałych sióstr odmawiających litanie do Błogosławionej Dziewicy i próbowała się skupić na modlitwie, nie na słowach matki przełożonej. Wiele musiała sobie przyswoić. Potem odbyło się czytanie, a później odesłano ją, żeby wyszorowała kuchnię przed obiadem. Sprzątała na kolanach przez większość popołudnia, modląc się nieustannie. Potem pomagała w przygotowaniu obiadu. Zakonnice pracowały bez przerwy i modliły się przy pracy, dlatego cisza była taka ważna. Zanim rozpoczęło się wieczorne nabożeństwo, Amadea była wyczerpana, lecz szczęśliwa. Modliły się w milczeniu. Wreszcie dzwon na Anioł Pański ogłosił obiad. Amadea nie jadła nic od śniadania i teraz też nie mogła jeść z przejęcia. Podano fasolę, ziemniaki i jarzyny oraz owoce z ogrodu. Zakonnice gawędziły cicho przy posiłku. Było sporo dziewcząt w wieku Amadei, w strojach postulantek, a inne nosiły już habity nowicjuszek. Wiele wstąpiło do zakonu nawet w młodszym wieku, przynajmniej tak wyglądały. Zakonnice obleczone w czarne welony przypominały Amadei święte o spokojnych, anielskich twarzach i ciepłych, kochających, oczach. Nigdy dotychczas Amadea nie była równie szczęśliwa. Wiele zakonnice rozmawiało z nią życzliwie przy obiedzie. Widziała, że młodsze zakonnice opiekują się starszymi, kilka przywiozły nawet na wózkach inwalidzkich. Staruszki siedziały i gawędziły jak babcie, otoczone młodszymi pomocnicami.

Po obiedzie i krótkiej półgodzinnej rekreacji, kiedy porównywały swoje robótki ręczne i szyte do kościoła szaty liturgiczne, modliły się razem przez następne pół godziny, a potem po cichu jeszcze przez dwie godziny, zanim po ostatniej wspólnej modlitwie poszły spać. Musiały wstać o piątej trzydzieści i stawić się na modlitwę o szóstej. Czekwały je dwie godziny modłów przed mszą o ósmej, potem śniadanie i praca aż do codziennego rachunku sumienia przed lunchem. Każdy dzień miały wypełniony modlitwą i ciężką pracą. Lecz to wcale nie przerażało Amadei. Wiedziała, czego się spodziewać, i tego właśnie chciała. Tutaj, wśród karmelitanek, odnajdzie spełnienie i z lekkim sercem przeżyje swoje dni.

O dziesiątej wieczorem, kiedy weszła do swojej celi, zobaczyła trzy zakonnice, dwie nowicjuszki i postulantkę. Skinęły sobie głowami, wymieniły uśmiechy i zgasiły światło, żeby włożyć koszule nocne z szorstkiej wełny, prane tysiąc razy, wciąż jednak drapiące. W celach nie było ogrzewania i skóra okropnie swędziała od wełny, ale one chętnie się poświęcały. Miały zostać – oblubienicami Chrystusa, który skonał dla nich w męczarniach na krzyżu. Przynajmniej tyle mogły dla Niego zrobić. Amadea wiedziała, że z czasem przywyknie. Przez chwilę pomyślała o delikatnych jedwabnych i bawełnianych koszulach nocnych, które matka zawsze dla niej szyła, a potem równie szybko przypomniała sobie, że powinna ofiarować tę myśl następnego dnia podczas rachunku sumienia. Nie mogła wnosić tu ze sobą takich wspomnień. A kiedy ją nawiedzały, musiała za nie odpokutować i odpędzać podobne myśli jak najszybciej. Nie wolno marnować czasu na opłakiwanie utraconych luksusów dawnego życia.

Tej nocy leżała w łóżku, rozmyślając o matce i Daphne, modląc się za nie. Modliła się, żeby Bóg miał je w opiece, obdarzył je szczęściem i zdrowiem.



Przez krótką chwilę poczuła, że łzy zapiekły ją w oczach, i zapamiętała sobie, żeby za to też się pomodlić. Sama była strażnikiem własnego sumienia i odźwiernym dla swoich myśli. Nie powinna wpuszczać niczego prócz myśli o Chrystusie, jak ją ostrzegała matka przełożona tego dnia. Wymieniła je w modlitwach, odpływając w sen, i pomodliła się za babkę, która zmarła przed dwoma miesiącami i była teraz w niebie.

Tej nocy, leżąc w łóżku obok Daphne, która usnęła z płaczem, Beata również myślała o swojej matce i dziecku, które właśnie zabrał jej Bóg. Modliła się o jej szczęście i bezpieczeństwo, tak jak Amadea. A potem, bez wyraźnego powodu, odmówiła modlitwę za wszystkich Żydów.

## Rozdział 12

Dni mijały Amadei szybko, wypełnione modlitwą i pracą. Przez większość czasu była przydzielona do kuchni i pralni, chociaż raz pracowała w ogrodzie z Edith Stein. Trudziły się obok siebie w milczeniu i Amadea uśmiechała się czasami do Edith, ciesząc się jej bliskością. Później tego ranka, podczas rachunku sumienia, przyszło jej do głowy, że nie powinna przejawiać osobistego zainteresowania Edith Stein. Od tamtej pory jej unikała, usiłowała wyrzucić z myśli podziw dla tej kobiety, oczyścić swój umysł i uwolnić się od przeszłości. Siostra Teresa Benedykta od Krzyża była teraz tylko jedną z karmelitanek i nie należało jej traktować jak osoby wyjątkowej.

Amadea regularnie otrzymywała listy od matki i Daphne, więc orientowała się z grubsza, co się dzieje na świecie. We wrześniu uchwalono Norymberskie Ustawy Rasowe przeciw Żydom, co jeszcze bardziej skomplikowało ich sytuację. Amadea miała jeszcze jeden powód do modlitwy. Matka przysłała na Gwiazdkę pomarańcze dla całego klasztoru – wspaniała uczta. A w styczniu siostry głosowały, żeby pozwolić Amadei na rozpoczęcie nowicjatu, i przyznały jej Święty Habit Karmelitanek. Był to najważniejszy dzień w życiu Amadei. Zezwolono jej na krótkie spotkanie z matką i siostrą. Uśmiechała się do nich promiennie zza małej kratki. Matka płakała, kiedy zobaczyła ją w habitcie, a Daphne wytrzeszczała oczy.

– Nie wyglądasz jak ty – oznajmiła poważnie.

Prawie się jej bała, ale nie całkiem. A Beata od razu spostrzegła, że córka jest szczęśliwa, co niemal złamało jej serce.

– Nie jestem „mną”. Jestem zakonnicą – wyjaśniła Amadea z uśmiechem. Nie mogła się doczekać, żeby przybrać swoje nowe imię. – Obie wyglądacie wspaniale.

– Ty też – przyznała Beata.

Wpatrywała się w córkę, pochłaniała ją wzrokiem. Wszystkie trzy wetknęły palce w kratkę, żeby się dotknąć, ale to nie wystarczało. Beata rozpaczliwie pragnęła przytulić córkę, ale wiedziała, że już nigdy tego nie zrobi.

– Wracasz do domu? – zapytała Daphne z nadzieją, szeroko otwierając oczy.

Amadea się uśmiechnęła.

– Jestem w domu, kochanie. Jak tam w szkole?

– W porządku – odparła Daphne ponuro.

Bez Amadei wszystko się zmieniło. W domu panowała śmiertelna cisza, chociaż Beata nie szczędziła wysiłków, żeby spędzać więcej czasu z młodszą córką. Obie jednak nie mogły pokonać swojego smutku. Dom bez Amadei wydawał się pusty. Duch, który dodawał im sił i wnosił słońce w ich życie, teraz odszedł.

Wizyta nazbyt szybko dobiegła końca. Zobaczyły ponownie Amadeę dopiero pod koniec roku. Daphne miała wtedy jedenaście lat i pół. Beata zabrała ją tego lata na Olimpiadę, co ją zachwyciło. Daphne szczególnie podobali się pływacy i napisała o wszystkim do siostry. Lecz

zanim ponownie ją ujrzały, stała się siostrą Teresą z Karmelu. Amadea de Vallerand już nie istniała.

Następnego lata siostra Teresa z Karmelu poprosiła, żeby pozwolono jej złożyć tymczasowe śluby, czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Kapituła wyraziła zgodę. Sześć lat dzieliło ją jeszcze od ostatnich ślubów. Lecz po złożeniu tymczasowych ślubów czuła się tak, jakby przez całe życie była zakonnicą, chociaż upłynęły dopiero dwa lata. Był rok 1937.

Tego roku ze świata dochodziły niepokojące wieści. Żydów pozbawiono prawa do wykonywania mnóstwa zawodów, jak nauczyciele i dentyści. Nie mogli już pracować jako księgowi. Zupełnie jakby hitlerowski reżim próbował stopniowo wypchnąć ich poza nawias społeczeństwa. Metodycznie usuwano ich z kolejnych dziedzin życia. Siostry karmelitanki miały powód do modlitwy. W tych czasach nie brakowało im powodów.

W marcu następnego roku, 1938, oddziały nazistowskie wtargnęły do Austrii i przyłączyły ją do Niemiec. SS powierzono rozwiązanie kwestii żydowskiej i setki tysięcy Żydów w Wiedniu musiały wyemigrować.

Po miesiącu w Niemczech Żydom nakazano zarejestrowanie majątku i nieruchomości. Beata nie mogła się nie martwić, jak to wpłynie na ojca i braci. O ile wiedziała, wciąż jeszcze zarządzali własnym bankiem.

W ciągu lata sytuacja znacznie się pogorszyła, wkrótce po złożeniu przez Amadeę tymczasowych ślubów. Amadea pracowała wtedy prawie przez cały czas w ogrodzie, a nocami szyla szaty liturgiczne dla kościoła, jak pisała w listach do matki. W lipcu każdy Żyd w wieku powyżej piętnastu lat musiał zgłosić się na policję po dowód tożsamości, który miał obowiązek pokazywać na żądanie każdemu policjantowi o każdej porze. Żydowskim lekarzom zabroniono praktyki. Na skutek wydania takich samych zakazów wobec dentystów w poprzednim roku w Niemczech zabrakło lekarzy, a niezliczona rzesza wykształconych Żydów straciła pracę.

Beata wyglądała na zmartwioną, kiedy razem z Daphne odwiedziła Amadeę na jesieni. Amadea zdumiała się, widząc, jak Daphne urosła. Miała trzynaście lat i piękniała z każdym rokiem. Odziedziczyła delikatną elfią urodę matki. Znacznie wyższa starsza siostra uśmiechała się do niej dumnie zza kraty i musnęła pocałunkiem jej policzek.

Daphne zarumieniła się, kiedy starsza siostra zaczęła się z nią droczyć, że podobają jej się chłopcy. Dowiedziała się tego z listów matki. Daphne zadurzyła się w szkolnym koledze, który też ją lubił. Nic dziwnego. Wyglądała ślicznie i miała w sobie niewinność, która chwyciła Amadeę za serce. Dzięki listom wciąż utrzymywały bliski kontakt. Nie mogły uwierzyć, że Amadea przebywa w klasztorze już od trzech lat. Beata miała wrażenie, że córka odeszła na zawsze, a jednak czasami zdawało się, że upłynęły zaledwie miesiące. Obie wciąż strasznie za nią tęskniły, lecz wokół działo się tyle okropności, że Beata w pewnym sensie nawet się cieszyła, że córka jest bezpieczna. Sama nadal nie miała żadnych kłopotów i żadnych się nie spodziewała. Była nieszkodliwą wdową z dzieckiem, nie pełniła żadnych ważnych funkcji i nie przyciągała uwagi władz. Co innego Wittgensteinowie, powszechnie znani jako Żydzi. Beata codziennie

przeglądała gazety, szukając wiadomości o swojej rodzinie, sprawdzając, czy kazano im oddać bank. Na razie jednak nic nie znalazła.

W październiku 1938 roku siedemnaście tysięcy Żydów polskiego pochodzenia aresztowano w Niemczech i odesłano do Polski. Potem nadeszła Kryształowa Noc z 9 na 10 listopada. I cały świat się zmienił. Joseph Goebbels zorganizował noc terroru, której nikt nie miał zapomnieć. Antysemityzm, tłący się od pięciu lat, wybuchnął wreszcie i pożar szybko wymknął się spod kontroli. W całych Niemczech spalono niezliczone synagogi, a siedemdziesiąt sześć zniszczono. Siedem tysięcy żydowskich sklepów i domów splądrowano i zniszczono, zabito setki Żydów, a trzydzieści tysięcy aresztowano i wysłano do obozów koncentracyjnych. Wszystkie żydowskie firmy przeszły w ręce aryjskie. W ciągu jednego dnia wszystkich żydowskich uczniów wyrzucono ze szkół publicznych. A na domiar złego zapowiedziano Żydom, że wspólnie muszą zapłacić za naprawienie wszystkich szkód, wyrządzonych podczas Kryształowej Nocy. Nienawiść w Niemczech zapłonęła jaskrawym płomieniem.

Wstrząśnięta Beata siedziała w bawialni i słuchała wiadomości po nocy terroru. Dopiero po dwóch dniach odważyła się wyjść z domu, obawiając się zamieszek na ulicach. Wzięła taksówkę i kazała kierowcy przejechać obok domu i banku ojca. Bank otaczały kordony policji. Fasada nosiła ślady zniszczeń. W domu rodziców wybito wszystkie okna. Oba budynki wyglądały na opuszczone. Beata nie miała pojęcia, co się stało z rodziną. Nie odważyła się pytać sąsiadów. Nawet zainteresowanie losem Żydów mogło ściągnąć na nią uwagę i narazić Daphne.

Upłynął następny tydzień, zanim Beata wspomniała o tym niedbale we własnym banku, zatrudniającym wyłącznie Aryjczyków. Powiedziała, że bardzo się cieszy, że kilka lat wcześniej wycofała fundusze z banku Wittgensteinów, bo teraz pewnie mają kłopoty.

– Zamknęli bank – oświadczył urzędnik bez ogródek.

Wolała nie pytać, co się stało ze wkładami klientów. Zastanawiała się, czy pieniądze przechwycili naziści, skoro większość klienteli była żydowska.

– Nie dziwię się – rzuciła obojętnie. – Jak pan myśli, co się z nimi stało? Usiłowała przybrać ton zwykłej ciekawości, niczym wścibska gospodyni plotkująca z kasjerem w niespokojnych czasach. Cały kraj mówił o Kryształowej Nocy. I cały świat. Urzędnik bankowy zniżył głos prawie do szeptu.

– Mój szef znał tę rodzinę. Deportowano ich w zeszły czwartek. W dzień po Kryształowej Nocy.

– Jakie to smutne – zauważyła Beata.

O mało nie zemdląca, ale za żadne skarby nie mogła tego okazać.

– Pewnie tak. Ale w końcu to Żydzi. Zasłużyli sobie. I tak większość z nich to kryminaliści. Pewnie próbowali ukraść wszystkim pieniądze.

Beata tępo przytaknęła.

– Zabrali wszystkich?

– Chyba tak. Zwykle zabierają. Przynajmniej teraz. Dawniej tak nie robili. Ale pewnie w

końcu zrozumieli, że kobiety są równie niebezpieczne jak mężczyźni. I śmierdzą.

Beata poczuła mdłości.

– To była dość znana rodzina – powiedziała, chowając pieniądze. Przyszła zrealizować czek wyłącznie w tym celu, żeby się czegoś dowiedzieć. I dowiedziała się, że cała jej rodzina została deportowana.

– Niech pani się cieszy, że zabrała pani pieniądze z ich banku. Oni by panią okradli.

Beata uśmiechnęła się, podziękowała urzędnikowi i wyszła na drewnianych nogach. Zastanawiała się gorączkowo, jak się dowiedzieć, dokąd ich wysłano. Nie mogła ryzykować, każdy, kto pytał, zwracał na siebie uwagę. Po raz ostatni poprosiła kierowcę, żeby przejechał obok ich domu. Wybite okna ziały czernią, wewnątrz zostało splądrowane. Na ulicy leżały połamane meble, antyki tak ukochane przez matkę. Widocznie dom został zniszczony podczas Kryształowej Nocy, a mieszkańcy zniknęli. Zastanawiała się, czy się gdzieś nie ukrywają, jeśli wystarczyło im rozsądku, żeby uciec. W desperacji wstąpiła do kościoła i poszła porozmawiać z księdzem. Wyjaśniła, że przed laty znała żydowską rodzinę i obawiała się, że poważnie ucierpieli podczas Kryształowej Nocy.

– Niestety, to bardzo prawdopodobne. – Ksiądz wyglądał ponuro. Katolicy też nie byli bezpieczni przed Hitlerem. Nie miał wielkiego szacunku dla Kościoła katolickiego. – Musimy się za nich modlić.

– Zastanawiałam się... czy jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, co się z nimi stało? Ktoś powiedział, że ich deportowano. Ale nie mogli odesłać wszystkich, przynajmniej nie kobiet i dzieci.

– Nigdy nie wiadomo – odparł cicho ksiądz. – To są straszne czasy.

– No, nie chciałam narażać księdza na kłopoty – usprawiedliwiała się Beata. – Po prostu tak się zmartwiłam, kiedy o tym usłyszałam w banku. Jeśli ksiądz czegoś się dowie, proszę mnie zawiadomić.

– Jak się nazywali?

– Wittgensteinowie. Z banku.

Kiwnął głową. Wszyscy w Kolonii znali to nazwisko. To była wielka sprawa, jeśli ich deportowano. Ale teraz wszystko było możliwe. Kryształowa Noc otworzyła bramy piekieł i wypuściła demony przechodzące wszelkie wyobrazenie. Nieludzkość w najbardziej wstrząsającej postaci.

– Dam pani znać. Znam księdza w tamtej parafii. Mógł coś usłyszeć, nawet jeśli to Żydzi. Takie rzeczy się rozchodzą. Ludzie widzą. Nawet jeśli boją się mówić. – Wszyscy teraz się bali, nawet katolicy. – Bądź ostrożna, córko – napomniął ksiądz, kiedy wstała. – Nie próbuj tam iść sama.

Znał ją jako wdowę o miękkim sercu i obawiał się, żeby nie popełniła jakiegoś głupstwa. Darzył ją wyjątkowym przywiązaniem ze względu na Amadeę. Matka karmelitanki musiała być dobrą kobietą.

W ostatnim tygodniu listopada zatrzymał ją, kiedy wychodziła z kościoła. Daphne rozmawiała z przyjaciółką i nic nie zauważyła. Beata nie napisała do Amadei o swoim zmartwieniu.

– Miała pani rację – powiedział cicho ksiądz, idąc obok niej. – Wszyscy zniknęli.

– Kto? – zapytała z roztargnieniem. Pamiętała, że prosiła go o wiadomości, ale zachowywał się tak tajemniczo, że nie wiedziała, czy nie mówi o kimś innym.

– Rodzina, o którą pani pytała. Zabrali wszystkich. Następnego dnia. Całą rodzinę. Właściciel banku widocznie miał córkę i dwóch synów, i jeszcze jedną córkę, która umarła przed laty. Mój przyjaciel dobrze go znał. Często spotykał go na spacerach i rozmawiali ze sobą. Mówił, że to był miły człowiek. Wdowiec. Zabrali ich wszystkich. Wdowca, dzieci, nawet wnuki. On myśli, że ich wysłali do Dachau, ale nie wie na pewno. W każdym razie zniknęli. Dom oddadzą pewnie jakiemuś urzędnikowi Rzeszy. Odmówię za nich modlitwę – zakończył, a potem ruszył dalej.

Takie historie zdarzały się powszechnie. Beata była w szoku i nie odezwała się ani słowem do Daphne, kiedy wracały do domu.

– Co ci jest, mamó? – zapytała cicho córka.

W ostatnich dniach matka wydawała się bardzo zdenerwowana, ale teraz wszyscy się denerwowali. Kilkoro dzieci zabrano ze szkoły i wszyscy płakali. Nauczycielka skarciła ich za to i powiedziała, że to tylko Żydzi i nie zasługują, żeby chodzić do szkoły, co Daphne uważała za chamskie i obrzydliwe z jej strony. Każdy zasługiwał na szkołę. Przynajmniej tak twierdziła jej matka.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic mi nie jest – odparła szybko Beata. Nagle ucieszyła się, że ksiądz powiedział, że Jacob Wittgenstein miał córkę, która umarła przed laty. Przy odrobinie szczęścia świat uzna ją za zmarłą. Na razie nikt ich nie prześladował. Była wdową katoliczką z jedną nieletnią córką i drugą, która została zakonnica. Dzięki Bogu za Antoine'a. – Słyszałam tylko smutną historię o rodzinie, którą znałam. Deportowali ich po Kryształowej Nocy.

Cała jej rodzina zniknęła. Ojciec, bracia, siostry, ich dzieci, żony jej braci. Zniknęli. Nie do uwierzenia. Bóg jeden wiedział, gdzie są i czy przeżyją.

Słyszało się przerażające historie o obozach. To miały być obozy pracy, ale wielu tam umierało. A jej ojciec nie był już młody. Miał siedemdziesiąt trzy lata. Matka miałaby sześćdziesiąt osiem i Beata poczuła wdzięczność, że jej tego oszczędzono. Przynajmniej umarła w spokoju, nawet jeśli Beata nie mogła pocieszyć jej na łożu śmierci. Nawet teraz nie żywiła urazy do ojca. Spotkało ich coś znacznie gorszego niż jej odejście i żadne z nich nie zasługiwało na taki los. Nikt nie zasługiwał. Beata sama się bała. Ale na razie były bezpieczne. Na pewno.

– Jakie to okropne – powiedziała cicho Daphne, myśląc o słowach matki.

– Nie powtarzaj tego nikomu – rzuciła Beata. – Jeśli okazujesz współczucie Żydom, spotka cię krzywda.

Wreszcie dotarły do własnego domu, ciepłego, wygodnego i bezpiecznego. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Beata wciąż miała przed oczami zniszczoną fasadą swojego rodzinnego domu, wybite okna i antyki rozrzucone po całej ulicy.

– Ale ty żałujesz Żydów, prawda, mamó? – Daphne spojrzała na nią niewinnymi oczami.

– Tak – przyznała uczciwie Beata – ale w tych czasach niebezpiecznie o tym mówić. Popatrz, co się stało. Ludzie są rozgniewani i zdezorientowani. Nie wiedzą, co robią. Lepiej siedzieć cicho. Zapamiętaj to sobie, Daphne.

Matka popatrzyła na nią surowo. Daphne przytaknęła ze smutkiem.

– Zapamiętam. Obiecuję.

Ale to było takie podłe. Takie okrutne. I takie złe. Nie mogła przestać myśleć, jakie to okropne być Żydem. Stracić dom. Może nawet stracić rodziców. Zostać wysłanym do obozu. Zadrzała na samą myśl. Cieszyła się, że są z matką bezpieczne. Nawet jeśli nie miała przy sobie ojca. Ale przynajmniej nikt im nie groził.

Obie milczały tego wieczoru, zagubione we własnych myślach. Daphne zdumiała się, kiedy weszła do pokoju matki i zastała ją na kolanach, pogrążoną w modlitwie. Patrzyła na nią przez chwilę, a potem wyszła. Zastanawiała się, czy matka modli się za rodzinę, o której rozmawiały po południu. Podejrzewała słusznie, że tak było. Ale nie miała pojęcia, co naprawdę robi matka. A Beata robiła coś, czego nie robiła nigdy przedtem, słyszała tylko, jak robi to ojciec. Co zrobili dla niej. Czego nigdy nie robiła ortodoksyjna żydówka. Beata odmawiała kadsiz, modlitwę za zmarłych. I modliła się, żeby jeszcze żyli. Ale jeśli już nie żyją, ktoś musiał to dla nich zrobić. Wyrecytowała wszystko, co pamiętała, a potem dalej klęczała obok łóżka i łzy płynęły jej po twarzy. Wiele lat temu zamknęli przed nią drzwi i serca i ogłosili ją za zmarłą. Ale i tak ich kochała. A teraz wszyscy odeszli. Brigitte, Ulm, Horst, papa. Ludzie, wśród których dorastała i których nigdy nie przestała kochać. Tamtej nocy odprawiła za nich sziwę, tak jak dawno temu oni to zrobili dla niej.

## Rozdział 13

Beata zadzwoniła do matki przełożonej w pierwszym tygodniu grudnia i poprosiła o widzenie z córką. Powiedziała, że to ważne, ale matka przełożona odparła łagodnie, że trzeba zaczekać. Ostatnio zakonnice były bardzo zajęte. Po prawdzie miały własne kłopoty i poważne zmartwienia. Przełożona wyznaczyła Beacie wizytą piętnastego grudnia z nadzieją, że do tej pory sytuacja się uspokoi.

Przez ten czas Beata wychodziła z siebie. Nie wiedziała, dlaczego, ale czuła przymus, żeby zobaczyć Amadeę i powiedzieć jej wszystko. Wprawdzie na razie to ich nie dotknęło, ale mogło. Amadea musiała wiedzieć. Miała do tego prawo. Beata chciała też powiedzieć Daphne, ale ona była za młoda i mogła się wygadać w szkole. Nie skończyła jeszcze czternastu lat i nie należało jej obarczać poważnymi sekretami. Zwłaszcza takimi, które mogły kosztować życie, nawet jej własne. Amadea jednak była przynajmniej bezpieczna, a matka ceniła sobie jej rady. Nie chciała samodzielnie podejmować takich decyzji. Zamierzała wyjechać do Szwajcarii. Lecz kuzyni Antoine'a nie żyli od dawna. Nie miała do kogo się zwrócić. Musiałaby wynająć tam dom i zostawić swój własny. Nie chciała podejmować decyzji pod wpływem paniki. Na razie nie miała powodu do strachu, ale się bała. I to bardzo.

Amadea zauważyła to, jak tylko matka weszła. Coś się stało. Matka przyszła sama. Daphne była w szkole. Beata nie chciała pozbawiać jej okazji do spotkania z siostrą, ale czuła, że nie miała wyboru. Wiedziała, że nie myśli jasno. Przecież była Niemką i katoliczką. Nikt nie znał jej pochodzenia. Nikt jej nie zagrażał. Ale nie mogła już mieć całkowitej pewności. Ojciec też myślał, że jest bezpieczny. Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Pokój w Chrystusie – powiedziała cicho Amadea, uśmiechając się do matki.

Zakonnice przeżyły smutny tydzień. Siostra Teresa Benedykta od Krzyża, Edith Stein, opuściła je przed trzema dniami, żeby wstąpić do zakonu w Holandii. Przyjaciół przewiózł ją przez granicę. Jej siostra Rosa pojechała z nią i zamierzała wstąpić do tego samego zakonu. Edith Stein, urodzona jako Żydówka, bała się narażać inne zakonnice. Poprosiła, żeby matka przełożona ją odesłała dla bezpieczeństwa pozostałych. Jej wyjazd złamał wszystkim serca. Nie chciały tego, ale musiały się z tym pogodzić dla dobra jej i własnego. Wszystkie płakały, kiedy odjeżdżała, i modliły się za nią codziennie. Klasztor wydawał się nie ten sam bez jej uśmiechniętej twarzy.

– Mamo, dobrze się czujesz? Gdzie jest Daphne?

– W szkole. Chciałam spotkać się z tobą sama. – Mówiła szybko, bo wiedziała, że nie ma dużo czasu. – Amadeo, moja rodzina została deportowana.

– Jaka rodzina? – Amadea patrzyła na matkę zbita z tropu, dotykając jej palców przez kratę.

Rozmawiała szeptem. – To znaczy rodzina babci?

Beata przytaknęła.

– Wszyscy. Mój ojciec, siostra, dwaj bracia, ich dzieci i żony moich braci. – Łzy wezbrały jej



w oczach i wytarła je szybko, kiedy popłynęły po policzkach.

– Bardzo mi przykro – bąknęła zaskoczona Amadea. – Dlaczego? Beata zaczerpnęła tchu i rzuciła się na głęboką wodę.

– Oni są Żydami. Albo byli. – Teraz pewnie już nie żyją. – Jestem Żydówką. Urodziłam się w żydowskiej rodzinie. Nawróciłam się, żeby poślubić twojego ojca.

– Nie wiedziałam – szepnęła Amadea, patrząc na nią ze współczuciem. Ale nie wydawała się przestraszona, jakby nie rozumiała, co to znaczy albo może znaczyć dla niej, dla nich wszystkich.

– Nigdy ci nie mówiłam. Nie myśleliśmy, że to ważne. A teraz zrobiło się ważne. Bardzo. Może się bałam... albo wstydziłam. Nie wiem. Nikt nie robił nam kłopotów, a we wszystkich dokumentach mam zapisane, że jestem katoliczką. Właściwie nie mam żadnych dokumentów oprócz świadectwa ślubu i tych związanych ze śmiercią twego ojca. Nie ma żadnych innych dokumentów. Twoja metryka urodzenia zaświadcza, że papa i ja byliśmy oboje katolikami, kiedy się urodziłaś, i to prawda. Nawet nasze świadectwo ślubu podaje, że jestem katoliczką. Mój ojciec powiedział wszystkim, że umarłam. Wpisał moje imię do księgi zmarłych. Osoba, którą byłam, już nie istnieje. Narodziłam się ponownie, kiedy poślubiłam twojego ojca jako chrześcijanka, jako katoliczka. Ale naprawdę jesteś w połowie Żydówką, tak jak Daphne. A ja jestem całkowicie Żydówką według nazistów. Jeśli kiedyś to odkryją, grozi ci niebezpieczeństwo. Musisz wiedzieć. Chciałam cię ostrzec, żebyś mogła siebie chronić.

I nie tylko siebie, pomyślała natychmiast Amadea, przypominając sobie Edith Stein. Ją jednak wszyscy znali i była stuprocentową Żydówką. Amadea była nikim. Nikt jej nie znał, nikogo nie obchodziła. A matka zapewniała, że nie ma żadnych dowodów ich pochodzenia czy żydowskich krewnych. A jednak lepiej, że wiedziała.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Nie boję się – powiedziała cicho Amadea i pocałowała palce matki. A potem przypomniała sobie, co mówiła przed wyjazdem Edith Stein, siostra Teresa Benedykta od Krzyża, o potencjalnym zagrożeniu dla innych. – Co z Daphne, mamo?

– Jest ze mną bezpieczna. To jeszcze dziecko.

Lecz dzieci także deportowano i zsyłano do obozów. Różnica polegała na tym, że Daphne była tylko w połowie Żydówką. Istniało jednak pewne niewielkie ryzyko. Dopóki nikt ich nie prześladował i nie wygrzebał niczego z odległej przeszłości, nic im nie groziło. A skąd mieli wiedzieć? Nawet wyjazd do Szwajcarii wydawał jej się teraz trochę historyczny. Nie miała powodów, żeby uciekać. Po prostu niepokoiła się losem innych.

– Mamo, siostra Teresa Benedykta powiedziała nam o czymś, zanim wyjechała. To coś pięknego. To pociąg prowadzony przez Brytyjczyków, żeby ratować żydowskie dzieci, zanim zostaną deportowane i zesłane do obozów pracy. Pierwszy odjechał pierwszego grudnia, ale będą następne. Wysyłają niemieckie dzieci do Anglii, dopóki to szaleństwo się nie skończy. Tylko dzieci, do siedemnastu lat. A Niemcy na to pozwalają. To legalne. I tak nie chcą tutaj żydowskich dzieci. Czemu nie wyślesz Daphne, dla jej bezpieczeństwa? Zawsze możesz ją sprowadzić z powrotem.

Ale Beata natychmiast pokręciła głową. Nigdzie nie wyśle córki. Nie ma potrzeby. A zamieszkanie wśród obcych w Anglii też może być niebezpieczne.

– Ona nie jest Żydówką, Amadeo. Tylko w połowie. I nikt nawet o tym nie wie. Nie wyśle jej bez opieki do obcego kraju z Bóg wie kim, jak zwierzę w bydłym wagonie, żeby zamieszkała Bóg wie gdzie. To jeszcze dziecko.

– Inne też. Dobrzy ludzie przyjmą je do siebie i zaopiekują się nimi – powiedziała Amadea łagodnie.

Dla niej było to rozsądne wyjście, ale nie dla Beaty.

– Nie wiesz tego. Może ją zgwałcić jakiś obcy. Wszystko może się stać. A jeśli te dzieci wpadną w złe ręce?

– Tutaj są w złych rękach. Sama to powiedziałaś.

A potem Amadea westchnęła. Może matka miała rację. Na razie nie zagrażało im prawdziwe niebezpieczeństwo, więc zobaczą, co dalej. Zawsze zdążą wysłać Daphne później, jeśli coś się stanie. Może to racja. Może lepiej po prostu siedzieć cicho i przeczekać, aż burza minie. Wcześniej czy później to się skończy.

– Nie wiem – wyznała Beata ze zmartwioną miną.

Nie wiedziała, co robić, dokąd pójść. W powietrzu czuło się krew, ale na razie cudzą. Chciała tylko ostrzec Amadeę na wszelki wypadek. W klasztorze Amadea była bezpieczna. Edith Stein to co innego. Żydówka, znana i w dodatku do niedawna radykalna aktywistka. Dokładnie takich osób szukali naziści. Wichrzycieli. Amadea z pewnością do takich nie należała.

Dwie kobiety patrzyły na siebie i rozmyślały. Potem zakonnica zapukała do drzwi i pokazała Amadei, że czas się skończył.

– Mamo, muszę iść. – Zobaczą się ponownie dopiero za kilka miesięcy.

– Nie pisz do Daphne, że tu byłam. Serce jej pęknie, że ominęła ją wizyta, ale musiałam przyjść sama.

– Rozumiem – powiedziała Amadea i ucałowała palce matki. Miała dwadzieścia jeden lat, ale wyglądała na znacznie starszą. Wydorosłała przez te trzy i pół roku w zakonie i matka to spostrzegła. – Kocham cię, mamo. Uważaj na siebie. Nie rób głupstw – ostrzegła, wywołując uśmiech na twarzy matki. – Tak bardzo cię kocham.

– I ja ciebie, kochanie. – A potem wyznała ze smutnym uśmiechem: – Nadal żałuję, że nie mieszkasz z nami w domu.

– Jestem tu szczęśliwa – zapewniła Amadea, chociaż coś ją szarpnęło za serce. Czasami tęskniła za nimi obiema, wciąż jednak wierzyła w swoje powołanie. Za cztery i pół roku miała złożyć ostateczne śluby. Nigdy w to nie zwątpiła od chwili, kiedy tu przybyła.

Potem matka wstała, żeby odejść.

– Wesołych świąt, mamo.

– Wesołych świąt, córeczko – odpowiedziała cicho matka i wyszła z malej celi odwiedzin, przedzielonej ścianą z wąską kratką.

Amadea pospieszyła z powrotem do pracy, a w czasie przeznaczonym na rachunek sumienia myślała o wszystkim, co jej powiedziała matka. Miała wiele do przemyślenia, lecz żadnych wątpliwości, co powinna teraz zrobić. Zaraz po lunchu poszła do gabinetu matki przełożonej, w czasie zwykle wyznaczonym na rekreację. Odetchnęła z ulgą, kiedy zastała matkę Teresę Marię, Mater Domini, pracującą za biurkiem. Podniosła wzrok na niepewną Amadeę. Pisała właśnie list do matki przełożonej klasztoru w Holandii, gdzie wyjechała siostra Teresa Benedykta, dziękując za pomoc z potrzebie.

– Tak, siostrze. O co chodzi?

– Pokój w Chrystusie, matko. Czy mogę z tobą pomówić?

Przełożona gestem nakazała jej wejść i usiąść.

– Miałaś przyjemną wizytę matki, siostrze?

Mądre stare oczy objęły spojrzeniem młodą zakonnice i spostrzegły, że jest przejęta i zmartwiona.

– Tak, matko, dziękuję. – Amadea zamknęła za sobą drzwi, kiedy weszła do pokoju. – Mam ci coś do powiedzenia, czego nie wiedziałam, kiedy tu przyjechałam.

Matka przełożona czekała. Widziała, że chodzi o coś poważnego. Młoda zakonnica wyglądała na wytrąconą z równowagi.

– Nie wiedziałam, że moja matka nie urodziła się jako katoliczka. Powiedziała mi dzisiaj, że nawróciła się na katolicyzm, zanim poślubiła mojego ojca. Z pochodzenia jest Żydówką. Jej rodzina została deportowana następnego dnia po Kryształowej Nocy. Nigdy ich nie znałam, bo wydziedziczyli matkę, kiedy wyszła za mojego ojca, i nie chcieli jej więcej widzieć. Babka w końcu nas poznała dwa lata przed moim wstąpieniem do klasztoru, ale dziadek nigdy nie pozwolił matce zobaczyć się z resztą rodziny. Zapisali ją jako zmarłą. – Podniosła wzrok na przełożoną i zaczerpnęła tchu. – Ona mówi, że nikt nie ma dokumentów związanych z jej przeszłością. Nigdy się nie rejestrowała, nie ma paszportu. Moi rodzice mieszkali w Szwajcarii trzy lata, zanim się tutaj przeprowadziliśmy. Urodziłam się tam. Matka ma świadectwo ślubu z ojcem, na którym jest katoliczką. Moja metryka urodzenia podaje, że oboje są katolikami. Ale jestem w połowie Żydówką matko. Przedtem o tym nie wiedziałam. I teraz się boję, że jeśli zostanę, narażę nas wszystkie.

Dokładnie z takich samych powodów siostra Teresa Benedykta niedawno wyjechała.

– Nic nam nie grozi, moje dziecko, ani tobie. Z tego, co mi mówisz, nikt nie zna pochodzenia twojej matki. Czy ona zamierza się zarejestrować na policji jako Żydówka?

Amadea pokręciła głową.

– Nie, nie zamierza. Prowadzi spokojne życie i nie ma powodu, żeby ktoś się dowiedział.

To nie było zbyt uczciwe, ale praktyczne. Zresztą w grę wchodziło życie: jej, Daphne i Amadei. Może nawet tych zakonnice. Matka przełożona chyba tego nie potępiała.

– Siostra Teresa Benedykta była w zupełnie innej sytuacji. Urodziła się jako Żydówka i była ogólnie znana jako działaczka i wykładowca, zanim tutaj przybyła. Jest konwertytką. Ty nie.

Zdobyła spory rozgłos, zanim jeszcze została zakonnica. Ty jesteś młodą dziewczyną, wychowaną w katolickiej wierze. Przy odrobinie szczęścia nikt nie będzie podejrzewał, że twoja matka nie została wychowana na katoliczkę. Miejmy nadzieję, że nikt się nie dowie. Jeśli coś się zmieni, ona na pewno da nam znać. Wtedy możemy dyskretnie cię gdzieś wysłać. Właśnie to mi się nie podobało w sytuacji siostry Benedykty... wszyscy spanikowali. W twoim przypadku nie ma powodu do paniki. Przyszłaś tu jako niewinna młoda dziewczyna, nie dorosła kobieta, która zdobyła sławę, nawróciła się i przyciągnęła powszechną uwagę. W jej przypadku rozsądniej było wyjechać. W twoim należy zostać. To znaczy jeśli chcesz zostać. Popatrzyła na nią pytająco. Amadea odetchnęła z ulgą.

– Tak, chcę. Ale bałam się, że spróbujecie się mnie pozbyć. Wyjadę, jeśli tego matka zażąda.

Z jej strony to byłoby ostateczne poświęcenie dla dobra innych. I jej „mała ofiara” dla nich. „Mała ofiara” świętej Teresy polegała na wyrzeczeniu w imię Boga.

– Nie zażądam. I, siostró... – Zmierzyła Amadeę surowym wzrokiem, jak matka karcąca dziecko. – To bardzo ważne, żebyś z nikim o tym nie rozmawiała. Z nikim. Niech to pozostanie między nami. – A potem przybrała zatroskany wyraz twarzy. – Czy wiesz, co się stało z rodziną twojej matki? Czy ona coś słyszała?

– Sądzi, że wywieziono ich do Dachau.

Matka przełożona zacisnęła usta. Tak jak wszyscy ubolewała nad tragiczną sytuacją Żydów.

– Proszę, przekaz jej moje wyrazy współczucia, kiedy do niej napiszesz. Ale dyskretnie – ostrzegła.

Amadea kiwnęła głową, wdzięczna za jej dobroć.

– Matko, nie chcę odejść. Chcę złożyć uroczyste śluby.

– Jeśli taka będzie wola boska.

Obie jednak wiedziały, że pozostało jeszcze cztery i pół roku. To wydawało się wiecznością dla młodej zakonnicy. Z determinacją postanowiła, że nic nie stanie jej na drodze do tego celu. Przez ostatnie pół godziny pokonała właśnie wielką przeszkodę.

– Nie porównuj swojego położenia do sytuacji siostry Teresy Benedykty. To zupełnie inny przypadek.

– Dziękuję ci, matko.

Amadea wyszła, a matka przełożona przez długą chwilę siedziała za biurkiem, pogrążona w zadumie. Zastanawiała się, ile jeszcze takich przypadków kryje się za murami klasztoru. Możliwe, że same zakonnice nie zdawały sobie z tego sprawy, jak w przypadku Amadei. Lepiej jednak nie wiedzieć. Przez resztę dnia Amadea czuła ogromną ulgę, chociaż wciąż się martwiła o matkę i siostrę. Może jednak matka miała rację i prawda o jej pochodzeniu nigdy nie wyjdzie na jaw. Nie ma przecież ku temu żadnych powodów. Tej nocy młoda zakonnica modliła się za krewnych, deportowanych i może nawet zabitych, których nigdy nie знаła. Potem przypominała sobie, jak matka zabrała ją do synagogi, czego wtedy Amadea nie rozumiała. Potem o tym zapomniała, teraz jednak uświadomiła sobie, że w pewnym sensie dotknęła fragmentu jej

przeszłości. Matka nigdy więcej nie zabrała tam Amadei.

## Rozdział 14

Prześladowania Żydów trwały dalej, co było do przewidzenia. W styczniu 1939 roku Hitler wygłosił pełne pogroźek przemówienie, wyraźnie wrogie wobec nich. Nie tolerowano ich już we własnym kraju, a Hitler przysięgał, że utrudni im życie, czego zresztą już dokonał. W następnym miesiącu nakazano im zdać wszystkie przedmioty ze złota i srebra. W kwietniu stracili prawa lokatorów i musieli się przeprowadzić do całkowicie żydowskich domów. Nie mogli już mieszkać obok Aryjczyków.

W rezultacie Żydzi próbowali emigrować, co bynajmniej nie było łatwe. Wiele krajów nie chciało ich przyjąć, jeśli nie mieli krewnych i poręczycieli za granicą. Wymagano od nich zgłoszenia przyszłego miejsca pracy oraz zezwoleń zarówno od Niemców, jak i od kraju przeznaczenia, których często odmawiała jedna albo obie strony. I potrzebowali pieniędzy, żeby opłacić cały proces, na co większość nie mogła sobie pozwolić. Nieliczni zdołali z powodzeniem załatwić wszystkie wymagane formalności w wyznaczonym czasie. Wielu niemieckich Żydów wciąż uparcie wierzyło, że sytuacja wróci do normy. Nie przyjmowali do wiadomości tego, co się działo. Przecież byli Niemcami. Nic złego nie mogło ich spotkać. Lecz zbyt wielu już deportowano i wywieziono do obozów pracy, skąd docierały alarmujące wieści. Ludzie umierali tam od pobicia, z przepracowania, niedożywienia i chorób. Niektórzy zwyczajnie znikali po cichu.

Przez cały rok Kindertransport, o którym Amadea opowiadała matce, zbierał dzieci i wysyłał do Anglii. Zorganizowali go Brytyjczycy z udziałem kwaków. Wywozili dzieci z Niemiec, Austrii i Czechosłowacji. Niemal wszystkie były żydami, chociaż trafiali się chrześcijanie. Brytania zgodziła się je przyjąć bez paszportów pod warunkiem, że nie miały więcej niż siedemnaście lat, żeby nie zabierać Brytyjczykom miejsc pracy. Naziści pozwalali im wyjechać, jeśli nie zabierały ze sobą nic cennego, najwyżej małą walizkę, którą mogły unieść. Widok tych dzieci, żegnających się z rodzicami na dworcach kolejowych, rozdzierał serce. Lecz tylko w ten sposób rodzice mogli zapewnić im bezpieczeństwo i uchronić przed losem, jaki naziści zgotowali wszystkim Żydom. Rodzice przyrzekali dzieciom na peronach, że wkrótce dołączą do nich w Anglii. Jedni i drudzy mieli nadzieję, że to się spełni. Niektórzy błagali dzieci, żeby znalazły im w Anglii pracę i poręczycieli, co stanowiło zbyt wielki ciężar dla dziecka, które nie mogło pomóc, chociaż wiedziało, że od niego zależy życie rodziców. Nielicznym cudem się to udało.

Na miejscu Brytyjczycy przyjmowali je do domów jako przybrane dzieci, czasami w grupach. Musieli się nimi zaopiekować, dopóki w ich rodzinnym kraju nie ustaną prześladowania Żydów. Nikt nie wiedział, kiedy to nastąpi. Czasami wśród tych dzieci, nazywanych przez Brytyjczyków „kinderkami”, trafiały się nawet niemowlęta. Kierując się humanitaryzmem i miłosierdziem jeden z Rothschildów przyjął dwadzieścioro ośmiorgo dzieci i urządził dla nich specjalny dom. Inni nie mogli sobie pozwolić na taką szczodrość, ale Brytyjczycy prześcigali się w wysiłkach, żeby zapewnić malcom opiekę. Te z dzieci, które nie znalazły zastępczych

rodziców, mieszkały w obozach i barakach.

Z wojennego frontu dochodziły przygnębiające wieści, czasami docierały nawet do klasztoru, najczęściej razem z dostawami. W marcu naziści najechali Czechosłowację, a latem zwrócili oczy na Polskę. Amadea złożyła tymczasowe śluby po raz drugi. Wkrótce potem odwiedziły ją matka i Daphne. Nikt ich nie nękał i nie kwestionował ich dokumentów, więc Amadea odetchnęła z ulgą. Daphne skończyła czternaście lat i wciąż nie wiedziała o sekrecie matki. Amadea zauważyła z radością, że matka wygląda dobrze i jest spokojna. Opowiadała jednak, że w mieście panuje napięta atmosfera, mnóstwo Żydów straciło pracę, nawet przedstawiciele szanowanych zawodów, i wielu zesłano do obozów pracy. Wywożenie Żydów z miast nie ustało. Wielu przetrzymywano w obozach przejściowych poza granicami miasta, gdzie czekało na deportację, mężczyźni razem z kobietami i dziećmi.

Matka wiedziała o działalności Kindertransport. W żadnym wypadku jednak nie zamierzała odesłać Daphne. Upierała się, że nie ma powodu. W jej obecności nic nie mówiły na ten temat, wychwalały tylko akcję Brytyjczyków. Dwie dawne przyjaciółki Daphne ze szkoły już wyjechały do Anglii i słyszała, że kilka następnych też wyjedzie. Wciąż jeszcze czekały na zezwolenie. Opowiadała, jakie to smutne, że wyjeżdżają bez rodziców. Wszystkie jednak się zgodziły, że alternatywa była znacznie gorsza.

Beata też się ucieszyła, że Amadea dobrze wygląda. Rozkwitała jako siostra Teresa z Karmelu i takie życie wyraźnie jej służyło. Tylko dlatego Beata zaakceptowała w końcu wybór dokonany przez córkę. Jak zwykle wizyta minęła zbyt szybko. Przed wyjściem Beata dodała jeszcze, że widziała się z małżeństwem Daubigny i u nich wszystko dobrze.

Dwa tygodnie po tej wizycie naziści napadli na Polskę, a tego samego dnia dla Żydów w Niemczech wprowadzono godzinę policyjną. Nie mogli wychodzić z domów po dziewiątej wieczorem, co w zimie skrócono do ósmej. Dwa dni później Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę. Tego ranka ostatni Kindertransport odjechał z dworca. Po wypowiedzeniu wojny Brytyjczycy nie mogli już wywozić żydowskich dzieci. Prowadzili działalność dokładnie przez dziewięć miesięcy i dwa dni i uratowali dziesięć tysięcy dzieci. Istny cud. Kiedy ostatnie kinderki odpływały z Europy do Anglii, Polacy mężnie walczyli o przetrwanie, ale daremnie. Skapitulowali prawie cztery tygodnie później. Opowieści o obronie Warszawy wywołały łzy w oczach Beaty.

Miesiąc później zarządzono ewakuację wszystkich Żydów z Wiednia, a wszystkich polskich Żydów od czternastego do sześćdziesiątego roku życia zesłano na przymusowe roboty. Koszmar nie miał końca.

Ze względu na bieżące wydarzenia oraz wojnę prowadzoną przez Niemców Boże Narodzenie wypadło ponuro, nawet w klasztorze, gdzie dotarło kilka pogodnych listów od siostry Teresy Benedykty z Holandii. Jej siostra Rosa nadal przebywała z nią w klasztorze i obie czuły się tam bezpieczne, chociaż siostra Teresa wyznała, że tęskni za siostrami w Kolonii i modli się za nie codziennie, tak jak one za nią.

Amadea skończyła dwadzieścia trzy lata w kwietniu 1940 roku. Matka i siostra przyszły ją odwiedzić. Z trudem mogła uwierzyć, że Daphne ma prawie piętnaście lat. Wyrosła na prawdziwą piękność i wyglądała prawie dokładnie jak matka na fotografiach w tym wieku. Lecz ku ogólnemu przerażeniu osiem dni później Niemcy dokonali inwazji na Danię i Norwegię. Miesiąc później zajęli Holandię i Niderlandy, czego nikt się nie spodziewał, i siostra Teresa Benedykta ponownie znalazła się w niebezpieczeństwie. Przestraszone siostry rozmawiały o niej szeptem podczas lunchu. Nikt nie wiedział, co jeszcze się stanie. Hitler wyraźnie zamierzał podbić całą Europę.

W czerwcu zajął Francję. Do tej pory Amadea jeszcze raz odnowiła tymczasowe śluby. Zostały jej trzy lata do uroczystego ślubowania, które zwiąże ją na zawsze z zakonem. Teraz jednak też czuła się mocno związana. Nie pamiętała już ani nie umiała sobie wyobrazić innego życia. Spędziła w klasztorze pięć lat.

Naziści najechali Rumunię w październiku, wkrótce po powrocie Daphne do szkoły. A w listopadzie zamknięto krakowskie getto, gdzie przebywało siedemdziesiąt tysięcy Żydów, oraz warszawskie getto, gdzie stłoczono czterysta tysięcy. Działy się rzeczy nie do pomyślenia. Lecz pomimo niesłabnących wysiłków nazistów, żeby wyeliminować Żydów ze wszystkich kręgów społecznych, Beata zapewniała Amadeę podczas świątecznej wizyty, że nic jej nie grozi. Nikt nawet jej nie przesłuchiwał ani nie pytał o dokumenty. Jakby zapomnieli o jej istnieniu. Nikogo nie obchodziła. Zwykła katolicka wdowa, mieszkająca samotnie z córką, pilnująca własnych spraw. Jednym słowem przeoczyli ją. Amadea zawsze oddychała z ulgą, słysząc, że nic im nie grozi.

Wiosną 1941 roku, tuż po szesnastych urodzinach Daphne, Beata podczas wizyty w banku zauważyła kobietę, która wydawała jej się dziwnie znajoma. Długo jej się przyglądała, kiedy stały przy osobnych okienkach, ale nie mogła przypomnieć sobie kto to taki. Tego dnia Beata pobierała z konta znaczną sumę, co rzadko robiła, jednak ostatnio miała sen, który ją do tego skłonił. Rozmawiała na ten temat z Gerardem Daubignym. Chciała zostawić mu trochę pieniędzy na wypadek, gdyby coś jej się stało, żeby przechował je dla dziewczynek w razie potrzeby. Nie rozumiał, dlaczego Beata nie może trzymać wszystkiego w banku, ale od śmierci Antoine'a zawsze wydawała mu się nerwowa, więc zgodził się dla jej spokoju. Zawsze gotów był pomóc żonie dawnego przyjaciela. Oboje z Veronique rozumieli, że nigdy nie przyszła do siebie po śmierci męża. Czas obszedł się z nią niełaskawie i w wieku czterdziestu sześciu lat wyglądała o dziesięć lat starzej. Zamierzała pojechać do *Schloss* tego popołudnia i dać mu pieniądze w gotówce. Niewiele tego było, ale pozwoliłoby dziewczynkom na przeżycie, gdyby coś złego jej się stało. Napisała nawet o tym do Amadei i uprzedziła ją, że Gerard Daubigny przechowa dla niej fundusze na wszelki wypadek. Amadea nie chciała nawet o tym myśleć, ale wiedziała, że matka martwiła się od lat, co się stanie, gdyby zachorowała albo gorzej, zwłaszcza dopóki Daphne jest jeszcze taka młoda. Teraz, kiedy zewsząd groziło niebezpieczeństwo, matka jeszcze bardziej się denerwowała z powodu nazistów i rozszerzającej się wojny.



Kobieta, na którą Beata patrzyła w banku, zakończyła swoje sprawy w tym samym czasie i obie ruszyły do drzwi prawie obok siebie. Beata mało nie zemdląła, kiedy kobieta wykrzyknęła:

– Panna Wittgenstein!

Nogi się pod nią ugięły, ale nie pokazała po sobie, że ją usłyszała. Wyszła na zewnątrz zdecydowanym krokiem. Chciała tylko jak najszybciej uciec. Podniosła rękę, żeby zatrzymać przejeżdżającą taksówkę. Ale kobieta dogoniła ją i patrzyła jej prosto w twarz z szerokim uśmiechem. Dopiero wtedy coś drgnęło w pamięci Beaty i nagle poznała tę kobietę, pomimo niszczącego działania czasu. Była to Czeszka, która pracowała jako pokojówka u jej rodziców prawie trzydzieści lat wcześniej – dokładnie w tym czasie, kiedy Beata odeszła z domu.

– Wiedziałam, że to pani! – oznajmiła zwięźsko. – Myślałam, że zobaczyłam ducha. Pani ojciec nam powiedział, że pani zmarła w Szwajcarii.

– Przepraszam... nie mam pojęcia...

Beata z trudem zachowała obojętny wyraz twarzy. Próbowwała udawać, że to pomyłka. Kobieta jednak wyraźnie rozpoznała Beatę i nie zamierzała tak łatwo ustąpić.

– Nie wiem, o kogo pani chodzi – odparła Beata zimno, dygocząc ze zgrozy, że ktoś mógł usłyszeć, jak kobieta woła ją panieńskim nazwiskiem. Nie mogła się do niego przyznać. To mogło ją kosztować życie.

– Nie pamięta mnie pani? Mina... pracowałam u pani rodziców.

Teraz Beata przypomniała sobie, że Czeszka wyszła za szofera ojca jakieś trzydzieści lat wcześniej. Przeszłość wróciła nagle, spotęgowana strachem przed skutkami tego przypadkowego spotkania.

– Przepraszam. – Beata uśmiechnęła się blado, siląc się na uprzejmość. Nade wszystko pragnęła stąd uciec. Na szczęście obok zatrzymała się taksówka.

– Wiem, kim pani jest – upierała się Mina.

Beata wśliznęła się do taksówki i odjechała. Mogła jedynie mieć nadzieję, że Mina uwierzy w pomyłkę. Przy odrobinie szczęścia zapomni o tym fatalnym przypadkowym spotkaniu. Nie miała powodów, żeby prześladować Beatę. Po prostu próbowała okazać życzliwość. Dawniej była słodką dziewczyną, rozpaczliwie zakochaną w szoferze. Pobrali się niedługo przed odejściem Beaty i Mina była wtedy w ciąży. Beata wiedziała, że Mina zdziwiła się na jej widok, skoro ojciec zawiadomił wszystkich domowników o jej śmierci. Tymczasem ona żyła. Pewnie dlatego Mina tak się upierała przy swoim. Ale w tych przerażających czasach Beata nie mogła się przyznać do nazwiska Wittgenstein, nawet za cenę niegrzeczności wobec byłej służącej.

W taksówce ze zdziwieniem odkryła, że cała się trzęsie. Takie przypadkowe, niefortunne spotkania nic nie znaczyły, ale były ryzykowne. Beata porządnie najadła się strachu, kiedy usłyszała swoje panieńskie nazwisko wykrzyczane na cały bank. Miejmy nadzieję, że Mina po prostu machnie na to ręką. Beata nic nie mogła poradzić. Na szczęście nie przyznała się do swojej tożsamości. Zachowała pozorny spokój, chociaż trzęsła się w środku. Miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy Miny. W drodze do *Schloss* Gerarda i Veronique wyrzuciła z pamięci

cały incydent, zdecydowana nie wpadać w panikę.

Gospodarzom poszczyło się i zachowali posiadłość nietkniętą pomimo wojny. Gerard był na tyle dalekowzroczny, że przed laty przyjął niemieckie obywatelstwo, podobnie jak Veronique, chociaż Beata wiedziała z rozmów z nim, że potępia postępowanie Hitlera wobec Żydów. Mówił, że od tego robi mu się niedobrze. Nie wypytywał jej, dlaczego chciała zostawić u niego pieniądze. Kładł to na karb nadmiernej skłonności do obaw. Beata była samotną, nieszczęśliwą kobietą z dzieckiem. Nic dziwnego, że ciągle się zamartwiała. Czasy były niepewne, cała Europa toczyła wojnę i świat chwiał się w posiadach. Gerard podejrzewał, że Beata boi się, że banki upadną. Tylko w ten sposób mógł sobie wytłumaczyć wysokość sumy, która mu wręczyła tego popołudnia. Dała mu kopertę z równowartością dwudziestu tysięcy dolarów i oświadczyła, że to powinno wystarczyć dziewczynom na utrzymanie przez jakiś czas, gdyby coś jej się stało, dopóki nie odzyskają reszty. Gerard zapewnił ją, że dobrze się zaopiekuje tymi pieniędzmi, i włożył je do sejfów. Potem usiadł i wypili we dwoje herbatę, ponieważ Veronique wyszła.

Stajnie wciąż były piękne, zauważyła to po przyjeździe, chociaż Gerard trzymał znacznie mniej koni niż za życia Antoine'a. Nigdy nie znalazł nikogo, kto mógłby mu dorównać i pokierować stadniną. Antoine nie żył już od czternastu lat. Powspominali chwilę, a potem Gerard wezwał taksówkę, żeby zawiozła Beatę z powrotem do miasta.

Zastała Daphne w domu, podnieconą spotkaniem z nowym chłopcem, którego poznała w szkole. Jego ojciec walczył w Austrii, a on jest bardzo przystojny, oznajmiła z błyskiem w oku, co rozśmieszyło jej matkę. Spokojnie zjadły razem obiad. Daphne powiedziała, że chce jak najszybciej odwiedzić Amadeę. Nie widziały jej od miesiący. Wkrótce miała po raz czwarty złożyć tymczasowe śluby. Daphne pogodziła się już z faktem, że Amadea jest karmelitanką. Trudniej to przychodziło Beacie, która wciąż miała nadzieję, że pewnego dnia córka zmieni zdanie. Zostały jej jeszcze dwa lata do złożenia ostatecznych ślubów. Była wiosna 1941 roku.

W następnym tygodniu Beata poszła do banku, żeby podjąć trochę pieniędzy na drobne wydatki. Chciała kupić jakieś materiały na letnie sukienki dla Daphne, a łatwiej było płacić gotówką, niż wypisywać czeki, chociaż w ostatnich czasach zostało niewiele sklepów tekstylnych. Wszystkie sklepy, w których dawniej robiła zakupy, należały do Żydów i już dawno zostały zamknięte. Rozmyślała właśnie o zamierzonych zakupach, kiedy kasjer zwrócił jej czek zamiast gotówki.

– Przepraszam, madame – powiedział zimno – nie może pani zrealizować tego czeku.

Widocznie zaszła jakaś pomyłka.

– Słucham? Ależ mogę. Mam na koncie więcej, niż wystarczy na pokrycie czeku.

Uśmiechnęła się do niego i poprosiła, żeby sprawdził jeszcze raz. On jednak oddał jej czek bez sprawdzania. Wiedział, że odczytał adnotację poprawnie za pierwszym razem. Nie popełnił żadnej pomyłki. Kierownik osobiście sporządził adnotację i kasjer nie zamierzał jej kwestionować.

– Pani rachunek został zamknięty.

– To śmieszne. Wcale nie został zamknięty. – Zirytowana tą pomyłką, chciała już zażądać rozmowy z kierownikiem, kiedy zobaczyła coś w oczach kasjera. – Przez kogo?

– Przez Trzecią Rzeszę – odparł krótko.

Beata zagapiła się na niego. Otworzyła usta i znowu zamknęła. Włożyła czek do torebki i jak najszybciej wyszła z banku. Dobrze wiedziała, co to znaczy. Ktoś na nią doniósł. Kto? Przyszła jej do głowy tylko Mina, dawna służąca rodziców. Ona jedna wiedziała. Albo może usłyszeli, jak wołała „pannę Wittgenstein”, i sprawdzili nazwisko. Cokolwiek się stało, zamknęli jej konto, bez wątplenia dlatego, że wykryli jej żydowskie pochodzenie. Nie mieli żadnych innych powodów. Tylko Mina wiedziała, chociaż Beata nie przyznała się jej do niczego.

Szybko wyszła z banku, na ulicy wezwała taksówkę i po pięciu minutach była w domu. Nie miała pojęcia, co robić: czy powinna poczekać i sprawdzić sytuację, czy zabrać Daphne i natychmiast uciekać. Ale dokąd? Pomyślała o Daubignych, ale nie chciała ich narażać bez względu na współczucie, jakie okazywali Żydom. Co innego żałować Żydów, a co innego ich ukrywać. Ale może zatrzymają się u nich na jedną noc i Gerard coś im doradzi. Beata nie miała paszportu i wiedziała, że nie wypuszczą jej z córką za granicę. W dodatku nie miała teraz pieniędzy poza depozytem złożonym wcześniej u Gerarda. Nie chciała naruszać tej kwoty, bo dziewczynki mogą jej potrzebować później. Próbowała stłumić fale paniki. Wyjęła dwie walizki i zaczęła się pakować. Do jednej włożyła biżuterię i trochę ubrań dla siebie. Potem weszła do pokoju Daphne i wrzucała jej rzeczy do walizki, kiedy córka wróciła ze szkoły. Jak tylko zobaczyła twarz matki, zrozumiała, że stało się coś okropnego.

– Mamo, co ty robisz? – zapytała z lękiem.

Nigdy nie widziała matki w takim stanie. Na jej twarzy malował się nagi strach. Beata zawsze się bała, że ten dzień nadejdzie, i teraz jej obawy się spełniły.

– Wyjeżdżamy. Daj mi wszystko, co chcesz zabrać, tylko musi się zmieścić do tej jednej walizki.

Ręce jej drżały podczas pakowania.

– Dlaczego? Co się stało? Mamo... proszę...

Oszolomiona Daphne zaczęła płakać. Matka odwróciła się i spojrzała na nią z całym smutkiem zgromadzonym przez dwadzieścia pięć lat.

– Urodziłam się jako Żydówka. Nawróciłam się, żeby poślubić twojego ojca. Nikt nie wiedział. Ukrywałam to przez te wszystkie lata. Nie chciałam, ale kiedy zaczęli prześladować Żydów, musiałam. W zeszłym tygodniu zobaczyłam w banku kobietę, która mnie znała w młodości. Wykrzyknęła moje panięskie nazwisko na całą salę. Dzisiaj tam poszłam i dowiedziałam się, że zamknęli mój rachunek. Musimy zaraz wyjechać. Pewnie nas aresztują...

– Och, mamo... nie mogą... – Oczy Daphne natychmiast wypełniły się paniką.

– Mogą. Pakuj się. Szybko. Wyjeżdżamy dzisiaj po południu.

W jej głosie brzmiała rozpacz. Daphne ledwie to pojmowała. Zbyt wiele się na nią zważyło za jednym razem.

– Dokąd pojedziemy? – zapytała dzielnie, ocierając oczy.

– Nie wiem. Jeszcze nic nie wymyśliłam. Może zostaniemy na jedną noc u Daubignych, jeśli nam pozwolą. Potem musimy coś sobie znaleźć.

Nawet gdyby miały uciekać przez lata, lepsze to niż schwywanie.

– A co z klasztorem? Możemy tam pojechać?

Daphne na chybił trafił wrzucała rzeczy do walizki. To nie miało żadnego sensu. Za dużo musiała znieść jak na szesnastoletnią dziewczynę. Musiały opuścić dom, chyba na zawsze. Jedyne miejsce, jakie Daphne знаła. Mieszkały tutaj, odkąd skończyła dwa lata.

– Nie chcę narażać Amadei ani zakonnicy – odparła krótko Beata.

– Czy ona wie? O tobie.

– Powiedziałam jej po Kryształowej Nocy. Wtedy zabrali moją rodzinę i pomyślałam, że powinna wiedzieć.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Uważałam, że jesteś za młoda. Miałaś dopiero trzynaście lat.

Nagle zapukano do drzwi. Dwie kobiety wymieniły przerażone spojrzenia, Beata spojrzała córce w oczy z niespodziewaną siłą.

– Kocham cię. Pamiętaj o tym. Tylko to się liczy. Cokolwiek się stanie, mamy siebie.

Chciała jej poradzić, żeby się schowała, ale nie wiedziała, czy to pomoże. Ponownie rozległo się walenie w drzwi. Daphne wybuchnęła płaczem. To był najgorszy dzień jej życia.

Beata usiłowała zachować spokój. Podeszła do drzwi i otworzyła. Zobaczyła dwóch żołnierzy i oficera SS. Nadeszło wszystko, czego się obawiała. Teraz żałowała, że nie kazała Daphne się schować, ale już było za późno. Córka stała w drzwiach sypialni i patrzyła na intruzów.

– Jesteście aresztowane – oznajmił oficer przerażającym głosem. – Obie – dodał, spoglądając na Daphne. – Jako Żydówki. Wasz bank na was doniósł. Pójdziecie z nami.

Beata trzęsła się od stóp do głów. Daphne wrzasnęła.

– Daphne, przestań! – zawołała do niej Beata. – Nic nam nie zrobią. – Odwróciła się do oficera. – Możemy coś zabrać ze sobą?

– Każda może wziąć jedną walizkę. Zostaniecie deportowane.

Beata już się spakowała. Poszła po swój bagaż i kazała Daphne przynieść walizkę z jej pokoju. Daphne wydawała się półprzytomna ze strachu. Matka objęła ją i uściśnęła mocno.

– Musimy to zrobić. Bądź silna. Pamiętaj, co ci mówiłam. Kocham cię. Mamy siebie nawzajem.

– Mamo, tak się boję.

– No, idziemy! – krzyknął oficer.

Na jego rozkaz dwóch żołnierzy weszło do mieszkania. Po chwili Daphne i Beatę wyprowadzono w niewiadomym kierunku.

## Rozdział 15

Dwa dni później ksiądz z parafii Beaty złożył wizytę matce przełożonej w klasztorze. Dowiedział się od służącej Beaty, która przybiegła do niego zapłakana. Miała wychodne, kiedy to się stało. Sąsiedzi opowiedzieli jej, co zobaczyli. Ksiądz uważał, że Amadea powinna wiedzieć. Nie wiedział, dlaczego zostały aresztowane. Przed spotkaniem z Amadeą sam przeprowadził dyskretny wywiad. Według jego informatorów, Beata z młodszą córką zostały zabrane do obozu przejściowego niedaleko Kolonii. Zwykle trzymano tam ludzi tygodniami czy nawet miesiącami. Lecz tamtego popołudnia odjeżdżał pociąg do Ravensbruck, kobiecego obozu, i obie wsadzono do wagonu. Już wyjechały.

Matka przełożona wysłuchiwała go w milczeniu i przypominała, że on także powinien milczeć. Wiedziała jednak, że bardzo szybko dowiedzą się inni. Niektórzy w parafii wiedzieli, że Amadea została karmelitanką sześć lat wcześniej. Nie wątpiła, że sytuacja jest bardzo poważna. Po wyjściu księdza otworzyła szufladę, wyjęła pewien list i wykonała jeden telefon. Kilka miesięcy wcześniej Beata wysłała do niej list z nazwiskiem i numerem telefonu, właśnie na taki wypadek. Bez niepotrzebnej paniki, nie wpadając w histerię, starała się przewidzieć najgorsze. A teraz najgorsze nadeszło. Trudno uwierzyć, że tak długo szczęście im dopisywało. I że w końcu miały takiego pecha.

Odłożywszy słuchawkę, matka przełożona pochyliła głowę w modlitwie, a potem posłała po Amadeę. Młoda zakonnica pracowała w ogrodzie. Weszła z radosnym wyrazem twarzy.

– Tak, wielbna matko?

Nie miała pojęcia, dlaczego przełożona wezwała ją do gabinetu. Nie zdążyła się jeszcze ogarnąć po pracy w ogrodzie.

– Siostrzo Tereso, usiądź, proszę. – Przełożona nabrała tchu i pomodliła się w duchu, żeby Bóg pomógł jej znaleźć właściwe słowa. – Jak wiesz, czasy są ciężkie. Dla wszystkich. A zrządzenia boskie nie dają się objąć rozumem. Musimy po prostu się z tym pogodzić i wypełniać Jego przykazania.

Amadea podniosła wzrok, nagle zaniepokojona.

– Czy zrobiłam coś złego?

– Bynajmniej. – Przełożona wyciągnęła rękę nad biurkiem i ujęła dłoń Amadei. – Mam dla ciebie bardzo złe nowiny. Ktoś zadenuncjował twoją matkę. Ona i twoja siostra zostały aresztowane dwa dni temu. Wczoraj wysłano je do Ravensbruck. Tylko tyle wiem. Czuły się dobrze, kiedy ostatni raz je widziano.

Obie jednak wiedziały, że ten stan nie potrwa długo. Ravensbruck był obozem, gdzie kobiety harowały do utraty sił i padały jak muchy. Żadna nie wróciła. Amadea nie mogła złapać tchu, kiedy usłyszała tę wiadomość. Otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku.

– Tak mi przykro, tak mi przykro. Ale teraz musimy zdecydować, co zrobimy z tobą. Ktokolwiek zadenuncjował twoją matkę, wie o tobie. A jeśli nie, wiedzą inni. Nie chcę cię tutaj

narażać.

Amadea przytaknęła w milczeniu i przelotnie pomyślała o innych zakonnicach. Teraz jednak obchodziły ją wyłącznie matka i siostra. Jakie to dla nich okropne, jakie przerażające. Daphne miała dopiero szesnaście lat. Odkąd przyszła na świat, Amadea traktowała ją jak własne dziecko. Bezgłośnie łzy popłynęły jej po policzkach. Rozpaczliwie ścisnęła rękę matki przełożonej. Starsza kobieta obeszła biurko i objęła Amadeę, która rozszlochała się na cały głos. Nie mogła sobie tego wyobrazić, to było zbyt straszne.

– Są w rękach Boga – szepnęła przełożona. – Teraz możemy tylko modlić się za nie.

– Już nigdy ich nie zobaczę. Och, matko... nie zniosę tego... Nie mogła się powstrzymać od płaczu.

– Wiele przeżywa.

Obie jednak wiedziały, że większość umierała. Nigdy się nie dowiedzą, czy Beata i Daphne będą miały szczęście. A Daphne była taka piękna, Bóg jeden wie, co jej zrobią. Nie mogła nawet o tym myśleć.

Matka przełożona myślała teraz o Amadei. Ponośliła za nią odpowiedzialność. Nie mogła jej wysłać do Holandii jak siostrę Teresę Benedyktę. Holandia była pod okupacją i obecność dawnej Edith Stein w klasztorze oznaczała wielkie ryzyko dla zakonnicy. Nie mogły jeszcze bardziej się narażać. Poza tym naziści nigdy nie wypuszczą Amadei za granicę. Siostra Teresa Benedykta wyjechała do Holandii, zanim wybuchła wojna. Teraz wszystko było inaczej. Amadea nie mogła wyjechać, dlatego matka przełożona wykonała wcześniej ten telefon. Nie miała wyboru. Zgodził się przyjechać w ciągu godziny.

– Chcę cię prosić, żebyś zrobiła coś bardzo trudnego – powiedziała matka przełożona ze smutkiem – dla twojego i naszego dobra. Nie mam innego wyboru.

Amadea jeszcze nie odzyskała równowagi po usłyszeniu strasznych nowin, ale kiwnęła głową i podniosła zapłakane oczy na starszą zakonnice.

– Chcę cię prosić, żebyś od nas odeszła, na jakiś czas. Jeśli tu zostaniesz, narazisz cały klasztor. Kiedy wszystko się skończy, kiedy życie znowu stanie się normalne, wrócisz tutaj. Wiem, że wrócisz. Nigdy nie wątpiłam w twoje powołanie. Dlatego właśnie proszę cię o to. Nadal będziesz do nas należała, nawet w świecie poza klasztorem, gdziekolwiek się znajdziesz. Nic się nie zmieni.

Amadea już czterokrotnie złożyła tymczasowe śluby. Za dwa miesiące miała je odnowić. Dwa lata dzieliły ją od końcowych ślubów. Spadł na nią kolejny cios. Straciła matkę i siostrę, może na zawsze, a teraz musiała odejść z klasztoru. Lecz nawet pogrążona w rozpacz rozumiała, że to słuszne. Musiała się poświęcić dla dobra pozostałych. Jak powiedziała przełożona, nie miała innego wyboru. Amadea skinęła głową.

– Dokąd pójde? – zapytała załamującym się głosem.

Od sześciu lat nie wychodziła poza mury klasztoru. Nie miała domu, nie znała nikogo na zewnątrz.

– Kilka miesięcy temu twoja matka przysłała mi list. Z nazwiskiem przyjaciela. Zadzwoiłam do niego przed chwilą. Powiedział, że przyjedzie w ciągu godziny.

– Tak szybko?

Wiedziała bez pytania, kogo wezwała przełożona. To był jedyny przyjaciel matki, która uprzedziła również Amadeę, żeby w potrzebie zwróciła się do Gerarda Daubigny'ego. Nawet zapowiedziała, że Gerard ma dla niej pieniądze. Ale Amadea nie mogła jeszcze dodatkowo narażać Daubignych. Teraz stanowiła zagrożenie dla wszystkich.

– Czy mogę się pożegnać z resztą?

Matka przełożona zawahała się, ale kiwnęła głową. Odmowa byłaby zbyt okrutna dla niej i dla innych. Zadzwoiła, żeby ostrzec siostrzyczki, że stało się coś ważnego i mają się zebrać w jadalni. Wszystkie już czekały, kiedy Amadea weszła z matką przełożoną. Wszystkie znajome twarze, wszystkie zakonnice, z którymi mieszkała i pracowała, które kochała tak długo. Młodsze i starsze, nawet te na wózkach inwalidzkich. Cierpiała na myśl, że musi się z nimi rozstać. Ale nie miała wyboru. Wszystko jedno, czy zostałyby tutaj, czy przeniosła się do innego klasztoru, zawsze stanowiłaby zagrożenie dla innych. Za bardzo kochała swoje siostry, żeby je narażać. Musiała je opuścić. Lecz wiedziała, że wróci pewnego dnia, jak mówiła matka przełożona. Tu był jej dom. Takiego życia pragnęła. Wiedziała z niezachwianą pewnością, że przysłała na ten świat, żeby zostać karmelitanką i służyć Bogu w każdy sposób.

Matka Teresa Maria, Mater Domini, niczego nie wyjaśniała. Nic nie powiedziała. Nawet poznanie okoliczności wyjazdu Amadei mogło narażać siostry. Jeśli później zjawi się policja, nie będą wiedziały. Wyjazd Amadei oczyści je z wszelkich podejrzeń. Jeśli ktoś miał za to zapłacić, to tylko matka przełożona i nikt inny.

Amadea przeszła wzdłuż szeregu zakonnice, obejmując i całując każdą z nich. Do każdej szepnęła: „Niech cię Bóg błogosławi, siostrzo”. Nic więcej nie mówiła, ale wszystkie zrozumiały, że wyjeżdża, tak jak wiedziały, kiedy siostra Teresa Benedykta je opuściła przed trzema laty.

Pożegnanie zabrało pół godziny. Amadea nie wracała do celi po swoje rzeczy. Nie miała czego zabierać. Niczego nie przywiozła ze sobą i niczego nie wyniosła. Teraz musiała powrócić do świata, którego już nie rozumiała. Do świata, gdzie już nie mieszkały jej matka i siostra, gdzie nie miała domu ani żadnej życzliwej duszy. Został jej tylko dawny przyjaciel ojca. Czekala na niego w gabinecie matki przełożonej. Gerard Daubigny wszedł z ponurą miną i łagodnie objął młodą zakonnice.

– Tak mi przykro, Amadeo – szepnął.

Nie mógł sobie wyobrazić, że Beata i Daphne odeszły. W świetle tego, co słyszał o obozach, wątpił, czy przeżyją. Ale na razie nic nie mówił Amadei.

– Co ja teraz zrobię? – zapytała go cicho.

Popatrzył na nią. Zapomniał, jaka jest piękna, teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Nawet w smutku promieniowała wewnętrznym blaskiem, płynącym z głębi oczu. Wyglądała prawie jak święta. Opuszczenie klasztoru stanowiło dla niej niemal tragedię i wielką stratę dla innych,

których podtrzymywała na duchu. Nie miał pojęcia, jak ona się przystosuje do świata po takiej przerwie. Matka przełożona również się tym martwiła. Amadea sprawiała wrażenie oszołomionej.

– Porozmawiamy o tym wieczorem – powiedział cicho. Musieli omówić wiele rzeczy.

Siostry otworzyły dla niego bramę klasztoru, żeby mógł wjechać samochodem za mury. Poprosił Amadeę, żeby położyła się na tylnym siedzeniu i nakryła kocem, by nikt jej nie zobaczył. Nikt nie powinien podejrzewać, że Gerard wywozi z klasztoru jedną zakonnice. A jeśli kiedyś po nią przyjdą, matka przełożona powie po prostu, że Amadea odeszła. Nie musi nic więcej wyjaśniać. Wtedy sama nie będzie wiedziała, gdzie jest Amadea. Chociaż będą się za nią modlić bez przerwy aż do jej powrotu.

– Musisz się teraz przebrać – przypomniała jej przełożona.

Amadea na chwilę znikła w szatni. Zdejmując habit, miała wrażenie, że zdziera z siebie skórę. Ten strój niemal zrósł się z jej ciałem. Stała samotnie na środku pokoju i patrzyła na habit, starannie złożony na stole. Przygotowano dla niej płaszcz, buty i sukienkę, brzydkie mały kapelusik i trochę bielizny. Żadna część ubrania nie pasowała, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Matka i Daphne odeszły, były teraz w rękach Boga, a ona opuszczała miejsce, gdzie przed sześcioma laty znalazła schronienie, gdzie mieszkała, pracowała i dorastała. Cierpiała jak wyrwana z bezpiecznego łona.

Zapięła zbyt krótką sukienką i za ciasne buty. Przez sześć lat nosiła sandały i dziwnie się teraz czuła w butach. Zdziwiła się własną chudością, kiedy znowu włożyła zwykłe ubranie. W habicie tego nie zauważała. Włosy miała krótko ścięte, jak przez całe sześć lat. Odarta z prostego piękna habitu, w tym brzydkim ubraniu czuła się jak potwór. Pragnęła znowu go włożyć. Nie wiedziała, ile czasu upłynie do jej powrotu, mogła tylko się modlić, żeby jak najmniej. Nie pragnęła wrócić do świata, przeciwnie, dałaby wszystko, żeby tego uniknąć.

Gerard czekał na nią na dziedzińcu, stojąc niecierpliwie obok samochodu. Chciał jak najszybciej wrócić do *Schloss*. Rozmawiał już z Veronique i uzyskał jej całkowitą zgodę. Przynajmniej mogli coś zrobić dla Beaty i Antoine'a, swoich dobrych przyjaciół, chociaż to przekraczało obowiązki przyjaźni. Lecz chodziło o więcej. Chodziło o słuszną sprawę, a w tych czasach rzadko się takie trafiały. Właściwie wcale.

Rozmawiał cicho z matką przełożoną, a pozostałe zakonnice wróciły do pracy. Nikt nie widział, jak Amadea wsiadła do samochodu i położyła się na podłodze z tyłu. Gerard okrył ją końską derką, która śmierdziała stajnią, ale budziła w Amadei szczęśliwe wspomnienia. Zanim ją nakrył, spojrziała po raz ostatni na matkę przełożoną i oczy obu kobiet się spotkały.

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Nie martw się. Wkrótce wrócisz do domu. Będziemy na ciebie czekały.

– Niech cię Bóg błogosławi, matko... Kocham cię...

– Ja też cię Kocham – szepnęła przełożona.

Gerard narzucił derkę na tylne siedzenie, podziękował zakonnicy, powoli wycofał się z



dziedzińca i pojechał do *Schloss* bez zatrzymania. Jechał z normalną szybkością, jakby nic specjalnego się nie wydarzyło, i nie spuszczał oczu ze wstecznego lusterka. Zakonnice dały mu duży kosz warzyw i owoców, żeby wyjaśnić powód jego wizyty. Ale nikt go nie śledził. Nie zamierzali się zbytnio przykładać do poszukiwań młodej zakonnicy. Nawet jeśli policja po nią przyjdzie, wkrótce o niej zapomną. Nie stanowiła dla nich zagrożenia, o czym dobrze wiedzieli. Podobnie jak Beata i Daphne, lecz skoro już je zadenuncjowano, gestapo musiało coś zrobić. W przypadku Beaty w grę wchodził dom i pieniądze. Amadea nie posiadała nic, tylko ubranie na grzbiecie i różaniec, który dostała od matki przełożonej, opuszczając klasztor.

Gerard wjechał na dziedziniec *Schloss* i skręcił na tył domu. Nadeszła pora lunchu i nikogo nie było w pobliżu. Wszyscy siedzieli przy stole, kiedy Gerard prowadził Amadeę do małżeńskiej sypialni. Veronique czekała tam na nich.

Objęła młodą kobietę i obie zapłakały nad bolesną stratą, nad zgrozą szalejącą wokoło. Gerard cicho zamknął drzwi na klucz. Zapowiedział już pokojówkom, że żona cierpi na ból głowy i nie wolno jej przeszkadzać. Mieli dużo do omówienia. Na razie jednak Amadea musiała przyjść do siebie po licznych wstrząsach, które przeżyła od rana. Straciła wszystko. Matkę. Siostrę. Zakon. Straciła jedyne życie, jakie znała od sześciu lat, wszystkich bliskich i cały świat dzieciństwa. Płakała, jakby serce jej miało pęknąć, a Veronique Daubigny trzymała ją w ramionach.

## Rozdział 16

Gerard i Veronique rozmawiali z Amadeą do późna. Zaczekali, aż służba pójdzie na noc do własnych kwater, a potem Veronique zeszła do kuchni i sama przygotowała obiad dla gościa. Amadea ledwie mogła jeść. Nie tknęła mięsa od sześciu lat i mocno się zmieszła, patrząc na jajka i kielbaski przygotowane przez Veronique. Co więcej, czuła się naga bez habitu. Nadał nosiła źle dopasowane ubranie, które dostała w klasztorze. To jednak stanowiło najmniejszy problem. Gerard przez cały wieczór myślał, co z nią zrobić.

Całkowicie się zgadzali z Veronique. Nie mogli jej trzymać wiecznie, ale postanowili ją ukryć przynajmniej na jakiś czas. W jednej wieży na szczycie był zamykany na klucz składowy z małym okienkiem i Gerard uważał, że nikt jej tam nie znajdzie. Mogła schodzić nocą do ich pokojów, żeby się przewietrzyć, a przez resztę czasu, w ciągu dnia, musiałaby tam zostać. Miała tam nawet maleńką łazienkę.

– Ale co wam zrobią, jeśli mnie znajdą?

– Nie znajdą – odparł po prostu Gerard.

Na razie nie mógł wymyślić lepszego planu. Amadea była im wdzięczna.

Tego wieczoru wykapała się w łazience Veronique. Zaskoczyło ją własne odbicie w lustrze. Nie oglądała siebie od sześciu lat i zdumiała się, że wygląda tak dorośle. Przez sześć lat stała się kobietą. Jasnoblond włosy miała krótko ścięte. Ścinała je sama co miesiąc, nie patrząc, co było widać, chociaż dla niej to nie miało znaczenia. Powrót do świata stanowił dla niej koszmar. Wiedziała całym swoim jestestwem, że jej miejsce jest w klasztorze. Zgodziła się jednak na to poświęcenie, żeby nie narażać siostr. Niewielka cena za ich bezpieczeństwo, ofiara, którą chętnie poniosła. Nie wspominając o Daubignych, którzy poświęcali się dla niej.

Veronique przeszukała szafy, żeby znaleźć dla niej jakieś ubranie. Znalazła długą niebieską spódnicę, białą bluzkę i sweter. Nosiły prawie ten sam rozmiar. Do tego doszła bielizna i para czerwonych sandałów. Amadea poczuła się grzeszna, kiedy się przebrała. To wszystko wyglądało zbyt ładnie. Ale przecież wypełniała swoje śluby, pocieszała się, wkładając ubranie. Okazywała posłuszeństwo matce przełożonej. Kazano jej wrócić do świata, żeby nie narażać siostr. Jednak ciężko jej było na sercu, kiedy Gerard prowadził ją na wieżę. Wyciągnął z innego składu materac i położył na podłodze razem z poduszką i stertą koców.

– Do jutra – powiedział łagodnie i zamknął za nią drzwi na klucz.

Amadea położyła się na materacu. Tacy byli dla niej dobrzy. Leżała, nie śpiąc, i przez resztę nocy modliła się za matkę i siostrę. Następnego dnia spędziła na modlitwie, jak w klasztorze. Gerard przyszedł raz, żeby przynieść jej jedzenie i wodę. W nocy znowu odemknął drzwi z klucza i zaprowadził ją na dół do sypialni, gdzie znowu się wykapała, a Veronique jeszcze raz przygotowała jej obiad.

To stało się ich codziennym rytuałem przez całe lato. We wrześniu włosy Amadei urosły do ramion. Wyglądała jak wtedy, kiedy szła do zakonu, tylko trochę starsza. Od matki i siostry nie

było żadnych wiadomości. Wiedziała, że czasami pozwalają wysłać kartkę, żeby uspokoić krewnych i najbliższych, ale nic nie przyszło ani od Beaty, ani od Daphne. Gerard sprawdził w klasztorze. Żadna kartka nie przyszła do Amadei. Na szczęście władze również o nią nie pytały. Amadea po prostu zniknęła i została zapomniana.

Tego lata naziści dokonali inwazji na Rosję. W okupowanych krajach masowo mordowano Żydów, powstawały nowe obozy koncentracyjne. Gerard powiedział Amadei podczas którejś długiej nocnej rozmowy, że od września wszyscy niemieccy Żydzi musieli nosić na ramieniu opaski z żółtą gwiazdą. Rozpoczęto masowe deportacje niemieckich Żydów do obozów koncentracyjnych.

Państwo Daubigny ukrywali Amadeę już od pięciu miesięcy i jak dotąd nie wymyślili nic lepszego. W *Schloss* życie toczyło się normalnie. Gerard i Veronique zamierzali dalej ukrywać Amadeę, chociaż wszyscy troje zdawali sobie sprawę, że w razie wpadki zostaną rozstrzelani albo deportowani. A kiedy Amadea chciała odejść, nalegali, żeby u nich została. Nie mieli własnych dzieci. Świadomie podjęli to ryzyko dla niej i przez pamięć jej rodziców.

Amadea wiedziała, że na pewno w innych miejscach też ukrywają się Żydzi, więc zaproponowała, że ich odnajdzie. Oboje zaprotestowali gwałtownie, więc z braku lepszego rozwiązania zgodziła się zostać. Nie miała dokąd pójść.

Przez kilka następnych miesięcy nic się nie zmieniło. Amadea doznała wstrząsu, kiedy pewnej nocy Gerard otworzył kluczem drzwi do jej kryjówki i powiedział jej o Pearl Harbor. Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Japonii, a cztery dni później Hitlerowi, po wypowiedzeniu wojny z jego strony. Amadea nie wychodziła z domu już od ośmiu miesięcy i dziwnie się czuła na myśl, że zbliża się Boże Narodzenie. W tym roku nie miała czego świętować, dziękowała tylko za dobroć Daubignych, którzy przyjęli ją do siebie.

Dwa dni przed świętami Gerard miał bardzo zatroskaną minę, kiedy wypuszczał ją z kryjówki. Domyślała się, że coś się stało. Przez cały dzień słyszała hałasy i rżenie koni. Gerard powiedział jej, że gestapo przejęło stajnie i zarekwirowało większość koni. Martwił się, że zechcą zająć również *Schloss*. *Kommandant* zapowiedział, że zaraz po świętach życzy sobie zwiedzić całą posiadłość. Na razie miał inne zajęcia. Wszyscy troje jednak zgodzili się, że Amadea nie jest już tutaj bezpieczna. Zanim Niemcy zaczną przeszukiwać wszystkie zakamarki, trzeba jej znaleźć inną kryjówkę. Gerard popytał dyskretnie i dowiedział się o farmie w pobliżu, gdzie ukrywano Żydów w podziemnym tunelu. Lecz przeniesienie tam Amadei nastęczało spore trudności. Jak dotąd dopisywało im szczęście. Teraz jednak, kiedy niemiecka armia obozowała na progu, Amadei ponownie groziło wielkie niebezpieczeństwo.

– Jesteście dla mnie tacy dobrzy – powiedziała im, kiedy w wigilijny wieczór jedli w kuchni świąteczną gęś.

Dłubiąc w talerzu, myślała tylko o jednym: czyjej matka i siostra jeszcze żyją. Nie miała od nich żadnych wiadomości, odkąd w kwietniu zabrano je do Ravensbruck. Czasami po przybyciu do obozu deportowanym pozwalano wysłać jedną pocztówkę. Beata napisałaby do Daubignych,

żeby przekazali wiadomość Amadei. Nic nie przyszło.

W drugi dzień świąt przed świtem Gerard z ponurą twarzą wszedł do jej kryjówki. *Kommandant* powiedział mu poprzedniego wieczoru, że rano chce przeprowadzić dokładną inspekcję posiadłości. Na razie z pewnością nic nie podejrzewał. Rano jednak każe otworzyć wszystkie drzwi, od piwnicy na wina po wieżę. Przywłaszczyli już sobie tuzin skrzynek wina i dwie beczułki koniaku.

Gerard zdobył potrzebne informacje. Wiedział, gdzie jest farma z tunelem. Obiecał, że będą tam czekać na Amadeę. Wręczył jej mapkę i wyjaśnił, jak się tam dostać.

– Jak znajdę to miejsce? – zapytała przestraszona.

Ponownie uświadomiła sobie, jakie miała szczęście, że tu mieszkała aż od kwietnia. Teraz musiała zaryzykować. Od farmy dzieliło ją dwadzieścia pięć kilometrów trudnego terenu. Najpierw musiała ominąć żołnierzy w stajniach. Gerard powiedział, że nie może jej zawieźć samochodem. To zbyt niebezpieczne. Prosili go, żeby nie przyjeżdżał na farmę, bo nie chcieli ściągać na siebie uwagi.

– Schowałem dla ciebie konia w szopie – powiedział cicho. – Po prostu kieruj się na północ i jedź bez przerwy. Punkty orientacyjne są zaznaczone na mapie. Oni będą cię wypatrywać. Możesz puścić konia wolno i odesłać go, kiedy dotrzesz na miejsce.

Chciał, żeby wyjechała przed wschodem słońca. Siedzieli po ciemku i rozmawiali zniżonymi głosami. Nie zapalali światła, żeby żołnierze nie zobaczyli. Pół godziny później Gerard sprowadził Amadeę na dół do Veronique. Uścisnęli japo raz ostatni. Veronique ubrała ją ciepło i ucałowała jak córkę.

– Dziękuję wam – wyszeptała Amadea ostatni raz i objęła Veronique. Potem Gerard ją uścisnął.

– Jedź jak najprędzej. Wybrałem dla ciebie dobrego i szybkiego konia. Potem otworzyli drzwi i Amadea wyszła w mrok. Zaskoczył ją chłód nocy.

Nie wychodziła od ośmiu miesięcy i płuca ją zabolowały od zimnego powietrza. Szybko poszła do szopy, otworzyła drzwi, poklepała konia i po ciemku poprawiła siodło. Mapę wsadziła do kieszeni.

Wyprowadziła konia na dwór. Para buchała mu z nozdrzy. Nie wystawiono wart i Gerard zapewnił ją, że wszyscy żołnierze śpią. Nie miała się czego bać, kiedy wyjeżdżała ze *Schloss*. Musiała tylko pokonać dwadzieścia pięć kilometrów do farmy przed wschodem słońca. Z łatwością dosiadła konia. Wskakując na siodło, przypomniała sobie konne przejażdżki z ojcem i poczuła, że odżywa w niej dawna natura. Jak zawsze, wyjechała z obejścia powolnym galopem. Zatoczyła szeroki łuk wokół *Schloss* i usłyszała konie w stajniach. Wyczuły ją, ale widocznie żaden człowiek jej nie usłyszał. Łatwo się wydostała i z zadowoleniem pokonywała kolejne kilometry. Po raz pierwszy zasmakowała wolności.

Pół godziny później wyciągnęła mapę z kieszeni. Odczytała ją bez trudu w blasku księżyca. Dostrzegła pierwszy punkt orientacyjny. Zaledwie parę kilometrów dzieliło ją od celu. Niebo

przybrało bladoszara barwę, wiedziała jednak, że zdąży dotrzeć na miejsce przed świtem.

Został jej jeszcze kilometr, kiedy z lewej strony nagle zobaczyła światła, usłyszała strzał i spostrzegła samochód ukryty za kępą krzaków. Przez chwilę nie wiedziała, czy zawracać, czy jechać dalej. Potem bez namysłu spięła konia i pomknęła przed siebie. Samochód ścigał ją z najwyższą szybkością. Prawie dotarła na miejsce, zanim sobie uprzytomniła, co robi. Prowadziła gestapo prosto na farmę. Nie mogła ich prześcignąć. A potem nagle ciężarówka zajęchała jej drogę, a samochód zahamował z tyłu. Zapędzili ją w pułapkę.

– *Haiti* – krzyknęło dwóch mężczyzn.

Koń zatańczył w zimnym mroku, strumienie pary buchały mu z nozdrzy. Poganiała go ostro przez ostatnie pół godziny.

– Kto idzie?

Amadea milczała, siedząc na koniu, który nerwowo przestępował z nogi na nogę. Skierowali na nią światło i zobaczyli z zaskoczeniem, że jest kobietą. Jechała jak mężczyzna, ostro poganiała konia po trudnym terenie. Jeden z mężczyzn podszedł do niej, a ona pomyślała o ucieczce. Ale na pewno zastrzeli albo ją, albo konia. Wiedziała już, że nie dotrze na farmę i że Gerard rano się dowie. Co gorsza, poznają po cechowaniu, że jechała na jednym z jego koni. Za nic nie chciała go w to wplątać. Myślała szybko.

– Dokumenty! – krzyknął do niej żołnierz i wyciągnął rękę, podczas gdy drugi celował do niej z karabinu. – Dokumenty!

– Nie mam.

Nie dali jej żadnych dokumentów w klasztorze. I żadnych nie miała. Przez sześć lat żyła z dala od świata.

– Kim jesteś?

Chciała podać zmyślane nazwisko, ale to nie miało sensu. Równie dobrze mogła powiedzieć prawdę.

– Amadea de Vallerand – powiedziała wyraźnie.

– Na czym koniu jedziesz? – zapytali, trzymając ją na muszce, żeby nie próbowała uciekać. Widzieli, że koń był silny, nerwowy i rozbrykany, ona zaś była doświadczonym jeźdźcem. Nawet po tylu latach przerwy bez trudu panowała nad jednym z najlepszych koni Gerarda. Ojciec dobrze ją wyuczył.

– Ukradłam go – oświadczyła zuchwale, lecz drżała na całym ciele. Nie wiedziała, co jej zrobią. – Zabrałam go. Mój ojciec dawniej pracował w stajniach.

Za wszelką cenę usiłowała osłaniać Gerarda i Veronique. Nie mogła zdradzić, że dali jej konia.

– Dokąd jedziesz?

– Z wizytą do znajomych.

Oczywiście nie uwierzyli w jej historyjkę, bo niby dlaczego mieli uwierzyć. Modliła się tylko, żeby nie znaleźli mapy w jej kieszeni. Nie próbowała sięgać po ten mały świstek papieru.

– Zsiadaj – rozkazali.

Zsunęła się gładko z siodła i trzymała wodze, dopóki jeden z żołnierzy ich nie wziął. Odprowadził konia, a drugi żołnierz trzymał ją na muszce. Zastanawiała się, czy ją zastrzeli. Sama się dziwiła, że nie czuje strachu. Nie miała nic do stracenia. Tylko życie, które należało do Boga. A jeśli On ją do siebie powoła, niech się stanie Jego wola.

Wepchnęli ją brutalnie na tylne siedzenie samochodu i kiedy odjeżdżali, zobaczyła, że jeden z żołnierzy dosiada konia i kieruje się z powrotem do stajni.

– Ile koni ukradłaś? – zapytał żołnierz za kierownicą. Drugi jechał konno obok samochodu.

– Tylko tego jednego – odpowiedziała.

Nie wyglądała na złodzieja koni, lecz obaj żołnierze widzieli, że była doskonałym jeźdźcem i piękną młodą kobietą.

Zawieźli ją do domu w pobliżu i zostawili samą w małym pokoiku. Korzystając z okazji, podarła mapę na małe strzępki, które rozsypała w kątach i pod dywanem. Wrócili po dwóch godzinach. Wcześniej kazali jej przeliterować nazwisko i widocznie rozmawiali z Kolonią. Mieli jej akta, a co ważniejsze, akta jej matki. Posiadali dokładne dane od czasu incydentu w banku.

– Twoja matka była Żydówką – syknęli do niej, ale nie odpowiedziała. – Ona i twoja siostra zostały aresztowane w kwietniu.

Amadea skinęła głową z gracją i opanowaniem kobiety, która wie, że nic jej nie grozi. Stała przed nimi i powtarzała sobie, że nosi habit zakonnicy. Wyglądała trochę jak nie z tego świata i oni to zauważyli.

Po południu zabrali ją do Kolonii i odwieźli prosto do magazynu, gdzie trzymano Żydów przeznaczonych do deportacji. Nigdy nie widziała ani nie wyobrażała sobie czegoś takiego. Setki ludzi tłoczyły się jak bydło. Płakali, wrzeszczeli, gadali, pchali się na ściany i na siebie nawzajem. Niektórzy zemdleli, ale nie mieli miejsca, żeby upaść, więc dalej stali. Żołnierze wepchnęli ją brutalnie w tłum. Wciąż miała na sobie stare buty do konnej jazdy należące do Veronique i ubranie, które włożyła rano. Zastanawiała się, czy to samo przeżyły matka i siostra, kiedy zawieziono je do przejściowego obozu i załadowano do pociągu jadącego do Ravensbruck. Stała i modliła się, nie wiedząc, dokąd ją wyślą. Nic jej nie powiedzieli, odkąd zaś znalazła się w magazynie, była tylko kolejnym ciałem. Jeszcze jednym Żydem do odesłania.

Trzymano ich w magazynie przez dwa dni, w lodowatym zimnie i smrodzie niemytych ciał. Cuchnęli wymiotami, uryną, potem i kałem. Amadea mogła tylko się modlić. W końcu załadowano ich do pociągu, nie podając celu podróży. To nie miało znaczenia. Byli tylko ciałami. Amadeę wrzucono razem ze wszystkim Żydami, których zgromadzili do deportacji. Ludzie gorączkowo zadawali pytania, kiedy ich wpychano do wagonów. Amadea nic nie mówiła, tylko modliła się po cichu. Próbowwała pomóc kobiecie z małym dzieckiem na ręku. I choremu mężczyźnie, który wyglądał, jakby już umierał. Wiedziała, stojąc wśród nich, że znalazła się tutaj nie bez powodu. Cokolwiek Bóg dla niej przeznaczył, wysłał ją tutaj, żeby dzieliła ich los i pomogła w miarę swoich sił, choćby tylko modlitwą.

Pamiętała, co matka przełożona jej powiedziała pierwszego dnia: że kiedy złoży ostateczne śluby, zostanie oblubienicą ukrzyżowanego Chrystusa. Teraz i tutaj musiała znosić swój krzyż razem z innymi. Po dwóch dniach, kiedy pociąg wreszcie ruszył ze stacji, mdlała z głodu i wyczerpania, ale wciąż słyszała echo głosu matki mówiącej, że ją kocha, i matki przełożonej mówiącej to samo.

Mężczyzna obok niej umarł trzeciego dnia, a wkrótce potem dziecko zmarło w ramionach matki. W pociągu były dzieci, starcy, mężczyźni, kobiety, martwi pośród żywych. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, otwierano drzwi i wpychano więcej ludzi. Amadea nie wiedziała, dokąd jada, ale to nie miało znaczenia. Powoli toczyli się przez Niemcy na wschód. Nikt ze stłoczonych ludzi nie znał celu tej podróży. Odarto ich z wszelkiego człowieczeństwa. Przestało się liczyć, kim dawniej byli. Jechali pociągiem do piekła.

## Rozdział 17

Pociąg zatrzymał się pięćdziesiąt siedem kilometrów na północ od Pragi, w Czechosłowacji, po pięciu dniach od wyjazdu z Kolonii. Był trzeci stycznia 1942 roku. Amadea nie miała pojęcia, ilu ludzi jechało tym pociągiem, lecz kiedy kazano im wyjść z wagonów, ludzie dosłownie wypadali przez drzwi. Nie mogli już chodzić. Amadea znalazła wreszcie odrobinę miejsca, gdzie mogła od czasu do czasu przykucnąć. Wyszła z wagonu tak zeszywniała, że prawie nie mogła zginać kolan. Obejrzała się tylko raz i zobaczyła ciała kilku starszych ludzi oraz kilkorga dzieci leżące na podłodze. Kobieta obok niej od dwóch dni trzymała w objęciach martwe dziecko. Niektórzy ze starszych cofali się, kiedy strażnicy popędzali ich krzykiem. Amadea widziała w pobliżu tablice z napisami po czesku, jedyną wskazówkę co do miejsca ich pobytu. Ta podróż trwała bez końca. Kilka osób wciąż ścisnęło swoje walizki. Na rozkaz żołnierzy ludzie sformowali długie szeregi. Jeśli ruszali się za wolno, szturchano ich brutalnie karabinami. Amadea widziała teraz, kiedy szeregi rozciągnęły się na całe kilometry z tyłu, że w pociągu przyjechało kilka tysięcy ludzi.

Amadea stała obok dwóch kobiet i młodego mężczyzny. Patrzyli na siebie i nic nie mówili. Potem ruszyli i Amadea zaczęła się modlić. Ciągle myślała, jak matka i siostra to zniosły. Skoro wytrzymały, ona też wytrzyma. Myślała o ukrzyżowanym Chrystusie i swoich siostrach w zakonie, i nie dopuszczała do siebie pytań, co się stanie z nią i tymi wszystkimi ludźmi. Wciąż jeszcze żyli, a kiedy dojdą do miejsca przeznaczenia, muszą stawić czoło grozie, która tam na nich czeka. Modliła się w milczeniu, jak codziennie od kilku dni, żeby żadne sankcje nie spotkały Gerarda i Veronique. Nie było dowodów, że ją ukrywali, więc miała nadzieję, że nic im nie grozi. Zostali tak daleko, w innym świecie.

– Oddaj mi to! – zwrócił się młody żołnierz do mężczyzny tuż za nią i zerwał mu z przegubu złoty zegarek, który przeoczono w Kolonii.

Amadea wymieniła spojrzenia z człowiekiem idącym obok, a potem oboje odwrócili wzrok.

Wciąż miała na sobie buty do konnej jazdy od Veronique i była wdzięczna za przyzwoite obuwie, kiedy maszerowali przez następną godzinę. Niektóre kobiety straciły buty w pociągu i musiały iść boso na poranionych, krwawiących stopach po zamarznętej ziemi. Płakały z bólu.

– Masz szczęście! – powiedział jeden ze strażników do starej kobiety, która już po dziesięciu minutach marszu ledwie mogła iść. – Pójdiesz do modelowego miasta – oznajmił zadowolony z siebie. – To więcej niż zasługujesz.

Staruszka potknęła się i Amadea zobaczyła, że mężczyźni po obu jej stronach podtrzymali ją, a ona im dziękowała. Przez następny kilometr czy dwa Amadea modliła się za nią. Modliła się za wszystkich, również za siebie.

Dopiero po następnej godzinie ujrzeli cel wędrówki. Była to stara forteca, zbudowana przez Austriaków dwieście lat wcześniej. Wyblakła tablica głosiła po czesku: TEREZIN, a pod nią wisiała nowa z niemieckim napisem THE-RESIENSTADT. Wyglądało to jak miasto otoczone



murami. Wprowadzono ich przez główną bramę i kazano ustawić się w szeregu do „procedury”. Widzieli tłumy kłębiące się na wąskich uliczkach, brukowanych kocimi łbami. Przypominało to bardziej getto niż więzienie, gdzie ludzie chodzili swobodnie. Inni stali w niekończących się kolejkach, trzymając blaszane kubki i sztucce. Nad nimi górował budynek z szyldem KAWIARNIA, co wydawało się Amadei bardzo dziwne i nie na miejscu. Wszędzie trwały prace budowlane, robotnicy piłowali i stukali młotkami, wznosząc jakieś konstrukcje. Amadea szybko zauważyła, że ludzie nie noszą tu więziennych uniformów, tylko własne ubrania. Był to jakby modelowy obóz – więzienie, gdzie Żydom pozwalano żyć i radzić sobie na własną rękę. Zbudowano tutaj dwieście trzypiętrowych domów i czternaście ogromnych kamiennych baraków. Miały pomieścić trzy tysiące ludzi, teraz jednak mieszkało tutaj ponad siedemdziesiąt tysięcy. Wszyscy wyglądali na zmarzniętych, zmęczonych i głodnych, nikt nie miał ciepłego ubrania. Osiemset metrów dalej stała druga, mniejsza forteca, którą wykorzystywano jako więzienie dla osób sprawiających kłopoty.

Minęło siedem godzin, zanim Amadea przeszła „procedurę”. Przez ten czas dostali tylko po kubku rzadkiej breji. Amadea nie jadła od pięciu dni. W pociągu dostali chleb i wodę, ale chleb oddała dzieciom, od wody zaś wszyscy chorowali, więc w końcu jej nie tknęła. Ale i tak dostała dyzenterii.

Ludzie chodzący po ulicach Theresienstadt stanowili dziwną zbieraninę. Widziała wiele starszych osób, którym powiedziano, jak się później dowiedziała, że Theresienstadt jest wioską dla emerytowanych Żydów i nawet pokazywano broszury, żeby przyjechali tutaj z własnej woli. Wśród nich kręciły się grupy młodszych wynędzniałych mężczyzn, należących do ekip budowlanych. Znalazło się też sporo dzieci. To wyglądało bardziej na getto niż obóz pracy, a forteca otoczona murem kojarzyła się ze średniowieczną wioską. Lecz mieszkający tu ludzie, oprócz żołnierzy i strażników, wyglądali jak żebracy. Mieli martwe oczy i wyniszczone twarze jak ofiary przemocy.

Wreszcie Amadea doczekała swojej kolejki i odesłano ją do baraku razem z tuzinem innych kobiet. Nad drzwiami widniały numery, a w środku tłoczyli się mężczyźni i kobiety. Przydzielono ją do pomieszczenia przeznaczonego dla pięćdziesięciu żołnierzy, gdzie mieszkało teraz pięćset osób. Nie było żadnej prywatności, jedzenia, ogrzewania ani ciepłych ubrań. Sami więźniowie zbudowali trzypiętrowe prycze, ustawione tak ciasno, że ludzie mogli dotykać się nawzajem. Pary dzieliły pojedyncze łóżka, jeśli miały tyle szczęścia, że przyjechały razem i nie zostały rozdzielone. Dzieci przebywały w oddzielnym budynku, pilnowane zarówno przez strażników, jak i innych więźniów. Najwyżej, na strychu z powybijanymi oknami, leżeli chorzy. Pewna starszka poinformowała Amadeę zduszonym szeptem, że umierają tam codziennie z zimna i chorób. Starzy i chorzy musieli tak jak inni stać w kolejce przez sześć godzin, żeby otrzymać obiad składający się z wodnistej zupy i zgniłych ziemniaków. Na tysiąc osób przypadała jedna toaleta.

Amadea zamilkła, kiedy ktoś pokazał jej łóżko. Jako młoda i silna, dostała najwyższą pryczę.

Najsłabsi i najstarsi dostawali dolne. Podczas „procedury” kazano jej zdjąć skórzane buty do konnej jazdy, robione na zamówienie, które natychmiast zniknęły. Zamiast nich dostała drewniaki i obozowe dokumenty. Inny strażnik zabrał jej ciepłą kurtkę i oświadczył, że jej nie potrzebuje pomimo dojmującego zimna. Strach, rabunek i upokorzenie złożyły się na to powitanie i ponownie przypomniały Amadei, że jest oblubienicą ukrzyżowanego Chrystusa, który na pewno nie wysłał jej tutaj bez powodu. Nie mogła sobie wyobrazić, jak matka i siostra przeżyły w takich warunkach. Zmusiła się, żeby o nich nie myśleć. Popatrzyła na otaczających ją ludzi. Zapadła już noc i wszyscy wrócili z pracy, chociaż wiele osób czekało jeszcze w kolejkach na obiad. Kuchnie gotowały dla piętnastu tysięcy naraz, mimo tego jednak nigdy nie wystarczało jedzenia dla wszystkich.

– Przyjechałaś tym ostatnim pociągiem z Kolonii? – zapytała Amadeę chuda, przeraźliwie kaszląca kobieta. Na ramieniu miała wytatuowany numer, twarz i włosy brudne, paznokcie czarne i połamane. Nosiła tylko cienką bawełnianą sukienkę i drewniaki. Skóra jej posiniała, bo w barakach również panowało lodowate zimno.

– Tak – powiedziała! Amadea cicho.

Nadal pozostała karmelitanką, nie zwykłą kobietą. Starła się tego trzymać, bo tylko z tej świadomości mogła tutaj czerpać siłę i pociechę.

Kobieta zapytała ją o kilka osób, które mogły jechać tym pociągiem, lecz Amadea nie znała żadnych nazwisk i nie potrafiłaby nikogo rozpoznać w tych okolicznościach. Nie pomogły opisy podane przez kobietę. Ktoś inny zapytał kobietę, czy była u lekarza. Wielu lekarzy i dentystów pozbawionych praktyki trafiło tutaj. Robili, co mogli, żeby pomóc współwięźniom, chociaż nie dysponowali lekarstwami ani sprzętem. Obóz otwarto dopiero przed dwoma miesiącami, ale już szerzył się tyfus, jak ktoś ostrzegł Amadeę. Poradzili jej, żeby nie piła wody, tylko zupę. Oczywiście zważywszy na liczbę mieszkańców, prawie nie było gdzie się umyć. Pomimo przenikliwego zimna w pomieszczeniu panował przytłaczający smród.

Amadea pomogła jakiejś staruszce wejść do łóżka i zobaczyła, że obok niej leżą trzy inne kobiety. Przydzielono ją do baraku z kobietami i dziećmi poniżej dwunastu lat. Chłopcy powyżej dwunastu lat mieszkali z mężczyznami oddzielnie. Najmłodsze dzieci trzymano gdzie indziej, zwłaszcza te, których matki zabito lub odesłano do innych obozów. Brakowało miejsca, ciepła i wygod. Lecz pomimo wszystko czasami wybuchał śmiech, kiedy ktoś coś powiedział lub zażartował. Z daleka dobiegała muzyka. Od czasu do czasu strażnicy przechodzili pomiędzy nimi, kopali kogoś buciarą albo popychali brutalnie, zawsze z bronią w pogotowiu. Wypatrywali kontrabandy albo ukradzionych przedmiotów. Kradzież ziemniaka, ktoś jej powiedział, była karana śmiercią. Każdy, kto naruszył panujące tutaj prawa, był dotkliwie bity. Przede wszystkim należało się pilnować, by nie rozgniewać strażników, żeby nie ściągnąć na siebie nieuniknionej kary.

– Jadłaś dzisiaj? – zapytała Amadeę kaszląca kobieta. Amadea kiwnęła głową.

– A ty?

Nagle poczuła wdzięczność za posty stosowane w klasztorze. Tam jednak posty dopuszczały zdrowe jedzenie oraz warzywa i owoce z ogrodu. Tutaj dostawali dosłownie głodowe racje. Amadea zauważyła również, że wiele osób nie ma tatuaży. Nie wiedziała, czym się różnią od wytatuowanych więźniów, i bała się zapytać. I tak już okropnie cierpieli, nie chciała jeszcze bardziej ich dręczyć.

– Stałam cztery godziny, żeby dostać obiad. – Zaczęli wydawać w południe. – A kiedy przyszła moja kolej, skończyły się ziemniaki, została tylko zupa, jeśli tak ją można nazwać. Nieważne, i tak mam dyzenterię. Szybko się rozchorujesz od tutejszego jedzenia – ostrzegła – jeśli jeszcze nie zachorowałeś. – Amadea już zauważyła, że toalety są w opłakanym stanie. – Jestem Rosa. Jak ci na imię?

– Teresa – odpowiedziała Amadea bez namysłu. Tak się zżyła z tym imieniem, że nawet po kilku miesiącach odosobnienia, spędzonych z Gerardem i Veronique, „Amadea” brzmiało dla niej obco.

– Jesteś bardzo ładna – powiedziała Rosa, patrząc na nią. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery. – W kwietniu miała skończyć dwadzieścia pięć lat.

– Ja też – oznajmiła Rosa, która wyglądała na czterdziestkę. Amadea usiłowała na nią nie patrzeć. – Zabili mojego męża w Kryształową Noc. Przedtem byłam w innym obozie; Tu jest lepiej.

Amadea nie odważyła się zapytać, czy mieli dzieci. Dla większości to był bolesny temat, zwłaszcza jeśli dzieci zostały im odebrane i wysłane do innego obozu albo, co gorsza, zabite przed aresztowaniem lub po nim. Naziści zabierali tylko dzieci, które mogły pracować. Młodsze uznawali za bezużyteczne.

– Jesteś mężatką? – zapytała z ciekawością Rosa, wyciągając chude nogi na materacu. Zamiast koca okrywała się starą szmatą. Wielu nie miało nawet tyle.

– Nie. – Amadea pokręciła głową i uśmiechnęła się do rówieśniczki. – Jestem karmelitanką.

– Jesteś zakonnica? – To najpierw zaimponowało Rosie, potem nią wstrząsnęło i na końcu rozwścieczyło. – Zabrali cię z klasztoru?

– Opuściłam klasztor w kwietniu. Od tamtej pory mieszkalam u przyjaciół.

– Jesteś Żydówką? – Rosa czuła się zbita z tropu.

– Moja matka była Żydówką. Nawróciła się... nie wiedziałam... Rosa kiwnęła głową.

– Ją też zabrali? – zapytała cicho.

Amadea przytaknęła i przez chwilę nie mogła odpowiedzieć. Teraz rozumiała, co to znaczyło dla matki i Daphne. Zrobiłaby wszystko, żeby im oszczędzić takiego losu, nawet gdyby miała wziąć na siebie ich cierpienia. Nie wątpiła, że przysłano ją tutaj, żeby pomagała ludziom w miarę swoich sił. Nie martwiła się, że tutaj umrze. Pragnęła tylko, żeby matka i Daphne przeżyły. Miała nadzieję, że wciąż są razem i że kiedyś jeszcze je zobaczy. Chociaż Gerard ostrzegwał, że kompletne milczenie Beaty i Daphne od zeszłego kwietnia nie oznacza nic dobrego. Nie wysłały nawet pocztówki, żadnej wiadomości ani jednego słowa.

– Przykro mi z powodu twojej matki – szepnęła Rosa. – Powiedzieli ci, gdzie będziesz pracować?

– Jutro muszę wrócić po przydział pracy.

Amadea zastanawiała się, czy wtedy zrobią jej tatuaż. W końcu zebrała się na odwagę, żeby zapytać Rosę, kiedy leżały obok siebie na pryczach, tak blisko, że mogły rozmawiać szeptem. Wśród kamiennych ścian baraku panował ogłuszający hałas.

– Dostałam numer w obozie tymczasowym, zanim tu przyjechałam. Mieli to robić na miejscu, ale jest tylu więźniów i obóz jest taki nowy, że każą ludziom wracać później, kiedy będą mieli więcej personelu. Pewnie oznaczą cię jutro, kiedy przydzielą ci pracę.

Amadea nie chciała, żeby ją wytatuowali, ale na pewno Jezus też nie chciał zawisnąć na krzyżu. Po prostu musiała dokonać kolejnego poświęcenia dla Ojca, złożyć „drobną ofiarę”.

Potem leżały w milczeniu na pryczach. Większość więźniów była zbyt słaba, chora i zmęczona, żeby rozmawiać, chociaż wśród młodszych panowało ożywienie pomimo ciężkiej całodziennej pracy i skąpych racji żywnościowych.

Późną nocą, kiedy większość już spała, rozległy się dźwięki harmonijki ustnej. Nieznany muzykant grał wiedeńskie walce i kilka starych niemieckich pieśni. Ludzie słuchali ze łzami w oczach. Amadea dowiedziała się już, że w obozie działało towarzystwo operowe i zespół muzyczny grający w kawiarni, ponieważ wśród więźniów znalazło się wielu muzyków, aktorów i piosenkarzy. Pomimo trudnych warunków próbowali podtrzymywać się wzajemnie na duchu, najbardziej jednak bali się zesłania w inne miejsce. Podobno inne obozy były znacznie gorsze i więcej ludzi tam umierało. Theresienstadt stanowił wzorowy obóz, który naziści chcieli zademonstrować światu na dowód, że chociaż usuwają Żydów ze społeczeństwa i izolują, jednak traktują ich humanitarnie. Otwarte rany na nogach więźniów, odmrożenia i dyzenteria, wynędzniałe twarze, bicie i wysoka śmiertelność świadczyły o czymś innym. Napis nad bramą obozu głosił: PRACA CZYNI WOLNYM. Śmierć stanowiła tutaj ostatnią przystań wolności.

Amadea leżała na pryczy i odmawiała modlitwy, słuchając organków. Jak w klasztorze, pobudkę ogłoszono o piątej rano. Ustawiły się kolejki po gorącą wodę i rzadki kleik, ale wydawanie trwało tak długo, że większość więźniów poszła do pracy o pustym żołądku. Amadea wróciła do ośrodka kierowania po przydział pracy. I znowu stała godzinami w kolejce. Ale strażnik ostrzegł ją, że jeśli odejdzie, zostanie ukarana, i szturchnął ją karabinem w szyję, co wymownie świadczyło, że nie żartował. Przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym przeszedł do następnego więźnia. Wkrótce potem usłyszała hałas na dworze i zobaczyła trzech strażników, bijących pałkami młodego mężczyznę. Starzec w kolejce za nią potrząsnął głową i szepnął:

– Palił.

Palenie było tu zbrodnią karaną ciężkim pobiciem, chociaż dla więźniów każdy znaleziony niedopałek stanowił prawdziwą gratkę. Musieli go starannie ukrywać, podobnie jak ukradzioną żywność.

Amadea wreszcie dotarła do funkcjonariusza rozdzielającego pracę, który wyglądał tak, jakby miał za sobą ciężki dzień. Popatrzył na nią przez chwilę, kiwnął głową i sięgnął po plik papierów. Obok niego siedzieli za biurkami inni funkcjonariusze i przybijali na dokumentach oficjalne pieczęcie. Poprzedniego dnia Amadea otrzymała obozowe papiery i podała je teraz funkcjonariuszowi, usiłując zachować spokój. Nieważne, jak bardzo pragnęła poświęcić się dla Boga, stojąc przed nazistowskim oficerem w obozie pracy, drżała ze strachu.

– Co umiesz? – zapytał krótko, wyraźnie dając do zrozumienia, że to go mało obchodzi. Próbował wyłuskać lekarzy, pielęgniarki i dentystów, fachowców budowlanych i cieśli, którzy mogli się przydać. Potrzebowali inżynierów, kamieniarzy, kucharzy i techników laboratoryjnych, i tysiące zwykłych niewolników.

– Mogę pracować w ogrodzie, szyć i gotować. – Matka nauczyła ją podstaw krawiectwa. – Znam się trochę na pielęgniarstwie, chociaż nie przeszedłam szkolenia. – Często jednak pomagała przy starszych, chorych zakonnicach w Kolonii. – Najlepiej chyba znam się na ogrodnictwie – dodała, bo siostry zakonne twierdziły, że pod jej ręką wszystko rośnie.

– Byłaby z ciebie dobra żona – zażartował, spoglądając na nią ponownie.

– Gdybyś nie była Żydówką.

Wyglądała lepiej niż większość więźniów, których widywał. Wysoka, wydawała się silna i zdrowa, chociaż chuda.

– Jestem zakonnicą – odpowiedziała cicho Amadea.

Jak tylko to powiedziała, ponownie podniósł wzrok, a potem zerknął w jej dokumenty, które podawały, że jej matka jest Żydówką. Zauważył również jej francuskie nazwisko.

– Do jakiego zakonu należysz? – zapytał podejrzliwie. Zaciekawilo ją, czy były tutaj inne zakonnice i z jakich zakonów.

– Do karmelitanek – odpowiedziała z uśmiechem i funkcjonariusz zobaczył w niej to samo wewnętrzne światło, które widzieli inni. Rosa też je zobaczyła poprzedniej nocy.

– Tutaj nie ma czasu na takie bzdury. – Wydawał się wytrącony z równowagi, kiedy pisał coś w jej papierach. – Dobrze. – Spojrzał na nią chmurnie.

– Możesz pracować w ogrodzie. Jeśli coś ukradniesz, zastrzelimy cię – zapowiedział otwarcie. – Bądź tutaj jutro rano o czwartej. Pracujesz do siódmej.

To oznaczało piętnastogodzinny dzień pracy, ale ona się nie przejmowała. Pozostałych odsyłano do innych pomieszczeń, innych baraków, innych budynków. Zastanawiała się, czy robią im tatuaże, ale chyba o niej zapomnieli. Odniosła wrażenie, że funkcjonariusz zmieszał się, słysząc, że jest zakonnicą. Może nawet naziści mieli sumienie, chociaż to wydawało się niezbyt prawdopodobne, biorąc pod uwagę, co tutaj widziała.

Po południu stanęła w kolejce po obiad i dostała jednego czarnego, gnijącego ziemniaka oraz skórkę od chleba. Kobieta przed nią otrzymała marchewkę. Zupa skończyła się przed wieloma godzinami. Amadea była jednak wdzięczna za posiłek. Obgryzła dookoła zgniłą część ziemniaka i szybko przeżuła chleb. Wracając do swojego baraku, skarciła się w myślach za żarłoczność, ale

umierała z głodu. Wszyscy umierali.

Kiedy weszła do baraku, Rosa już leżała na materacu. Kaszłała jeszcze bardziej. Tego dnia panował mróz.

– Jak było? Dostałaś numer? Amadea pokręciła głową.

– Chyba zapomnieli. Oficer się zdenerwował, kiedy mu powiedziałam, że jestem zakonnica.

Uśmiechnęła się psotnie jak młoda dziewczyna. Tutaj wszyscy wyglądali tak staro i poważnie.

– Powinnaś iść do jakiegoś lekarza z tym kaszlem – powiedziała z zatroskaną miną.

Potem wsunęła pod materac stopy, zmarznięte w drewnianych chodakach. Nogi miała gołe pod bryczesami, które na mrozie wydawały się cienkie jak papier. Nosiła te same brudne spodnie już ponad tydzień. Chciała po południu iść do pralni i wymienić je na jakieś czyste ubranie, ale nie wystarczyło jej czasu.

– Lekarze nic nie mogą poradzić – odparła Rosa. – Nie mają lekarstw. Wzruszyła ramionami, a potem rozejrzała się dookoła. Spojrzała na Amadeę z konspiracyjną miną.

– Patrz – szepnęła i wyciągnęła coś z kieszeni.

Amadea zobaczyła plasterek jabłka, taki brudny, jakby tysiąc ludzi po nim deptało – i pewnie tak było.

– Skąd to masz? – zapytała i ślina napłynęła jej do ust, chociaż za nic nie chciała odbierać go Rosie. Wystarczył nie więcej niż na dwa kęsy albo jeden porządny.

– Strażnik mi dał – odparła Rosa.

Przełamała plasterek i ukradkiem podała połówkę Amadei. Wiedziała, że kradzież jedzenia jest karana śmiercią. Szybko wsunęła do ust swoją połówkę i zamknęła oczy. Amadea zrobiła to samo. Przypominały dwoje dzieci dzielących się cukierkiem.

Milczały przez kilka minut. Potem do pomieszczenia weszło kilku starszych rezydentów. Wyglądali na wyczerpanych. Spojrzeli na dwie kobiety i nic nie powiedzieli.

Żaden z mężczyzn należących do ekip budowlanych, których spotkała na zewnątrz, nie zaczął Amadei, ale stojąc w kolejce przez całe popołudnie, nasłuchiwała się historii od innych kobiet, z których kilka zostało zgwałconych. Naziści uważali Żydów za najgorsze śmiecie, odpadki rasy ludzkiej, lecz to ich nie powstrzymywało od gwałcenia Żydówek. Kobiety ostrzegły Amadeę, żeby zachowała ostrożność. Była zbyt piękna, za bardzo się wyróżniała, jasnowłosa i niebieskooka jak oni. Poradziły jej, żeby wyglądała na brudną i jak najgorzej śmierdzącą, i żeby trzymała się od strażników z daleka. Tylko to je chroniło, ale nie zawsze skutecznie, jeśli strażnicy porządnie się upili, co często się zdarzało, zwłaszcza w nocy. Byli młodzi i chcieli kobiet, a w obozie było ich dużo. Nawet starszym strażnikom nie należało ufać.

Amadea próbowała zasnąć wcześniej tej nocy, żeby rano wstać do pracy. Niełatwo jednak było zasnąć wśród tylu ludzi. To ją nawet chwilami rozpraszało, kiedy próbowała modlić się po cichu. Próbowała w miarę możliwości przestrzegać klasztornej rutyny, jak podczas pobytu w *Schloss*. Tam było jej łatwiej. Kiedy Amadea wstała o wpół do czwartej do pracy przynajmniej

panowała cisza. Spała w ubraniu i tym razem w kolejce do toalety czekało nie więcej niż trzydzieści osób. Zdążyła się załatwić, zanim poszła do pracy.

Poszła w stronę, gdzie znajdował się ogród. Około setki ludzi zgłosiło się tam do pracy, głównie dziewczęta i trochę młodych chłopców oraz kilka starszych kobiet. Nocne powietrze przejmowało chłodem, grunt był zmarznięty. Amadea nie potrafiła sobie wyobrazić, co tu można robić. Strażnicy rozdali im łopaty. Kazali im sadzić ziemniaki, tysiące ziemniaków. Była to katorżnicza harówka. Pracowali osiem godzin, aż do południa, rękami odmrożonymi i pełnymi pęcherzy. Skrobali ziemię łopatami, a strażnicy chodzili między nimi i szturchali ich karabinami. W południe pozwolili im na półgodzinną przerwę i wydzielili trochę zupy i chleba. Jak zawsze zupa była cienka, a chleb stęchły, lecz porcje były nieco bardziej obfite. Potem wrócili do pracy na następnych siedem godzin. Wychodząc wieczorem z ogrodu, zostali zrewidowani. Kradzież ziemiopłodów karano biciem albo śmiercią, zależnie od nastroju strażników i zachowania więźniów. Przeszukali ubranie Amadei, obmacali ją i kazali otworzyć usta. Strażnik złapał ją za piersi, ale Amadea nie zareagowała. Stała bez ruchu i patrzyła prosto przed siebie. Nic nie powiedziała Rosie, kiedy wróciła do baraku. Tamta na pewno zносиła gorsze rzeczy.

W następnym tygodniu Rosę przeniesiono do innego baraku. Pewien strażnik zauważył, że kilkakrotnie śmiały się i rozmawiały, więc złożył na nie raport. Doniósł, że sprawiają kłopoty i trzeba je rozdzielić. Amadea nie widziała potem przyjaciółki przez parę miesięcy, a kiedy znowu ją zobaczyła, Rosa nie miała zębów. Przyłapano ją na kradzieży kromki chleba i strażnik wybił jej wszystkie zęby i złamał nos. Od tego czasu życie jakby z niej wyciekało. Umarła tamtej wiosny, podobno na zapalenie płuc.

Amadea pracowała ciężko w ogrodzie, starała się ze wszystkich sił, ale trudno było cokolwiek osiągnąć w tych warunkach. Nawet ona nie mogła dokonać cudu z zamrzniętą ziemią i połamanymi narzędziami, ale codziennie sadziła rząd za rządkiem ziemniaki dla współwięźniów. A w lecie uprawiała marchew i rzepę. Marzyła, żeby hodować sałatę, pomidory i inne warzywa, jak w klasztorze, ale były za delikatne na te warunki. Czasami przez cały dzień dostawała do jedzenia tylko jedną rzepę. Wiele razy kusiło ją, żeby ukraść ziemniaka, ale zamiast tego skupiała się na modlitwie. Ogólnie jednak jej życie biegło spokojnie i strażnicy jej nie zaczepiali. Zawsze traktowała ich z szacunkiem, trzymała się na uboczu, wykonywała swoją pracę i pomagała innym więźniom. Zaczęła wieczorami odwiedzać chorych i starych, a kiedy za mocno padało, żeby pracować w ogrodzie, pomagała przy dzieciach, co zawsze podnosiło ją na duchu, chociaż wiele z nich chorowało. Zwykle były takie dzielne i słodkie, i dzięki nim czuła się pożyteczna. Lecz tutaj też zdarzały się tragedie. W lutym wysłano do Chełmna cały pociąg dzieci. Matki stały przy ciężarówkach, które zawoziły dzieci na stację, i jeśli zbyt długo ścisnęły swoje maleństwa albo próbowały walczyć ze strażnikami, strzelano do nich. Codziennie opowiadano nowe straszne historie.

Zanim Amadea skończyła dwadzieścia pięć lat w kwietniu, pogoda się poprawiła. Przeniesiono ją do nowych baraków, bliżej ogrodu. Dzień robił się coraz dłuższy, co oznaczało

dodatkowe godziny pracy. Czasami Amadea wracała do baraku dopiero o dziewiątej wieczorem. Z powodu skąpych racji i ciągłej dyzenterii była chuda jak szczapa, lecz silna od pracy w ogrodzie. I co dziwne, nie została wytatuowana. Po prostu o niej zapomnieli. Ciągłe kazali jej pokazywać papiery, ale nigdy nie spytali o numer, ona zaś przezornie nosiła koszule z długimi rękawami. Jasne włosy, jeszcze bardziej wypłowiałe od słońca, zaplatała w długi warkocz. Lecz każdy, kto ją znał, wiedział, że była zakonnica. Współwięźniowie traktowali ją łagodnie i z szacunkiem, co nie zawsze dotyczyło innych. Ludzie byli chorzy i nieszczęśliwi, codziennie oglądali tragedie, strażnicy ich terroryzowali i często bili, a czasami nawet prowokowali do bójek o marchew, rzepę czy kromkę czerstwego chleba. Lecz na ogół więźniowie okazywali innym ogromne współczucie i nawet strażnicy czasami zachowywali się przyzwoicie.

Pewnego młodego żołnierza, który w maju przyszedł pracować jako strażnik w ogrodzie, Amadea oczarowała. Był Niemcem z Monachium i wyznał jej pewnego popołudnia, kiedy się przy niej zatrzymał, że nienawidzi tego miejsca. Uważał, że jest brudne i przygnębiające. Liczył na przeniesienie do Berlina, o które prosił, odkąd tutaj przyjechał.

– Dlaczego zawsze wydajesz się taka szczęśliwa, kiedy pracujesz? – zapytał, zapalając papierosa, co kilka kobiet obserwowało z zazdrością. On jednak nigdy ich nie poczęstował, chociaż zaproponował Amadei sztachę, ale odmówiła. Oficer dowodzący wyjechał wczesnym popołudniem na zebranie, a pod jego nieobecność młodzi żołnierze trochę się rozluźnili. Ten z papierosem czekał całe tygodnie na okazję, żeby porozmawiać z Amadeą.

– Naprawdę? – spytała grzecznie i pracowała dalej.

Tego dnia siali więcej marchwi. Marchew, którą zasiała wcześniej, ładnie wzeszła.

– Tak. Zawsze wyglądasz, jakbyś ukrywała sekret. Masz kochankę? – zapytał bez ogródek.

Niektórzy młodszy więźniowie łączyli się w pary. To był mały promyczek słońca i ciepła w tym ponurym miejscu, ostatnia iskierka nadziei.

– Nie mam – zaprzeczyła Amadea i odwróciła się.

Nie chciała go ośmielać i pamiętała ostrzeżenia innych kobiet. Był wysokim, przystojnym młodym mężczyzną, sporo wyższym od Amadei. Pod względem kolorytu przypominał jej matkę: miał ciemne włosy, błękitne oczy i ostre rysy twarzy. Uważał, że Amadea jest piękna ze swoimi jasnymi włosami i wielkimi niebieskimi oczami. Podejrzewał słusznie, że umyta wyglądałaby olśniewająco. Nawet tutaj wiele kobiet wyróżniało się urodą, zwłaszcza młodsze, pomimo uszarganych, niedopasowanych ubrań i brudnych włosów. Amadea z pewnością do nich należała.

– Miałś chłopca w domu? – indagował, zapalając następnego papierosa. Matka przysyłała mu papierosy z domu, czego mu zazdrościli koledzy. Często wymieniał je na przysługi.

– Nie, nie miałam – odparła Amadea i uzbroiła się wewnętrznie. Nie podobało jej się, że rozmowa zmierza w tym kierunku.

– Dlaczego nie?

Wtedy odwróciła się do niego i bez lęku spojrzała mu prosto w oczy.

– Jestem zakonnica – oznajmiła z prostotą, jakby go ostrzegała, że nie jest kobietą, tylko



wyjątkiem od jego względów. Większość ludzi uważała to za uświęcony stan i wyraz jej oczu mówił, że oczekiwała od niego poszanowania, nawet tutaj.

– Niemożliwe.

Wydawał się zdumiony. Nigdy jeszcze nie widział takiej ładnej zakonnicy. Zawsze uważał je za raczej pospolite i brzydkie.

– Owszem, możliwe. Siostra Teresa z Karmelu – oświadczyła dumnie. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jaka szkoda. Czy kiedyś żałowałaś...? To znaczy, zanim tu przyjechałaś.

Domyślał się, że ktoś z jej rodziny był Żydem, inaczej nigdy by tutaj nie trafiła. Nie wyglądała na Cygankę, komunistkę czy kryminalistkę. Widocznie w jakimś stopniu była Żydówką.

– Nie. To cudowne życie. Kiedyś tam wrócę.

– Powinnaś znaleźć męża i urodzić dzieci – oświadczył stanowczo, jakby napominał młodszą siostrę.

Tym razem się roześmiała.

– Mam męża. Moim mężem jest Bóg. A to wszystko są moje dzieci i Jego. – Szerokim gestem wskazała ogród.

Przez chwilę myślał, że zwariowała, a potem zrozumiał, że mówiła poważnie. Jej wiara była niezachwiana.

– To głupie życie – warknął i poszedł przypilnować innych. Zobaczyła go ponownie wieczorem, kiedy wychodziła, i miała nadzieję, że nie on będzie ją przeszukiwał. Nie podobało jej się, jak na nią patrzył.

Następnego dnia wrócił i bez słowa wsunął jej do kieszeni kawałek czekolady, przechodząc obok, jakby wcale jej nie znał. To był wspólny dar, ale też oznaka niebezpieczeństwa. Nie miała pojęcia, co robić. Gdyby znaleźli u niej czekoladę, zostałyby zastrzelone, ale wydawało się strasznie niesprawiedliwe, że miałyby jeść czekoladę, kiedy inni głodowali. Zaczekała, aż znowu ją mijął, powiedziała, że dziękuje, ale powinien ją oddać dzieciom, i dyskretnie podała mu czekoladę, kiedy nikt nie patrzył.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał urażony.

– Bo to nie w porządku. Nie powinnam dostawać niczego lepszego niż inni. Ktoś tego potrzebuje bardziej ode mnie. Dziecko albo starzec, albo ktoś chory.

– Więc im oddaj – burknął, wepchnął jej z powrotem czekoladę i odszedł.

Wiedział, że czekolada roztopi się jej w kieszeni, a wtedy czekają ją kłopoty. Amadea też o tym wiedziała, więc zjadła czekoladę i przez resztę popołudnia gryzła ją sumienie. Błagała Boga, żeby wybaczył jej łakomstwo i nieuczciwość. Ale czekolada była taka pyszna, że jej smak prześladował Amadeę przez cały dzień. Nie mogła myśleć o niczym innym aż do końca pracy. A kiedy wychodziła, on uśmiechnął się do niej. Mimo woli odpowiedziała mu uśmiechem. Wyglądał jak duży psotny chłopiec, chociaż był w jej wieku.

Następnego popołudnia znowu podszedł do niej, żeby porozmawiać. Powiedział, że chcą ją zrobić kierownikiem grupy, bo tak dobrze pracuje. W rzeczywistości jednak wyświadczał jej przysługi i robił z niej swoją dłużniczkę, co było dla niej wielkim zagrożeniem. Nie wiedziała, czego od niej chciał, ale łatwo mogła odgadnąć. Przez następne tygodnie ze wszystkich sił starała się go unikać. Zrobiło się ciepło na dworze, kiedy znowu przystanął obok niej, żeby porozmawiać. Właśnie skończyła zupę i chleb i zamierzała wracać do pracy.

– Boisz się ze mną rozmawiać, co? – zagadnął cicho, idąc za nią tam, gdzie zostawiła łopatę. Odwróciła się do niego.

– Jestem więźniem, a pan jest strażnikiem. To trudna sytuacja – odpowiedziała szczerze, starannie dobierając słowa, żeby go nie obrazić.

– Może nie taka trudna. Mógłbym ci ułatwić życie, jeśli pozwolisz. Możemy się zaprzyjaźnić.

– Nie tutaj – odpowiedziała ze smutkiem.

Chciała wierzyć, że był dobrym człowiekiem, tutaj jednak nie mogła tego sprawdzić. Dzień wcześniej wywieziono kolejny transport więźniów. Znała jednego z ludzi, którzy układali listy. Na razie nie wpisali jej nazwiska, ale mogła się tego spodziewać w każdej chwili. Theresienstadt było jakby bramą do innych obozów, dużo gorszych. Oświęcim, Bergen-Belsen i Chełmno. Te nazwy budziły lęk we wszystkich sercach, nawet w jej sercu.

– Chcę być twoim przyjacielem – nalegał.

Dał jej czekoladę jeszcze dwa razy, ale wiedziała, że takie przysługi narażają ją na niebezpieczeństwo. Nie chciała go odrzucać. To byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne. Nie miała doświadczenia z mężczyznami. Od wczesnej młodości mieszkała w klasztorze, daleko od świata. W wieku dwudziestu pięciu lat była bardziej niewinna od piętnastolatki.

– Mam siostrę w twoim wieku – powiedział cicho. – Czasami o niej myślę, kiedy patrzę na ciebie. Jest mężatką i ma troje dzieci. Ty też kiedyś powinnaś mieć dzieci.

– Zakonnice nie mają dzieci.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie. Miał smutek w oczach. Podejrzewała, że tęsknił za domem, jak wielu innych. Upijali się po nocach do nieprzytomności, żeby nie myśleć, żeby zapomnieć o okropnościach, które widywali dzień w dzień. Przynajmniej niektórych to musiało poruszać. Ten wyglądał na miłego człowieka.

– Kiedy to się skończy, wrócę do klasztoru, żeby złożyć końcowe śluby.

– Ach! – zawołał z nadzieją. – Więc jeszcze nie jesteś zakonnica!

– Owszem, jestem. Spędziłam w zakonie sześć lat.

Minął prawie rok, odkąd opuściła klasztor. Gdyby wszystko poszło dobrze i nie musiała odejść, tylko rok dzieliłby ją od końcowych ślubów.

– Możesz to teraz przemyśleć – zaproponował uradowany, jakby wręczyła mu prezent, a potem się zamyślił. – W jakim stopniu jesteś Żydówką?

Wypytywał ją jak swoją przyszłą narzeczoną. Zemdlilo ją na tę myśl.

– W połowie.

– Nie wyglądasz na to.

Wyglądała bardziej aryjsko od większości znanych mu kobiet, włącznie z jego matką, która miała ciemne włosy. Jego ojciec był wysokim, chudym blondynem jak Amadea i jego siostra. Odziedziczył ciemne włosy po matce i jasne oczy po ojcu. Lecz Amadea stanowczo nie wyglądała na Żydówkę, dla niego ani dla innych. Przez jedną szaleńczą chwilę chciał ją chronić, utrzymać przy życiu.

Potem wróciła do pracy i przestała z nim rozmawiać, ale od tamtej pory codziennie zatrzymywał się przy niej i codziennie wsuwał jej coś do kieszeni. Czekoladę, chusteczkę, małe kawałeczki suszonego mięsa, cukierek, cokolwiek, żeby ją zapewnić o swoich dobrych zamiarach. Chciał, żeby mu zaufała. Nie był jak inni. Nie zamierzał zaciągnąć jej w ciemną uliczkę albo w krzaki i zwyczajnie ją zgwałcić. Chciał, żeby go pragnęła. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, powtarzał sobie. Była piękna, inteligentna i niewinna, ponieważ spędziła całe dorosłe życie w klasztorze. Pożądał jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Miał dwadzieścia sześć lat i gdyby mógł, wykradłby ją stąd natychmiast. Ale oboje musieli zachować ostrożność. Okazując jej względy, narażał się nie mniej niż ona. Gdyby ją zgwałcił, nikt nie mrugnąłby okiem, wiedział, że większość mężczyzn uważała to za rozrywkę, wielu tak się zabawiało. Ale zakochać się to co innego. Za to mogli go zabić albo deportować. Sporo ryzykował i wiedział o tym. Ona też wiedziała. I miała dużo więcej do stracenia. Nigdy o tym nie zapominała, kiedy codziennie przechodziła obok niego, a on wkładał jej drobne podarki do kieszeni. Gdyby ktoś ich zobaczył, zostałaby zastrzelona. To były wyjątkowo niebezpieczne prezenty.

– Nie wolno panu tego robić – skarciła go pewnego popołudnia. Tego dnia włożył jej do kieszeni kilka cukierków i niechętnie musiała przyznać, że dodały jej energii. Nie odważyła się oddać ich dzieciom, które odwiedzała, ponieważ zostałyby ukarana za posiadanie słodczy razem z dziećmi, które z przejęcia mogły komuś o tym powiedzieć i ściągnąć na nią i na siebie kłopoty. Więc sama zjadła cukierki i nikomu nie powiedziała. Miał na imię Wilhelm.

– Szkoda, że nie mogę ci dać innych rzeczy. Na przykład ciepłej kurtki – powiedział poważnie – i porządnych butów... i ciepłego łóżka.

– Wystarczy mi to, co mam – odparła szczerze.

Przyzwyczają się do niewygód, podobnie jak w klasztorze. Poświęcała się dla ukrzyżowanego Chrystusa. W ten sposób łatwiej to znosiła. Jedno, czego nienawidziła i do czego nigdy nie przywykła, to widok umierających ludzi. A tyłu umierało, z różnych powodów, od chorób lub wskutek przemocy. Zresztą Theresienstadt był obozem o najniższym wskaźniku przemocy. Oświęcimia wszyscy bali się najbardziej. W porównaniu z nim Theresienstadt przypominał szkółkę niedzielną i znacznie mniej ludzi tutaj umierało. Nawet mówiono o zaproszeniu tutaj wysokich urzędników, żeby im pokazać wzorowy obóz i pochwalić się, jak dobrze naziści traktują Żydów. Ostatecznie mieli *Kaffeehaus* i towarzystwo operowe. Czego jeszcze potrzeba? Lekarstw i jedzenia. Wilhelm wiedział o tym równie dobrze jak ona.

– Nie powinnaś tu być – powiedział ze smutkiem. Zgadzała się z nim, ale nikt inny też nie powinien tu trafić. Żadne z nich nie mogło nic na to poradzić. – Czy masz gdzieś krewnych? Chrześcijan?

Pokręciła głową.

– Mój ojciec umarł, kiedy miałam dziesięć lat. Był Francuzem. Nigdy nie poznałam jego rodziny – powiedziała, jakby to miało teraz znaczenie; liczyło się tylko jako odpowiedź na jego pytanie.

A potem Wilhelm zniżył głos i rzekł ledwie słyszalnym szeptem:

– Na wzgórzach są czescy partyzanci. Ciągłe o nich słyszymy. Mogą ci pomóc w ucieczce.

Amadea wytrzeszczyła na niego oczy. Czy to pułapka? Czy chciał ją namówić do ucieczki, żeby ją zastrzelili? Czy wystawiał ją na próbę? Czy oszalał? Jak sobie wyobrażał jej ucieczkę?

– To niemożliwe – odszepnęła, zafascynowana jego słowami, ale nieufna.

– Owszem, możliwe. Późno w nocy często nie ma strażników przy tylnej bramie. Trzymają ją zamkniętą. Jeśli znajdziesz klucze, możesz po prostu wyjść.

– I zastrzelą mnie – zakończyła trzeźwo.

– Niekoniecznie. Mogę tam się spotkać z tobą. Nienawidzę tego miejsca. Patrzyła na niego i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, nie wiedziała, co ma robić, jeśli ucieknie. Dokąd pójdzie? Nie знаła nikogo w Czechosłowacji i nie mogła wrócić do Niemiec. Naziści okupowali całą Europę. Beznadziejny pomysł, ale interesujący.

– Mogę pójść z tobą.

– Dokąd?

Oboje zostaliby zastrzeleni, gdyby ktoś podsłuchał tę rozmowę.

– Muszę nad tym pomyśleć.

Pojawił się dowódca i zawołał Wilhelma. Amadea przeraziła się, że spotka go kara za rozmawianie z więźniarką. Dowódca jednak pokazał mu jakieś dokumenty i ryknął śmiechem, a Wilhelm wyszczerzył zęby. Widocznie wszystko było w porządku.

Jego słowa utkwiły jej w głowie. Słyszała historie o ucieczkach mężczyzn, ale nigdy kobiet. Jakiś czas temu grupa więźniów wyszła z obozu, udając ekipę robotników. Strażnicy nie zwrócili na nich uwagi, zakładając, że więźniowie mają pozwolenie na pracę poza terenem obozu. Powiedzieli, że idą do sąsiedniej fortecy, żeby pracować w więzieniu, a potem uciekli. Po prostu wyszli z obozu. Większość złapano i zastrzelono, ale kilku uciekło. Na wzgórze, jak powiedział Wilhelm. Niezwykły pomysł. Oczywiście musiałyby uciekać razem z nim, co stwarzało całkiem nowy problem. Nie zamierzała zostać jego kochanką ani żoną, nawet gdyby jej pomógł w ucieczce. A gdyby ją wydał, wysłaliby ją do Oświęcimia albo zastrzelili na miejscu. Nie mogła nikomu ufać, nawet jemu, chociaż wydawał się przyzwoitym człowiekiem i wyraźnie szalał za nią. Nigdy przedtem nie przypuszczała, że może zdobyć władzę nad mężczyznami wyłącznie za sprawą swojego wyglądu.

W jego przypadku chodziło o więcej. Uważał, że Amadea jest nie tylko piękna, ale też

inteligentna i dobra. Takiej kobiety szukał od lat i nigdy nie znalazł. Dopiero tutaj. Pół-Żydówka w obozie koncentracyjnym Theresienstadt i na dodatek zakonnica. Nic w życiu nie przychodzi łatwo.

Leżąc tej nocy na materacu, Amadea mogła myśleć tylko o ucieczce. Lecz kiedy już przekroczy bramę, co dalej? Nie ma mowy, żeby się udało. Wilhelm mówił o czeskich partyzantach na wzgórzach, ale jak mieli ich znaleźć? Po prostu wejść na wzgórze i machać białą flagą? To nie miało sensu. Ale ta myśl dodawała jej sił przez wiele dni. A z każdym dniem Wilhelm był coraz miłszy i spędzał z nią coraz więcej czasu. Próbował nawiązać niewinny romans, chociaż w nieodpowiednim miejscu i czasie, i wybrał nieodpowiednią kobietę. Ale tego już mu nie mówiła. Może uciekną razem jako przyjaciele. Niezwykły pomysł. Wiedziała jednak, że nigdzie na świecie nie znajdą bezpiecznego miejsca. On będzie dezerterem, a ona Żydówką. A razem narażą się na podwójne ryzyko.

Pod koniec maja po obozie krążyły plotki o jakichś wydarzeniach. Początkowo więźniowie nic nie wiedzieli, ale strażnicy szeptali między sobą. Dwaj czescy patrioci, służący w brytyjskiej armii, zostali zrzućeni na spadochronach niedaleko Pragi. Dwudziestego siódmego maja próbowali zabić gruppenfuhrera Reinharda Heydricha, protektora Rzeszy. W rezultacie w Pradze rozpętało się piekło. Śmiertelnie raniony Heydrich zmarł czwartego czerwca. W ciągu kilku następnych dni aresztowano trzy tysiące stu osiemdziesięciu ośmiu czeskich obywateli, z których tysiąc trzysta pięćdziesięciu siedmiu zastrzelono. Dalszych sześćset pięćdziesięciu zmarło podczas przesłuchań. Zamach wywołał poważne reperkusje i spowodował straszliwą zemstę nazistów. Wszyscy w obozie z dnia na dzień czekali na nowiny.

Po południu dziewiątego czerwca Wilhelm podszedł do Amadei w ogrodzie, minął ją powoli, nie patrząc, i wypowiedział dwa słowa:

– Dzisiaj w nocy.

Odrzuciła się i zagapiła na niego. Chyba nie mówił poważnie. Może składał niestosowną propozycję. Lecz kiedy skończyła pracę, przystanął przy niej, jakby sprawdzał wykonanie, i wyjaśnił gorączkowym szeptem:

– Dzisiaj w nocy zajmują miasto Lidice. Leży trzydzieści kilometrów stąd i potrzebują naszych ludzi. Zamierzają deportować wszystkie kobiety i zastrzelić wszystkich mężczyzn, i spalić całe miasto jako przykład dla innych. Dwie trzecie naszych ludzi tam pojedzie. Wyruszają o ósmej, najpóźniej o dziewiątej. Zabiorą większość ciężarówek i samochodów. Spotkajmy się przy tylnej bramie o północy. Znajdę klucz.

– Jeśli ktoś zobaczy, że wychodzę, zastrzelą mnie.

– Nikogo nie będzie. Trzymaj się blisko baraków, nikt cię nie zobaczy, a jeśli cię zatrzymają, powiedz, że będziesz wymiotować.

Potem spojrzął na nią znacząco, kiwnął głową, jakby pochwalił jej robotę, i odszedł. Wiedziała, że to zwariowany plan, ale nie ulegało wątpliwości, że tej nocy nadarzała się najlepsza okazja. A co zrobią potem? Co ona zrobi? Jednak cokolwiek się stanie, musiała

spróbować.

Myślała o mieszkańcach miasta Lidice, kiedy wracała do baraku. Naziści zamierzali pozabijać mężczyzn, deportować kobiety i dzieci, spalić miasto. Przerazająca myśl. Ale przerażała ją też zamknięcie w Theresienstadt do końca wojny albo zesłanie do innego obozu. Spędziła tutaj pięć miesięcy i miała szczęście. Nie chorowała tak ciężko jak inni. Nawet jej nie wytatuowali. Mieli zbyt wielu nowych przybyszów, za wiele prac budowlanych, za dużo do roboty. Prześliznęła się im między palcami. A teraz zamierzała prześliznąć się przez bramę. Jeśli ich złapią, zabijają albo odesłają do Oświęcimia. Jego też mogą zabić. Miała wiele do stracenia. Mogła jednak stracić więcej, gdyby tu została. Mogli i tak odesłać ją do Oświęcimia. Musiała spróbować, nawet gdyby ją zabili. Nie mogła tutaj zostać i nigdy nie znajdzie lepszej okazji. Druga taka szansa się nie trafi.

Tej nocy słyszała warkot samochodów i ciężarówek. Inni też to zauważyli. Nawet strażnicy mniej licznie krążyli między barakami. Niewiele ich zostało w obozie. Ale Theresienstadt był spokojnym miejscem. Mieszkali tu „dobrzy” Żydzi. Robili, co im kazano. Pracowali. Budowali baraki. Wypełniali swoje obowiązki. Grali muzykę. Wykonywali rozkazy strażników.

Noc mijiała spokojnie. O północy Amadea wstała z materaca, wciąż ubrana. Prawie wszyscy spali w ubraniach. Inaczej ubrania znikają. Powiedziała strażnikowi, że idzie do łazienki i chce zajrzeć do przyjaciółki na najwyższym piętrze, na strychu, gdzie przebywali najbardziej chorzy. Uśmiechnął się i poszedł dalej. Nigdy nie sprawiała mu kłopotów i wiedział, że teraz też nic nie zrobi. Wiedział, że jest zakonnica i ciągle kogoś dogląda, dzieci albo starców, albo chorych, których były tysiące. Wszyscy mniej lub bardziej chorowali.

– Dobranoc – powiedział uprzejmie strażnik i odszedł do następnego baraku.

W opustoszałym obozie zapadła cicha noc. Nigdzie nic się nie działo. Lepsza pogoda poprawiła nastrój wszystkim, więźniom i strażnikom. Zima była brutalna, ale lato ciepłe i łagodne. Ktoś grał na organkach. Amadea przystanęła obok łazienki, a potem po prostu wyszła z baraków. Nikogo nie widziała. Od tylnej bramy dzieliła ją niewielka odległość. Wokół nie było żywej duszy. Niesamowite. Główny plac wyglądał jak wymarły. I on tam stał. Czekał na nią. W rękę trzymał klucz, który pokazał jej z uśmiechem. Jednym krótkim ruchem włożył ogromny metalowy klucz do zamka, starego zamka używanego od prawie dwustu lat. Brama uchyliła się ze skrzypieniem na tyle, żeby ich przepuścić. Wilhelm zamknął za nimi bramę, przekręcił klucz i wrzucił go do środka. Jeśli go znajdą, pomyślą, że strażnik niechcący go upuścił. Ucieszą się, że nikt nie znalazł klucza i nie otworzył bramy.

A potem pobiegli. Pędzili jak wiatr. Amadea nie przypuszczała, że potrafi biec tak szybko. W każdej chwili, w każdej sekundzie spodziewała się, że usłyszy strzały, że poczuje ostry ból w sercu, w plecach, nodze czy ramieniu. Nic nie poczuła. Nic nie słyszała, tylko swój oddech i oddech Wilhelma. Aż dotarli do drzew. Wokół Theresienstadt rozciągał się las, do którego wpadli niczym dwoje zagubionych dzieci, chwytając powietrze. Udało się! Byli bezpieczni! Była wolna!

– O mój Boże! – szepnęła w blasku księżyca. – O mój Boże! Wilhelmie, udało się!

Nie mogła w to uwierzyć. Promieniała, a on uśmiechał się do niej. Nigdy nie widziała tyle miłości w oczach mężczyzny.

– Moja najdroższa, kocham cię – szepnął i chwycił ją w ramiona. Przez głowę przemknęło jej podejrzenie, czy nie ukartował tego, żeby ją zgwałcić. Ale nie, niemożliwe. Ryzykował tyle samo co ona. Chociaż zawsze mógł powiedzieć, że uciekła, a on ją gonił, i mógł ją przyprowadzić z powrotem po zgwałceniu. Nie ufała już nikomu i spojrzała na niego nieufnie. Pocałował ją mocno w usta, ale go odepchnęła.

– Wilhelm, przestań... proszę... Nadal nie mogła złapać tchu, tak jak on.

– Nie bądź głupia – rzucił z gniewem. – Nie ryzykowałem dla ciebie życia, żebyś odgrywała zakonnice. Ożenię się z tobą, kiedy wrócimy do Niemiec. Albo wcześniej. – Nie mieli czasu na dyskusje o jego złudzeniach czy jej ślubach. – Kocham cię.

– Kocham cię za to, że mi pomogłeś, ale nie w ten sposób – powiedziała szczerze.

Obmacywał jej piersi, a potem ją złapał. Chciał się z nią kochać tu i teraz.

– Wilhelmie, przestań.

Wstała, żeby od niego odejść, a on wstał razem z nią i chwycił ją silnymi rękami. Usiłował ją przewrócić na ziemię, więc odepchnęła go z całej siły. Potknął się o korzeń, stracił równowagę i zaskoczony runął do tyłu. Rozległ się ostry trzask, kiedy jego głowa uderzyła o ziemię.

Wszędzie była krew. Amadea uklękła obok, wstrząśnięta i przerażona. Nie chciała go skrzywdzić, tylko odepchnąć. Bała się, żeby jej nie zgwałcił w porywie zapału, a teraz patrzył w pustkę martwymi oczami. Nie wyczuwała pulsu. Wilhelm nie żył. Pochyliła głowę z żalu nad swoim uczynkiem. Zabiła człowieka. Człowieka, który pomógł jej w ucieczce. Miała na sumieniu jego śmierć. Spojrzała na niego, zamknęła mu oczy i uczyniła znak krzyża. A potem ostrożnie wzięła jego broń i przytrzymała w ręku. Miał niedużą manierkę z wodą, którą też zabrała. Znalazła pieniądze, chociaż bardzo mało, trochę cukierków i naboje, z którymi nie wiedziała, co począć. Zakładała, że broń jest naładowana, ale nie potrafiła jej używać. Potem wstała.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho.

Potem weszła głębiej w las. Nie miała pojęcia, dokąd idzie i co tam znajdzie. Mogła tylko iść dalej, trzymać się lasu i modlić się, żeby partyzanci ją znaleźli. Wiedziała jednak, że tej nocy są zajęci. Lidice już płonęły, kiedy Amadea odeszła, zostawiając martwego żołnierza pod drzewami. Nie wiedziała, co naprawdę zamierzał, czy chciał ją skrzywdzić, czy nie chciał, czy ją kochał, czy nie kochał, czy był dobrym człowiekiem, czy złym. Wiedziała tylko, że zabiła człowieka i teraz wreszcie była wolna.

## Rozdział 18

Amadea spędziła samotnie w lesie dwa dni. Wędrowała w dzień i spała przez parę godzin w nocy. Powietrze było chłodne i czyste, chociaż raz poczuła zapach dymu. Lidice. Ale w lesie panował mrok. Nawet w ciągu dnia słońce tam nie docierało. Nie miała pojęcia, dokąd idzie i czy znajdzie pomoc, zanim umrze z głodu, pragnienia i wyczerpania. Woda z manierki Wilhelma się skończyła.

Drugiego dnia Amadea znalazła strumyk. Nie wiedziała, czy woda nadaje się do picia, ale i tak się napiła. Na pewno nie była gorsza od wody, którą pili w Theresienstadt, stojącej w beczkach, stęchłej i pełnej zarasków. Ta woda przynajmniej smakowała świeżo.

W lesie panował chłód. Ciszę mąciły tylko głosy ptaków wysoko nad głową i szelest jej kroków. Raz widziała królika, a raz wiewiórkę. Czuła się jak w zaczarowanym lesie, zauroczona wolnością. Zabiła człowieka, żeby się wyswobodzić. Wiedziała, że nigdy sobie tego nie wybaczy. To był wypadek, ale ona ponosiła odpowiedzialność. Żałowała, że nie może się wypowiedzieć matce przełożonej. Tęskniła za klasztorem i siostrami.

Zakopała swoje dokumenty pod kopczykiem ziemi. Teraz nie miała żadnej tożsamości. Zabłąkana dusza, wędrująca po lesie. Bez numeru na ramieniu. Mogła im powiedzieć, co chciała, gdyby ją znaleźli, ale i tak by odgadli. Wyglądała jak wszyscy więźniowie obozów. Chuda, niedożywiona, brudna, w butach prawie bez podeszew.

Pod koniec drugiego dnia położyła się, myśląc o jedzeniu liści. Zastanawiała się, czy są trujące. Wcześniej zjadła trochę jagód, ale dostała od nich okropnych skurczów i jeszcze gorszej dyzenterii. Czuła się słaba, chora i wyczerpana. Światło zmierchało w lesie, więc ułożyła się do snu na miękkiej ziemi. Jeśli naziści ją znajdą, może po prostu zastrzelą ją na miejscu. To dobre miejsce, żeby umrzeć. Od dwóch dni nie widziała żadnego człowieka. Nie wiedziała, czyjej szukają, czy w ogóle im zależy na jeszcze jednej Żydówce. A partyzanci? Jeśli gdzieś byli, to z pewnością nie tutaj.

Pamiętała, żeby pomodlić się przed snem. Odmówiła modlitwę za duszę Wilhelma, myśląc o jego matce i siostrze, o ich żalobie. Pomyślała o swojej matce i Daphne. Zastanawiała się, czy jeszcze żyją. Może one też uciekły? Uśmiechnęła się na tę myśl i zasnęła.

Znaleźli ją następnego ranka, kiedy blade światło przenikało przez gałęzie. Nadeszli bezszelestnie, porozumiewając się sygnałami. Jeden ją przytrzymał, a drugi zakrył jej usta, żeby nie krzyknęła. Zbudziła się gwałtownie, przerażona i zaskoczona. Otaczali ją uzbrojeni mężczyźni, sześciu. Broń Wilhelma leżała obok niej na ziemi. Nie mogła po nią sięgnąć, zresztą i tak nie umiała się nią posługiwać. Jeden z mężczyzn dał jej znak, żeby nie krzyczała, a ona lekko kiwnęła głową. Nie wiedziała, kim są. Obserwowali ją przez chwilę, a potem puścili. Pięciu celowało do niej z broni, a szósty przeszukiwał jej kieszenie. Nie znalazł nic oprócz ostatniego cukierka, którego sobie zostawiła. Cukierek był niemiecki, więc przyglądali jej się podejrzliwie. Rozmawiali zniżonymi głosami po czesku. Podłapała trochę tego języka w obozie od czeskich



więźniów. Nie wiedziała, czy to dobrzy ludzie, czy źli. Nie wiedziała, czy to partyzanci, których chciała znaleźć. A nawet jeśli tak, nie wiedziała, czyjej nie zgwałcą i czego można się po nich spodziewać. Brutalnie postawili ją na nogi i gestem kazali iść z nimi. Otoczyli ją, a jeden zabrał jej broń. Maszerowali szybko, a ona często się potykała. Była słaba i zmęczona. Kiedy upadła, z obawy przed podstępem zaczęli czekać, aż sama się podniesie.

Przez kilka godzin marszu prawie nie odzywali się do siebie. Potem zobaczyła obóz w lesie. Było tam około dwudziestu mężczyzn. Zostawili ją pod opieką dwóch strażników, a potem pognali ją w stronę kępy drzew, gdzie siedziała i rozmawiała grupa uzbrojonych mężczyzn. Podnieśli na nią wzrok, kiedy weszła pomiędzy drzewa. Strażnicy, którzy ją przyprowadzili, odeszli. Zapadło długie milczenie. Obcy patrzyli na nią, a potem jeden z nich przemówił. Zwrócił się do niej najpierw po czesku, ale pokręciła głową. Wtedy odezwał się po niemiecku.

– Skąd przyszedłaś? – zapytał płynną niemiecką, mierząc ją wzrokiem. Była chuda i brudna, podrapana i poobijana, buty miała w strzępach i stopy jej krwawiły. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Theresienstadt – powiedziała cicho.

Jeśli to byli partyzanci, musiała im powiedzieć prawdę. Inaczej nie mogli jej pomóc. Zresztą i tak chyba nie pomogą.

– Byłaś tam więźniem? – Kiwnęła głową. – Uciekłaś?

– Tak.

– Nie masz numeru – powiedział podejrzliwie. Wyglądała bardziej na niemiecką agentkę, wysoka i jasnowłosa. Nawet pomimo brudu i wyczerpania była piękna i wyraźnie przestraszona. Ale była również dzielna, co było godne podziwu.

– Nigdy mnie nie wytatuowali. Zapomnieli – powiedziała z nikłym uśmiechem.

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi. To była poważna sprawa. W grę wchodziła wysoka stawka, dla nich wszystkich, nie tylko dla niej.

– Jesteś Żydówką?

– W połowie. Moja matka była niemiecką Żydówką. Ojciec był francuskim katolikiem. Nawróciła się.

– Gdzie ona jest? Też w Theresienstadt?

Amadea spuściła wzrok, ale tylko na chwilę.

– Rok temu wysłali ją do Ravensbruck.

– Jak długo byłaś w Terezynie? – Użył czeskiej nazwy zamiast niemieckiej.

– Od stycznia. Kiwnął głową.

– Znasz francuski? – Tym razem ona kiwnęła głową. – Jak dobrze?

– Biegle.

– Mówisz z akcentem? Możesz równie dobrze uchodzić za Francuzkę jak za Niemkę?

Słabo jej się zrobiło, kiedy zrozumiała, że jednak jej pomogą, a przynajmniej spróbują. Mężczyzna zadawał krótkie, rzeczowe pytania. Wyglądał jak farmer, ale był kimś więcej. Był przywódcą partyzantów w tej okolicy. To on zdecyduje, czy udzieli jej pomocy.

– Mogę się podawać za jedną albo drugą – odpowiedziała. Zauważył jednak, że wygląda na Niemkę. Uznał to za zaletę. Miała stuprocentowo aryjski wygląd. A potem odważyła się zadać pytanie.

– Co ze mną zrobicie? Dokąd pójde?

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Nie możesz wrócić do Niemiec, jeśli jesteś Żydówką, przynajmniej nie na stałe. Możemy cię przerzucić z fałszywymi papierami, ale w końcu cię znajdą. I nie możesz tutaj zostać. Wszystkie niemieckie kobiety wróciły. Oficerskie żony czasami przyjeżdżają z wizytą. No, zobaczmy.

Powiedział coś do jednego ze swoich ludzi i po kilku minutach przyniesiono jej jedzenie. Mdlilo ją z głodu i prawie nie mogła jeść. Nie widziała prawdziwego jedzenia od sześciu miesięcy.

– Musisz tutaj zostać przez jakiś czas. Wszędzie dookoła jest gorąco.

– Co się stało w Lidicach? – zapytała cicho. Nienawiść błysnęła w jego oczach, kiedy odpowiedział:

– Wszyscy mężczyźni i chłopcy nie żyją. Kobiety deportowano. Miasto przestało istnieć.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

Odwrócił wzrok. Nie powiedział jej, że tam mieszkał jego brat z rodziną. Naziści wzięli okrutny odwet.

– Będziemy mogli cię przerzucić dopiero za kilka tygodni, może miesięcy. Załatwienie papierów wymaga czasu.

– Dziękuję.

Nie obchodziło jej, jak długo zamierzają ją zatrzymać. Lepiej tu niż w obozie. W zwykłych okolicznościach przerzuciliby ją do bezpiecznego domu w Pradze, ale teraz nie mogli.

Koniec końców mieszkała w lesie, w obozie partyzantów, aż do początku sierpnia. Wtedy trochę się uspokoiło. Większość czasu spędzała na modlitwie albo spacerowała dookoła obozu. Mężczyźni przychodzili i odchodzili, i tylko raz zjawiała się kobieta. Nigdy z nianie rozmawiali. A kiedy zostawała sama, modliła się. W lesie panował taki spokój, że czasami trudno było uwierzyć w wojnę szalejącą gdzieś na świecie.

Pewnego późnego wieczoru, po kilku tygodniach jej pobytu w obozie, przypomnieli sobie, że pochodzi z Kolonii, i powiedzieli jej, że Kolonia została zbombardowana przez tysiąc brytyjskich bombowców. W Theresienstadt nic o tym nie słyszeli. Partyzanci opisywali szczegółowo tę aliancką operację. Amadea miała nadzieję, że nic się stało Gerardowi i Veronique; mieszkali tak daleko od miasta, że powinni uniknąć nalotu.

Prawie dwa miesiące po przybyciu Amadei miejscowy przywódca partyzantów usiadł obok niej i wyjaśnił, jakie mają wobec niej plany. Od miejscowych władz nie słyszeli niczego o jej ucieczce. Prawdopodobnie zbyt mało dla nich znaczyła, po prostu jeszcze jedna Żydówka, którą nie warto się przejmować. Nie wiadomo, czy powiązali ją ze zniknięciem Wilhelma tego samego wieczoru i czy to ich obchodziło. Zastanawiała się, czy go znaleźli. Partyzanci nie chcieli

podchodzić tak blisko do obozu, żeby zabrać ciało i pochować gdzie indziej.

Bojownicy załatwili jej w Pradze dokumenty, które wyglądały zdumiewająco autentycznie. Podawały, że nazywa się Frieda Oberhoff, ma dwadzieścia pięć lat, jest mężatką i pochodzi z Monachium. Mąż, *Kommandant* małego dystryktu, stacjonował w Pradze, a ona przyjechała go odwiedzić. Wracał z nią do Monachium na przepustkę, skąd wybierali się do Paryża na krótkie wakacje, zanim on wróci do Pragi, a ona do Monachium. Papiery podrózne wydawały się bez zarzutu. Jakaś młoda kobieta przywiozła Amadei walizkę i ubrania. Pomogła jej się ubrać, a potem zrobili jej zdjęcie do paszportu. Wszystko było w porządku.

Miała podróżować z młodym Niemcem, który dla nich pracował. Często jeździł z Niemiec do Polski i Czechosłowacji. Teraz po raz drugi wybierał się z misją do Francji. Miała go poznać następnego dnia w bezpiecznym domu w Pradze.

Nie wiedziała, jak ma dziękować przywódcy partyzantów, kiedy opuszczała obóz. Mogła tylko popatrzeć na niego i obiecać, że będzie się za niego modliła. Uratowali jej życie i dali nową przyszłość. Planowali, że przyłączy się do komórki *Resistance* pod Paryżem, najpierw jednak musiała przejechać przez Niemcy jako żona *Kommandanta*. W jasnoniebieskiej letniej sukience i białym kapeluszu rzeczywiście na taką wyglądała. Miała nawet pantofle na wysokich obcasach i białe rękawiczki. Po raz ostatni obejrzała się na obóz, zanim wsiadła do samochodu z mężczyznami, którzy mieli ją zawieźć do miasta. Obaj byli Czechami, którzy pracowali dla Niemców, i stali ponad wszelkim podejrzeniem. Nikt ich nie zatrzymywał ani nie sprawdzał dokumentów, kiedy wjeżdżali do miasta. Po niecałej godzinie od opuszczenia partyzanckiego obozu znalazła się w piwnicy bezpiecznego domu w Pradze. O północy zjawił się mężczyzna, który miał z nią podróżować. Nosił mundur SS, był wysoki, przystojny i jasnowłosy. W rzeczywistości był Czechem, który dorastał w Niemczech. Znał perfekcyjnie niemiecki i w każdym calu wyglądał na oficera SS.

Wyjeżdżali pociągiem o dziewiątej rano. Wiedzieli, że pociąg będzie pełny, a żołnierze na dworcu zabiegani. Będą sprawdzali dokumenty na wrywki, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy podejrzewać przystojnego oficera SS, podróżującego z piękną młodą żoną. Jeden z konspiratorów podrzucił ich na stację. Weszli na peron, gawędząc wesoło, towarzysz kazał Amadei się uśmiechać. Dziwnie się czuła, w modnym damskim stroju. Nie ubierała się tak od osiemnastego roku życia. I dziwnie się czuła, podróżując z mężczyzną. Umierała ze strachu, czy ktoś nie rozpozna, nie odkryje, że jej dokumenty są fałszywe, ale ani agent, ani żołnierz pilnujący pociągu ich nie zatrzymali. Nawet na nich nie spojrzeli, tylko machnięciem ręki kazali im przechodzić. Amadea i jej towarzysz podróży wyglądali jak ucieleśnione marzenie Hitlera o rasie panów: wysocy, piękni, jasnowłosi i niebieskoocy. Usiedli w przedziale pierwszej klasy. Amadea spojrzała na „męża” szeroko otwartymi oczami.

– Udało się – wyszeptwała.

Kiwnął głową i przyłożył palec do ust. Nigdy nie wiadomo, kto słucha. W tej maskaradzie najważniejsze było, żeby przez cały czas grać swoje role. Rozmawiali swobodnie po niemiecku,

omawiali wakacyjne plany i ustalali, co Amadea chciałaby zobaczyć w Paryżu. On opowiadał jej o hotelu, gdzie się zatrzymają, i gawędził o jej matce w Monachium. Pociąg ruszył ze stacji i Amadea patrzyła zaszczutym wzrokiem, jak Praga powoli zostaje w tyle. Myślała tylko o dniu, kiedy przyjechała tutaj w bydlęcym wagonie. Wspomniała rozpaczą i cierpieniem, wiadra z pomyjami, ludzi płaczących i umierających dookoła niej. Musiała stać przez kilka dni. A teraz siedziała w przedziale pierwszej klasy, w kapeluszu i białych rękawiczkach, obok bojownika ruchu oporu w mundurze SS. Widocznie Bóg, którego kochała tak głęboko, z niewiadomych powodów przynajmniej na razie chciał, żeby przeżyła.

Podróż do Monachium trwała nieco ponad pięć godzin i minęła spokojnie. Amadea przespała część drogi i ocknęła się gwałtownie, kiedy obok niej przeszedł niemiecki żołnierz. Wolff, bo takiego nazwiska używał mężczyzna, z którym podróżowała, uśmiechnął się do żołnierza i przez zaciśnięte zęby kazał jej też się uśmiechnąć. Potem znowu drzemała z głową na jego ramieniu. Obudził ją, kiedy wjeżdżali na Hauptbahnhof w Monachium.

Mieli dwie godziny przerwy między pociągami. Zaproponował obiad w dworcowej restauracji. Żałował, że nie mają czasu pojechać do miasta, oboje jednak zgodzili się, że spieszno im do Francji. Paryż w tamtych czasach stanowił główny niemiecki ośrodek urlopowy. Odkąd Niemcy go okupowali, wszyscy chcieli jeździć do Paryża. W restauracji Wolff opowiadał o czekających na nich rozrywkach. Amadea spostrzegła jednak, że nawet podczas swobodnej pogawędki zachowywał czujność. Przez cały czas zwracał baczną uwagę na wszystko i wszystkich.

Amadea prawie nie mogła jeść, tak się bała, że coś się stanie i zostaną aresztowani. Odetchnęła dopiero wtedy, kiedy wsiedli do paryskiego pociągu. Znowu jechali w przedziale pierwszej klasy.

– W końcu się przyzwyczaisz – pocieszył ją Wolff zniżonym głosem. Miała nadzieję, że to nie będzie konieczne. Nie wiedziała, gdzie ją ukryją we Francji, ale słabo jej się robiło na samą myśl, że miałaby się obracać wśród niemieckich oficerów i udawać żonę esesmana na urlopie. Bała się jeszcze bardziej niż tamtej nocy, kiedy uciekła z Theresienstadt. Tamto wymagało odwagi, teraz jednak ważne było żelazne opanowanie. Znowu siedziała sztywno na swoim miejscu, dopóki pociąg nie ruszył. Tym razem mieli jechać przez całą noc.

Konduktor rozłożył dla nich łóżka, a po jego wyjściu Wolff kazał jej się przebrać w nocną koszulę.

– Jestem twoim mężem – zaśmiał się na widok jej zaszokowanej miny. – Możesz przynajmniej zdjąć kapelusz i rękawiczki.

Na te słowa nawet ona się roześmiała.

Odwróciła się do niego tyłem, narzuciła koszulę na suknię i rozebrała się pod spodem. Kiedy się obejrzała, miał na sobie piżamę. Był bardzo przystojnym mężczyzną.

– Jeszcze nigdy tego nie robiłam – wyznała zawstydzona, kiedy uśmiechnął się do niej.

Miała nadzieję, że Wolff nie posunie się za daleko w tej maskaradzie. Nie wyglądał na

mężczyznę tego rodzaju.

– Zakładam, że nie jesteś mężatką? – zapytał cicho.

Hałas pociągu zagłuszał rozmowę i Wolff zarzucił ostrożność. Nikt ich teraz nie podsłuchiwał. Amadea uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Nie. Jestem karmelitanką.

Przez chwilę wydawał się zaskoczony. Wzniósł oczy do nieba.

– Jeszcze nigdy nie spędziłem nocy z zakonnica. No, ale zawsze jest ten pierwszy raz.

Pomógł jej wejść na łóżko, a potem usiadł na wąskiej ławeczce naprzeciwko i patrzył na nią. Ślicznie wyglądała, zakonnica czy nie.

– Jak się dostałaś do Pragi?

Zawahała się na chwilę. W tych czasach nie istniały już żadne proste odpowiedzi.

– Theresienstadt – odpowiedziała jednym słowem, które wszystko wyjaśniało. – Czy jesteś żonaty? – zapytała z ciekawością.

Przytaknął i zobaczyła ból w jego oczach.

– Byłem. Moja żona i dwóch synów zostali zabici w Holandii podczas akcji odwetowych. Była Żydówką. Nawet nie zadali sobie trudu, żeby ich deportować, po prostu ich zastrzelili na miejscu. Potem wróciłem do Pragi.

Spędził dwa lata w Czechosłowacji, usiłując wszelkimi sposobami przeszkadzać Niemcom.

– Co zamierzasz zrobić po przyjeździe do Paryża? – zapytał ją, kiedy przejeżdżali przez Niemcy.

– Nie mam pojęcia.

Nigdy przedtem nie była we Francji. Bardzo chciała zwiedzić krainę swojego ojca, Dordogne, może nawet zobaczyć jego rodzinny *château*. Wiedziała jednak, że nie pozwolą jej podróżować swobodnie. Partyzanci w Pradze zapewnili, że ukryje ją francuskie podziemie, prawdopodobnie gdzieś w okolicach Paryża, co będzie dla niej najbezpieczniejsze. Oboje wiedzieli, że po przyjeździe musiała czekać na dalsze instrukcje.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy razem podróżowali – powiedział.

Wstał i ziewnął. Pomyślała, że jest zadziwiająco spokojny, zważywszy na potencjalne zagrożenie. Ale wykonywał takie akcje już od dwóch lat.

– Wątpię, czy wyjadę z Francji.

Nie mogła ryzykować powrotu do Niemiec, dopóki wojna się nie skończy. Dostatecznie trudno będzie jej we Francji, zważywszy na okoliczności. Niemcy nie wchodziły w grę. Wolałyby umrzeć, niż znowu trafić do obozu, tym razem pewnie w gorsze miejsce. Theresienstadt jej wystarczył. Nie mogła przestać myśleć o wszystkich ludziach, których tam więziono. To istny cud, że zdołała uciec i znalazła się w tym pociągu.

– Czy wrócisz do klasztoru po wojnie? – zapytał Wolff z zaciekawieniem. Uśmiechnęła się i cała jej twarz się rozświetliła na tę myśl.

– Oczywiście.

– Nigdy nie miałaś wątpliwości co do swojego wyboru?

– Ani razu. Od pierwszego dnia wiedziałam, że zrobiłam słusznie.

– A teraz? Po wszystkim, co widziałaś? Czy naprawdę wierzysz, że to słuszne zamknąć się przed światem? Tutaj możesz dużo więcej zrobić dla ludzi.

– O nie – zaprzeczyła z uniesieniem – modlimy się za tylu ludzi. Jest tyle do zrobienia.

Słuchał z uśmiechem i nie zamierzał się sprzeciwić. Mimo woli zastanawiał się jednak, czy ona naprawdę wróci do zakonu. Była piękną dziewczyną i tyle jeszcze miała przed sobą. Dziwnie się czuł, wiedząc, że podróżuje z zakonnice. Stanowczo nie wyglądała na mniszkę. Wyglądała bardzo światowo i ponętnie, chociaż chyba nie zdawała sobie z tego sprawy, co w jego oczach stanowiło część jej uroku. Była bardzo atrakcyjną i dystygowaną kobietą.

Tej nocy leżał bezsennie na kuszetce i nasłuchiwał, co się dzieje w pociągu. W każdej chwili mogli ich zatrzymać, a on nie chciał spać, gdyby do tego doszło. Raz czy dwa wstał i zobaczył, że Amadea śpi jak zabita.

Obudził ją następnego ranka, żeby zdażyła się ubrać, zanim dojadą na dworzec. Ubrał się i wyszedł z przedziału, żeby mogła swobodnie się przebrać, umyć twarz i zęby. Po kilku minutach odprowadził ją do łazienki i zaczekał na nią. Wyglądała bardzo spokojnie, kiedy wróciła do przedziału i znowu włożyła kapelusz oraz rękawiczki. Paszport i dokumenty podróżne miała w torebce.

Patrzyła zafascynowana, kiedy wjeżdżali na Gare de l'Est. Szeroko otworzyła oczy, widząc ruchliwy tłum na peronie. Zanim opuścili przedział, Wolff szepnął do niej:

– Nie pokazuj, że się boisz. Staraj się wyglądać jak szczęśliwa turystka, ciesząca się na romantyczne wakacje z mężem.

– Nie wiem, jak to wygląda – odszepnęła z wymuszonym uśmiechem.

– Udawaj, że nie jesteś zakonnice.

– Tego nie potrafię.

Wciąż się uśmiechała. Wysiadając z pociągu, wsunęła mu pod ramię dłoń w rękawicze. Każde niosło swoją walizkę i wyglądali jak szczęśliwa młoda para. Nikt ich nie zatrzymał, nikt ich nie legitymował. Wszyscy widzieli wspaniałą aryjską parę w drodze na urlop w Paryżu.

Przed dworcem Wolff przywołał taksówkę. Pojechali do kawiarni na lewym brzegu, gdzie mieli się spotkać z przyjaciółmi, a potem pójść do hotelu. Kierowca był nadaśany i chyba nie znał niemieckiego. Zdziwił się, kiedy Amadea odezwała się do niego płynnym francuskim. Założył, że jest Niemką, słysząc rozmowę pasażerów na tylnym siedzeniu, ale kiedy zwróciła się do niego, mówiła jak rodowita Francuzka, chociaż wyglądała na Niemkę.

Wolff wręczył taksówkarzowi hojny napiwek, kierowca podziękował uprzejmie i odjechał. Wiedział, że nie opłaca się niegrzeczność wobec Niemców, zwłaszcza oficerów SS. Jeden z nich zastrzelił jego przyjaciela sześć miesięcy wcześniej za pyskowanie i nazwanie go *sale boche*.

Siedzieli w kawiarni, pijąc kawę czy to, co w tamtych czasach uchodziło za kawę. Kelner przyniósł im koszyczek croissantów. Dziesięć minut później podszedł do nich przyjaciel Wolffa.

Wyraźnie ucieszył się ze spotkania i poklepał Wolffa po ramieniu. Znali się jeszcze ze szkoły, przynajmniej tak powiedział. W rzeczywistości nigdy się nie spotkali, ale dobrze odgrywali swoje role. Amadea przyglądała się im z nieśmiałym uśmiechem. Wolff przedstawił ją jako swoją żonę. Posiedzieli razem przez kilka minut, a potem przyjaciel Wolffa zaproponował, że odwiezie ich do hotelu. Wsiedli z bagażami do jego samochodu. Nikt w kawiarni się nimi nie zainteresował.

W samochodzie na przedmieściach Paryża Wolff przebrał się w ubranie, które przywiózł ich kontakt. Mundur esesmana oraz wszystkie akcesoria zniknęły w walizce z fałszywym dnem. Wolff przebierał się wprawnie i jednocześnie rozmawiał z kierowcą. Nie zwracali uwagi na Amadeę i rozmawiali jakimś szyfrem. Wolff zapowiedział, że wraca wieczorem.

Zatrzymali się przed małym domkiem pod Paryżem, w dystrykcie Val-de-Marne. Niczym się nie wyróżniał spośród innych domów. W takim miejscu zwykle odwiedzało się babcię albo owdowiałą ciotkę. W kuchni siedziała sympatyczna starsza para przy śniadaniu i gazetach.

Kierowca imieniem Pierre obrzucił ich przelotnym spojrzeniem.

– *Bonjour*, babciu, dziadku...

Przeszedł obok nich do szafy, otworzył zamaskowane drzwi w głębi i zszedł po ciemnych schodach do piwnicy, Wolff i Amadea poszli za nim. Zaprowadził ich do piwnicy na wina. Stał przez chwilę, nie zapalając światła, po czym pchnął dobrze ukryte drzwi. Za nimi trwała ożywiona krzątanina. Przybysze zobaczyli tuzin mężczyzn siedzących wokół zaimprovizowanego stołu, dwie kobiety i jeszcze jednego mężczyznę przy krótkofalówce. W zagraconym pokoju wszędzie walały się papiery i pudła, stały walizki i duży aparat fotograficzny. Najwyraźniej ci ludzie przebywali tu od wielu dni.

– *Salut* – zwrócił się kierowca do jednego z mężczyzn. Pozostali kiwnęli głowami.

– *Salut*, Pierre – rozbrzmiało w pokoju.

Jeden z mężczyzn zapytał, czy dostarczono paczkę. Pierre wskazał na Amadeę. To ona była paczką, na którą tamci czekali. Jedna z kobiet uśmiechnęła się do niej i wyciągnęła rękę.

– Witamy w Paryżu. Miałaś dobrą podróż?

Zwróciła się po niemiecku do Amadei, która ku ogólnemu zdumieniu odpowiedziała nieskazitelną francuszczyzną.

– Nie wiedzieliśmy, że znasz francuski.

Nie znali żadnych szczegółów, tyle tylko, że Amadea przeżyła obóz i została uratowana przez partyzantów niedaleko Pragi. Przekazali, że potrzebowała kryjówki we Francji i podobno mogła się przydać. Nikt nie wyjaśnił, do czego. Teraz jednak zrozumieli. Wyglądała na Niemkę i mówiła płynnie tak po niemiecku, jak po francusku.

Wolff usiadł w kącie z dwoma mężczyznami i zrelacjonował im, co się działo w Pradze i co planują Niemcy. Rozmawiali zniżonymi głosami i Amadea nic nie słyszała.

Mężczyzna, który widocznie tu dowodził, dokładnie przyjrzał się Amadei. Nigdy nie widział bardziej typowej Aryjki. W dodatku swobodnie władała niemieckim i francuskim.

– Zamierzaliśmy cię wysłać na farmę na południu, gdybyś tu dotarła bezpiecznie. Rzeczywiście wyglądasz na Niemkę i z pewnością na Aryjkę. Jesteś Żydówką?

– Moja matka była Żydówką.

Zerknął na jej ramię – wiedział, że uciekła z obozu.

– Masz numer?

Pokręciła głową. Była idealna. Bardzo nie chciał jej odsyłać. Potrzebowali jej w Paryżu. Z namysłem przyglądał się jej przymrużonymi oczami.

– Czy masz mocne nerwy? – zapytał z krzywym uśmiechem. Wolff usłyszał i zaręczył za nią.

– Dobrze sobie poradziła w pociągu. – Potem dodał, patrząc życzliwie na towarzyszkę podróży: – Ona jest zakonnica. Karmelitanką.

– Interesujące – zauważył dowódca komórki. – Czy od karmelitanek nie wymagają szybkiej orientacji? I zrównoważenia, jeśli dobrze pamiętam?

Amadea roześmiała się.

– Skąd pan wie? Tak, jednego i drugiego, i dobrego zdrowia.

– Moja siostra wstąpiła do zakonu w Turynie. Przyjęły ją z pocałowaniem ręki. Miała słabe nerwy i fatalną orientację. Została przez dwa lata, potem odeszła i wyszła za mąż. Na pewno z radością się jej pozbyły. Ma sześcioro dzieci.

Uśmiechnął się do niej i poczuła, że coś ich łączy. Nie przedstawiono ich sobie, ale słyszała, że kilka osób nazywało go Serge.

– Mam brata, który jest księdzem.

Był przywódcą komórki w Marsylii, czego nie zdradził Amadei. Uczył się u ojca Jacques'a w Avon, gdzie ukrywał żydowskich chłopców w szkole, którą prowadził. Brat Serge'a robił to samo w Marsylii, podobnie jak poszczególni duchowni w całej Francji, często niezależnie od siebie. Serge znał kilku z nich. Nie chciał jednak wykorzystać tej młodej Niemki jako zakonnicy. Znacznie bardziej przydałaby się do innych celów. Łatwo mogła uchodzić za Niemkę i doskonale sobie radzić, gdyby miała dość odwagi. Tego musiał się dowiedzieć.

– Zatrzymamy cię tutaj na kilka tygodni. Zostaniesz na dole, dopóki nie załatwimy ci papierów. Potem zamieszkaszesz u moich dziadków. Jesteś moją kuzynką z Chartres. To chyba dostatecznie religijne dla ciebie.

Amadea uświadomiła sobie, że Serge i Pierre są braćmi. W mrocznym pokoju panowała krzątanina jak w fabryce. W kącie ktoś obsługiwał małą prasę drukarską. Drukowali biuletyny do rozprowadzenia, żeby podnieść Francuzów na duchu i poinformować ich, co naprawdę się dzieje na froncie.

Potem jedna z kobiet zrobiła Amadei zdjęcie do nowych francuskich dokumentów. Trochę później druga kobieta poszła na górę i przyniosła jedzenie dla Amadei i Wolffa. Po pobycie w Theresienstadt każdy posiłek wydawał jej się teraz obfity. Ze zdumieniem stwierdziła, że ma wilczy apetyt.

Kilka godzin później Wolff odszedł. Wracał do Pragi. Przed wyjściem zatrzymał się obok



niej, żeby się pożegnać.

– Powodzenia, siostró – powiedział z uśmiechem. – Może jeszcze się spotkamy.

– Dziękuję – powiedziała, zasmucona tym rozstaniem. Zaczęła już go uważać za przyjaciela.

– Niech cię Bóg błogosławi i opiekuje się tobą.

— Na pewno się zaopiekuje – powiedział z przekonaniem.

Jeszcze przez parę minut rozmawiał z Serge'em, a potem on i Pierre wyszli. Zamierzał przebrać się z powrotem w mundur SS po drodze na dworzec. Amadei wydawał się nieustraszony, jak oni wszyscy. Stanowili świetlany przykład francuskiej odwagi. Chociaż kraj poddał się Niemcom po trzech tygodniach, wszędzie znajdowały się takie komórki opora, walczące o uwolnienie Francuzów, o utrzymanie Żydów przy życiu i odbudowanie honoru ojczyzny. Przede wszystkim jednak ratowali życie ludziom i wszystkimi siłami wspomagali wysiłki wojenne aliantów, współpracując ściśle z Brytyjczykami.

Tej nocy Amadea spała na wąskiej pryczy w piwnicy, gdzie mężczyźni rozmawiali aż do świtu. Następnego dnia miała gotowe dokumenty, jeszcze lepsze niż poprzednie niemieckie, które Serge obiecał dla niej przechować. Nie chciał, żeby je miała przy sobie, gdyby wychodziła z innymi na akcję. Rozmawiali o niej długo w nocy i podjęli decyzję. Serge zamierzał ją wysłać do Melun, około stu kilometrów na południowy wschód od Paryża. Uważał, że będzie tam bezpieczniejsza. Potrzebowali jej rozpaczliwie. Brytyjczycy rzucali tam dla nich na spadochronach zaopatrzenie i ludzi. To była delikatna robota.

Tym razem dokumenty podawały, że jest niezamężną kobietą z miasteczka niedaleko Melun. Nazywała się Amelie Dumas. Posłużyli się jej prawdziwą datą urodzenia i napisali, że urodziła się w Lyonie. Gdyby ją spytano, przed wojną studiowała na Sorbonie literaturę i historię sztuki. Serge zapytał ją, czy chciałaby sobie wybrać kryptonim, a ona bez wahania odpowiedziała: „Teresa”. Wiedziała, że to imię doda jej odwagi. Nie miała pojęcia, czego od niej oczekiwali, lecz zrobiłaby dla nich wszystko. W końcu zawdzięczała tym ludziom życie.

Wieczorem pojechała do Melun razem z dwiema pozostałymi kobietami. Po prostu trzy kobiety, które przyjechały do Paryża na kilka dni, a teraz wracały na swoje farmy. Raz je zatrzymano, niemieccy żołnierze sprawdzili ich dokumenty, śmiali się i mrugali do nich przez chwilę, kusili je czekoladą i papierosami, po czym odesłali je w drogę. Przynajmniej raz nie zrobili nikomu krzywdy. Uwielbiali flirtować z Francuzkami i mówili do trzech kobiet łamanym francuskim.

Po zmroku dotarły na farmę i weszły do domu. Farmer i jego żona zdziwili się na widok Amadei. Pozostałe dwie kobiety przedstawiły ich i żona farmera zaprowadziła Amadeę do małego pokoiku za kuchnią. Amadea miała pomagać na farmie i w gospodarstwie. Żona farmera miała okropny artretyzm i nie mogła już pracować razem z mężem. Amadea miała robić, co jej każą, a nocami pracować dla miejscowej komórki. Następnego dnia ktoś miał do niej przyjść. Farmer i jego żona należeli do Resistance od początku okupacji. Wyglądali na parę nieszkodliwych starsuszków, ale to były pozory. Oboje odznaczali się wielką odwagą i znali

wszystkich działaczy na swoim terenie. Żona farmera dała Amadei chłopskie ubranie. Amadea wciąż była bardzo chuda, ale młoda i zdrowa. Wyglądała na silną wiejską dziewczynę w wytartej spłowiałej sukience i fartuchu.

Spędziła noc w kolejnym obcym łóżku, za które była jednak wdzięczna. Dwie kobiety z paryskiej komórki wyjechały rano, życząc Amadei szczęścia. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś je zobaczy, co zresztą dotyczyło teraz wszystkich. Życie wydawało się takie niepewne i nieprzewidywalne. Ludzie znikali w mgnieniu oka. Każde „do widzenia” mogło oznaczać pożegnanie na zawsze. Wykonywali niebezpieczną robotę, lecz Amadea aż się rwała do pomocy. Wiedziała, że wiele im zawdzięcza, i chciała spłacić swój dług.

Tego ranka pomagała w gospodarstwie i wydoiła kilka krów, które jeszcze im zostały. Nosiła drewno, wrywała chwasty w ogrodzie, pomagała przygotować lunch, a potem zmywała. Pracowała równie ciężko i ofiarnie jak w klasztorze i zasłużyła na wdzięczność starej kobiety, której od lat nikt nie pomagał.

Wieczorem po obiedzie przyszedł z wizytą siostrzeniec. Nazywał się Jean-Yves. Był to wysoki, ciemnowłosy i ciemnooki mężczyzna o wyglądzie rzezimieszka, emanujący jakimś nieuchwytnym smutkiem. Zaledwie dwa lata starszy od Amadei, zdawał się dźwigać cały świat na ramionach. Wuj nalał mu szklanek wina własnej roboty i poczęstował też Amadeę, która odmówiła. Zamiast tego wypiła szklanek zimnego, świeżego mleka od krowy, którą wydoiła dziś rano. Siedziała cicho przy kuchennym stole, kiedy dwaj mężczyźni rozmawiali. Potem Jean-Yves zaproponował jej spacer i zrozumiała, że tego od niej oczekiwano. Przybysz należał do komórki ruchu oporu, z którą miała współpracować. Spacerowali w ciepłym zmierzchu niczym dwoje ludzi, którzy poznają się nawzajem. On przyglądał się jej nieco podejrzliwie.

– Słyszałem, że przyjechałaś z daleka.

Kiwnęła głową. Ledwie mogła uwierzyć w to wszystko. Wyjechała z Pragi zaledwie przed paroma dniami, a trochę wcześniej opuściła swoją leśną kryjówkę. W głowie jej się kręciło od tego napięcia, kiedy przekraczała granicę z fałszywymi papierami, w towarzystwie partyzanta przebranego za esesmana. Teraz nazywała się Amelie Dumas. Jean-Yves pochodził z Bretanii i był dawniej rybakiem, zanim przyjechał do Melun, w rzeczywistości jednak był spokrewniony z jej gospodarzami. Na razie wszystko jej się mieszało. Musiała sobie przyswoić wiele informacji. Fałszywe tożsamości, prawdziwe zawody, tajni agenci Resistance, wszyscy próbujący uwolnić Francję spod okupacji.

– Mam szczęście, że tu jestem – powiedziała z prostotą, wdzięczna im wszystkim za to, co dla niej robili.

W zamian chciała im pomóc, zamiast ukrywać się gdzieś w tunelu i modlić się, żeby naziści jej nie znaleźli. Wołała coś zrobić, co miało więcej sensu.

– Potrzebujemy cię tutaj. Jutro odbieramy zrzut.

– Z Anglii? – zapytała cicho, bo głosy niosły się daleko w łagodnym nocnym powietrzu. Skinął głową. – Gdzie lądują?

– Na polach. Najpierw wywołują nas przez radio. Wychodzimy im na spotkanie. Zapalamy pochodnie. Mogą zostać na ziemi najwyżej przez cztery minuty. Albo zrzucają rzeczy na spadochronach. Zależy, co dostarczają.

Zadanie było niebezpieczne, ale nie mogli się już doczekać. Jean-Yves wchodził w skład dowództwa komórki. Stał na drugim szczeblu w hierarchii, ale należał do najlepszych i najbardziej nieustraszonych. Jako młody chłopak lubił ryzyko. Amadea mimo woli wciąż się zastanawiała, dlaczego wygląda tak smutno. Spacerując obok niej, miał ponurą minę.

– Potrafisz obsługiwać krótkofalówkę? – spytał ją, a ona pokręciła głową. – Nauczę cię. To całkiem proste. Umiesz się posługiwać bronią? – Ponownie zaprzeczyła, a on się roześmiał. – Kim byłaś przedtem? Modelką czy aktorką, czy zwykłą zepsutą dziewczyną?

Wysunął takie przypuszczenia ze względu na jej urodę. Tym razem to ona się roześmiała.

– Zakonnicą u karmelitanek. Ale jeśli to miał być komplement, dziękuję bardzo.

Nie wiedziała, czy porównanie do aktorki należy traktować jak komplement, jej matka z pewnością miałaby inne zdanie. Jean-Yves zrobił zaskoczona minę.

– Odeszłaś z zakonu przed wojną?

– Nie. Dopiero kiedy deportowano moją matkę i siostrę. Dla bezpieczeństwa innych. Zrobiłam, co należało.

Jeszcze nie wiedziała, że siostra Teresa Benedykta od Krzyża, Edith Stein, i jej siostra Rosa zostały zesłane do Oświęcimia z klasztoru w Holandii zaledwie przed para dniami. W tym samym czasie, kiedy Amadea spacerowała po sadzie obok Jean-Yves'a, Edith Stein umarła w komorze gazowej.

– I wrócisz do klasztoru po wojnie?

– Tak – potwierdziła Amadea z przekonaniem dźwięczącym w głosie. Tylko to ją podtrzymywało na duchu.

– Co za strata – stwierdził, patrząc na nią.

– Wcale nie. To cudowne życie.

– Jak możesz tak mówić? – zaprotestował. – Żyjecie jak w więzieniu. Poza tym nie wyglądasz na zakonnicę.

– Owszem, wyglądam – odparła spokojnie. – I prowadzimy bardzo aktywne życie. Codziennie ciężko pracujemy i modlimy się za was wszystkich.

– Teraz też się modlisz?

– Oczywiście. W tych czasach jest za co się modlić.

Włącznie z mężczyzną, którego uśmierciła podczas ucieczki z Theresienstadt. Ciągle pamiętała twarz Wilhelma zalaną krwią z rozbitej czaszki. Wiedziała, że do końca życia będzie pokutować za swój uczynek.

– Czy pomodlisz się za moich braci? – zapytał nagle i zatrzymał się, żeby na nią spojrzeć. Wyglądał teraz młodziej, chociaż był od niej starszy. Ostatnio czuła się bardzo staro. Wszyscy widzieli już zbyt wiele okropności, niektórzy więcej od innych.

– Tak, pomodłę się. Gdzie oni są? – zapytała wzruszona, że ją o to prosi. Pomodli się za nich tej nocy.

– Zabili ich naziści dwa tygodnie temu, w Lyonie. Byli z Moulinem. Dowiedziała się od Serge’a, że Moulin był bohaterem ruchu oporu.

– Przykro mi. Czy masz innych braci albo siostry? – zapytała łagodnie i z nadzieją, lecz on tylko pokręcił głową.

– Moi rodzice nie żyją. Ojciec zginął na morzu, kiedy byłem chłopcem. Matka zmarła w zeszłym roku. Miała zapalenie płuc i nie mogliśmy zdobyć dla niej lekarstwa.

Niedawna śmierć braci wyjaśniała smutek na jego twarzy. Stracił całą rodzinę oprócz ciotki i wujka w Melun. Ona też straciła bliskich.

– Moją rodzinę też zabili. Przynajmniej tak myślę. Matkę i siostrę deportowano rok temu, w czerwcu. – Od tamtej pory nie dały znaku życia. – Ojciec zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Cała rodzina mojej matki została deportowana po Kryształowej Nocy. Byli Żydami. A rodzina ojca wydziedziczyła go, kiedy się ożenił z moją matką, ponieważ była Niemką i Żydówką. On był francuskim katolikiem. Wtedy trwała pierwsza wojna. Ludzie robią takie głupie rzeczy. Ani jedna, ani druga rodzina nigdy im nie wybaczyła.

– Czy byli szczęśliwi? – zapytał z prawdziwym zainteresowaniem. Amadea poczuła wzruszenie. Znalazła przyjaciela. W trudnych czasach.

Bardzo trudnych czasach.

– Bardzo szczęśliwi. Ogromnie się kochali.

– Myślisz, że żalowali swojego postępu, to znaczy zerwania z rodziną?

– Nie, nigdy. Ale matka bardzo przeżyła śmierć ojca. Już nigdy nie doszła do siebie. Moja siostra miała dopiero dwa latka. Zawsze się nią opiekowałam – wyznała.

Łzy trysnęły jej z oczu. Tak dawno nie opowiadała o Daphne i nagle jeszcze bardziej zatęskniła za nią i za matką.

– Chyba teraz dużo ludzi straciło rodziny, tak jak my.

– Moi bracia byli bliźniakami – powiedział, jakby teraz to miało nie. Dla niego miało.

– Pomodłą się za nich dzisiaj w nocy. I za ciebie.

– Dziękuję – powiedział grzecznie.

Powoli wrócili na farmę. Jean-Yves polubił swoją nową towarzyszkę. Wydawała się bardzo dojrzała, ale w końcu wiele przeszła. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jest zakonnica, ani zrozumieć jej motywów. Lecz dzięki temu miała w sobie jakąś głębię i wielki spokój, które mu się podobały. Znajdował pociechę w jej obecności. Czuł się z nią bezpiecznie i ufał jej.

– Przyjadę po ciebie jutro wieczorem. Ubierz się na ciemno. Czernimy sobie twarze, kiedy idziemy na akcję. Przyniosę ci pastę do butów.

– Dziękują – odpowiedziała z uśmiechem.

– Miło się z tobą rozmawiało, Amelie. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Ty też, Jean-Yves.

Odprowadził ją na farmę i kiedy wracał samochodem do domu, cieszył się, że ona modli się za niego. Miała coś w sobie, co kazało mu wierzyć, że Bóg jej wysłucha.

## Rozdział 19

Nazajutrz Jean-Yves przyjechał po nią o dziesiątej wieczorem. Prowadził starą ciężarówkę z wyłączonymi światłami. Obok niego siedział drugi mężczyzna, krzepki wiejski chłopak z rudymi włosami. Jean-Yves przedstawił go Amelie jako Georges'a.

Przez cały dzień ciężko pracowała na farmie i bardzo pomogła ciotce Jean-Yves'a. Gospodarze leżeli już w łóżku, kiedy odjechała. Nie zadawali żadnych pytań. Znali ustaloną rutynę. Nie wspomnieli ani słowem, co Amadea będzie robić w nocy, tylko powiedzieli jej „dobranoc” i poszli na górę. Kilka minut później Amadea odjechała ciężarówką z Jean-Yves'em. Amadea ubrała się na ciemno, zgodnie ze wskazówkami Jean-Yves'a. Jechali na przełaj przez pole, znosząc w milczeniu podskoki na wybojach.

Dotarli na miejsce, gdzie czekały jeszcze dwie ciężarówki, zaparkowane w kępie drzew. W sumie zebrało się ośmiu mężczyzn oraz Amadea. Nie odzywali się do siebie. Jean-Yves podał Amadei słoiczek z pastą do butów, żeby uczerniła sobie twarz. Gdyby ich złapali, ta charakterystyka mogła ich zdradzić, ale musieli jakoś się zamaskować.

Kiedy usłyszeli warkot na niebie, mężczyźni rozproszyli się i ruszyli biegiem. Po paru minutach wyjęli latarki i dawali sygnały samolotowi. Dosłownie po sekundach Amadea zobaczyła powoli opadający spadochron. Nie wisiał pod nim żaden człowiek, tylko duży pakunek. Wolno spływał na ziemię. Latarki zgasły i samolot odleciał. Akcja się zakończyła. Kiedy ładunek wylądował niedaleko drzew, wszyscy do niego pobiegli. Odpięli spadochron i jeden z mężczyzn pośpiesznie zakopał go na polu. Pozostali rozpakowali ładunek. Zawierał broń i amunicję, którą załadowali na ciężarówki. Po dwudziestu minutach wszyscy się rozproszyli. Amadea z towarzyszem wracali na farmę. Wytarli już z twarzy pastę do butów.

– Tak to się robi – powiedział tylko Jean-Yves.

Podał jej szmatę, żeby wytarła twarz do czysta. Zaimponowało jej, że operacja przebiegła tak gładko. W ich wykonaniu wszystko wydawało się łatwe i rozegrało się z chirurgiczną precyzją. Wiedziała jednak, że nie zawsze tak bywało. Zdarzały się wypadki. A gdyby Niemcy ich złapali, rozstrzelaliby ich dla przykładu. Tak postępowali w całej Francji i tak postąpili z braćmi Jean-Yves'a, za których się modliła poprzedniej nocy, zgodnie z daną obietnicą.

– Czy oni zwykle lądują, czy tylko robią zrzuty? – zapytała cicho Amadea, żeby dowiedzieć się więcej o ich pracy i swoich przyszłych obowiązkach.

– To zależy. Czasami zrzucają ludzi na spadochronach. Jeśli samolot wylądaje, musi znowu wystartować w ciągu niecałych pięciu minut, żeby nie kusić losu.

Doskonale to rozumiała.

– Co robicie z ludźmi?

– Zależy. Czasami ich ukrywamy. Najczęściej odjeżdżają. Wykonują misje dla Brytyjczyków. Trudniej ich stąd wydostać. Czasami obrywają.

Nic więcej nie powiedział w drodze powrotnej. A Georges milczał jak zaklęty i tylko patrzył

na Amadeę. Później dokuczał Jean-Yves'owi z jej powodu. Przyjaźnili się od dawna i wiele razem przeszli. Ufali sobie całkowicie.

– Spodobała ci się, co? – zapytał go z kpiarskim uśmiechem. – Nie bądź głupi. Ona jest zakonnica – burknął Jean-Yves.

– Naprawdę? – Georges był zaskoczony. – Nie wygląda na zakonnice.

– Dlatego że nie nosi habitu. Pewnie wygląda inaczej w habitcie i tym I czymś na głowie.

Georges kiwnął głową, poruszony i pełen podziwu.

– Czy ona wróci do zakonu?

Pomyślał, że to by była wielka szkoda. Tak samo uważał Jean-Yves.

– Mówiła, że tak – odparł.

Podjeżdżali już do domu. Mieszkali i pracowali na pobliskiej farmie.

– Może ją przekonasz, żeby zmieniła zdanie. – Georges wyszczerzył zęby.

Jean-Yves nie skomentował rady kolegi. Sam się nad tym zastanawiał. i Obiekt ich zainteresowania właśnie na kolanach dziękował Bogu, że akcja się powiodła. Amadea zastanawiała się przez chwilę, czy wypada dziękować mu za sprowadzenie karabinów, przeznaczonych do zabijania ludzi. Na razie jednak nie miała wyboru i mogła tylko liczyć, że Bóg zrozumie. Długo klęczała w mroku nocy, robiąc rachunek sumienia jak dawniej w klasztorze, a potem poszła spać.

Wstała przed szóstą i poszła wydoić krowy, czego się ostatnio nauczyła. Przygotowała śniadanie, zanim wstali gospodarze. Zjedli prosty posiłek: owsianka, owoce i namiastka kawy. Była to jednak uczta w porównaniu z ochłapami, które jadła od początku roku. Nadal codziennie dziękowała Bogu, że przywiódł ją bezpiecznie do Francji. Tego ranka siedziała zadumana, rozmyślając o akcji, w której uczestniczyła poprzedniej nocy.

W ciągu następnych tygodni odbyły się jeszcze dwa zrzuty. I trzy we wrześniu, kiedy przrzucano ludzi. Za pierwszym razem samolot wylądował, a dwa razy ludzie skakali na spadochronach. Jeden skoczek fatalnie skręcił kostkę i musiał się ukrywać na farmie. Amadea doglądała go, dopóki nie wydobrzeał na tyle, żeby odjechać.

Nadszedł październik, zanim niemieccy żołnierze złożyli im wizytę. Sprawdzali okoliczne farmy i dokumenty mieszkańców, nic więcej. Popatrzyli na Amadeę i serce prawie jej przestało bić. Oni jednak oddali jej dokumenty bez komentarza, wzięli trochę owoców w koszykach i odjechali. Niewątpliwie ciotka Jean-Yves'a cierpiała na artretyzm i potrzebowała dziewczyny do pomocy. A jej mąż też był stary. Wszystko wydawało się w porządku.

Wieczorem opowiedziała Jean-Yves'owi o tej wizycie. Jechali na następną, akcję. Tej nocy zabrali więcej broni i amunicji oraz kilka radioodbiorników.

– Bałam się śmiertelnie – wyznała Amadea.

– Ja też się czasem boję – powiedział szczerze. – Nikt nie chce dostać kuli w łeb.

– Wolałabym dostać kulę, niż wrócić tam, skąd przyszłam, albo do gorszego miejsca – oświadczyła.

– Bardzo dzielna z ciebie dziewczyna – stwierdził, patrząc na nią w blasku księżyca.

Lubił z nią pracować i rozmawiać. Czasami wpadał wieczorem, tylko żeby pogadać. Czuł się samotny, odkąd jego bracia zginęli. Przyjemnie się z nią rozmawiało i miała dobre serce. Reszta też mu się podobała, ale nigdy o tym nie mówił. Nie chciał jej obrazić ani odstraszyć. Często opowiadała mu o klasztorze. Nie znała innego życia i bardzo za tym tęskniła. Wielbił jej niewinność i jej siłę, to dziwne połączenie różnych cech. Nigdy nie uchylała się od pracy ani od odpowiedzialności, nigdy nie bała się ryzykować. Odwagą dorównywała każdemu mężczyźnie. Inni także to zauważyli. Szanowali ją tak samo jak on.

Przez jesień i zimę pracowała z nimi przy każdej akcji. Nauczył ją obsługiwać krótkofalówkę i ładować broń. Uczył ją strzelać na polach swojego wuja. Okazała się zadziwiająco dobrym strzelcem. Miała dobry refleks i szybką orientację. I pewną rękę. A przede wszystkim łagodne serce.

Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia pomagała mu przewieźć czterech żydowskich chłopców do Lyonu. Ojciec Jacques obiecał ich przyjąć, a potem nie mógł wywiązać się z obietnicy, żeby nie narazić innych. Więc we dwójkę zawieźli ich do Jeana Moulina i wrócili sami. Jeden z chłopców chorował, więc Amadea trzymała go w ramionach i opiekowała się nim.

– Jesteś cudowną kobietą, Amelie – powiedział Jean-Yves, kiedy wracali do Melun.

Po drodze zatrzymali ich żołnierze i sprawdzili papiery. Jeden zajrzał do środka.

– To moja dziewczyna – oznajmił niedbale Jean-Yves. Żołnierz kiwnął głową.

– Szczęściarz z ciebie. – Uśmiechnął się. – Wesołych świąt. Machnięciem ręki kazał im jechać.

– *Sale boche* – mruknął Jean-Yves, odjeżdżając, a potem spojrzał na Amadeę. – Chciałbym, żeby to była prawda.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa. Myślała o chorym chłopcu i miała nadzieję, że wyzdrowieje. Przez trzy miesiące ukrywano go w ręcznie wykopanym tunelu, na skutek czego nabawił się ciężkiego zapalenia oskrzeli. Miał szczęście, że przeżył.

– Co?

– Mówiłem, że chciałbym, żebyś była moją dziewczyną.

– Wcale nie – zaprotestowała zaskoczona. – Nie bądź niemądry. Skarciła go jak matka, a on wyszczerzył zęby i wyglądał jak mały chłopiec, nie jak mężczyzna, który codziennie narażał życie dla Francji.

– Właśnie że tak. I wcale nie jestem niemądry. To ty jesteś niemądra, że chcesz zamknąć się w klasztorze na resztę życia.

– Wcale nie. Takiego życia pragnę.

– Dlaczego? Czego się boisz? Przed czym się ukrywasz? Co jest tutaj takiego strasznego?

Prawie na nią krzyczał, ale był w niej zakochany od miesięcy i sfrustrowany tą sytuacją. Przez całą drogę do domu sprzeczali się jak para dzieci.

– Nie ukrywam się przed niczym. Wierzę w to, co robię. Kocham klasztor i chcę być



zakonnica.

Nadašana, skrzyżowała ramiona, jakby chowała ręce w rękawach habitu. Bez niego wciąż czuła się naga.

– Widziałem cię dzisiaj z tymi dziećmi, zwłaszcza z chorym chłopcem. Powinnaś mieć dzieci. Kobiety są do tego stworzone. Nie możesz się tego pozbawić.

– Owszem, mogę. Mam inne rzeczy.

– Na przykład co? Nic tam nie masz, tylko poświęcenie, samotność i modlitwy.

– Nigdy nie czułam się samotnie w klasztorze, Jean-Yves – powiedziała cicho, a potem westchnęła. – Czasami tutaj czuję dużo większą samotność.

Mówiła prawdę. Tęskniła za siostrami i klasztornym życiem. Za matką przełożoną. Za swoją matką i Daphne. Tęskniła za wieloma rzeczami. Ale była wdzięczna, że jest tutaj.

– Ja też jestem samotny. – Jean-Yves spojrzał na nią i dostrzegł łzy na jej policzkach. – *Ma pauvre petite* – szepnął i zatrzymał samochód. – Przepraszam. Nie chciałem na ciebie krzyczeć.

– Nie szkodzi.

Nagle rozplakała się, a on ją objął. Nie mogła opanować łkania. To wszystko jeszcze bardziej bolało z powodu świąt. Upiął już okrągły rok.

– Tak strasznie za nimi tęsknię... nie mogę uwierzyć, że odeszły... moja siostra była taka piękna... a moja biedna matka chciała dla nas jak najlepiej. Nigdy nie myślała o sobie... ciągle myślę, co się z nimi stało... wiem, że już nigdy ich nie zobaczę... och, Jean-Yves...

Długo szlochała w jego ramionach. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na taki wybuch. Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co je spotkało.

Słyszała potworne historie o Rayensbruck. Nie chciała uwierzyć, że odeszły na zawsze, ale w głębi duszy o tym wiedziała.

– Wiem... wiem... ja też mam takie myśli... tęsknię za braćmi... Każdy z nas stracił kogoś bliskiego. Nie ma już ludzi, którzy nie ponieśli straty.

A potem bez namysłu pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek. Przez tyle miesięcy trzymał się z daleka i szanował śluby, które złożyła, skoro sama chciała takiego życia, skoro zamierzała wrócić do klasztoru. Nie chciał, żeby tam wróciła. Chciał spędzić z nią resztę życia, mieć z nią dzieci i opiekować się nią. Teraz mieli tylko siebie nawzajem. Stracili wszystkich, których kochali. Oboje. Niczym para rozbitków w szalupie dryfującej po wzburzonym morzu, przywarli do siebie z całych sił.

Amadea nie wiedziała, co się z nią dzieje, lecz porwały ją fale tak przemożnej namiętności i rozpacz, że nie potrafiła przerwać tych pocałunków. Zanim któreś z nich zdołało się opanować czy choćby pomyśleć, kochała się z nim w ciężarówce i właśnie tego chciała. Nagle jakby stała się kimś innym niż kobietą, którą była przez te wszystkie lata. Wojna przedziwnie zmienia ludzi. Amadea też się zmieniła. Zapomniała o swoich ślubach, siostrach zakonnych, klasztorze, nawet o miłości do Boga. W tamtej chwili pragnęła i potrzebowała tylko Jean-Yves'a, który pożądał jej równie desperacko. Oboje zbyt wiele przeżyli, zbyt wiele stracili, za często narażali się dla

innych, za często musieli udawać odwagę w obliczu porażającej grozy. Tamtej nocy wszystkie ich obronne mury runęły. Potem tulił ją i lkał, zanurzając twarz w jej długie jasne włosy, a ona pragnęła tylko go pocieszyć. Był dzieckiem, którego nigdy nie miała, jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała i pragnęła. Setki razy wyrzucała to sobie podczas samotnej modlitwy, a teraz chciała tylko należeć do niego.

Wreszcie spojrzeli na siebie jak para zagubionych dzieci. Na jego twarzy pojawił się strach.

– Nienawidzisz mnie?

Nie wziął jej siłą, ona też go pragnęła i przyjęła. Potrzebowali się nawzajem najbardziej na świecie. Oboje zbyt wiele przeszli i nawet jeśli nie przyjmowali tego do wiadomości, teraz płacili za to wysoką cenę.

– Nie. Nie mogłabym cię znienawidzić. Kocham cię, Jean-Yves – powiedziała cicho.

Jakąś cząstką duszy rozumiała, co się z nimi stało, i wybaczyła im obojgu.

– Ja też cię kocham. O Boże, jak ja cię kocham. Co zrobimy? Wiedział, jak mocno Amadea jest związana ze swoim powołaniem, chociaż zawsze uważał je za błąd. Była zbyt piękną i kochającą kobietą, żeby przez resztę życia ukrywać się w klasztorze. Ale mówiła, że takiego życia sama pragnie.

– Czy musimy teraz decydować? Nie jestem pewna, czy popełniliśmy potworny grzech, czy po prostu tak miało być. Może Bóg właśnie to dla mnie przeznaczył. Zobaczymy, co będzie dalej, a na razie możemy się modlić – powiedziała rozsądnie.

Nie miała pojęcia, dokąd Bóg ją zaprowadzi, ale wiedziała, że powinna teraz pójść nową ścieżką, która wydawała jej się dziwnie słuszna i stosowna.

– Jeśli coś ci się stanie, Amelie, umrę.

– Nie, nie umrzesz. Zaczekam na ciebie w niebie i kiedy przybędziesz, spędzimy cudowne chwile.

Miała łzy w oczach, ale była z nim taka szczęśliwa. Nigdy w życiu nie była równie szczęśliwa. Ta miłość różniła się od miłości klasztornej, ale wypełniła ją ogromną radością. Po raz pierwszy w życiu Amadea czuła się młoda i beztraska. Przynajmniej raz życie nie wydawało się tak poważne, otaczające ich tragedie nie wydawały się tak dotkliwe. Oboje tego właśnie potrzebowali jako przeciwwagi dla ponurej rzeczywistości, przynajmniej na razie.

– Boże, jak ja cię kocham – powiedział Jean-Yves z szerokim uśmiechem. Rozplatali pogniecione ubranie, chichocząc jak para uczniów. Potem Jean-Yves ponownie uruchomił silnik. Chciał ja poprosić, żeby za niego wyszła, ale bał się żądać zbyt wiele. Tej nocy Amadea uczyniła ogromny krok. Może miała rację, skoro tak miało być, reszta przyjdzie sama. Wszystko w swoim czasie. Nie musieli podejmować decyzji już tej nocy. Gdyby to od niego zależało, Amadea zostałaby jego żoną i matką jego dzieci. Miał nadzieję, że Bóg się zgodzi i że Amadea zrezygnuje ze swoich marzeń o powrocie do klasztoru. Ale było jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie doszła do siebie, tak jak on.

Rozmawiali cicho w drodze do domu. Zanim wysiadła, uścisnął ją i pocałował.

– Kocham cię. Nie zapominaj o tym. Dzisiaj był dopiero początek. To nie był błąd – oświadczył szczerze – ani grzech. Zacznę regularnie chodzić do kościoła – obiecał.

Amadea się uśmiechnęła. Nie był w kościele od śmierci braci. Ciągle jeszcze gniewał się na Boga.

– Może dlatego On ci mnie zesłał, żeby przyciągnąć cię z powrotem do kościoła.

Tak czy owak, wyglądała na równie szczęśliwą jak on pomimo spełnionego aktu. Ku własnemu zdziwieniu nie czuła, że zrobiła coś złego, przeciwnie, czuła się szczęśliwa i zakochana. Wiedziała, że trzeba wiele czasu, żeby to uporządkować. Wojna powodowała rozmaite zmiany.

Co dziwne, leżąc w łóżku tej nocy i myśląc o nim, nie czuła wyrzutów sumienia ani nawet nie żałowała. Wydawało jej się, że postąpiła słusznie. Zastanawiała się, czy to właśnie przeznaczył dla niej Bóg. Z tą myślą odpłynęła w sen.

Zbudziwszy się następnego ranka, zobaczyła, że Jean-Yves podrzucił dla niej kwiaty w drodze do pracy. Przejeżdżał obok farmy wuja i zostawił pod stodołą mały bukiet zimowych kwiatków z liścikiem: *Kocham cię, J. Y.* Z uśmiechem wsunęła liścik do kieszeni i poszła wydoić krowy. Po raz pierwszy w życiu czuła się jak kobieta – uczucie dotąd jej nieznane. Nagle doświadczała wszystkiego, czego sobie dotąd odmawiała i zamierzała odmawiać do końca. W jej życiu nastąpił całkowity zwrot i sama już nie wiedziała, która droga jest słuszna: nowa i kusząca z Jean-Yves'em czy dawna, która przed laty tyle dla niej znaczyła. Miała tylko nadzieję, że odpowiedź nadejdzie z czasem i rozwieje mroki tajemnicy.

## Rozdział 20

Przez resztę zimy Amadea dalej jeździła na akcje z Jean-Yves'em. Brytyjczycy regularnie zrzucali ludzi i zaopatrzenie. Pewnej nocy czekali na brytyjskiego oficera, a kiedy już mu pomogli zakopać spadochron i wysłali go w drogę w mundurze SS, Jean-Yves zapytał Amadeę, czy o nim słyszała. Nazywał się lord Rupert Montgomery i należał do ludzi pomagających przy utworzeniu Kindertransportu, który przed wojną wywiózł z Europy dziesięć tysięcy dzieci.

– Prosiłam matkę, żeby wysłała tym transportem moją siostrę – powiedziała Amadea ze smutkiem. – Myślała, że nie spotkają nas żadne kłopoty, i bała się, że siostrze coś się stanie wśród obcych. Daphne miała wtedy trzynaście lat, a deportowano ją, kiedy miała szesnaście. On uratował tak wiele dzieci.

– To dobry człowiek. Spotkałem go raz w zeszłym roku. – Jean-Yves uśmiechnął się.

Tajemny romans trwał od świąt. Jean-Yves poruszył z Amadea temat małżeństwa, ona jednak nie miała pewności. Wciąż nie wiedziała, czy Bóg nie chce, żeby wróciła do klasztoru. Lecz taka perspektywa wydawała się jej coraz trudniejsza. Amadea zabiła jednego mężczyznę, chociaż przypadkiem, a teraz głęboko kochała innego. Kochali się przy każdej sposobności. On nie mógł utrzymać rąk z dala od niej. Ślubował sobie, że za nic nie pozwoli jej wrócić do klasztoru po wojnie. Z pewnością nie tego chciał Bóg. Takie życie było wbrew naturze.

Na wiosnę 1943 roku Serge przyjechał z Paryża, żeby się z nimi spotkać. Od razu zobaczył, co się dzieje pomiędzy Amadeą a Jean-Yves'em. Po powrocie do Paryża powiedział swojemu bratu Pierre'owi, że zakon karmelitanek chyba straci po wojnie jedną bardzo ładną zakonnicę. Lecz znacznie większe wrażenie zrobiła na nim praca, jaką wykonali wspólnie Amadea i Jean-Yves. Od jej przyjazdu przeprowadzili same udane akcje. Jak twierdził Jean-Yves, Amadea nie znała strachu, chociaż zawsze zachowywała ostrożność, żeby nie narażać bez potrzeby żadnego członka komórki.

Serge i Jean-Yves rozmawiali o wysadzeniu w powietrze pobliskiego niemieckiego składu amunicji w ciągu następnych tygodni. Jean-Yves upierał się, że nie chce zabierać Amadei na tę akcję. Serge uważał, że decyzja należy do niej, rozumiał jednak motywy Jean-Yves'a, którym kierował lęk zrodzony z miłości. Potrzebowali jednak jej pomocy, a Serge słyszał, że była dobra i szybka. Ufał jej chyba najbardziej ze wszystkich w Melun, z wyjątkiem Jean-Yves'a.

Wciąż zażarcie dyskutowali o tej sprawie, dopóki Serge nie wyjechał. Amadea zgadzała się z nim. Chciała jechać na akcję z Jean-Yves'em. Losy wojny uległy odmianie. W lutym Niemcy skapitulowali pod Stalingradem, gdzie hitlerowska armia po raz pierwszy poniosła klęskę. Teraz powinni zrobić wszystko, żeby pokonać Hitlera również we Francji. Nie ulegało wątpliwości, że wysadzenie w powietrze arsenału stanowiłoby dla niego poważny cios.

Przez następnych kilka tygodni starannie planowali akcję i Amadea wreszcie przekonała Jean-Yves'a. Pozwolił jej pojechać, chociaż buntowały się w nim wszelkie instynkty opiekuńcze. Ostateczna decyzja należała do niego jako przywódcy. Niestety brakowało im ludzi. Dwóch

najlepszych z ich grupy chorowało.

Jean-Yves, Amadea, dwie kobiety, Georges i jeszcze jeden mężczyzna wyruszyli do składu amunicji późnym wieczorem. Wieźli materiały wybuchowe ukryte z tyłu w dwóch ciężarówkach. Amadea jechała w tej samej ciężarówce co Jean-Yves. Nigdy jeszcze nie przeprowadzali tak niebezpiecznej akcji.

Dwaj mężczyźni wysiedli i poderżnęli gardła strażnikom. Starannie rozmieścili materiały wybuchowe wokół składu, a potem zgodnie z planem wszyscy oprócz Georges'a i Jean-Yves'a pobiegli z powrotem do ciężarówek. Dwaj mężczyźni wiedzieli, że mają zaledwie minuty, żeby podpalić lonty i uciec. Użyli prymitywnych środków wybuchowych, ale innych nie mieli. Zanim jeszcze wsiedli do ciężarówek, rozległ się straszliwy huk i największy na świecie pokaz fajerwerków rozświetlił nocne niebo. Amadea i pozostali wymienili spojrzenia, ale kiedy uruchomili silniki, wciąż nie widzieli ani śladu Jean-Yves'a i Georges'a.

– Jedźmy...! Jedźmy...! – nalegał mężczyzna w ciężarówce Amadei.

Nie mogli jednak zostawić Jean-Yves'a i Georges'a. Wszystkie okoliczne oddziały wojskowe zjawia się lada chwila i jeśli znajdą dwóch mężczyzn, zastrzelą ich. Dwie pozostałe kobiety czekały w drugiej ciężarówce na Georges'a. Amadea siedziała za kierownicą swojej ciężarówki.

– Nie odjadę – rzuciła przez zęby.

Lecz kiedy się obejrzała, zobaczyła ogromną kulę ognia. Druga ciężarówka wrzuciła bieg i odjechała.

– Nie możemy czekać – błagał ją mężczyzna obok. Amadea też zdawała sobie sprawę, że ich złapią.

– Musimy – odparła.

Seria eksplozji z tyłu zatrzęsała ciężarówką. Ogień się rozprzestrzenił, zawyły syreny. Amadea bez wahania nadepnęła na gaz i ruszyła. Dwie ciężarówki, podskakując, jechały na przelaj przez pola. Amadea drżała od stóp do głów, kiedy wjeżdżała do stodoły, gdzie trzymano ciężarówki. Cudem ich nie złapano, wiedziała jednak, że czekali za długo. Naraziła życie wszystkich dla mężczyzny, którego kochała.

Milcząc, stali w ciemnej stodole, słuchali wybuchów i płakali cicho. Teraz mogli tylko się modlić, żeby Jean-Yves i Georges wyszli cało. Amadea nie miała jednak wielkich nadziei. Wybuch nastąpił o wiele za szybko i dwaj mężczyźni na pewno zostali ciężko ranni albo zginęli na miejscu.

– Przepraszam – powiedziała do pozostałych drżącym głosem. – Powinniśmy byli szybciej odjechać.

Wszyscy kiwnęli głowami, chociaż oni też nie chcieli zostawiać dwóch towarzyszy. Amadea czekała za długo, co mogło kosztować życie ich wszystkich. Wymknęli się w ostatniej chwili.

Później Amadea wróciła piechotą na farmę, słuchając wybuchów i oglądając rozświetlone niebo. Przez wiele godzin leżała w łóżku i modliła się za Jean-Yves'a.

Następnego ranka nowiny rozeszły się wszędzie. Wojsko przeczesywało okolicę w poszukiwaniu sprawców. Niczego jednak nie znaleziono. Ludzie na farmach spokojnie pracowali. Niemcy znaleźli dwa trupy, spalone nie do rozpoznania; nawet dokumenty obróciły się w popiół. Z braku innych pomysłów zabrali czterech chłopców z najbliższej farmy i rozstrzelali jako ostrzeżenie dla innych. Amadea spędziła cały ten dzień w swoim pokoju, chora z żalu i rozpacz. Nie tylko Jean-Yves zginął, ale czterech młodych chłopców straciło życie na skutek ich akcji. Wysoką cenę zapłacili za wolność i za zniszczenie broni, której Niemcy użyliby do zabicia tylu innych. Ale mężczyzna, którego kochała, nie żył i teraz ponosiła odpowiedzialność za śmierć ośmiu ludzi: Georges'a i Jean-Yves'a, tych czterech chłopców z farmy i nawet dwóch niemieckich wartowników, którym podejrzyto gardła. Wiele ciążyło jej na sumieniu jak na kobietę, która niegdyś pragnęła zostać oblubienicą Boga. I oplakując jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała, zrozumiała po raz pierwszy, że po wojnie musi tam wrócić. Przez resztę życia jako karmelitanka będzie pokutowała za swoje grzechy.

## Rozdział 21

Serge odczekał trzy tygodnie, zanim przyjechał z Paryża do Melun. Usłyszał nowinę w Paryżu i ucieszył się z rezultatu akcji. Zniszczenie amunicji poważnie zaszkodziło Niemcom. Lecz zdruzgotała go wiadomość o śmierci Jean-Yves'a, który należał do jego najlepszych ludzi. Serge chciał jak najszybciej porozmawiać o tym z Amadea.

Zastał ją w pokoju na farmie, milczącą i pogrążoną w żałobie. Brytyjczycy wciąż zrzucali ludzi i dostawy, ona jednak od tamtego czasu nie uczestniczyła w żadnej akcji.

Siedział i rozmawiał z nią o tym. Tłumaczył, że mają teraz za mało ludzi, żeby zabezpieczyć zrzuty. Ona popatrzyła na niego udręczonym wzrokiem i pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Owszem, możesz. On działałby dalej na twoim miejscu. Musisz to zrobić dla niego. I dla Francji.

– Już mi nie zależy. Mam za dużo krwi na rękach.

– Nie ty masz krew na rękach, tylko oni. A jeśli przestaniesz z nami pracować, to będzie nasza krew.

– Zabili czterech chłopców – powiedziała drętwą.

Tragedia tych chłopców dręczyła ją równie mocno jak śmierć Jean-Yves'a.

– Zabiją następnych, jeśli ich nie powstrzymamy. A tylko tak możemy działać. Nie mamy innego sposobu. Brytyjczycy liczą na nas. Wkrótce odbędzie się następna wielka akcja. Nie mamy czasu, żeby przeszkolić więcej ludzi. A już teraz potrzebuję cię do czegoś innego.

– Do czego? – zapytała.

Wyglądała na chorą, twarz jej poszarzała. Serge wywierał na nią presję, ponieważ chciał, żeby się wzięła w garść. Była za dobra, żeby zrezygnować z podziemnej działalności. Bał się, żeby całkiem się nie załamała po utracie Jean-Yves'a. Zbyt głęboko pogrążyła się w żałobie.

– Potrzebuję cię, żeby przewieźć żydowskiego chłopca i jego siostrę do Dordogne. Mamy tam dla nich bezpieczny dom.

– Ile mają lat? – zapytała bez większego zainteresowania.

– Cztery i sześć.

– Co te dzieci jeszcze tutaj robią? – zdziwiła się.

Większość żydowskich dzieci, jeśli nie wszystkie, deportowano z Francji w poprzednim roku. Reszta się ukrywała.

– Ukrywała ich babka. Zmarła w zeszłym tygodniu. Musimy je wywieźć. W Dordogne będą bezpieczne.

– A jak ja tam dojadę? – zapytała apatycznie, ze znużeniem w głosie.

– Mamy dla nich dokumenty. Są podobne do ciebie. Oboje mają niebieskie oczy i blond włosy. Tylko ich matka była Żydówką. Deportowali ją, a ojca zabili.

Jak wiele innych, te dzieci nie miały żadnej rodziny.

Zacząła mówić, że nie może tego zrobić, a potem spojrzała na niego i przypomniała sobie swoje śluby. Pomyślała o matce, o Daphne i Jean-Yvie. I nagle poczuła, że jest im coś winna, może jako rekompensata za każde odebrane życie. Znowu poczuła się jak zakonnica. Jean-Yves zabrał ze sobą kobietę, którą się przy nim stała. Wiedziała, że już nigdy nie będzie tamtą osobą. Lecz siostra Teresa z Karmelu nie mogła odmówić udziału w akcji. Amadea powoli skinęła głową. Nie miała wyboru.

– Zrobię to – powiedziała.

Serge był zadowolony. Zorganizował tę konkretną akcję tyleż ze względu na nią, co na dzieci. Nie podobało mu się jej zachowanie od śmierci Jean-Yves'a. W pewnym sensie robił to również dla niego. Jean-Yves też nie byłby z niej zadowolony.

– Przywieziemy dzieci jutro wieczorem – wyjaśniał Serge – razem z ich dokumentami i twoimi. Musisz schować swoje drugie dokumenty za podszewką walizki. W twoich papierach będzie napisane, że jesteś ich matką i jedziecie z wizytą do rodziny w Besse.

Besse leżało w sercu Dordogne, skąd pochodził jej ojciec. Nigdy tam nie była, chociaż zawsze chciała tam pojechać. Zastanawiała się, czy zobaczy jego rodzinny *château*, chociaż oczywiście miała ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Musisz pożyczyć samochód z farmy – uprzedził Serge. Wiedział, że to żaden kłopot.

Resztę dnia, po wypełnieniu obowiązków, spędziła w swoim pokoju na modlitwie. Przez ostatnie tygodnie prawie nic nie jadła, co było po niej widać. Następnego dnia wysłała dokumenty na nazwisko Amelie Dumas za podszewkę walizki. Wiedziała, że wieczorem dostanie następne.

Przyjechały po obiedzie. Przywiozła je samochodem kobieta z paryskiej komórki. Dzieci były prześliczne, ale wyglądały na przerażone. Przez dwa lata ukrywano je w piwnicy, a teraz zmarła ich jedyna krewna. Serge miał rację, były do niej podobne. Na ich widok zaczęła się zastanawiać, jak by wyglądały dzieci jej i Jean-Yves'a. Ale takie rozważania nie miały sensu. Usiadła i przez chwilę rozmawiała z dziećmi. Nakarmiła je i utuliła do snu we własnym łóżku, a sama spała na podłodze. Chłopczyk przez całą noc trzymał rączkę siostry. Oboje wiedzieli, co mają robić. Musieli udawać, że Amadea jest ich matką, i zwracać się do niej *Maman*. Nawet gdyby przepytawali ich straszni żołnierze. Przyrzekła, że nic złego im się nie stanie, i modliła się, żeby dotrzymać tej obietnicy.

Wyjechali rano, zaraz po śniadaniu, samochodem należącym do wuja Jean-Yves'a. Amadea oceniała, że droga zabierze jej sześć do siedmiu godzin. Wzięła ze sobą jedzenie, żeby nie musieli się zatrzymywać po drodze. Przejechali przez jeden punkt kontrolny, gdzie okazała żołnierzom nowe dokumenty. Popatrzyli na nią, zerknęli na dzieci, oddali jej papiery i kazali jechać. Jak dotąd to była jej najłatwiejsza akcja. Dzieci spały w samochodzie, więc miała czas pomyśleć. Czuła się trochę lepiej i była zadowolona, że zgodziła się na tę akcję. Żal jej było tych słodkich dzieciaków. Zabierała je na spotkanie z członkiem komórki w Dordogne, który miał je zawieźć do bezpiecznego domu. Uprzedził, że Amadea może tam przenocować przed powrotną drogą. Czekala ją długa jazda.



O czwartej po południu jechali przez falujący krajobraz, gdzie wojna wydawała się odległa i nierzeczywista. Otaczały ich żyzne zielone wzgórza. Amadea z łatwością znalazła podany adres. Czekał na nią młody mężczyzna, jasnowłosy i niebieskooki jak ona i dzieci. Mógł bez trudu odgrywać rolę ojca, jak ona odgrywała rolę matki. Podziękował jej za przywiezienie dzieci.

– Woli pani pojechać ze mną czy zostać tutaj? – zapytał.

Dzieci wpadły w panikę na myśl, że się z nią rozstaną. Prócz niej nie znaly tutaj nikogo. Spędziła z nimi tylko jedną dobę, ale była dla nich miła. Próbowała je uspokoić, jednak zaczęły płakać. Amadea spojrzała na człowieka, którego znała tylko jako Armanda.

– Pojadę.

Wsiadł do jej samochodu i powiedział, dokąd ma jechać. Pięć minut później, kiedy mijali imponujący *château*, kazał jej skręcić na dziedziniec.

– Tutaj? – zdziwiła się Amadea. – To jest wasz bezpieczny dom?

Był to piękny stary budynek, mający liczne przybudówki, stajnie oraz olbrzymi dziedziniec.

– Czyj to dom? – zapytała Amadea z nagłym zaciekawieniem. Znajdowali się w okolicy, gdzie stał dom rodzinny jej ojca.

– Mój – odparł jej towarzysz i roześmiał się, kiedy wytrzeszczyła na niego oczy. – Kiedyś. Na razie należy do mojego ojca.

Wysiedli z samochodu i Amadea rozejrzała się z nieukrywanym podziwem. Dzieci gapily się na *château* olśnionym wzrokiem. Po dwóch latach spędzonych w piwnicy na przedmieściach Paryża poczuli się jak w raj. Zaopatrzone je w dokumenty, które potwierdzały ich arystokratyczne pochodzenie. Rzekomo były spokrewnione z kasztelanem.

Stara gospodyni zabrała je na obiad. Po stopniach *château* zszedł starszy, dystyngowany dżentelmen. Amadea domyśliła się, że to ojciec Armanda. Dżentelmen uściskał jej rękę i wyraził radość z tego spotkania, kiedy Armand ich sobie przedstawił. Znał tylko jej nazwisko z ostatniego zestawu dokumentów, Philippine de Villiers. Wymienił je, a potem powiedział uprzejmie:

– Pozwoli pani, że przedstawię mojego ojca. *Comte* Nicolas de Vallerand.

Amadea wytrzeszczyła na niego oczy. Teraz dostrzegła podobieństwo, chociaż był starszy niż jej ojciec, kiedy go ostatnio widziała. Ojciec zginął w wieku czterdziestu czterech lat, obecnie miałby sześćdziesiątkę. Wstrząśnięta, przenosiła wzrok z Armanda na jego ojca, ale nic nie powiedziała. Armand spostrzegł jednak, że coś ją mocno poruszyło.

Hrabia zaprosił ją do środka. Przygotowano dla niej posiłek i podano go elegancko w jadalni. Obaj mężczyźni jej towarzyszyli. Amadea siedziała cicho i rozglądała się w oszołomieniu. Hrabia zauważył jej bolesne milczenie.

– To piękny stary dom. Zbudowano go w XVI wieku. Został przebudowany jakieś dwieście lat później. Niestety, obecnie bardzo potrzebuje remontu. Nie znajdziemy ludzi do pracy, dopóki wojna się nie skończy. Dach przecieka jak sito. – Uśmiechnął się.

Przyglądał jej się, jakby on też dostrzegał w niej coś znajomego. Wiedziała, że chodzi o jej

podobieństwo do ojca. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby mu powiedziała prawdę. Ale widocznie coś się zmieniło, skoro ukrywał żydowskie dzieci. To zakrawało na ironię, skoro jej ojca wyrzucili z domu za to, że się ożenił z Żydówką.

Skończyli obiad i hrabia zaprosił Amadeę na spacer po ogrodzie. Oznajmił, że ogrody projektował ten sam architekt, który stworzył ogród w Wersalu. Dziwnie się czuła, wędrując przez te same korytarze i pokoje, gdzie jej ojciec spędził dzieciństwo, a kiedy wyszła na zewnątrz, łzy napłynęły jej do oczu. Te miejsca dźwięczały jego głosem i śmiechem, kiedy był chłopcem i młodym mężczyzną. Niemal słyszała echa przeszłości, którą dzieliła z tymi dwoma mężczyznami, chociaż o tym nie wiedzieli.

– Nic pani nie jest?

Armand widział, że coś nią głęboko wstrząsnęło. Zaprzeczyła ruchem głowy i wyszli razem do ogrodu. Ojciec czekał już, żeby ją oprowadzić.

– Jest pani bardzo dzielną młodą kobietą, skoro sama przywiozła pani te dzieci. Gdyby miał córkę, chyba nie pozwoliłbym jej na to. Nawet na pewno. – Potem spojrział na Armanda, zmarszczył brwi i zniżył głos. – Boję się też o syna. Ale żadne z nas nie ma wyboru w tych czasach, prawda?

Właściwie nie mówił prawdy. Inni dokonywali odmiennych wyborów. Amadea wołała jednak postępować zgodnie z własnym sumieniem.

Kiedy spacerowali we trójkę po niegdyś pięknych ogrodach, hrabia nie zadawał jej żadnych osobistych pytań. Lepiej nie wiedzieć za dużo. W tych czasach wszyscy zachowywali ostrożność. Gadatliwość była niebezpieczna.

Amadea usiadła na starej marmurowej ławce, wygładzonej przez działanie Żywiołów, i podniosła na hrabiego smutne oczy.

– Nie wiem, dlaczego – powiedział cicho – mam wrażenie, że panią znam, że już się gdzieś spotkaliśmy. Czy mam rację?

Wiedziała, że nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki i daleko mu było do zgrzybiałości. Wydawał się jednak niepewny i zagubiony, jakby słyszał głosy z innego czasu, których nie potrafił rozpoznać.

– Czy my się znamy? – powtórzył pytanie.

Nie uważał tego za prawdopodobne, ale może jej nie zapamiętał. A jednak kiedy tak siedziała na ławce, wydawała się niezwykle podobna do Armanda.

– Znał pan mojego ojca – powiedziała łagodnym głosem, nie spuszczając oczu z jego twarzy.

– Naprawdę? Jak się nazywał?

– Antoine de Vallerand – odpowiedziała spokojnie.

Nicolas był jego bratem i jej wujem, a Armand był jej kuzynem w pierwszej linii.

Przez niekończącą się chwilę panowało między nimi absolutne milczenie. Potem po policzkach hrabiego popłynęły łzy. Bez słowa wziął ją w ramiona.

– Och, moja droga... och, moja droga...

Przez długie minuty nie potrafił wykrztusić nic więcej, przytłoczony wspomnieniami, które przywołała swoją obecnością.

– Czy wiedziałaś, zanim tu przyjechałaś? – zapytał.

Myślał, że dlatego zgłosiła się na tę akcję. Ona jednak pokręciła głową.

– Dopiero kiedy tu przyjechaliśmy i Armand wymienił twoje nazwisko. Możesz sobie wyobrazić, że przeżyłam spory wstrząs. – Zaśmiała się przez łzy. – Miałam ci powiedzieć przy obiedzie, ale bałam się, że mnie wyprosisz. Chciałam trochę się tym nacieszyć. Ojciec zawsze mi opowiadał o tym miejscu, gdzie dorastał.

– Nigdy nie wybaczyłem swojemu ojcu za to, co zrobił. Znienawidziłem go i znienawidziłem siebie, bo nie miałem dość odwagi, żeby mu się przeciwstawić. Od tamtej pory ledwie się do siebie odzywaliśmy. Po jego śmierci chciałem prosić twojego ojca, żeby wrócił do domu i nam wybaczył. Zginął dwa tygodnie później. A w następnym roku zmarła moja żona. Chciałem napisać do twojej matki, wytłumaczyć jej, co czułem, ale nie znałem jej i byłem pewien, że nas wszystkich nienawidzi.

– Nie czuła do was nienawiści – zapewniła Amadea. – Jej rodzina potraktowała ją jeszcze gorzej. Wpisali jej imię do rodzinnej księgi zmarłych i nie pozwolili jej zobaczyć własnej matki, kiedy umierała, ani pójść na pogrzeb. Babcia odwiedziła nas dwa lata przed swoją śmiercią i zdążyłyśmy się poznać. Nigdy nie poznałam innych członków rodziny.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał z troską.

Amadea zaczerpnęła tchu, zanim odpowiedziała. Miała same złe wiadomości.

– Cała rodzina została deportowana po Kryształowej Nocy. Ludzie mówili, że wysłano ich do Dachau, ale nie wiem na pewno. Moją matkę i siostrę zesłano do Ravensbruck dwa lata temu. Od tamtej pory nie dały znaku życia.

Hrabia słuchał ze zgrozą.

– A ty przyjechałaś tutaj?

Armand przyglądał się jej uważnie. Uważał ją za niezwykłą kobietę. Chciałby mieć taką siostrę jak ona. Był jednakiem i nie miał żadnej rodziny poza ojcem. Postanowili wstąpić do ruchu opora, bo mieli tylko siebie nawzajem i ten dom, popadający w ruinę razem z resztą posiadłości.

– Byłam w Theresienstadt przez pięć miesięcy. Przedtem ukrywali mnie przyjaciele, po deportacji mojej matki. Wcześniej byłam przez sześć lat w klasztorze karmelitanek.

– Byłaś zakonnica? – zdumiał się Armand.

– Ciągle chyba jestem zakonnica – odparła.

Przez jakiś czas w to zwątpiła, ale teraz znowu miała pewność. Od śmierci Jean-Yves'a. Ponownie odnalazła swoje powołanie. Nawet nie myślała, że kiedykolwiek je straciła. Po prostu na krótko zoczyła z drogi pod wpływem wyjątkowych okoliczności.

– Siostra Teresa z Karmelu. Wrócę tam po wojnie. Musiałam odejść z klasztoru, żeby nie narażać pozostałych sióstr.

– Niezwykła z ciebie dziewczyna – oświadczył wuj i objął ją ramieniem. – Ojciec byłby z ciebie bardzo dumny, gdyby żył. Ja jestem dumny, chociaż prawie cię nie znam. – A potem zapytał prosząco: – Czy możesz zostać dłużej?

Mieli tyle zaległości do nadrobienia. Pragnął usłyszeć, co się działo przez te wszystkie lata rozłąki. Chciał się dowiedzieć mnóstwa rzeczy o utraconym bracie.

– Myślę, że to nie najlepszy pomysł – odparła rozsądnie, prezentując typową dla karmelitanek szybką orientację, jak powiedziała by Serge. – Chciałabym kiedyś tu wrócić, jeśli można – poprosiła.

Hrabia widział, że odebrała staranne wychowanie.

– Złamiesz mi serce, jeśli nie wrócisz – zapewnił.

Powrócili do domu i resztę nocy spędzili na rozmowie. Wcale nie poszli spać. W końcu Amadea położyła się na parę godzin przed wyjazdem.

Rano ucałowała dzieci na pożegnanie, a one płakały, kiedy wyjeżdżała. Ona też się rozpłakała, kiedy rozstawała się z Nicolasem i Armandem. Obiecała wrócić, a wuj błagał ją, żeby uważała na siebie. Widziała ich we wstecznym lusterku, jak machali do niej, stojąc na dziedzińcu, zanim skrzyła i straciła ich z oczu. Przeżyła cudowną noc i żałowała tylko, że Jean-Yves i jej ojciec tego nie dożyli. Lecz wracając do Melun, czuła, że są blisko, razem z matką i Daphne. Wszyscy stanowili ogniwa nierozzerwalnego łańcucha, łączącego przyszłość, przeszłość i teraźniejszość.

## Rozdział 22

Droga powrotna do Melun przebiegła gładko. Tylko raz Amadeę zatrzymali żołnierze i chociaż wpadła im w oko, po kilku minutach pogawędki pozwolili jej jechać dalej. Ledwie spojrzeli na jej dokumenty. Jeden pomachał jej z szerokim chłopięcym uśmiechem, kiedy odjeżdżała.

Późnym popołudniem dotarła na farmę. W następnym tygodniu znowu podjęła współpracę z ruchem oporu, odbierała zrzuty i uczestniczyła w rutynowych działaniach. Brytyjczycy przysłali jeszcze dwie krótkofalówki, które ukryto na pobliskich farmach.

Pod koniec września Serge znowu przyjechał z wizytą. Lubił w miarę możliwości spotykać się twarzą w twarz z mężczyznami i kobietami, którzy dla niego pracowali. Chciał ich wy badać, sprawdzić, czy nie wystawiają innych na ryzyko i czy można wierzyć w ich lojalność. Wyczuwał takie rzeczy szóstym zmysłem. Tym razem chciał też omówić pewną sprawę z Amadeą. Słyszał od innych, że na długi czas pogrążyła się w depresji z powodu Jean-Yves'a i wciąż się obwiniała nie tylko za śmierć jego i Georges'a, ale również za egzekucję tamtych czterech chłopców. Gorzej, bała się, że śmierć Jean-Yves'a była karą za jej grzechy. Serge polubił ją i doceniał jej szybką orientację, wielką odwagę i zimną krew. Chciał sprawdzić, jak ona się czuje, i porozmawiać z nią o pewnej misji. Jak zawsze w delikatnych kwestiach, wolał mówić z nią osobiście. Wysłał jej wiadomość i spotkali się na pobliskiej farmie.

Jak tylko weszła, zobaczył, że jest mizerna, znużona i przygnębiona. Widocznie czuła, że śmierć tych wszystkich ludzi ciąży jej na sumieniu. Ciągle mówiła, że nie może się już doczekać powrotu do klasztoru po wojnie. Zjadła z nim obiad i złożyła raport o odebranych dostawach i nowych ludziach, którzy dla nich pracowali. Po obiedzie poszli na spacer.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać – powiedział po chwili. – Potrzebuję w Paryżu agenta do specjalnej misji. Nie wiem, czy czujesz się na siłach, ale moim zdaniem nadajesz się idealnie.

SOE\*[SOE (Special Operations Executive) – Wydział Operacji Specjalnych, powstały w Anglii w 1940 roku w celu koordynowania akcji sabotażu przeciwko Niemcom w okupowanych krajach, m.in. Francji, Holandii i krajach bałkańskich.] w Anglii poprosił go, żeby znalazł kogoś o określonych kwalifikacjach, a ona spełniała wszystkie wymagania. Potrzebowali kobiety, która doskonale mówiła po niemiecku i mogła uchodzić za chłodną, wyrafinowaną niemiecką arystokratkę. Amadea nie tylko na taką wyglądała, ale właściwie taka była. I równie łatwo mogła uchodzić za Francuzkę. Chcieli, żeby udawała żonę albo dziewczyną wysoko postawionego oficera SS, który przyjechał do Paryża. W rzeczony oficera miał się wcielić członek brytyjskiej Secret Service, sam w połowie Niemiec, mówiący również płynnie po francusku. Potrzebował idealnej partnerki, takiej jak Amadea. Pytanie brzmiało, czy ona się zgodzi. Jak zawsze miała wybór.

Serge objaśnił jej misję, kiedy spacerowali w mroku. Wysłuchała go w milczeniu. Przez długi czas nie odpowiadała, a on nie naciskał.

– Kiedy musisz wiedzieć?

Chciała się najpierw pomodlić. Na wsi czuła się szczęśliwa, pomagając w miarę swoich możliwości. Wyjazd do Paryża i paradowanie przed esesmanami oznaczało dużo większe niebezpieczeństwo. Nie martwiła się, że zastrzelą ją Niemcy stacjonujący w Melun podczas którejś nocnej akcji. Jedyne, czego się bała najbardziej na świecie, to zesłanie z powrotem do obozu. Nawet ona nie chciała znów się umartwiać i znosić męczarni. Wiedziała, że szczęście nie dopisze jej po raz drugi, tak jak podczas ucieczki z Theresienstadt. Na razie żywa dusza nie wydostała się z Oświęcimia ani z innych obozów. Tamtej nocy, kiedy zrównano z ziemią Lidice, niesamowitym zrzędzeniem losu udało jej się uciec z „wzorowego obozu” nazistów. Wtedy zresztą przygotowywali się, żeby pokazać komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża swoje „miasto dla Żydów”. Deportacja do każdego innego obozu, czy nawet do tego, oznaczała prawie pewną śmierć po niewyobrażalnych torturach. Zaproszenie do Paryża i ta cała maskarada z żoną oficera SS wydawały jej się ryzykowne. Za bardzo.

– Nie mamy wiele czasu. A ty jesteś naszą jedyną szansą – powiedział szczerze Serge. – Agent, który kieruje misją, przylatuje pod koniec tygodnia. I tak miałem was zawiadomić dzisiaj wieczorem. On przyleci z trzema ludźmi.

Amadea już wiedziała, jak wyglądają te lądowania, bo często przy nich pomagała z Jean-Yves'em i innymi. Maleńki lysander siadał na niecałe pięć minut, wysadzał pasażerów i odlatywał, a ludzie szybko się rozpraszali. Te same samoloty zrzucały zaopatrzenie i czasami agentów na spadochronach. Lądowania były znacznie trudniejsze. Podchodzili bez świateł i polegali na bojownikach ruchu oporu, którzy dawali im znaki latarkami. Na razie, odkąd Amadea z nimi pracowała, nie mieli ani jednego wypadku i nie stracili ani jednego człowieka. Choć przy kilku okazjach mało brakowało.

– Widocznie to ktoś ważny – stwierdziła Amadea.

Zastanawiała się, kto to jest i czy już o nim słyszała. Znała teraz nazwiska wielu ludzi, z którymi współpracowali w Anglii. Słyszała ich kodowe pseudonimy, kiedy czasami obsługiwała radio. Teraz potrafiła sprawnie obsługiwać krótkofalówkę. Jean-Yves dobrze ją wyszkolił. I kochał przez ten krótki czas, kiedy byli razem.

– On jest bardzo ważny – przyznał Serge, mając na myśli brytyjskiego agenta. – Jeśli będzie musiał, wypełni tę misję samodzielnie, ale „żona” stanowiłaby doskonałą zasłonę dymną. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Tylko ty się nadajesz.

Żadna z pozostałych agentek nie mówiła tak płynnie po niemiecku i nie mogła uchodzić za Niemkę. Nawet dobrze znając język, wyglądały wyraźnie na Francuzki. Amadea miała całkowicie teutońską urodę, wyglądała nie tylko na Niemkę, ale na Aryjkę do n-tej potęgi. Podobnie jak oficer, z którym miała współpracować. W połowie Niemiec, nie był jednak Żydem. Jego matka była pruską księżniczką i w młodości zasłynęła jako wielka piękność.

– Kim on jest? – zaciekała się wbrew sobie. Teraz ta misja zaczęła ją intrygować.

– Nosi kodowy pseudonim Apollo. To brytyjski lord.

Wiedziała, że już kiedyś słyszała to imię i może nawet spotkała go osobiście. Ten dźwięk potrafił jakąś strunę w jej pamięci, ale nie potrafiła dopasować do niego twarzy. A potem ją olśniło. Już raz tutaj lądował. Spotkała go razem z Jean-Yves'em. Rupert Montgomery. Jeden z ludzi, którzy stworzyli Kindertransport.

– Znam go.

Serge kiwnął głową. Wiedział o tym.

– On też cię pamięta. Uważa, że pasujecie do siebie. Masz odpowiedni wygląd.

I odpowiednią osobowość. Chociaż sama nie zdawała sobie z tego sprawy, w kryzysowych sytuacjach miała nerwy ze stali i doskonałą orientację. Potwierdzali to wszyscy, którzy z nią pracowali.

Wracali do domu w milczeniu, które przeciągało się bez końca. Zrobiło się chłodno. Nadchodziła wczesna zima. Kiedy dotarli do furki w płocie, Amadea spojrzała na Serge'a z westchnieniem. Miała dług wobec tych ludzi. Może tylko dlatego Bóg tyle razy ją oszczędził – żeby Mu służyła, choćby nawet się bała.

– Zrobię to – powiedziała cicho. – Kiedy on przyleci?

– Wyślę ci wiadomość.

Mówił, że pod koniec tygodnia. Teraz był poniedziałek. Spojrzała na Serge'a zaleknionym wzrokiem. Wiedział, że wiele od niej żądają. Może za wiele. Ale sama się zgodziła. Zgodziła się zapłacić każdą cenę za wolność i zwycięstwo, choćby miała uratować tylko jedno życie.

– Będę czekać – obiecała.

Serge kiwnął głową. Na pułkowniku Montgomerym też zrobiła wrażenie. Zapamiętał jej kodowy pseudonim: Teresa. Stosowali go w wiadomościach i podczas nadawania przez radio. Teraz miała czekać, aż go usłyszy.

– Dziękuję ci. On jest ostrożny. Wie, co robi.

Kiwnęła głową. Postanowiła to zrobić ze względu na żydowskie dzieci, którym pomagał. Teraz ona chciała mu pomóc.

– Idź z Bogiem – pożegnała Serge'a.

Serge uściśnął ją i poszedł do stodoły, gdzie nocował. Amadea sama wróciła do domu. Nie bała się niczego w tej wiejskiej okolicy. Pomimo prowadzonej tu podziemnej działalności czuła się bezpieczna wśród farm. A Niemcy zachowywali się tutaj przyzwoicie, z wyjątkiem akcji odwetowych.

Usłyszała swoje kodowe imię przez krótkofalówkę dwa dni później. Nadano tylko dwa słowa: „Teresa. *Samed*”. Sobota. Co oznaczało piątek. Akcje zawsze przeprowadzono dzień wcześniej, niż zapowiadano. Około północy zaczęły nasłuchiwać i wypatrywać małego samolotu. I jak zawsze, muszą działać szybko.

W piątkową noc Amadea poszła na akcję razem z pozostałą siódmką. Podzielili się na dwie czteroosobowe grupy z latarkami. Potem usłyszeli stłumiony warkot małego lisyndra. Rozproszyli się i włączyli latarki. Samolot nadleciał szybko, wylądował twardo i toczył się przez

chwile. Zanim jeszcze całkiem zahamował, wyskoczyło czterech mężczyzn. Nosili robocze ubrania wieśniaków i wełniane czapki. Samolot wzbił się z powrotem w powietrze po niecałych trzech minutach. Zrzut przeprowadzono bezbłędnie. Po dalszych dwóch minutach miejscowi rozeszli się na swoje farmy. Zabrali ze sobą trzech ludzi, których przywiózł pułkownik Montgomery. Wypełniali inne zadania i mieli się ponownie spotkać dopiero po powrocie do Anglii. Jeszcze tej nocy zamierzali przeniknąć na południe. On jak zwykle pracował sam. Tym razem z Amadea. Bez słowa zaprowadziła go na farmę, gdzie mieszkała. Zabrała go do starego boksu dla konia w głębi obory. Wskazała klapę w podłodze na wypadek, gdyby kogoś usłyszał. Pod podłogą znajdowały się koce i dzbanek z wodą. Następnego dnia mieli pojechać na przedmieścia Paryża, żeby Spotkać się z Serge'em.

Amadea nie odezwała się ani słowem do mężczyzny o pseudonimie „Apollo”, tylko patrzyła na niego i kiwała głową. Zanim odeszła, szepnął do niej:

– Dziękuję.

Dziękował nie tylko za opiekę i ciepłe koce, ale też za jej zgodę na uczestnictwo w misji. Znał jej pochodzenie i wiedział, jakie ryzyko podejmowała. Nie wiedział tylko o Jean-Yvie, co nie miało znaczenia dla ich misji. Należał do brytyjskiej Secret Service, gdzie miał bardzo wysoki stopień. Wiedział też, że Amadea w poprzednim życiu była zakonnica, co go zaintrygowało. Zdawał sobie sprawę, że opuściła klasztor, żeby nie narażać innych sióstr.

Ponownie kiwnęła głową i odeszła do własnego pokoju za kuchnią. Rano przyniosła mu śniadanie. Nosił to samo robocze ubranie co w nocy, jednak wydawał się czysty, wypoczęty i starannie ogolony. I nawet w roboczych łachach wyglądał imponująco. Był równie wysoki jak jej ojciec i równie jasnowłosy jak ona, chociaż teraz blond włosy miał przyprószone siwizną. Niedawno przekroczył czterdziestkę, czyli osiągnął wiek, w którym zginął jej ojciec, i nawet trochę go przypominał, chociaż Antoine był Francuzem, nie Brytyjczykiem. Lecz teraz widziała, dlaczego ten mężczyzna mógł łatwo uchodzić za Niemca. Wyglądał jak idealny przedstawiciel rasy panów. Wyróżniałby się wszędzie, tylko nie w tłumie Niemców. W żadnym razie nie wyglądał na Francuza. A kiedy Amadea przyniosła mu śniadanie, odezwał się do niej po niemiecku. Władał tym językiem równie swobodnie co angielskim, tak jak ona mówiła płynnie po niemiecku i francusku. Znała angielski, ale dość słabo. Tym razem odpowiedziała mu po niemiecku. Zapytała, czy dobrze spał.

– Tak, dziękuję – odparł uprzejmie i zajrzał jej głęboko w oczy.

Zdawał się czegoś tam szukać. Musiał poznać ją lepiej, wyczuwać jej reakcje, jej wzorce zachowania. Skoro mieli występować jako mąż i żona, musiał naprawdę ją znać i porozumiewać się z nią nie tylko słowami.

– Wyjeżdżamy o czwartej po południu – powiedziała cicho, spuszczać oczy pod jego przenikliwym wzrokiem.

– Nie rób tego – pouczył ją. – Znasz mnie. Kochasz mnie. Nie boisz się mnie. Patrzysz mi prosto w oczy. Czujesz się ze mną swobodnie. Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. Mamy



dzieci.

Chciał, żeby opanowała swoją rolę i wczuła się w nią, aż do całkowitej identyfikacji.

– Ile dzieci? – zapytała, podnosząc na niego wzrok, tak jak zażądał.

Mówił całkiem rozsądnie i rozumiała, co próbował osiągnąć. To nie miało z nią nic wspólnego. To była tylko rola do odegrania. Musieli dobrze to zagrać, żeby pozostać przy życiu. Każde potknięcie mogło ich wiele kosztować. To było znacznie trudniejsze i bardziej niebezpieczne niż spotkanie samolotu na polu o północy.

– Dwoje. Dwóch chłopców. Trzy i dwa lata. Po raz pierwszy ich zostawiłaś, odkąd przyszli na świat. Na naszą rocznicę. Miałem w Paryżu sprawy do załatwienia dla Rzeszy, a ty postanowiłaś pojechać ze mną. Mieszkamy w Berlinie. Znasz Berlin? – zapytał z zatroskaną miną.

Gdyby nie знаła, musiałby ją wszystkiego nauczyć. Fotografie, plan miasta, restauracje, sklepy, muzea, ulice, parki, ludzie, kina. Powinna znać Berlin lepiej niż swoje rodzinne miasto.

– Dość dobrze. Siostra mojej matki przeprowadziła się tam, kiedy wyszła za męża. Nie znałam jej. Ale jeździłam tam jako dziecko.

Kiwnął głową. Wiedział, że pochodziła z Kolonii. Znał nawet panieńskie nazwisko jej matki. I imię siostry. I datę ich aresztowania. Wiedział, do jakiej szkoły chodziła, zanim wstąpiła do zakonu. Niewielu rzeczy nie wiedział o Amadei. Ona znała tylko jego nazwisko i kodowy pseudonim, i wiedziała, że pomagał organizować Kindertransport, ale o tym nie wspomniała. Nie nawiązywali przyjaźni, tylko uczyli się swoich ról.

Rozmawiali przez całą drogę do Paryża o rzeczach, które powinna wiedzieć. Prowadził pożyczony samochód. Jego dokumenty były bez zarzutu, podobnie jak francuski. Zgodnie z dokumentami pochodził z Arles, gdzie pracował jako nauczyciel. Ona była jego dziewczyną. Samotny żołnierz, który ich zatrzymał, przepuścił ich machnięciem ręki. Wyglądali na bardzo szacowną parę.

Zostawił samochód tam, gdzie mu kazano, pół kilometra od domu Serge'a. Resztę drogi przeszli piechotą, wciąż rozmawiając. Amadea miała trzy dni, żeby nauczyć się roli. I żeby odpowiednio wyglądać. O to się nie martwił. Miała zadatki na skończoną piękność. W jego oczach bynajmniej nie wyglądała na zakonnice. Zapytał o to w połowie drogi do domu Serge'a.

– Dlaczego wstąpiłaś do zakonu? Czy przeżyłaś zawód miłosny? Uśmiechnęła się na to pytanie. Ludzie zakładali takie dziwne powody, dla których ktoś wstępował do zakonu. To się odbyło dużo mniej dramatycznie, niż podejrzewali, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile miała wtedy lat. Teraz miała dwadzieścia sześć, a on czterdzieści dwa.

– Bynajmniej. Zrobiłam to z miłości do Boga. Miałam powołanie.

Nie musiał pytać, ale ona go zaciekawiła. Okazała się bardzo interesującą młodą kobietą.

– Jesteś żonaty? – zapytała, kiedy szła, trzymając go pod rękę, co należało do roli.

Musiała się do niego przyzwyczaić. Trochę ją onieśmielał, ale jak sam powiedział, powinna czuć się swobodnie w jego towarzystwie. Nie było to łatwe. Pomimo zwyczajnego ubrania nic

nie stracił na autorytecie. A ona знаła jego prawdziwą tożsamość. Mniej więcej.

– Byłem – odpowiedział.

Szli równym krokiem, co mu się podobało. Amadea nie drobiła kroczków jak gejsza, co zawsze go irytowało u niskich kobiet. Działał szybko i skutecznie i łatwo się niecierpliwił. Reszta świata nie zawsze dotrzymywała mu kroku. Amadea tak.

– Moja żona zginęła podczas bombardowania. I dwóch moich synów. Na początku wojny.

Amadea wyczuła w nim napięcie, kiedy to mówił.

– Przykro mi – powiedziała.

Każde z nich kogoś straciło. Zastanawiała się, czy dlatego teraz tak chętnie ryzykował życie. Podobnie jak ona, nie miał nic do stracenia. On robił to dla kraju, ona dla ratowania życia ludzkiego i dla ukrzyżowanego Chrystusa, którego miała poślubić pewnego dnia, kiedy złoży ostateczne śluby. Złożyłaby ostateczne śluby tego lata, gdyby życie toczyło się normalnie. Zamiast tego opuściła klasztor przed ponad dwoma laty. Lecz co roku we właściwym czasie sama odnawiała ślubowania.

Potem dotarli do domu babki Serge'a, gdzie Amadea po raz pierwszy przyjechała z Wolffem, partyzantem, który przywiózł ją z Pragi prawie czternaście miesięcy wcześniej. Ten okres wydawał się wiecznością. Teraz, z tym człowiekiem, znowu wystawiała się na wielkie ryzyko.

Przywitali się z dziadkami Serge'a i już po chwili zeszli schodami ukrytymi w szafie. Znaleźli się w gwarnym pokoju, gdzie Amadea trafiła już wcześniej. To miejsce wyglądało znajomo i przyjaźnie. Rozpoznała niektóre twarze, ale widziała też wiele nowych. Jeden z mężczyzn obsługiwał krótkofalówkę. Jakaś kobieta drukowała ulotki. Inni rozmawiali przy stole. Serge spojrział na nich z zadowoleniem.

– Jakies kłopoty?

Oboje jednocześnie pokręcili głowami, po czym parsknęli śmiechem. Niewiele dotąd żartowali i nawet nie gawędzili swobodnie, z wyjątkiem jego pytania o zakon i jej o żonę. Przez resztę czasu rozmawiali wyłącznie o sprawach związanych z misją.

Po chwili ktoś przyniósł im obiad: gęsty gulasz z królika, po kromce chleba i kubku gorzkiej kawy, którą pili wszyscy. Rozgrzał ich ten pożywny posiłek. W powietrzu wyraźnie czuło się już chłód. Mężczyzna znany jako Apollo wyraźnie był głodny. Nawet Amadea zjadła sporo pysznego gulaszu.

Potem zrobiono im zdjęcia, potrzebne do artystycznie sfalszowanych paszportów i dokumentów podróży. Potrafili wyprodukować niemal wszystko. Serge uważał, że ich niemieckie paszporty i wojskowe dokumenty stanowią szczytowe osiągnięcie w fałszowaniu. Przez długi czas rozmawiał po cichu w kącie z pułkownikiem Montgomerym. Jedną z kobiet zdjęła Amadei miarę, żeby dobrać jej odpowiednią garderobę. Sobie wiadomymi sposobami potrafili zdobyć sportowe suknie i kostiumy oraz eleganckie wieczorowe toalety, pochodzące jeszcze sprzed wojny. Niektórzy z partyzantów mieli krewnych, którzy niegdyś dobrze się ubierali i mieli stare kufrы pełne skarbów. Dysponowali nawet skromnym zapasem biżuterii i

futer.

Wszystko nadeszło w eleganckiej skórzanej walizce dwa dni później, razem z paszportami i dokumentami oraz niezbędnym wojskowym ekwipunkiem dla Apolla. Wyglądał zabójczo w mundurze esesmana, który już wcześniej często nosił. Przymierzyli po kolei ubrania i wszystkie pasowały idealnie. Stanowili wspaniałą parę. Amadea włożyła elegancką szarą wełnianą suknię, całkiem w stylu jej matki, a do tego piękny sznur pereł. Suknia pochodziła od Mainbochera i była w idealnym stanie, podobne jak futro i stylowy czarny kapelusz. Co najbardziej zadziwiające, znaleźli dla niej niemieckie pantofle. Dostała też czarną krokodylową torebkę od Hermesa i czarne zamszowe rękawiczki, również dokładnie w jej rozmiarze. Wyglądała jak dobrze ubrana żona bardzo zamożnego człowieka, za jakiego mógł uchodzić Apollo wcielony w oficera. Prawdziwy oficer, którego nazwisko przybrał, nie żył od dwóch lat. Zginął w wypadku na łodzi podczas przepustki, a przedtem niczym się nie wyróżniał. Potrzebowali tylko jego nazwiska i tożsamości. Nigdy nie był w Paryżu, więc na pewno nikogo tam nie znał. A nawet gdyby miał tam znajomych, przez dwa dni nikt raczej nie zdemaskuje eleganckiej młodej pary.

Pułkownik Montgomery musiał zebrać informacje na spotkaniach urzędników Rzeszy w Paryżu i na zebraniach towarzyskich. Amadea stanowiła jego przykrywkę. Sama też miała zbierać informacje podczas pogawędek z innymi kobietami i tańców z wyższymi oficerami na przyjęciach. Pułkownik Montgomery wynajął pokój w hotelu Crillon z okazji rocznicy, zamówił szampana i róże dla żony. Przepiękny złoty zegarek z brylantami od Cartiera mieli pokazywać jako prezent dla niej na rocznicę. Pomyśleli o każdym szczególe.

– Jesteś bardzo hojny – zauważyła, podziwiając zegarek.

– Tak myślisz? – rzucił Montgomery, bardzo chłodny i brytyjski w mundurze SS. – Osobiście uważam, że to raczej marny prezent. Szczerze mówiąc, zasłużyłaś na dużą brylantową broszkę albo szafirowy naszyjnik, skoro wytrzymałaś ze mną pięć lat. Bardzo łatwo cię zadowolić.

– Rzadko widujemy takie rzeczy w klasztorze. – Uśmiechnęła się do niego. W szarej wełnianej sukni i futrze ciągle czuła się jak własna matka. Zdjęła futro i powiesiła starannie. Matka nigdy nie nosiła futer, dopóki nie umarł ojciec Amadei. Zanim dostały po nim spadek, który przyszedł w ostatniej chwili, nie mogły sobie pozwolić na zbytki. Potem matka zawsze kupowała sobie jedno porządne futro, ale nie więcej. I krótkie futerka dla dziewczynek, kiedy dostatecznie podrosły, żeby je nosić. Amadea nie widziała futer od lat.

– Może powinienem ci podarować różaniec na rocznicę – żartował dalej pułkownik Montgomery.

Tym razem otwarcie parsknęła śmiechem.

– Bardzo chętnie. – A potem przypomniała sobie coś, czego zawsze pragnęła. – Czy możemy pójść do Notre Dame?

Po raz pierwszy zwróciła się do niego jak żona, więc zrobił zadowoloną minę.

– Chyba można to załatwić.

Chciał też zabrać ją na zakupy, a przynajmniej udawać. Zaopatrzyli go na wyjazd w znaczną sumę niemieckich pieniędzy. Czekwały ich rozrzutne dwa dni, stosownie dla człowieka z jego pozycją oraz jego ślicznej młodej żony.

– Umiesz tańczyć? – zapytał ją nagle.

Zupełnie o tym zapomniał. Skoro poszła do klasztoru w tak młodym wieku, mógł podejrzewać, że nigdy się nie nauczyła.

– Kiedyś tańczyłam. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

– W takim razie nie będziemy tańczyć więcej, niż trzeba. Moja żona zawsze twierdziła, że tańczę jak słoń. Podepczę ci stopy i zniszczą te wytworne pantofelki.

Które oczywiście musiała zwrócić temu, kto jej pożyczył.

Przez następne trzy dni przekazali sobie jak najwięcej informacji. Montgomery odbywał długie spotkania z Serge'em. Miał zebrać dane o nowych bombach, które konstruowali naziści, nie tyle techniczne szczegóły o samych bombach, chociaż zawsze były one mile widziane, ile plany fabryki, liczbę zatrudnionych pracowników, położenie magazynów na gotowe bomby oraz nazwiska osób kierujących tym przedsięwzięciem. Projekt pozostawał jeszcze na wczesnym etapie, ale Brytyjczycy już wiedzieli, że będzie miał ogromny wpływ na losy wojny. Przez następne dwa dni Montgomery musiał tylko nawiązać kontakty. Ta misja oznaczała dla niego wielkie ryzyko. Gdyby go zbyt dobrze zapamiętano, naraziłby się na zdemaskowanie podczas następnych misji, ale nie mogli wysłać nikogo innego. Jego działalność miała podstawowe znaczenie dla wysiłku wojennego.

Wezwano taksówkę i dwoje szpiegów wyruszyło do Crillonu z dwiema eleganckimi walizkami, zawierającymi wszystkie niezbędne rzeczy. Dokumenty mieli w największym porządku. Fryzura i makijaż Amadei prezentowały się nienagannie. Upięła długie blond włosy w schludny kok i wyglądała bardzo stylowo w modnym stroju. Oboje wywarli piorunujące wrażenie, kiedy weszli do hotelu.

Kilka minut później Amadea wytrzeszczyła oczy, kiedy zobaczyła ich pokój. Zmusiła się, żeby klasnąć w ręce, wykrzyknąć z zachwytu i pocałować męża. Lecz kiedy boy wyszedł, miała łzy w oczach. Nie widziała niczego podobnego, odkąd wstąpiła do klasztoru osiem i pół roku wcześniej. To jej przypomniało o matce. – Nic z tych rzeczy – powiedział do niej po niemiecku. Poszli do Notre Dame, potem do Cartiera, który robił bajeczne interesy na niemieckich oficerach i ich kochankach. Zabrał ją na lunch do Maxima, a wieczorem poszli na przyjęcie w niemieckiej kwaterze głównej. Amadea wyglądała olśniewająco w białej satynowej sukni wieczorowej i cieniutkim brylantowym naszyjniku, w długich białych rękawiczkach z kozłej skóry i sandałkach naszywanych strasem. Mąż wydawał się ogromnie z niej dumny. Prawie każdy obecny na sali młody oficer porywał ją do tańca, a mąż tymczasem gawędził przyjaźnie o nowych planach uzbrojenia i jakie to wyzwanie zrealizować je na czas. Zdobył wszystkie informacje, których potrzebował. Drugiego wieczoru uczestniczyli w niewielkim proszonym obiedzie w domu *Kommandanta*, którego żona od razu bardzo polubiła Amadeę, a kiedy trochę

się upiła i zrobiła się bardzo niedyskretna, opowiedziała nowej przyjaciółce o wszystkim, co robił jej mąż, i kazała jej obiecać, że wkrótce znowu przyjedzie do Paryża. Oboje z miejsca podbili towarzystwo. Zanim wrócili do Crillonu na drugą noc, Amadea zaproponowała nieśmiało, żeby natychmiast wracali do Serge'a, ale pułkownik Montgomery oświadczył, że muszą to rozegrać do końca i poczekać do rana.

Podobnie jak poprzedniej nocy, spali w jednym łóżku, ona w satynowej brzoskwiniowej koszulce nocnej wykończonej kremową koronką, on w jedwabnej piżamie, za krótkiej, ale tylko ona o tym wiedziała. Leżeli obok siebie, omawiając szeptem rzeczy, które usłyszeli tego wieczoru. On wysłuchiwał jej sprawozdania z wielkim zadowoleniem, ponieważ zebrała dla niego pewne ważne informacje. Dyskutując o tych sprawach, równie dobrze mogli siedzieć w biurze, ubrani w mundury. Piżama i koszula nocna nic dla nich nie znaczyły. Działali jako agenci rządu brytyjskiego i wykonywali tylko swoją pracę. Nic więcej.

Prawie nie spali tej nocy. Amadea nie mogła się doczekać wyjazdu. Ani na chwilę nie zapominała o ryzyku, jakie podejmowali, i pomimo wszelkich luksusów chciała tylko wrócić jak najszybciej na farmę w Melun.

– Nie tak szybko – skarcił ją, jak zawsze po niemiecku. – To nasza rocznica. Spędzamy wakacje w Paryżu. Nie chcesz wyjeżdżać. Cieszysz się, że jesteś tu ze mną, z dala od dzieci. Jesteś cudowną matką, ale jeszcze lepszą żoną.

I nawet jeszcze lepszą agentką, jak się zorientował. Przez całe dwa dni stanowiła dla niego nieocenioną pomoc i miał nadzieję współpracować z nią w przyszłości. Wykazała się błyskotliwością, o jaką sama się nie podejrzewała.

– Nawiasem mówiąc, okłamałaś mnie – powiedział przy śniadaniu w hotelowym apartamencie.

Oboje byli już ubrani i spakowani. Kiedy wstali, on umyślnie zburzył pościel na łóżku. Spojrzała na niego pytająco.

– Spędziliśmy bajeczną noc namiętności – wyjaśnił z kpiarskim uśmiechem.

Przez całą noc leżeli tak sztywno i daleko od siebie, że prawie nie pognięli prześcieradeł, zupełnie jakby w łóżku spoczywały dwa trupy. Teraz, po jego zabiegach, łóżko było porządnie skotłowane. Amadea parsknęła śmiechem.

– W czym cię okłamałam?

Dziwne, ale czuła się swobodnie, rozmawiając z nim po niemiecku, chociaż nie mówiła w tym języku od dwóch lat. Czuła się tak, jakby wróciła do domu.

– Cudownie tańczysz. Widziałem, jak kręcisz się po całej sali i flirtujesz ze wszystkimi. Byłem okropnie zazdrosny – droczył się z nią.

– Naprawdę flirtowałam? – przeraziła się Amadea.

Nie miała takiego zamiaru. Próbowwała tylko być miłą i czarującą. Czyżby źle się zachowywała?

– Nie bardziej, niż powinnaś, bo inaczej musiałbym ci zrobić scenę zazdrości. Wybaczam ci.

Również twoje kłamstwo.

W rzeczywistości widział raz czy dwa, jak tańczyła, i zwrócił uwagę na jej wdzięk i lekkie ruchy. Świetnie sobie radziła jak na karmelitankę.

Wymeldowali się z hotelu, wezwali taksówkę i pojechali na dworzec. Stamtąd wzięli drugą taksówkę, pojechali do domu Serge'a i po godzinie od opuszczenia Crillonu znaleźli się z powrotem w piwnicy. Amadea zdjęła kapelusz, usiadła i odetchnęła głęboko. Wyczerpało ją napięcie ostatnich dwóch dni. W każdej sekundzie czuła przerażenie, chociaż tego nie okazywała. Ale zdarzały się też przyjemne chwile. Zwłaszcza w Notre Dame.

Pułkownik Montgomery powiedział Serge'owi, że nigdy jeszcze nie przeprowadził równie udanej misji i uważa ją za wielki sukces. Oświadczył, że Amadea bezbłędnie odegrała żonę oficera SS i samodzielnie zdobyła sporo informacji. Serge również się ucieszył.

– Kiedy wracamy? – zapytała Amadea pułkownika ze znużonym uśmiechem.

Przebrała się już we własne rzeczy i czuła się trochę jak Kopciuszek o północy. Z przyjemnością nosiła piękne stroje i mieszkała w Crillonie, ale przez cały czas pamiętała o groźbie deportacji. Przywykła do codziennego ryzyka, mieszkając w Melun. Teraz narażała się dużo, dużo bardziej.

Pułkownik także zrzucił już mundur SS i oboje oddali Serge'owi dokumenty. Pasporty i papiery dało się wykorzystać ponownie po artystycznych przeróbkach i z nowymi fotografiami. Serge zwrócił im dawne dokumenty na nazwiska Amelie Dumas i nauczyciela z Arles. Oboje wiedzieli, że prowadzą niebezpieczną grę, ale oboje grali po mistrzowsku.

– Nie jesteś głodna? – zapytał półgłosem pułkownik.

Uśmiechnęła się do niego. Przez dwa dni rozmawiali ze sobą jak mąż z żoną i zdążyli się przyzwyczaić.

– Nie bardzo. Zjem na miejscu. Kiedy wyjeżdżamy?

– Za dwie godziny.

Najpierw chciał przekazać przez radio do Anglii kilka zakodowanych informacji.

Opuścili dom Serge'a bez ceremonii i ruszyli do Melun pożyczonym samochodem, jak poprzednio. Tym razem jednak czuli się całkowicie swobodnie ze sobą. Naprawdę wyglądali jak małżeństwo. Nawet spali ze sobą przez dwie noce, chociaż tylko jak brat z siostrą. On wciąż pamiętał ją w jedwabnej brzoskwińowej koszulce nocnej, a ona zapamiętała go w przykrótkiej piżamie. Był wysokim mężczyzną i niełatwo mu było dobrać spodnie dostatecznej długości.

– Dobrze się spisałaś – pochwalił ją w drodze powrotnej. – Bardzo dobrze. Wykonałaś dobrą robotę.

– Dziękuję, pułkowniku – rzuciła; już jej nie onieśmielał.

– Możesz mi mówić Rupert.

Z powrotem przeszli na francuski, żeby przez pomyłkę nie odezwać się po niemiecku, gdyby ich zatrzymano.

– Wiesz, mówisz po niemiecku przez sen – powiedział do niej z uśmiechem. – To cecha

agenta doskonałego. Mówi przez sen w języku misji, którą wykonuje.

Amadea trochę się pogubiła, rozmawiając z nim znowu po francusku.

– Lubię do ciebie mówić po niemiecku – przyznała. – To brzmi okropnie w naszych czasach. Ale niemiecki przypomina mi dzieciństwo. Dawno nie mówiłam w tym języku.

Nie używała niemieckiego od przyjazdu do Francji.

– Twój francuski jest doskonały. Podobnie jak twój angielski – zauważył z podziwem.

– Tak samo twój.

Oboje mieli niemieckie matki, więc nic dziwnego, że traktowali niemiecki jak swój ojczysty język. Chociaż on dorastał w Anglii, z angielskim ojcem, a ją wychował francuski ojciec w Niemczech.

– Chciałbym znowu z tobą pracować – oznajmił po prostu.

– Nie wiem, czy mam dosyć odwagi do takich misji – odparła po francusku. – Nie na poziomie, na jakim ty działasz. Ciągle czekam, że gestapo zapuka do drzwi i mnie deportuje.

– To by było przykre – stwierdził sucho. – Cieszę się, że do tego nie doszło.

– Ja też – przyznała otrzeźwiona. Praca z nim stanowiła interesujące doświadczenie. – Wiesz, już dawno chciałam ci powiedzieć, jak bardzo podziwiam twoją działalność w Kindertransport. Zrobiłeś wspaniałą rzecz.

– To było cudowne. Cieszę się, że aż tyle dzieci zdołaliśmy wywieźć. Sam mam w domu dwanaścioro.

Powiedział to takim tonem, jakby informował, że ma w domu radio albo ozdobną roślinę. Jakby zakładał, że to nic nadzwyczajnego przyjąć do domu tuzin przybranych dzieci, bo przecież tak je traktował. Wszystkie miały rodziców, przynajmniej kiedy wyjeżdżały z Niemiec. Te dzieci, których rodzice przeżyją wojnę, pewnego dnia wrócą. Podjął już decyzję, że zaadoptuje pozostałe, z czego się zwierzył Amadei. Był wyjątkowym człowiekiem. Przekonała się o tym przez ostatnie dwa dni. Nawet w krańcowo stresującej sytuacji pozostał miły, uprzejmy, troskliwy i pełen szacunku. Nieustannie groziło mu zdemaskowanie i aresztowanie, tak jak Amadei. Prawdopodobnie zostałyby zastrzelony, gdyby ich złapano.

– Tuzin dzieciaków w domu to nie byle co.

– Nie narzekam na brak rozrywek – przyznał z uśmiechem. Dzięki nim łatwiej znosił żalobę po stracie synów i żony, chociaż nie mogły ich zastąpić. Ale rozgrzewały mu serce. – To wspaniałe dzieci. Rozmawiam z nimi też po niemiecku. Mam ośmiu chłopców i cztery dziewczynki w wieku od pięciu do piętnastu lat. Najmłodsza miała sześć miesięcy, kiedy ją wsadzono do pociągu. Przyjechała z siostrą. Dwóch starszych chłopców to bliźniaki. Niektóre rodziny w Anglii chciały tylko jedno albo dwoje dzieci, chociaż czasami rodzeństwo było liczniejsze... staraliśmy się nie rozdzielać rodzin. Zdarzało się, że musieliśmy ponownie przenosić dzieci, ale dla większości udało się znaleźć domy. Czasami strasznie tęsknią, biedactwa. Tylko nie moja najmłodsza. Nie pamięta żadnej innej rodziny oprócz mnie i pozostałych kinderków. To mała lisczka. Ma jasnorude włosy i piegi.

Uśmiechnął się przy tym opisie i Amadea widziała po jego oczach, że kocha je wszystkie. Domyślała się, że był dobrym ojcem, dopóki jego synowie żyli.

Dotarli do Melun tuż po zmroku i ciotka Jean-Yves'a ugotowała im obiad. Nie pytała, gdzie byli i co robili, a oni nie wspominali o Paryżu. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że był obcym agentem, i to kimś ważnym. Spokojnie zjedli obiad, gawędząc o farmie i o pogodzie. Później Amadea i Rupert siedzieli w stodole i rozmawiali cicho, dopóki nie nadeszła pora jego wyjazdu.

– Dziwne, ale dobrze się z tobą bawiłem – powiedział przyjaźnie. – Tęsknisz za klasztorem?

Nadal budziła w nim ciekawość. Stanowiła interesującą mieszkankę wielu cech. Światowa, niewinna, piękna, skromna, dzielna, nieśmiała, inteligentna i całkowicie pozbawiona pretensji. Po trosze rozumiał, dlaczego nadawała się na zakonnicę, chociaż nadal uważał to za okropne marnotrawstwo. Ciągle pamiętał, jak zabójczo wyglądała w białej sukni wieczorowej i w brzoskwińowym negliżu. Nigdy nie wiązał się z żadnymi agentkami. Musiał unikać niebezpiecznych komplikacji. To była praca, nic więcej. I chodziło o ludzkie życie.

– Tak, tęsknię – przyznała Amadea poważnie. – Przez cały czas. Wrócę tam po wojnie – zapewniła.

Uwierzył jej. Miał przecucie, że ona osiągnie swój cel.

– Zarezerwuj dla mnie taniec, zanim wrócisz – zażartował. – Powinnaś mnie trochę podszkolić.

Około jedenastej trzydzieści poszli na pole i spotkali innych. Samolot przyleciał po niego o czasie, tuż po północy. Mężczyźni, z którymi przyleciał do Francji, wypełniali jeszcze inne misje. Samolot wylądował, a on odwrócił się do Amadei i jeszcze raz jej podziękował.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała poprzez mruczenie silnika. – Uważaj na siebie.

– Ty też.

Dotknął jej ramienia, zsalutował, a potem wskoczył do lysandra, jak tylko samolot się zatrzymał. Wystartowali ponownie po niecałych trzech minutach. Amadea odprowadzała wzrokiem maleńki samolot i przez chwilę zdawało jej się, że Rupert do niej macha. Potem odwróciła się i poszła na farmę.



## Rozdział 23

Amadea nie miała żadnych wiadomości od Serge'a przez następne dwa tygodnie. Dopiero przed Bożym Narodzeniem znowu ją odwiedził. Jak zawsze uczestniczyła w miejscowych akcjach. Dwukrotnie uratowała ludzi zrzuconych na spadochronach, którzy odnieśli obrażenia podczas skoku. Za drugim razem wdrapała się na chwiejne drzewo, odcięła pechowego skoczka i pielęgnowała go przez kilka tygodni. Jej altruizm i bohaterstwo słynęły w okolicy. Dwaj mężczyźni, których uratowała, byli Brytyjczykami, a ten, którego odcięła z drzewa, przysięgał, że odwiedzi japo wojnie. Uważał ją za anioła miłosierdzia. Bez wątpienia uratowała mu życie.

Przed świętami powróciły do niej smutne wspomnienia o Jean-Yvie – poprzednie świętą spędzili razem. Teraz jednak silniej niż kiedykolwiek czuła religijne powołanie. Zastanawiała się, czy nie dlatego Jean-Yves wkroczył w jej życie. Wiedziała, że z czasem pozna wszystkie tajemnice.

Tym razem, kiedy Serge się pojawił, nawet on wahał się, czyją obarczać kolejną misją. Pułkownik Montgomery osobiście poprosił o Amadeę. Oczywiście wybór należał do niej.

Budowa fabryki bomb w Niemczech szybko postępowała naprzód. Szybciej, niż się spodziewali Brytyjczycy. Pułkownik potrzebował teraz technicznych szczegółów, których nie uzyskał w Paryżu. Chciał, żeby Amadea znowu przebrała się za jego żonę, tym razem inną żonę innego oficera. Największe ryzyko wiązało się z koniecznością przeprowadzenia misji w Niemczech.

Musieli bezpiecznie wjechać i wyjechać, co stanowiło nie lada wyczyn. Każde z nich mogło zginąć, a gdyby Amadea uniknęła śmierci, zostałaby na pewno deportowana. Tym razem Serge nawet jej nie namawiał, przeciwnie, zniechęcał ją do wyjazdu. Musiał przekazać jej wiadomość, ale nic więcej.

– Szczerze mówiąc, uważam, że nie powinnaś się zgodzić.

Słuchając jego argumentów, sama przyznawała mu rację. Dał jej dwa dni do namysłu.

Nie chciała jechać, ale przez następne dwie noce nie mogła spać. Myślała tylko o twarzach, które widziała i zapamiętała w Theresienstadt. Zastanawiała się, ilu z tych ludzi jeszcze żyje. Jej matka i siostra w Ravensbruck. Rodzina jej matki w Dachau. Jeśli nikt nie wykona tych misji, oni tam zostaną na zawsze. W końcu zginą wszyscy Żydzi w Niemczech i w okupowanych krajach. Przypomniała sobie, co jej powiedział jeden ze współwięźniów w Theresienstadt, stary człowiek, który umarł na miesiąc przed jej ucieczką. Powiedział: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat”. Te słowa pochodziły z Talmudu i nigdy ich nie zapomniała. Jak mogła teraz odwrócić się do nich plecami, kiedy miała szansę coś zmienić, nawet gdyby to oznaczało ponowną deportację? Tego nie chciała za nic w świecie. Ale teraz mogła za nich walczyć. Czyż miała inny wybór? Zapytała siebie, jaki wybór miał Chrystus postawiony przed krzyżem.

Tego wieczoru wysłała przez radio wiadomość do Serge'a. Tylko dwa słowa: „Tak. Teresa”. Wiedziała, że zrozumie i przekaże wiadomość pułkownikowi.

Następnego dnia otrzymała instrukcje. Tym razem pułkownik przylatywał na wschód. Musiała tam pojechać i nawiązać kontakt z miejscową komórką ruchu oporu. Dostanie od nich dokumenty i wszelkie potrzebne ubrania. Była zima i nie czekał ich „rocznicowy weekend” w hotelu Crillon w Paryżu. Nie potrzebowała żadnych wymyślnych strojów, tylko podstawowe rzeczy.

Wyjechała pod osłoną nocy i rano dotarła do Nancy. Tej samej nocy pułkownik Montgomery wylądował na polu. Tym razem skoczył ze spadochronem. Spodziewano się ich w Niemczech za pięć dni. Na widok Amadei uśmiechnął się szeroko.

– No, siostrze, co tam słyhać?

– Dziękuję, dobrze, pułkowniku. Miło cię znowu widzieć. Przywitali się życzliwie i z szacunkiem, jak starzy przyjaciele. Podziwiał ją, że zgodziła się przyjąć tę misję, chociaż dobrze wiedziała, co jej grozi. Miał wyrzuty sumienia, że ją w to wciągnął, jednak potrzebował jej, podobnie jak Anglia. Cieszył się, że ona z nim pojedzie.

Dostali dokumenty i wieczorem pułkownik udzielił jej instrukcji. Siedzieli rozmawiali aż do świtu. Tym razem sprawa była skomplikowana. Potrzebował jej pomocy przy zbieraniu informacji i robieniu zdjęć. W tym celu wręczył jej małe aparat fotograficzny, do schowania w przegródce torebki. Ponownie włożył mundur esesmana i rano wsiedli w pociąg do Niemiec. Tak jak poprzednio rozmawiał z nią po niemiecku, żeby nie popełnili pomyłki w trakcie wypełniania misji. Niemiecki musiał wejść im w nawyk, jak wtedy w Paryżu. I znowu cieszyła się, że rozmawia z nim w tym języku. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że ta misja zapowiada się na jeszcze delikatniejszą od poprzedniej.

Wsiadając do pociągu, wyglądali blado i mizernie, jak wszyscy tej zimy. Gawędzili jednak wesoło, kiedy pociąg odjeżdżał ze stacji. Po chwili Amadea zasnęła z głową na jego ramieniu. Naprawdę była wyczerpana. On czytał, dopóki spała, a kiedy się obudziła, wyglądała już lepiej. Jechali do Salza Thuringen i zatrzymali się w hotelu, gdzie zakwaterowano oficerów z żonami. Hotel nie umywał się do Grillami, ale dostali całkiem przyjemny pokój. Recepcjonista przeproszał, że w pokoju są dwa wąskie łóżka zamiast jednego szerokiego. Przed Bożym Narodzeniem mnóstwo żon przyjechało w odwiedziny do mężów. Rupert zapewnił, że nic nie szkodzi, nie są w podróży poślubnej, i wszyscy troje się roześmieli. Kiedy weszli do pokoju, zobaczył, że Amadea odetchnęła z ulgą. Tym razem agenci z ruchu oporu zaopatrzyli ją w ciepłą flanelową koszulę nocną. Ta podróż była dużo mniej romantyczna i nieskończenie bardziej niebezpieczna. Rupert wcielił się w oficera SS, który nigdy nie istniał. Nazwisko i papiery miał całkowicie fikcyjne, podobnie jak ona. Zgodzili się, że spokojnie może się przyznawać, że pochodzi z Kolonii. W ten sposób nie będzie popełniała błędów. Zresztą wiele rejestrów zostało zniszczonych podczas zeszłorocznych bombardowań, w czterdziestym drugim. Dzięki temu ułatwi sobie zadanie i nie będzie musiała tak się pilnować podczas pogawędek z oficerami i ich żonami.

Dwa razy poszli wieczorem na uroczysty obiad do gestapo. Jednak przez większość czasu

Rupert pracował. Raz wybrała się z nim na zwiedzanie fabryki. Naziści byli bardzo dumni ze swoich dokonań. Amadea zapamiętała wszystko, co zobaczyła, i zapisała to wieczorem.

Podczas całego pobytu bez przerwy towarzyszyło im napięcie. Czwartego dnia Rupert powiedział cicho, kiedy poszli spać, że zakończył robotę. Wszystko się udało, wyjeżdżali rano. Lecz Amadea przez całą noc nie zmrużyła oka. Dręczył ją niepokój, który nie ustąpił nawet w pociągu. Milczała podczas podróży przez Niemcy. Doznała jakiegoś dziwnego przeczucia, ale nie odważyła się o tym powiedzieć Rupertowi. Nie miało sensu go denerwować. Oboje wiedzieli, że wypełnili niezwykle zuchwałą i trudną misję.

W drodze przez Niemcy często sprawdzano im dokumenty. Na ostatniej stacji dwaj młodzi żołnierze marudzili z tym bez końca. Znajdowali się już blisko granicy i Amadea przeczuwała, że coś się stanie. Ale jeszcze raz zwrócono im paszporty i pociąg ruszył dalej.

Rupert uśmiechnął się do niej, kiedy odjeżdżali. A rano ponownie znaleźli się we Francji. Jechali do Paryża, a stamtąd wracali do Melun. Według dokumentów Rupert stacjonował w kwaterze głównej SS w Paryżu. Zamierzali pojechać do Serge'a, skąd Rupert mógł nadać radiowy meldunek do Anglii, a potem do Melun, skąd miał odlecieć. Pozostał tydzień do Gwiazdki.

Przechodzili spieszenie przez dworzec w Paryżu, kiedy jakiś oficer SS chwycił Ruperta za ramię i wykrzyknął jego nazwisko. Wymienił jednak nazwisko oficera, w którego Rupert wcielił się przed trzema miesiącami, nie obecne. Możliwe konsekwencje tego spotkania wstrząsnęły Amadea do głębi. Lecz dwaj mężczyźni tylko życzyli sobie nawzajem powodzenia i wesołych świąt. Amadea i Rupert spokojnie wyszli z dworca i przywołali taksówkę. Pojechali do małej kawiarenki, skąd mieli przejść na piechotę do domu Serge'a. Kiedy usiedli w kawiarni i zamówili dostępną namiastkę kawy, Amadea miała szarą twarz.

– Wszystko w porządku – zapewnił Rupert, patrząc jej w oczy, żeby ją uspokoić.

Znowu zwracał się do niej po francusku. Istny cud, pomyślał, że wszystko im się udało od początku do końca.

– Stanowczo nie nadaję się do tego – powiedziała cicho, przeproszającym tonem.

Przez cały dzień mdliło ją ze strachu. On też wyglądał na zmęczonego. Wyprawa stanowiła straszliwy wysiłek, ale też ogromny sukces.

– Jesteś w tym lepsza, niż myślisz. Prawie za dobra.

Tak przekonująco odgrywała żonę oficera SS, że zaczynał się obawiać, czy nie podejmie się dalszych zadań. Uważał, że nie powinna. Nie można ciągle ryzykować życie. Sam zawsze mówił, że miał co najmniej dziesięć żywotów. Ona jednak była młoda, dlatego wydawała się jakoś bardziej narażona. W wieku czterdziestu dwóch lat uważał, że ma już życie poza sobą. Po śmierci żony i synów nikt nie tęskniłby za nim, gdyby zginął, oprócz jego kinderków. Robił to, co robił, żeby odplacić Niemcom za żonę i synów, a także w służbie królowi.

Poszli do domu dziadków Serge'a, złożyli raport, wymienili dokumenty. Rupert przez kilka godzin korzystał z radia, zmieniając częstotliwości co piętnaście minut, żeby Niemcy ich nie

namierzyli, i słuchał, co się dzieje we Francji. Przed wyjazdem załatwili wszystko i Amadea doszła do wniosku, że jej złe przeczucia nie miały podstaw. Wszystko szło gładko jak po maśle.

Wieczorem wyruszyli do Melun i zajechali na farmę, zanim zrobiło się zbyt późno. Amadea posiedziała z nim w stodole jak poprzednim razem, a po północy odprowadziła go na pole. Prószył lekki śnieg, na ziemi leżał szron. Amadea trzymała go pod rękę, żeby się nie pośliznął na spłachetkach lodu, a on kilka razy ją podtrzymał. Czuli się całkiem swobodnie ze sobą, jakby naprawdę byli małżeństwem albo przynajmniej bliskimi krewnymi. Czekali w kępie drzew na samolot. Wszystko przebiegało rutynowo. Trudno było uwierzyć, że jeszcze wczorajszego wieczoru byli w Niemczech, gdzie spędzili prawie cały tydzień. Amadea już się nie przejmowała Bożym Narodzeniem. Przeżyli i tylko to się liczyło.

Tej nocy samolot przyleciał tuż przed pierwszą. Długo czekali na dojmującym zimnie. Miała zgrabiałe ręce, kiedy uścisnęła dłoń Ruperta, życząc mu wesołych świąt i szczęśliwej podróży. Tym razem nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Jak zwykle byłaś wspaniała... Mam nadzieję, że miło spędzisz święta.

– Na pewno. – Uśmiechnęła się do niego. – Wciąż żyję i nie jestem w Oświęcimiu. Życzę radosnej Gwiazdki z twoimi kinderkami.

Poklepał ją po ramieniu i razem patrzyli, jak inni dają sygnały samolotowi. Tej nocy nie potrzebowali Amadei. Przyszła tylko odprowadzić Ruperta, jak każda oddana żona odprowadza męża na lotnisko. Stała pomiędzy drzewami i patrzyła, jak Rupert biegnie przez pole do czekającego lysandra. Wtedy huknął strzał. Rupert zgiął się wpół na chwilę i zobaczyła, że chwycił się za ramię. Potem pobiegł dalej. Rozległy się następne strzały. Zobaczyła, że dwaj ludzie z latarkami upadli, a wiązki światła celują prosto w niebo. Schowała się głębiej w krzakach. Nie mogła im pomóc. Nawet nie miała broni. Widziała jednak, że Rupert został ranny. W kilka sekund wciągnięto go do samolotu, który wystartował jeszcze z otwartymi drzwiami. Pozostali członkowie ruchu oporu przebiegli przez pole i zniknęli, wlokąc za sobą dwóch rannych. Wkrótce wokół zaroilo się od żołnierzy. Amadea wiedziała, że będą odwiedzać wszystkie okoliczne farmy. Nastąpią akcje odwetowe, a może nie, skoro żaden Niemiec nie ucierpiał, tylko Rupert.

Żołnierze ruszyli w pościg za uciekającymi konspiratorami, a Amadea pobiegła jak najszybciej do domu. Wpadła do swojego pokoju, zdarła z siebie ubranie i wskoczyła do łóżka w koszuli nocnej, rozcierając z całej siły twarz i ręce, żeby się rozgrzać. Ale w pokoju i tak panował lodowaty chłód.

Ku jej zdziwieniu wcale nie przyszli. Nie mogła uwierzyć, że mieli takie szczęście. Wypełnili misję, wydostali się z Niemiec i przeżyli zasadzkę na lądowisku. Przypomniała sobie złe przeczucia, które ją dręczyły od ostatniej nocy w Niemczech, i nabrała znów szacunku dla własnej intuicji.

Dwaj młodzi członkowie ruchu oporu zmarli z odniesionych ran, byli dawnymi przyjaciółmi Jean-Yves'a. Następnego dnia Serge odebrał przez krótkofalówkę wiadomość od Brytyjczyków.

Apollo wylądował z draśniętym skrzydłem, ale nic poważnego, i gorące podziękowania dla Teresy. Serge sumiennie przekazał wiadomość. I ku ogólnemu zadowoleniu święta upływały spokojnie.

## Rozdział 24

Zimą 1943 roku w całej Europie kontynuowano systematyczną eksterminację Żydów. Prawie pięć tysięcy ludzi dziennie ginęło od gazu w Oświęcimiu. Do sierpnia poprzedniego roku zabito w Treblince osiemset pięćdziesiąt tysięcy. Do października dwieście pięćdziesiąt tysięcy zamordowano w Sobiborze. W listopadzie zgładzono czterdzieści dwa tysiące polskich Żydów. Żydów z Wiednia wysłano do Oświęcimia w grudniu. Przeprowadzano teraz masowe deportacje z Theresienstadt do Oświęcimia. W całej Europie równano z ziemią liczne getta.

W marcu 1944 roku naziści wzięli na cel siedemset dwadzieścia pięć tysięcy węgierskich Żydów. W kwietniu nachodzili francuskie domy, szukając żydowskich dzieci. Tragedią poprzedniego roku było aresztowanie w Lyonie Jeana Moulina – jednego ze sławnych przywódców Resistance.

Na wiosnę czterdziestego czwartego Serge i wszyscy inni w Resistance wiedzieli, że alianci nadchodzą. Pozostawało pytanie: kiedy i jak prędko. Niemcy prześladowali wszystkich. Ruch oporu miał osłabiać na wszelkie możliwe sposoby ich siłę bojową, żeby nie zdołali powstrzymać aliantów.

Amadea podejrzewała, że Rupert też się tym zajmuje. Nie słyszała o nim od czterech miesięcy, od czasu grudniowej misji w Niemczech. Zresztą nie miał powodu, żeby się z nią kontaktować. Czasami myślała o nim i o jego kinderkach, z nadzieją, że są zdrowe i bezpieczne w Anglii.

W marcu chodziła na akcje coraz częściej. Pogoda się poprawiła i łatwiej było się poruszać niż w zimie. Została dowódcą grupy i wiele decyzji spadło na jej barki, choćby ta o wysadzeniu pociągu.

Robili już takie rzeczy, choć często wywoływały one groźne akcje odwetowe ze strony Niemców, ale dostali polecenie z Paryża, żeby koniecznie spowolnić ruch pociągów. Wysadzenie w powietrze pociągu i torów na wschód od Orleanu wydawało się dobrym posunięciem, chociaż niebezpiecznym dla wszystkich.

Przypadkowo akcję zaplanowano na noc dwudziestych siódmych urodzin Amadei. Nikt nie wiedział, a dla niej to nie miało znaczenia. Urodziny i święta przestały się liczyć. I tak zawsze napełniały ją smutkiem. Wołała już robić coś pożytecznego, zwłaszcza jeśli to mogło zaszkodzić Niemcom.

Tej nocy w akcji brało udział dwadzieścia osób: dwunastu mężczyzn i osiem kobiet. Niektórzy byli miejscowi, pozostali przybyli z okolicznych ugrupowań. Jeden z mężczyzn pracował dawniej dla Jeana Moulina i wyjechał z Lyonu przed rokiem, kiedy Moulina aresztowano. Co zrozumiałe, Amadea uznała, że jest doskonale wyszkolony. Leżąc na ziemi w ciemnościach i czekając, aż przejdą strażnicy, ciągle myślała, jak trudno nawet jej samej uwierzyć, że kiedyś była zakonnica. Teraz oliwiła broń, podkładała materiały wybuchowe, niszczyła mienie i robiła wszystko, żeby osłabić i sparaliżować wroga, który okupował Francję.

Nadal zamierzała wrócić do klasztoru, czasami jednak się zastanawiała, czy siostry albo nawet Bóg wybaczą jej wszystko, co uczyniła. Lecz z tym większą determinacją wypełniała swoje obowiązki. Dopóki wojna trwała, Amadea czuła, że nie ma wyboru.

Osobiście pomagała rozmieścić ładunki wzdłuż torów. Robiła już takie rzeczy i wiedziała, jakiej ilości materiałów wybuchowych użyć. Jak zawsze przy tej robocie, przypomniawszy sobie Jean-Yves'a. I jak zawsze zachowywała ostrożność. Podpaliwszy lont, chciała uciekać, ale właśnie zbliżył się niemiecki wartownik. Wiedziała, że za kilka sekund Niemiec zostanie rozerwany na strzępy, podobnie jak ona sama, jeśli się nie ruszy z miejsca. Zamiast wracać do kryjówki pozostałych zamachowców, musiała uciekać w przeciwną stronę, jak najdalej od nich. Właśnie poderwała się do biegu, kiedy nastąpiła pierwsza eksplozja. Niemiecki wartownik natychmiast zginął. Wybuch poderwał Amadeę i cisnął w powietrze jak szmacianą lalkę z taką siłą, że przeleciała kilka metrów i upadła płasko na plecy niedaleko torów. Ku swemu zdziwieniu nie straciła przytomności i wiedziała, co się dzieje, ale nie mogła się poruszyć. Uderzenie w kręgosłup pozbawiło ją tchu.

Jeden z towarzyszy widział, co się stało, przeskoczył płomienie i podbiegł do niej. Błyskawicznie przerzucił ją sobie przez plecy i wrócił pędem do pozostałych tuż przed drugim wybuchem. Potężna eksplozja musiałaby ją zabić, tak jak Jean-Yves'a.

Potem wiedziała tylko, że ktoś ją niósł przez długi czas. Nic nie czuła. Pamiętała, że położono ją w ciężarówce, pamiętała ogień i wybuchy w oddali. Potem straciła przytomność i ocknęła się dwa dni później w obcej stodole, wśród nieznanym ludzi. Przewieziono ją do pobliskiego miasteczka i ukryto.

Przez następny tydzień dryfowała na skraju świadomości. Odwiedziło ją dwóch ludzi z jej komórki. Martwili się o nią. Mówili, że Niemcy wszędzie jej szukają. Zjawili się na farmie ciotki i wuja Jean-Yves'a, gdzie do tej pory mieszkała. Staruszkowie oświadczyli, że nie mają pojęcia, co się z nią stało, i cudem zostali oszczędzeni. Ale nie mogła tam wrócić. Serge wysłał im wiadomość z Paryża przez radio, że muszą ją wywieźć. Lecz oprócz Niemców miała jeszcze jeden poważny problem: nie mogła poruszać nogami ani nawet usiąść. Uszkodziła sobie kręgosłup przy upadku. Straciła czucie w nogach i nie mogła się poruszać o własnych siłach. Stała się kaleką, ciężarem, nie mogła im się do niczego przydać.

– On chce, żebyśmy cię stąd wywieźli – powiedział łagodnie jeden z mężczyzn, z którymi pracowała od półtora roku.

Nie chcieli jej tego mówić, ale wyglądała jak śmierć. Od dwóch dni majaczyła i miała halucynacje. Nie tylko uszkodziła sobie kręgosłup, ale miała jeszcze poparzone plecy. Nie czuła jednak nic, nawet bólu.

– Dokąd? – zapytała, próbując się skupić.

Czuła się tak zmęczona, że oczy jej się zamykały. Podczas rozmowy co chwila traciła przytomność. Kiedy ją na chwilę odzyskała, wytłumaczyli jej, co robią. Wszystko już było załatwione.

– Jutro w nocy zabierze cię samolot.

– Nie odsyłajcie mnie z powrotem do obozu – błagała. – Będę grzeczna, obiecuję. Zaraz wstanę.

Wszyscy jednak wiedzieli, że nie wstanie. Przyszedł lekarz i stwierdził, że Amadea pozostanie sparaliżowana do końca życia. Ale nawet w tym stanie Niemcy zabiliby ją, gdyby ją znaleźli. Nawet nie odesłaliby jej do obozu. Teraz nie miała dla nich żadnej wartości, nawet jako niewolnica.

Co gorsza, ukrywanie Amadei było dla wszystkich zbyt niebezpieczne. Jakiś chłopiec ostrzegł, że Niemcy wiedzą, że należy do komórki ruchu oporu albo nawet nią kieruje. Wszyscy zgadzali się z Serge'em. Musiała stąd wyjechać, choć nie byli pewni, czy zdołają wywieźć ją żywą. Lysander przylatywał po nią tej nocy. Jeśli zdołają ją wsadzić na pokład. I może przeżyje. Była nieprzytomna, kiedy wynieśli ją ze stodoły, owiniętą w koc. Wyglądała jak trup, nawet zakryli jej twarz. Jęczała, kiedy ją nieśli, ale nie odzyskała przytomności.

Chłopiec, który znał ją, odkąd przyjechała do Francji, pobiegł przodem przez pole. Inni zapalili latarki. Wyglądało to bardziej na pogrzeb niż akcję ratunkową. Jeden z mężczyzn rozplakał się i powiedział, że Amadea umrze, zanim ją wyniosą z samolotu. Inni podejrzewali, że ma rację.

Drzwi otworzyły się, jak tylko mały samolot wylądował. Przyjaciele wsunęli Amadeę do środka, wciąż owiniętą kocem. Samolot prowadziło dwóch pilotów. Jeden wciągnął ją do środka i zatrzasnął drzwi, zanim wystartowali. Samolot niemal przeszorował brzuchem po wierzchołkach drzew, po czym zawrócił w stronę Anglii. Pilot delikatnie ściągnął koc z twarzy Amadei. Obaj wiedzieli tylko, że mają zabrać bojownika francuskiego ruchu oporu, nic więcej. Nawet nie znali jej nazwiska. Serge przekazał Brytyjczykom przez radio wszystkie potrzebne informacje. Pilotom powiedziano tylko, gdzie mają wylądować.

– Chyba zrobiliśmy pusty kurs – powiedział mężczyzna siedzący obok Amadei na podłodze, kiedy zobaczył jej twarz. Ledwie oddychała i prawie nie miała pulsu. – Wątpię, czy ona przeżyje.

Pilot nic nie odpowiedział.

Obaj się zdziwili, kiedy po wylądowaniu w Anglii odkryli, że Amadea jeszcze żyje. Na pasie startowym czekała karetka pogotowia. Zabrali ją do szpitala, gdzie czekało na nią łóżko. Zbadali ją i stwierdzili, że potrzebowała nie tylko łóżka. Miała poparzenia trzeciego stopnia na plecach i uszkodzony kręgosłup. Zrobili dla niej, co mogli, ale chirurg napisał w historii choroby, że prawdopodobnie już nigdy nie będzie chodziła.

Umieścili ją na oddziale pod nazwiskiem, które znaleźli w jej dokumentach. Francuski dowód tożsamości podawał, że nazywała się Amelie Dumas. Wkrótce zadzwonił urzędnik z biura brytyjskiej Secret Service i zidentyfikował ją pod kodowym pseudonimem Teresa.

– Myślisz, że ona jest brytyjską agentką? – zapytała jedna pielęgniarka drugą, kiedy zobaczyła adnotację na karcie choroby.

W szpitalu wiedzieli, że wywieziono ją z Francji, ale nie znali powodu.



– Możliwe. Nie odezwała się ani słowem, odkąd tu jest. Nie wiem, w jakim języku ona mówi.

Siostra oddziałowa dokładnie obejrzała kartę. W tych czasach nigdy nie wiadomo, pomyślała. W każdym razie pacjentka nie należała do brytyjskiej armii i była w strasznym stanie.

– Może to jedna z naszych.

– Kimkolwiek jest, porządnie oberwała – zauważyła druga pielęgniarka. Amadea odzyskała przytomność dopiero trzy dni później i tylko na minutę. Spojrzała nieprzytomnymi oczami na pielęgniarkę zmieniającą jej opatrunek i odezwała się po francusku. Po francusku, nie po niemiecku ani angielsku. Powiedziała tylko:

– *Je suis l'épouse du Christ Crucifié...* Jestem oblubienicą ukrzyżowanego Chrystusa.

I po tych słowach znowu straciła przytomność.

## Rozdział 25

Szóstego czerwca alianci wylądowali w Normandii. Amadea rozplakała się, kiedy usłyszała tę nowinę. Modliła się o to jak nikt inny w szpitalu.

Dopiero w połowie czerwca mogli wytoczyć ją w fotelu na kółkach do szpitalnego ogrodu. Lekarze powiedzieli jej, że prawdopodobnie już nigdy nie będzie chodziła, chociaż nie mieli całkowitej pewności. Ale to wysoce nieprawdopodobne, jak się wyrazili. Uważała jednak, że nogi to niewielka ofiara na rzecz wysiłku wojennego i dla ocalenia ludzkiego życia. Niezliczone rzesze innych nie zobaczą już nieba nawet z inwalidzkiego wózka. Siedząc w słońcu, z nogami przykrytymi kocem, uświadomiła sobie nagle, że będzie jedną z tych starych zakonnice na wózkach inwalidzkich, którymi opiekowały się młode siostry. Nawet gdyby musiała czołgać się do klasztoru, zamierzała tam wrócić, jak tylko ją wypuszczą ze szpitala. W Londynie na Notting Hill był klasztor karmelitanek, który chciała odwiedzić, kiedy pozwolą jej wychodzić. Lekarz jednak ostrzegł, żeby na razie o tym nie myślała. Oparzenia jeszcze sienie zagoiły, plecy i nogi wymagały terapii. Nie chciała od razu stać się ciężarem dla innych zakonnice.

Siedziała w ogrodzie z zamkniętymi oczami i twarzą wystawioną do słońca, kiedy obok usłyszała znajomy głos. Nie mogła go rozpoznać. Kojarzył jej się z innym językiem. Brzmiał jak echo odległej przeszłości.

– No, siostrze, tym razem rzeczywiście się popisałaś.

Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego obok Ruperta. Miał na sobie mundur brytyjskiego oficera. Dziwne jej się wydawało, że nie nosił munduru SS. Obce brzmienie jego głosu wynikało z tego, że mówił po angielsku, nie po niemiecku ani francusku. Uśmiechnęła się, podnosząc na niego wzrok.

– Rozumiem, że próbowałaś w pojedynkę zniszczyć całą sieć kolei francuskich i połowę niemieckiej armii przy okazji. Słyszałem, że odwaliałaś nielichą robotę.

– Dziękuję, pułkowniku.

Oczy jej się rozjaśniły, jak tylko go zobaczyła. Był pierwszym przyjacielem, którego tutaj spotkała. Przez cały czas miała okropne koszmary o Theresienstadt, najgorsze od czasu ucieczki.

– Czym się zajmujesz? – Upłynęło sześć miesięcy od ich ostatniego spotkania po zakończeniu misji w Niemczech, kiedy postrzelono go podczas ucieczki z Francji. – Przy okazji, jak twoje ramię?

– Trochę pobolewa przy złej pogodzie, ale z czasem dojdzie do formy. W rzeczywistości odniósł paskudną ranę, ale lekarze dobrze go poskładali.

Lepiej sobie poradzili niż w jej przypadku. Przynajmniej tak słyszał. Chirurg, z którym rozmawiał przed wizytą u Amadei, twierdził, że praktycznie nie ma nadziei, żeby jeszcze kiedyś chodziła, ale nie chcieli jej tego mówić tak kategorycznie. Dodał, że przynajmniej na razie z ewentualną perspektywą wózka chyba się pogodziła. Według niego to cud, że przeżyła. Ale cudami zajmowała się zawodowo.

– Dostałam twoją wiadomość, kiedy wróciłeś. Dziękuję. Martwiłam się – wyznała szczerze. Usiadł na ławce naprzeciwko.

– Nie tak, jak ja się martwiłem o ciebie – oświadczył poważnie. – Piekielnie mocno oberwałaś.

– Nie za dobrze sobie radzę z materiałami wybuchowymi – powiedziała takim tonem, jakim inne kobiety przyznają, że nie wychodzą im szarlotki czy suflety.

– W takim razie powinnaś dać sobie spokój z wybuchami – stwierdził z podejrzanym błyskiem w oku.

– Przyszedłeś mnie poprosić, żebym wróciła z tobą do Niemiec i udawała twoją żonę? – zagadnęła żartobliwie. Chociaż wtedy najadła się strachu, lubiła z nim pracować. Prawie tak bardzo, jak on lubił pracować z nią. – Możesz mnie przedstawiać jako swoją babcię, skoro siedzę na wózku – dodała z lekkim zakłopotaniem.

Wykluczył ten pomysł ruchem ręki.

– Nonsens. Niedługo znowu staniesz na nogi. Powiedzieli mi, że wyjdiesz w przyszłym miesiącu.

Przez cały czas miał ją na oku, jak obiecał Serge'owi. Zaczekał jednak z wizytą, dopóki jej się nie polepszyło. Wiedział, że była w bardzo złym stanie. Przeżyła ciężkie dwa miesiące.

– Pomyślałam, że jak mnie wypuszczą, pójdę do klasztoru w Notting Hill. Nie chcę być dla nich ciężarem, ale wciąż mogę robić dużo rzeczy. Muszę odkurzyć swoje krawieckie umiejętności – powiedziała skromnie i tylko przez chwilę wyglądała jak zakonnica. On jednak znał ją lepiej.

– Wątpię, czy siostrzyczki poproszą cię o wysadzenie ogrodu w powietrze. Mogłabyś je porządnie nastraszyć.

Uśmiechnął się do niej uszczęśliwiony, że ją widzi. Pomimo ciężkich przejść wyglądała dobrze i pięknie jak zawsze. Długie blond włosy spływały jej na plecy i lśniły w słońcu.

– Właściwie mam dla ciebie propozycję. Nie tak ekscytującą jak misja w Niemczech, przyznaję. Ale prawie. W pewnym sensie wymagającą równie silnych nerwów.

Słuchała ze zdumieniem. Nie wyobrażała sobie, że w jej obecnym stanie brytyjska Secret Service zażąda od niej udziału w tajnej misji. Działalność w Resistance skończyła się dla niej. Miała nadzieję, że wojna też się wkrótce skończy. Walczyła dzielnie przez długi czas. Dłużej niż wielu innych.

– Prawdę mówiąc, potrzebuję pomocy przy moich kinderkach. Podrastają. Mieszkają ze mną już od pięciu lat. Małe już nie są takie małe i tylko psoty im w głowie. Starsze są prawie dorosłe i mało domu nie rozwalą. Większość czasu spędzam w Londynie i potrzebuję kogoś, żeby ich przypilnował, dopóki ten bałagan się nie skończy. A potem będę potrzebował pomocy przy poszukiwaniach ich rodziców, jeśli przeżyli. To sporo roboty. Niełatwo jest samotnemu mężczyźnie z dwunastką dzieci – poskarżył się, prowokując ją do śmiechu. – Może zgodzisz się pomóc staremu przyjacielowi, zanim się powtórnie zaciągniesz do zakonu. W końcu byliśmy

małżeństwem przez kilka dni, w sumie chyba cały tydzień. Przyznasz, że jesteś mi coś winna. Nie możesz po prostu odejść i zostawić mnie z tuzinem dzieci na karku.

Śmiała się już na cały głos. Podejrzewała, że złożył jej tę propozycję z litości, ale w typowy dla niego miły sposób.

– Nie mówisz poważnie, prawda? – zapytała z dziwnym wyrazem twarzy. Zawładnął nią przypływ dawnych przyjacielskich uczuć. Chociaż nie znali się dobrze, razem podejmowali tak wielkie ryzyko, że powstała pomiędzy nimi mocna więź. W pewnym sensie podczas dwóch wspólnych misji ratowali sobie nawzajem życie. I wykonali wspólnie robotę. Była dumna z ich dokonań.

– Owszem, całkiem poważnie. Uwielbiam je. Ale szczerze mówiąc, Amadeo, one doprowadzają do szału moją gospodynię. Staruszka ma siedemdziesiąt sześć lat. Była moją nianią i wychowywała moich synów. Te kinderki potrzebują kogoś młodszego, żeby je zabawiał i trzymał w ryzach.

Niczego przed nią nie ukrywał.

– Nie wiem, czy teraz na wiele się przydam. – Spojrzała na swój wózek, a potem znowu na niego. – Mogą mnie zepchnąć ze skały, jeśli im się narazę.

– To dobre dzieciaki – zapewnił z całą powagą.

Widziała, że mówił prawdę. Widziała również, że kochał te dzieci, ale miał rację. Siedemdziesięciosześcioletnia gospodyni nie wystarczała do poskromienia dwanaściorga rozbrykanych dzieciaków pozbawionych rodziców. Rupert pracował w Londynie i ciągle wyjeżdżał na tajne misje. Wracał do wschodniego Sussex tylko na weekendy. Z drugiej strony, Amadea nie mogła się doczekać powrotu do klasztoru. Dostatecznie długo już żyła na świecie i wypełniła swoje powinności. Nadszedł dla niej czas powrotu, co wyjaśniła Rupertowi w możliwie oględny sposób.

– Nie uważasz, że obejdą się bez ciebie jeszcze przez kilka miesięcy? – zapytał z nadzieją. – W końcu to część wojennego wysiłku. Te dzieci są ofiarami nazistów, tak jak ty. I trudno im będzie po wojnie, kiedy się dowiedzą, co się stało z ich rodzicami. Czekają ich ciężkie chwile.

Serce jej się ścisnęło. Zawahała się, patrząc na niego. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby jej przeszkodzić w powrocie do klasztoru. Chciała zapytać Boga, czego od niej żąda. Lecz kiedy spojrzała w oczy Ruperta, wiedziała. Powinna się zaopiekować tymi dziećmi. Pewnie dlatego Bóg przysłał do niej Ruperta. To się odwlekało bez końca. Ale po trzech latach poza klasztorem mogła jeszcze trochę poczekać. Zaczynała podejrzewać, że zanim złoży ostateczne śluby, stuknie jej dziewięćdziesiątka. Wiedziała jednak, że w końcu je złoży. Tego była pewna.

– Właściwie jeszcze nie napisałam do matki przełożonej – przyznała ze smętną miną. – Chciałam napisać w tym tygodniu. Na pewno uważasz, że ci się przydam? W tym wehikule do niczego się nie nadaję.

Czasami trochę się użalała nad sobą, chociaż bardzo się starała panować nad emocjami. Ale skoro taka była wola boska, mogła z tym żyć. Doznała łaski tyle razy i na tyle sposobów.

– Bardzo się cieszę, że jeszcze się nie zaciągnęłaś. Bałem się, że to zrobisz przed moim przyjazdem. I oczywiście bardzo się przydasz w obecnym stanie. Nie bądź niemądra. Musisz tylko na nie krzyczeć. Dam ci wielki kij, żebyś mogła je poszturchiwać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Znowu się z nią droczył, aż parsknęła śmiechem.

– Kiedy mam przyjechać?

Zadała to pytanie już z ożywieniem i nadzieją. Nie mogła się doczekać, żeby poznać te dzieci. Opieka nad nimi nada nowy sens jej życiu, zwłaszcza że Rupert miał często wyjeżdżać. Podczas tej rozmowy znowu poczuła się jego żoną, jak wtedy w Paryżu i podczas grudniowej podróży do Niemiec. Łączył ich bardzo dziwny związek. Pod pewnymi względami byli sobie obcy, pod innymi czuli się jak para najlepszych przyjaciół. Z radością zgodziła się opiekować jego kinderkami. Klasztor mógł jeszcze trochę poczekać. Wojna wkrótce się skończy. A kiedy dzieci odnajdą rodziców i wyjadą... myśli pędziły jej w głowie i nagle usiadła prosto. Poprosiła, żeby zapisał wszystkie nazwiska na kartce, zanim wyjedzie po południu, a on obiecał spełnić jej prośbę.

Wiedział, że znacznie się przyczynił do poprawy jej stanu psychicznego. Siedział naprzeciwko niej z uśmiechem i rozmawiali przez wiele godzin o dzieciach, o jego posiadłości, dwóch dniach, które spędzili w Paryżu, i pięciu w Niemczech. Nie brakowało im tematów do rozmowy. Amadea wyglądała młodo i śmiała się radośnie, kiedy odwoził ją z powrotem do pokoju. Umówili się, że Amadea przyjedzie prosto do jego posiadłości we wschodnim Sussex, jak tylko lekarze ją wypuszczą, czyli za cztery tygodnie. Rupert obiecał, że przedtem odwiedzi ją jeszcze kilkakrotnie. Chciał sprawdzić postępy w leczeniu, a poza tym lubił jej towarzystwo.

Przed odejściem pocałował ją w policzek. A kiedy odszedł, pomodliła się za niego i za jego kinderki.

## Rozdział 26

Podróż do wschodniego Sussex okazała się bardzo męcząca. Amadea zachowała trochę czucia w nogach i dolnej części kręgosłupa, chociaż niewiele. Odczuwała zaledwie lekkie mrowienie, co jednak wystarczyło, żeby sprawiać jej ból, jeśli zbyt długo pozostawała w tej samej pozycji. Nie miała władzy w nogach. Od pasa w dół całkowicie zdrętwiała, kiedy szofer ostrożnie wyciągnął ją z samochodu i posadził na wózku inwalidzkim. Rupert czekał na nią. Przyjechał do domu dzień wcześniej, żeby porozmawiać z dziećmi. Chciał, żeby odnosiły się do niej życzliwie i nie uprzykrzały jej życia. Opowiedział im, jaka była dzielna i że nawet spędziła pięć miesięcy w obozie koncentracyjnym dwa lata wcześniej.

– Czy spotkała moją mamę? – zapytała z ciekawością mała dziewczynka z piegami i bez przednich zębów.

– Chyba nie – odpowiedział łagodnie.

Bliźniaki obrzucali się kulkami z chleba, więc kazał im przestać.

– Przy niej musicie się lepiej zachowywać – skarcił je, siląc się na groźną minę.

Ale one dobrze go znały i nie przejmowały się jego słowami. Kiedy przyjeżdżał do domu, obskakiwały go jak szczenięta. Rebeka, mały rudzielec, zawsze włąziła mu na kolana i kazała sobie czytać bajki. Nie mówiła po niemiecku, tylko po angielsku, ponieważ miała zaledwie sześć miesięcy, kiedy tu przyjechała. Teraz miała sześć lat. Ale kilkoro innych, którzy przyjechali do Anglii w starszym wieku, wciąż znało niemiecki. Rupert uprzedził Amadeę, że powinna przynajmniej od czasu do czasu rozmawiać z nimi po niemiecku. Jeśli wrócą do rodziców, nie będą mogły się z nimi porozumieć. Uważał, że warto poćwiczyć z nimi niemiecki..Sam próbował, ale zawsze coś go rozpraszało i w końcu rozmawiał z nimi po angielsku, chociaż znał niemiecki równie dobrze jak Amadea, z tego samego powodu: dzięki matce.

– To urocza młoda kobieta, i bardzo piękna. Pokochacie ją – powiedział dzieciom niemal z dumą.

– Ożenisz się z nią papo Rupercie? – zapytała dwunastoletnia Maria, jasnowłosa, urwisowata i długonoga jak młody żreback.

– Nie. Ona była zakonnica przed wojną. I po wojnie zamierza wrócić do klasztoru.

Wiedział, że zostanie tylko na jakiś czas, żeby mu pomóc z kinderkami. Naprawdę potrzebował jej pomocy. Ale już sobie wyobrażał, jak przyjemnie będzie wracać do domu, do niej i do dzieci.

– Była zakonnica? – Dziesięcioletni Friedrich popatrzył na niego z niepokojem. – Czy ona będzie nosić taką szeroką suknię i śmieszny kapelusz?

– Nie, ona teraz nie jest zakonnica, ale była przedtem. I znowu będzie. Nie był tym zachwycony, ale szanował jej wybór i spodziewał się tego samego od dzieci.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak ona uszkodziła sobie kręgosłup – poprosiła Rebeka, marszcząc czoło. – Zapomniałam.

– Wysadziła pociąg w powietrze – odparł, jakby ludzie robili takie rzeczy codziennie, podobnie jak wyrzucali śmieci albo wyprowadzali psa.

– Pewnie jest bardzo odważna – zauważył grubym głosem Hermann, najstarszy z chłopców. Właśnie skończył szesnaście lat i zaczynał już wyglądać jak mężczyzna.

– Owszem. Przez dwa lata była we francuskim Resistance. Dzieci kiwnęły głowami. Wszystkie wiedziały, co to znaczy.

– Czy ona przywiezie broń? – spytał z zainteresowaniem ośmiolatek Ernst o wyglądzie pilnego ucznia. Fascynował się bronią i Rupert zabierał go na polowania.

Mam nadzieję, że nie – odparł Rupert, śmiejąc się z tego pomysłu.

Kilka minut później przyjechała Amadea. Rupert wyszedł jej na spotkanie. Z podziwem rozglądała się po terenie posiadłości. Stary dom i otaczające go grunty bardzo przypominały rodzinny *château* jej ojca w Dordogne. Nie tak konwencjonalny, jak się obawiała, niemniej jednak imponujący.

Rupert pocałował ją w policzek na przywitanie, po czym zawiózł ją do salonu. Wszystkie dzieci czekały na nią, wystrojone w najlepsze ubrania. Gospodyni, pani Hascombs, zastawiła długi stół w bibliotece do podwieczorku. Amadea nie widziała nic równie uroczego od początku wojny. Dzieci wyglądały prześlicznie, chociaż wydawały się trochę stremowane. Niektóre chyba przestraszyły się wózka inwalidzkiego. Amadea znowu poczuła się jak zakonnica. Czasami to jej najbardziej pomagało w trudnych chwilach. Jeśli sobie wyobraziła, że wciąż nosi habit i kwef, czuła się mniej bezbronna i obnażona. A dzieci gapily się na nią i oceniały ją wzrokiem. Na razie jednak im się spodobała. Papa Rupert miał rację. Ona była piękna. I wcale nie stara. Wyglądała całkiem młodo, nawet w ich oczach. Żałowały, że musiała jeździć na wózku.

Amadea z uśmiechem odwzajemniła ich spojrzenia.

– Zobaczmy... Ty pewnie jesteś Rebeka. To jest Marta... Friedrich... Ernst... Hermann... Josef... Gretchen... Berta... Johann... Hans... Maximilian... i Klaus.

Rozpoznała wszystkie dzieci i prawidłowo odgadła ich imiona. Popelniła tylko jeden błąd, zrozumiała nawet dla nich, kiedy pomyliła Josefa z Johannem, ale wszyscy mylili identycznych bliźniaków, nawet Rupert. Zadziwiła go, podobnie jak pozostałych. Grzecznie przeprosiła Josefa i Johanna za pomyłkę.

– Ja też czasami nie mogę ich rozróżnić – wyrwała się Rebeka i bez uprzedzenia wskoczyła na kolana Amadei.

Amadea prawie nic nie poczuła, chociaż Rupert na chwilę wpadł w panikę. Obawiał się, żeby dziecko jej nie skrzywdziło. Pani Hascombs podeszła do niej z wyciągniętą ręką i przyjaznym wyrazem twarzy, żeby się przywitać.

– Bardzo się cieszymy, że pani przyjechała – powiedziała ciepło. Mówiła całkiem szczerze. Naprawdę odetchnęła z ulgą. Nie dawała sobie rady z tuzinem rozbrykanych dzieciaków. Kinderki wiedziały o tym i w pełni wykorzystywały jej bezradność. Amadea też nie wiedziała, czy potrafi nad nimi zapanować, ale z pewnością zamierzała dołożyć wszelkich starań. Uznała je

za urocze i zakochała się w nich od pierwszego wejrzenia.

– Opowiedz nam, jak wysadziłaś pociąg – zaproponowała beztrusko Rebeka przy podwieczorku, kiedy popijali herbatę i zjadali placuszki.

Rupert trochę się przeraził, lecz Amadea tylko się uśmiechnęła. nie opowiedział o niej dzieciom. Na pewno zdradził też, że była zakonnica.

– No, to nie był dobry uczynek – powiedziała poważnie – ale to byli Niemcy, więc na razie to w porządku. Ale nie będzie w porządku po wojnie. Można robić takie rzeczy tylko, dopóki trwa wojna.

Rupert przytaknął.

– Bombardują nas przez cały czas, więc trzeba ich zabijać – oświadczył zaciekle Maximilian.

Miał trzynaście lat i już wiedział, że jego rodzice nie żyją. Zawiadomili go krewni. Czasami moczył łóżko. I miał koszmary senne. Rupert o tym też jej powiedział. Chciał, żeby wiedziała wszystko o dzieciach. Opowiadał się za jawnością i nie chciał, żeby coś ją zaszokowało. Czasami dzieciaki doprowadzały go do rozpacz. Dwanaścioro dzieci, nawet miłych i grzecznych, to duże obciążenie dla każdego.

– Czy bolą cię nogi? – zapytała troskliwie Marta.

Wydawała się najbardziej łagodna ze wszystkich. Gretchen była najładniejsza. Berta najbardziej nieśmiała. Chłopcy ani przez chwilę nie mogli usiedzieć spokojnie, nawet przy podwieczorku. Spieszyło im się na dwór, żeby zagrać w piłkę, ale Rupert zapowiedział im, że muszą zaczekać do końca podwieczorku.

– Nie, nie bolą – odpowiedziała szczerze Amadea na pytanie o nogi. – Czasami wcale ich nie czuję. Czasami tylko trochę.

Czasami okropnie bolał ją krzyż, ale do tego się nie przyznała. I miała brzydkie blizny po oparzeniach na plecach.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś będziesz chodzić? – zapytała ją wreszcie Berta.

– Nie wiem – odparła Amadea z uśmiechem. – Zobaczymy.

Podchodziła do tej sprawy tak rzeczowo, że serce mu się krajało. Traktowała filozoficznie swój los. Miał nadzieję, że jednak odzyska władzę w nogach.

Potem zaproponowała, żeby wszyscy przespacerowali się po terenie posiadłości, zanim się ściemni. Zachwyceni chłopcy wybiegli, jakby się paliło, i już po chwili grali w piłkę.

– Cudownie sobie z nimi radzisz – powiedział Rupert z podziwem. – Wiedziałem, że tak będzie. One potrzebują kogoś takiego jak ty. Potrzebują matki. Żadne z nich nie miało matki od pięciu lat. Pani Hascombs jest dla nich bardziej jak babcia.

Właściwie dla większości Amadea była za młoda na matkę, prędzej mogła odgrywać rolę starszej siostry, ale tego też potrzebowały. Przypomniało jej się, kiedy Daphne była mała. Amadea uwielbiała opiekować się młodszą siostrzyczką. Opieka nad tymi dziećmi dobrze jej robi.

Wieczorem przy obiedzie rozmawiali o wielu rzeczach, nie tylko o wojnie. Dzieci



opowiadały Amadei o szkole, przyjaciółach, ulubionych zajęciach. Rebeka wymyśliła dla niej idealne imię. Nazwała ją „Mamadea”. Wszystkim się spodobało, również samej zainteresowanej. Odtąd oficjalnie nazywali się Mamadea i papa Rupert.

Dni mijały szybko. Po weekendzie Rupert wrócił do Londynu, ale przyjeżdżał w każdy piątek po południu i zostawał do poniedziałku rano. Ogromnie mu się podobało, jak Amadea radzi sobie z dziećmi. I był wzruszony, kiedy zobaczył, co zrobiła w pierwszy piątkowy wieczór po jego powrocie. Dowiedziała się wszystkiego z książek i odprawiła dla nich szabat z chałą. Zapaliła świece i odmówiła modlitwy. Była to głęboko wzruszająca chwila, pierwszy szabat, który świętowali od pięciu lat. Rupert miał łzy w oczach, a dzieci wyglądały tak, jakby powróciły w myślach do ukochanych miejsc i osób.

– Nigdy o tym nie pomyślałem. Skąd wiedziałas, co robić?

– Mam książki. – Uśmiechnęła się do niego.

Sama była wzruszona. Gdzieś w historii jej rodu też odbywały się szabaty, chociaż nigdy w nich nie uczestniczyła.

– Wątpię, czy robią takie rzeczy w klasztorze – zażartował. Parsknęła śmiechem. Lubiła jego towarzystwo i dobrze się czuli razem. Po raz pierwszy zauważyła to w Paryżu, gdzie wykonywali wspólną misję. Raz o tym rozmawiali i Rupert wspominał z nostalgią brzoskwińową koszulkę nocną. Uwielbiał się droczyć z Amadea.

– Gdybyś odsunęła się jeszcze dalej ode mnie, unosiłabyś się w powietrzu jak indyjski fakir.

– A ty następnego ranka zburzyłeś pościel na łóżku.

Roześmiała się, ale w tych okolicznościach postąpił przezornie, skoro nie chcieli wzbudzić podejrzeń.

– Musiałem ratować moją reputację – odparł wyniośle.

Lato upływało przyjemnie i przynajmniej raz Amadea nie tęskniła za klasztorem. Była zbyt zajęta. Szyła, czytała, grała z dziećmi w piłkę, karciała je i osuszała ich łzy. Rozmawiała po niemiecku z tymi, które pamiętały ten język, i uczyła pozostałe. Niemieckiego i francuskiego. Wyjaśniła im, że dobrze znać języki. Rozwijały się pod jej opieką. A Rupert z radością wracał do domu na weekendy.

– Szkoda, że Amadea jest zakonnicą – powiedziała Marta żałośnie do Ruperta pewnej niedzieli przy śniadaniu.

Amadea pojechała z chłopcami na ryby nad jezioro, leżące na terenie posiadłości. Nazywali je Jezioro Papy.

– Ja też tak uważam – odpowiedział szczerze.

Wiedział jednak, jak bardzo Amadea pragnie wrócić do klasztoru. Rzadko o tym rozmawiali, ale rozumiał, że pozostała wierna swojemu powołaniu.

– Czasami zapominam – przyznała Marta.

– Ja też.

– Myślisz, że Amadea kiedyś zmieni zdanie? – zapytała ostrożnie. Dzieci często o tym

rozmawiały. Chciały, żeby została z nimi jak najdłużej.

– Wątpię. To poważna sprawa. Ona była zakonnica przez długi czas. Sześć lat. Nie mam prawa jej namawiać, żeby została.

Marta odniosła wrażenie, że mówił to bardziej do siebie niż do niej.

– Chyba powinieneś spróbować.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Czasami też tak myślał. Ale nie miał odwagi. Bał się, że Amadea rozgniewa się na niego i wyjedzie. Niektóre rzeczy stanowiły tabu. Bardzo ją szanował, nawet jeśli nie pochwalał jej życiowego wyboru. Ale przyznawał jej prawo do takiej decyzji, bez względu na swoje zdanie w tej kwestii. Nawet nie wiedział, jak poruszyć ten temat. Zdążył już się przekonać, jaka potrafi być uparta, zwłaszcza jeśli w coś wierzyła. Posiadała niezależny umysł i czasami przypominała mu nieżyjącą żonę, chociaż bardzo się różniły. Tamta też umiała bronić swoich przekonań.

Widząc Amadeę z dziećmi, czasami żałował, że nie ma żony. Ale w pewnym sensie tak było najlepiej albo prawie najlepiej. Spędzili razem cudowne lato. Zanim dzieci poszły do szkoły, wyjechali na wspólną wycieczkę do Brighton. Rupert popychał wózek Amadei po nadmorskim deptaku, a dzieciaki szalały, bawiły się i jeździły konno. Amadea tęsknie spoglądała na plażę. Nie mogła jeździć po piasku.

– Czasami żałuję, że nie mogę chodzić – przyznała ze smutkiem, chociaż bardzo dobrze radziła sobie na wózku, rozwijała sporą szybkość i bez trudu dotrzymywała kroku dzieciom. Serce mu się ścisnęło na te słowa.

– Może powinniśmy po powrocie odwiedzić lekarza.

Nie widziała lekarza od trzech miesięcy. Kiedy wychodziła ze szpitala, doktor oświadczył, że nic więcej nie może zrobić. Albo odzyska czucie w nogach, albo nie. Na razie nie odzyskała. Nie nastąpiła żadna zmiana ani poprawa, chociaż Amadea rzadko o tym mówiła. Po raz pierwszy poskarżyła się w jego obecności.

– Wątpię, czy on coś poradzi. Najczęściej o tym nie myślę. Dzieciaki nie zostawiają mi czasu.

Potem spojrzała na niego z czułością i jak zawsze ogarnął go żal, że sprawy nie ułożyły się inaczej.

– Dziękuję, że mnie tutaj przywiozłeś, Rupercie, żebym zajęła się twoimi kinderkami.

Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa, jedynie podczas pierwszych lat w klasztorze. Każdy dzień przynosił jej wiele radości. W roli Mamadei czuła się niemal równie zadowolona jak w roli siostry Teresy. Wiedziała jednak, że to się kiedyś skończy. Wiele dzieci wróci do domu, co będzie dla nich najlepsze. Potrzebowały rodziców. Ona i Rupert stanowili jedynie namiastki, chociaż się starali. Uważała, że Rupert cudownie się nimi zajmuje. To jej zawsze przypominało, jak bardzo musi mu brakować synów. W całym domu stały ich fotografie, łan i James. I jego żona Gwyneth. Pochodziła ze Szkocji.

– Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie – wyznał szczerze Rupert, siedząc na ławce na

deptaku, skąd widzieli dzieci.

Podjechała do niego na wózku. Wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Jej długie blond włosy powiewały na wietrze. Często nosiła rozpuszczone włosy jak dziewczynki. Uwielbiała szczotkować im loki. Matka też szczotkowała włosy jej i Daphne, kiedy były małe. Dziwne, jak historia ciągle się powtarzała, pokolenie za pokoleniem.

– Nawet już nie pamiętam, jak to było przed twoim przyjazdem – ciągnął Rupert z roztargnioną miną. A potem powiedział coś, co zaparło jej dech w piersiach. – Wyjeżdżam na misję w przyszły czwartek.

Nie powinien tego zdradzać, ale ufał jej całkowicie.

– To niemożliwe – rzuciła, jakby proste zaprzeczenie mogło coś zmienić. Ale widziała po jego oczach, że nic się nie zmieni.

– Możliwe.

On też nie okazywał entuzjazmu. Uwielbiał spędzać weekendy w domu z nią i z dziećmi. Ale pozostała jeszcze wojna do wygrania.

– Do Niemiec? – zapytała szeptem, bo przerażenie ścisnęło ją za gardło. Oboje aż za dobrze wiedzieli, jakie to niebezpieczne. Ona też nie mogła już sobie wyobrazić życia bez niego.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział na jej pytanie.

Wiedziała, że nie może jej powiedzieć, dokąd wyjeżdża. To była ściśle tajna informacja. Miał najwyższy poziom dostępu. Zastanawiała się, czy go wysyłają do Niemiec, czy z powrotem do Francji albo jeszcze gorzej, gdzieś na wschód. Zdawała sobie sprawę, że podczas pobytu we Francji chroniły ją jakieś czary. Tylu ludzi zginęło, a ona przeżyła, chociaż kilka razy była w poważnych opałach.

– Chciałabym pojechać z tobą – wyznała, zapominając o wózku inwalidzkim. Teraz jednak to było wykluczone. Nie mogła już wypełniać misji. Stanowiła ciężar, nie pomoc.

– Dobrze, że nie możesz – odparł Rupert bez ogródek.

Nie chciał, żeby znowu ryzykowała życie. Dosyć już dokonała. I miała szczęście, że żyła. Nawet na wózku inwalidzkim.

– Będę się martwić o ciebie – oświadczyła z zatroskaną miną. – Na jak długo wyjeżdżasz?

– Na jakiś czas – odpowiedział tylko.

Nie mógł jej powiedzieć nic więcej, ale miała przeczucie, że wyjeżdża na długo. Milczała przez chwilę, a potem spojrzała na niego. Tyle mieli sobie do powiedzenia, ale nie mogli nic powiedzieć. I wiedzieli o tym.

Dzieci zauważyły, że Amadea milczała wieczorem w drodze do domu. Berta zapytała, czy jest chora.

– Nie, tylko zmęczona, skarbie. To przez to zdrowe morskie powietrze. Ale oboje z Rupertem wiedzieli, o co chodziło. O jego misję.

Tej nocy długo leżała bezsennie i rozmyślała o nim. On też nie spał w swojej sypialni, na drugim końcu tego samego korytarza. Początkowo Amadeę oszołomił ten luksusowy dom.

Dostała najlepszą gościnną sypialnię. Prosiła, żeby ją umieścić w którymś pokoju dla służby, ale nie chciał o tym słyszeć. Oświadczył, że zasłużyła na ten piękny pokój, chociaż protestowała. Trudno jej było w takich warunkach przestrzegać ślubu ubóstwa. Pozostałych ślubów dotrzymała, przynajmniej dotąd.

Następnego ranka Rupert jak zwykle wyjechał do Londynu. Dzieci nic nie wiedziały o jego bliskiej podróży czy jeszcze gorszej możliwości, że nigdy nie wróci. Amadea w pełni to rozumiała. Poprosił o zezwolenie, żeby przyjechać do Sussex na jeden dzień i jedną noc w środę, zanim opuści Anglię następnej nocy. Dopóki się nie zjawiał, Amadea była nerwowa i niespokojna. Niespodziewanie dla samej siebie, ostro zbesztła jednego z chłopców, który zbił szybę piłką do krykieta. Potem przeprosiła go za swój zły nastrój, ale on powiedział, że nie szkodzi, jego prawdziwa matka krzyczała dużo głośniejsze, co ją rozśmieszyło.

Odetchnęła z wielką ulgą, kiedy Rupert wrócił w środę, szybko pocałowała go w policzek i uściskała serdecznie. Wiedziała, że nie może go o nic pytać. Mogła tylko modlić się za niego i ufać, że wróci. A on mógł tylko ją zapewnić, że nic mu się nie stanie. Próbowali o tym nie rozmawiać. Zjedli wspaniały obiad z dziećmi w głównej jadalni, co zwykle robili tylko przy wyjątkowych okazjach. Dzieci łatwo wyczuły, że coś się święci.

– Papa Rupert wyjeżdża w podróż – oznajmiła wesoło Amadea.

Jednak starsze dzieci popatrzyły jej w oczy i spostrzegły, że stało się coś złego albo przynajmniej strasznego. Amadea się martwiła.

– Żeby zabijać Niemców? – zapytał Hermann z uradowaną miną.

– Ależ skąd – zaprzeczyła Amadea.

– Kiedy wrócisz? – zapytała zaniepokojona Berta.

– Nie wiem. Musicie dobrze się opiekować Mamadeą i sobą nawzajem. Niedługo wrócę – obiecał.

Wszystkie dzieci uściskały go i ucałowały, zanim poszły spać. Uprzedził, że wyjeżdża rano, zanim wstaną.

Siedzieli do późna z Amadea i rozmawiali o różnych sprawach, właściwie o niczym konkretnym. Po prostu czerpali pociechę ze swojego towarzystwa. Zbliżał się świt, kiedy Rupert wreszcie wniósł ją na górę i posadził z powrotem na wózku w korytarzu przed sypialnią. Pod jego nieobecność pomagali jej do spółki starsi chłopcy.

– Wyjadę, zanim wstaniesz – powiedział.

Starął się nie przybierać ponurego tonu, ale czuł przygnębienie. Bardzo nie chciał jej opuszczać.

– Nic z tego – oświadczyła z uśmiechem. – Wstanę, żeby się z tobą pożegnać.

– Nie musisz.

– Wiem, że nie muszę, ale chcę.

Znał ją dostatecznie dobrze, żeby nie dyskutować. Pocałował ją w policzek, a ona wjechała do sypialni, nie oglądając się za siebie.

Przez następne dwie godziny leżał w łóżku i próbował zdobyć się na odwagę, żeby pójść do jej sypialni i wziąć ją w ramiona. Ale nie poszedł. Za bardzo się bał, że wtedy nie zostanie jej po powrocie z misji. Dzieliły ich granice, które musiał uszanować.

Dotrzymała słowa i czekała na niego w holu, kiedy tuż po brzasku wyszedł z sypialni. Siedziała na wózku w koszuli nocnej, otulona szlafrokiem. W różowym szlafroczyku, z długimi, rozpuszczonymi włosami przypominała jedno z dzieci. On wyglądał poważnie i oficjalnie w mundurze, więc mu zaszalutowała, żeby go rozśmieszyć.

– Zniesiesz mnie na dół? – poprosiła swobodnie.

Zawahał się.

– Potem nie dostaniesz się na górę. Dzieci jeszcze nie wstały, więc ci nie pomogą.

– I tak mam coś do roboty.

Chciała z nim być jak najdłużej. Ostrożnie zniósł ją ze schodów, posadził na krześle, a potem zniósł wózek inwalidzki, na który się przesiadła.

Przygotowała mu herbatę i podgrzała placek, a potem w końcu nie zostało nic do powiedzenia. Oboje wiedzieli, że musi już iść. Odprowadziła go do drzwi i wyjechała na frontowy ganek. Wrześniowe powietrze było chłodne i rześkie. Pocałował ją w oba policzki.

– Uważaj na siebie, Mamadeo.

– Będę się modlić za ciebie. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Dziękuję.

Potrzebował tych modłów. Mieli go zrzucić na spadochronie nad Niemcami. Misja mogła potrwać nawet trzy tygodnie.

Po raz ostatni spojrzeli sobie w oczy, a potem Rupert zszedł różnym krokiem z ganku, nie oglądając się za siebie. Wsiadał już do samochodu, kiedy go zawołała. Wtedy się odwrócił. Wyciągnęła do niego rękę z udręczonym wyrazem twarzy, jakby chciała go zatrzymać.

– Rupercie!... Kocham cię.

Nie mogła już dłużej powstrzymać tych słów ani stłumić swojego uczucia. On zamarł, jakby oblała go zimną wodą. Potem zawrócił i stanął obok niej.

– Mówisz poważnie?

– Chyba tak... nie... wiem, że tak.

Spojrzała na niego tak, jakby świat właśnie się skończył. Wiedziała, co to dla niej znaczy. On też wiedział i powolny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– No, nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Ja też cię kocham. Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę... tylko żebyś się nie rozmyśliła.

Pocałował ją w usta i patrzył na nią przez długą chwilę, a potem musiał już ruszać. Oboje ledwie mogli uwierzyć w to, co się stało. Zanosilo się na to od bardzo, bardzo dawna. Strasznie się ucieszył.

Pomachał jej z uśmiechem, kiedy odjeżdżał. Ona też się uśmiechała i posłała mu ostatni pocałunek. A potem skręcił i wyjechał za bramę, a ona siedziała na wózku w porannym słońcu i

modliła się, żeby wrócił. Decyzja sama zapadła.

## Rozdział 27

Czas bez Ruperta dłużył się bez końca. Początkowo Amadea się martwiła. Potem powiedziała sobie, że nic mu nie będzie. A po dwóch... trzech-czterech tygodniach wpadła w panikę. Nie miała pojęcia, jak długo powinna trwać misja. Pod koniec października wiedziała, że coś poszło źle. Nie mogła już wytrzymać i zadzwoniła do biura Secret Service. Wysłuchali jej i obiecali, że się odezwą. Tydzień później, już w listopadzie, oddzwonił do niej jakiś oficer. Powiedzieli jej bardzo mało i nie wyjawili, gdzie jest Rupert, ale przyznali, że nie kontaktował się z nimi „od dłuższego czasu”. Nie mówiąc niczego dosłownie, dali jej do zrozumienia, że zaginął w akcji. Mała nie zemdląca, kiedy to usłyszała, ale wzięła się w garść ze względu na dzieci. Musiała. Straciły już jednych rodziców, więc nie chciała im mówić, że straciły też Ruperta. Dopóki nie będzie pewności.

Amadea nigdy w życiu nie modliła się tak żarliwie. Teraz podwójnie się cieszyła, że wyznała mu miłość. Przynajmniej wiedział. A Amadea też wiedziała, że on ją kochał. Co z tego wyniknie, pokazać miała przyszłość. W Secret Service obiecali, że zadzwonią do niej, jeśli się czegoś dowiedzą. Nie zadzwonili.

Żeby całkiem nie zwariować, Amadea wpadła na pomysł, czym zająć siebie i dzieci. Zaproponowała stworzenie własnej orkiestry; to na pewno sprawi wielką przyjemność papie Rupertowi. Zdobyła dla nich instrumenty i akompaniowała im na fortepianie, i wszyscy śpiewali razem. Daleko im było do profesjonalizmu, ale bawili się wspaniale. Amadea również cieszyła się z tego projektu. Po miesiącu ćwiczeń osiągnęli całkiem niezłe brzmienie.

Pewnego wieczoru wykonywali piosenkę. Rebeka, siedząca na kolanach Amadei, była zmęczona i przeziębiona. Ssała kciuk i nie chciała śpiewać. Po chwili odwróciła się do Amadei z nadąsaną miną.

– Przestań stukać stopą, mamó. Podrzucasz mnie.

Amadea wytrzeszczyła na nią oczy. Jedno po drugim dzieci przestały grać. Te w pierwszym rzędzie usłyszały, a pozostałe chciały wiedzieć, co się stało i dlaczego Mamadea ma taką minę.

– Zrób to jeszcze raz, mamó – poprosiła Berta łagodnie.

Wszyscy wpatrywali się w jej stopy, kiedy próbowała. Zdołała leciutko postukać stopą i nawet odrobinę poruszyć nogami. Była taka zajęta dziećmi i tak się martwiła o Ruperta, że nawet nie zauważyła poprawy.

– Czy możesz wstać? – zapytał jeden z bliźniaków.

– Nie wiem – wyjąkała przestraszona.

Wszystkie dzieci otoczyły ją kręgiem, a Josef wyciągnął do niej rękę.

– Spróbuj. Jeśli potrafisz wysadzić pociąg, potrafisz też chodzić. Miał rację.

Amadea podniosła się bardzo powoli, opierając się na poręczach fotela. Zrobiła jeden krok w stronę Josefa i mało nie upadła. Johann ją złapał. Ale zrobiła krok. Dzieci patrzyły na nią przejęte i podniecone. Zrobiła jeszcze jeden krok i następny. W sumie zrobiła cztery kroki, a potem

musiała usiąść. Cała się trzęsła, mało nie zemdląła z osłabienia. Ale chodziła. Łzy spływały jej po twarzy, a wszystkie dzieci śmiały się i klaskały z radości.

– Mama chodzi! – zawołała ucieszona Marta.

Od tej pory codziennie kazały jej ćwiczyć. One grały, a ona chodziła.

Pod koniec grudnia mogła powoli przejść przez pokój, podtrzymywana przez jednego ze starszych chłopców. Wciąż jeszcze czuła się niepewnie na nogach, ale robiła stałe postępy. Niestety, nadal nie miała żadnych wiadomości o Rupercie. Nic. Na razie nie uznali go za zmarłego, ale nic nie wiedzieli. A ponieważ Amadea nie była jego żoną, nie miała prawa do informacji. Minęły już prawie dwa miesiące od jego wyjazdu. Instynkt podpowiadał jej, że misja nie miała trwać tak długo. Co noc zadreżczała się domysłami, czy został ranny, czy trafił do obozu. Jeśli go przyłapano w niemieckim mundurze i zdemaskowano jako agenta wroga, czekała go śmierć. Milion strasznych rzeczy mogło się zdarzyć, jedna gorsza od drugiej.

Dwa tygodnie później, żeby się oderwać od ponurych myśli, obchodziła z dziećmi Chanukę. Odkąd mieszkały w Anglii, świętowały Boże Narodzenie, ale Amadea oznajmiła, że w tym roku urządzają jedno i drugie. Dzieci zrobiły dreidle z papieru i pokazały jej, jak się je kręci. I nauczyły ją chanukowych pieśni. Bardzo jej się podobało, że hebrajskie litery na dreidlach znaczą: „Wielki cud się tutaj zdarzył”. Mała orkiestra spisywała się coraz lepiej, Amadea zaś chodziła powoli, lecz pewnie.

Drugiej nocy Chanuki, kiedy zapaliła świece i dzieci stały wokół niej, Rebeka podniosła wzrok i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– W tym roku wcześniej świętujemy Gwiazdkę?

W pokoju panował świąteczny nastrój, chociaż dzieci milczały. Dla wielu ta chwila przywołała gorzko-słodkie wspomnienia. Amadea obejrzała się na dźwięk znajomego głosu.

– Nie, Chanukę – odpowiedziała spokojnie, a potem też się zachłysnęła. To był Rupert.

Dzieci podbiegły do niego z wrzaskiem. Amadea podeszła powoli, a on szeroko otworzył oczy.

– Ty chodzisz – powiedział z niedowierzaniem i zachwytem.

Miał rękę na temblaku, poza tym jednak wyglądał zdrowo, chociaż był chudy jak szczapa. Przez ostatnie dwa miesiące przewędrował piechotą pół Niemiec i wreszcie zdołał nawiązać kontakt z ruchem oporu w Alzacji. Ewakuowali go samolotem z małej wioski opodal Strasburga. Te trzy miesiące również jemu dały się we znaki. Przez długą chwilę trzymał ją w ramionach.

– Nigdy nie myślałem, że znowu będziesz chodzić – powiedział szczerze.

– Ani ja – przyznała, tuląc się do niego. Okropnie się bała, że już go nigdy nie zobaczy. – Tak się martwiłam o ciebie.

Wiedział o tym, ale nic nie mógł poradzić. Misja była trudna i straszna, nawet dla niego, ale zakończyła się sukcesem.

– Musiałem wrócić po tym, co mi powiedziałaś przy rozstaniu.

Nie zapomniał ani ona nie zapomniała. Tyle musieli teraz omówić, tyle decyzji podjąć,



zwłaszcza Amadea.

– Papo! Mamy orkiestrę! – krzyczała Rebekę, chociaż inni ją ostrzegali, żeby nie psuła niespodzianki.

Skoro już wyszło szydło z worka, zagrali dla niego dwie piosenki. Rupert był zachwycony. Siedzieli prawie do północy i opowiedzieli mu, jak Amadea odprawiła dla nich Chanukę.

– Cofasz historię – droczył się z nią, kiedy wysłali już dzieci do łóżek i siedzieli przy kominku, trzymając się za ręce.

Zdawało się jej, że śni. Nie mogła uwierzyć w jego powrót.

– Pomyślałam tylko, że to ważne dla nich, żeby zachowały nietknięty fragment własnej przeszłości.

Dziwne, ale dla niej to również wiele znaczyło. Wyobrażała sobie, że jej matka robiła to samo w dzieciństwie. I w ten sposób mogła oddać cześć tym wszystkim ludziom, którzy zginęli, bo byli Żydami. Zdawało jej się, że słyszy ich głosy, nie tylko własny, kiedy odmawiała modlitwy.

– Nie chcę cię znowu stracić, Amadeo. Przeszedłem przez połowę Niemiec, żeby do ciebie wrócić. Nie możesz mnie teraz zostawić – powiedział poważnie, patrząc jej w oczy.

Nie spuściła wzroku.

– Nie. Nie mogę. Teraz to wiem. Wiedziała przed twoim wyjazdem, dlatego ci powiedziałam, że cię kocham...

Na chwilę posmutniała, trzymając go za rękę. Teraz jednak wiedziała, że jej miejsce jest tutaj, przy nim i kinderkach.

– Zawsze myślałam, że wrócę do klasztoru. – Westchnęła.

Ale zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wielu ludzi skazała na śmierć, nawet jeśli zrobiła to, żeby ratować innych. A teraz chciała z nim zostać. I to już nie wydawało się złe. Wydawało się słuszne. Nie mogła dokonać innego wyboru. Nie mogła go opuścić, chociaż na zawsze zachowała w sercu klasztor i wszystko, co dla niej znaczył. Podjęła trudną decyzję, ale w końcu poczuła ulgę i zadowolenie. Pod jego nieobecność przekonała się, jak bardzo go kocha.

– Tak się bałem, że tam wrócisz, ale nie chciałem ci przeszkadzać – wyznał Rupert.

– Dziękuję, że to uszanowałeś.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi miłości. Tak głęboko wierzyła, że na zawsze pozostanie zakonnicą, a teraz należała do niego w każdym znaczeniu, o jakim nie śmiała marzyć.

– Pozwoliłbym ci odejść, gdybyś naprawdę tego chciała i odnalazła tam szczęście... ale wydaje mi się, że to było dawno temu. Teraz nie mógłbym tego znieść – wyznał.

Przyciągnął ją do siebie i trzymał mocno. Przez ostatnie trzy miesiące tak często i rozpaczliwie bał się, że nie wróci do niej, a ona bała się tego samego. Wreszcie, po wszystkich perypetiach, oboje zrozumieli, że tak jest dobrze. Oboje dotarli tutaj po tylu cierpieniach, stracili najbliższych, zbyt często patrzyli śmierci w twarz. Zasłużyli na wszystko, co wreszcie odnaleźli.

Tej nocy zaniósł ją na górę, kiedy pogasili światła. Nadal z trudem wchodziła po schodach,

ale potrzebowała tylko czasu, żeby odzyskać sprawność. Na podeście zawahali się i on ją pocałował, a potem ona z nieśmiałym uśmiechem powiedziała: „Dobranoc”. Roześmiał się. To nie był Paryż i brzoskwiowa koszulka nocna. To było prawdziwe życie. Oboje wiedzieli, co się stanie, już wkrótce, we właściwy sposób, we właściwym czasie. Mieli przed sobą resztę życia.

## Rozdział 28

Ksiądz dał im ślub i rabin wygłosił błogosławieństwo, a dzieci otoczyły ich kręgiem. To były ich pierwsze dzieci i wiedzieli, że niektóre z nimi zostaną. A jeśli im się poszczęści, będą mieli własne dzieci, chociaż on nigdy nie zapomni o utraconych synach. Amadea wreszcie złożyła ostateczne śluby, te, które były jej przeznaczone, chociaż nie te, których się spodziewała. Zakręty i meandry życia, cierpienia i błogosławieństwa połączyły ich i zaprowadziły po wyboistych ścieżkach do spokojnego domu. Odnaleźli się nawzajem, a wokół nich rozbrzmiewały echa miłości, którą niegdyś obdarzali i którą zostali obdarzeni.